

URUCHAMIAMY MaBeNę
Instrukcja obsługi polskiej
narracji narodowej

MARZEC '68
„To nie my,
to komuniści”

SZCZĘŚCIE ALKOHOLIKA
Krzepiące historie
o wychodzeniu z nałogu

ZAKLINACZ PSZCZÓŁ
Przeżyły dinozaury,
przeżyją i ludzie

Kraków 11 marca 2018 nr 11 (3583)

cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

PIĘĆ LAT Z FRANCISZKIEM

Krytycy Uczniowie Wrogowie

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9



ORGANIZATOR

PARTNER GŁÓWNY

MECENAS

www.beethoven.org.pl


Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministerstwa
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego



MIASTO
STOŁECZNE
WARSZAWA



Festiwal zrealizowany
dzięki wsparciu
finansowemu Miasta
Stołecznego Warszawy



Bank Zachodni WBK
Grupa Santander



FILHARMONIA
NARODOWA
Dyrektor Artystyczny JACEK KASPSZYK



KS. ADAM

Boniecki: Pięć lat z prorokiem

GDY 13 MARCA 2013 R. NOWY PAPIEŻ ZJAWIŁ SIĘ w loggii Bazyliki św. Piotra w samej sutannie bez mucetu i pozdrowił zgromadzonych mało kościelnym „dobry wieczór” – było wiadomo, że jest to papież nietypowy.

Nie on pierwszy łamał i zmieniał watykańską etykietę i tradycje, lecz on od początku czyni to spektakularnie, jakby dla unaocznienia dokonywanej przez siebie rewolucji. Strój, obuwie, mieszkanie, posiłki, marka samochodu, teczka w rękę, uiszczenie zapłaty za pokój w hotel przed konklawe, zmiana okularów i zamówienie nowego obuwia, codzienne homilie i tym podobne znaki mają przemawiać do zbiorowej wyobraźni.

To nie tylko osobisty styl, ale też filozofia. Kierując się zasadą, że ważne jest inicjowanie procesów, a nie utrzymywanie wszystkiego pod kontrolą, papież Franciszek „inicjuje procesy”. Zainicjował proces reformowania kurii rzymskiej (tego oczekiwali uczestnicy konklawe), ale także proces odnowy Kościoła, to jest rewizji zakorzenionych w historii kościelnych zwyczajów, pięknych, ale niesłużących już przekazywaniu Ewangelii, a nawet rewizji norm lub przykazań kościelnych, skutecznych w innych epokach, dziś jednak pozbawionych wychowawczej siły (por. „EG”, 43). To nie były tylko deklaracje. Papież Bergoglio jako człowiek kochający konkret natychmiast przystąpił do działania, i to na wielu frontach. A rewizja „zakorzenionych w historii kościelnych zwyczajów” nie jest łatwa. Prałaci kurii rzymskiej wiedzą, jak czasochłonna i niewydajna bywa kolegalizacja, jak użyteczne są kanoniczne ustalenia tego, co dopuszczalne, co nie, a więc z troski o funkcjonowanie gigantycznej instytucji rzymskokatolickiego Kościoła uderzyli na alarm. I nie tylko. Jak mogą, tak bronią starego systemu, który – przyznaję – nie jest doskonały, lecz jednak sprawdzony. W murach Watykanu krążą opowieści, nie zawsze prawdziwe i z reguły pochodzące z anonimowych źródeł, o potknięciach czy błędach Franciszka (opisuje to Edward



Augustyn w reportażu z Watykanu). Każdy, kto pamięta watykańskie i nie tylko reakcje na „papieża z dalekiego kraju”, Jana Pawła II, zwłaszcza wtedy, kiedy przedsięwziął coś, czego „dotąd nigdy nie było”, doskonale wie, że to nic nowego. Cóż, Święty Kościół jest Kościołem grzesznych ludzi, a ci zwykle chcą dobrze dla Kościoła, ale po swoim, i z trudem naginają się do akceptacji innego.

Od ludzi pracujących w Stolicy Apostolskiej słyszę: „c'è una grande confusione” (panuje wielkie zamieszanie). Niewątpliwie panuje, lecz nie dotyczy istotnych elementów wiary i misji Kościoła, lecz raczej procedur i spraw personalnych. Być może Franciszek nie docenia skuteczności wypróbowanych kościelnych struktur i procedur, lecz przychodząc z doświadczeniem „peryferii”, widzi przyszłość, a nie procedury. Zapytany o to, jakie jest miejsce Kościoła w społeczeństwie, odpowiada bez namysłu: „miejsce ostatnie”. Bo tak nauczał Jezus. Wie, że Kościół, którego jest papieżem, staje wobec nowych wyzwań zrodzonych z globalizacji, rozwoju środków komunikacji i osiągnięć naukowych. Wie, co znaczy wychodzenie Kościoła do świata zafascynowanego postępem materialnym i głuchego na transcendencję, oraz że wypełni on swoją misję tylko wtedy, jeśli będzie naprawdę wyrastał z Ewangelii.

Mało mnie interesuje, czy Instytut Dziej Religijnych otrzymał certyfikat czystości (nieprania pieniędzy), czy w watykańskich sklepach sprzedaje się cygara, mało mnie wzrusza, że prałaci mieszkający w Domu Św. Marty cierpią jakieś niewygody z powodu lokatora apartamentu nr 201. Nie przejmują mnie pomyłki czy nawet popełnione przez papieża Franciszka błędy teologiczne (jeśli takie były), a tym mniej błędy strategiczne. Nie niepokoi mnie, że z tym papieżem mają kłopot pracownicy *Santa Sede*. Wiem, że ten, którego wskazał Kościołowi Duch Święty, jest prorokiem, a z prorokami zawsze były kłopoty. Wiem, że Kościół, który wytrzymał Sobór Watykański II, nie tylko „wytrzyma” Franciszka, ale wyjdzie ku przyszłości oczyszczony i wiarygodny... dzięki Franciszkowi. ©

TP

Zapraszamy na spotkania z ks. Adamem Bonieckim

GLIWICE, środa 7 marca

16.30 – Msza św. z homilią w katedrze św. Piotra i Pawła;

17.30 – spotkanie w Centrum Edukacyjnym im. św. Jana Pawła II (ul. Jana Pawła II 5).

SZCZECIN, środa 14 marca

18.00 – spotkanie: „Marzec 1968 po 50 latach” Teatr Polski (ul. Swarżyca 5).

SZCZECIN, czwartek 15 marca

12.00 – „Religia, polityka, literatura...” – Uniwersytet Szczeciński (ul. Piastów 40B);

17.00 – spotkanie w Auli Książnicy Pomorskiej (ul. Podgórna 15/16, III piętro).

■ Kontakt ws. organizacji spotkań z ks. Adamem: kuczminska@tygodnik.com.pl

Msze św. i spowiedź:

MSZE ŚW. – kościół zgromadzenia marianów na Stegnach (ul. Bonifacego 9, Warszawa), **soboty godz. 18, niedziele godz. 8.30.**

SPOWIEDŹ – bazylika św. Floriana (ul. Warszawska 1b, Kraków), **wtorki godz. 18-19.**

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Ostatnia niedziela
BŁAŻEJ STRZELCZYK

6-9 Wiadomości / Komentarze

25 Zobaczyć to, co istotne
SZYMON HIŻYCKI OSB: Czwarła część rekolekcji z Ojcami Kościoła

26 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

28 Dlaczego MaBeNa nie działa
MARCIN NAPIÓRKOWSKI:
Prawica poszerzyła arsenał o narzędzia zmonopolizowane dotąd przez lewicę i liberalistów. Ale korzysta z nich bez zrozumienia

32 Zamęt w bastionach Platformy
JACEK GĄDEK: *Utrata Warszawy lub Gdańska może być gwoździem do trumny PO*

36 Szczęście alkoholika
KATARZYNA KUBISIOWSKA:
Po przebudzeniu policzkowałem się, wymyslałem sobie od najgorszych. A teraz mam poranną radość, że jestem trzeźwy

■ ■ ŚWIAT

44 Toast za niepodległość
DOMINIK WILCZEWSKI: *Atmosfera w relacjach polsko-litewskich w ostatnich latach była zła, dziś powoli zmienia się na lepsze*

48 Kabila kontra wszyscy
MARCIN ŻYŁA: *Trwają walki w kongijskich prowincjach. Katastrofa humanitarna grozi milionom ludzi*

52 Jak stworzono nowoczesną Japonię
PIOTR BERNARDYN: *Gdyby rozejrzeć się z Tokio po świecie, Japonia jawi się jako oaza spokoju i dobrobytu*



LAURA ANTONELLI / REX / EAST NEWS

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■

10 Mamy szczęście do papieży
ROZMOWA Z ARCYBISKUPEM GRZEGORZEM RYSIEM:
Wciąż żywa jest pamięć o Janie Pawle II, więc łatwo dajemy sobie wmówić, że Franciszek jest jego przeciwieństwem. Chciałbym, żeby wszyscy, którzy mówią o tym wyimaginowanym konflikcie, przeczytali teksty obu papieży.

16 Sierpiony od Ducha
EDWARD AUGUSTYN Z WATYKANU
Przeciwników ma wielu, ale żeby w Watykanie? Kuria to jego codzienne otoczenie. Ale czy najbliższe?

21 Rekolekcjonista
ROZMOWA Z PAWEŁM MILCARKIEM, REDAKTOREM NACZELNYM „CHRISTIANITAS”:
Mamy do czynienia z papieżem, który chce inspirować, ale nie rozstrzyga. Albo chce „rozstrzygać” na drodze faktów dokonanych. Dla mnie to nie jest w porządku.

■ ■ FELIETONY ■

20 SZYMON HOŁOWNIA
43 ANNA DZIEWIT-MELLER
59 WOJCIECH BONOWICZ
74 JAN KLATA
81 STANISŁAW MANCEWICZ
81 BARTOSZ MINKIEWICZ

Oktadka: PAPIEŻ FRANCISZEK
Fotografia: EVANDRO INETTI / ZUMA PRESS / EAST NEWS
Redaktor prowadzący: PIOTR MUCHARSKI

■ ■ NAUKA

56 Kalejdoskop umysłów
KASPER KALINOWSKI: *Na to, jak postrzegamy świat, głęboko wpływają także czynniki kulturowe*

■ ■ Z ODDECHEM

60 Wesele i kilka pogrzebów
JAKUB DYMEK: *Dlaczego nikt nie płacze po liberalizmie? Przeciwnie: wszyscy wiedzą na nim psy*

■ ■ KULTURA

64 Ugniataj, bij, wyciskaj
MAGDALENA NOWICKA-
-FRANCZAK: *W „Czerwonym głodzie” Anne Applebaum ponownie rozlicza komunizm, nie uznając żadnych okoliczności łagodzących*

68 Królestwo klasy średniej
PIOTR KOSIEWSKI: *Umiar, dbałość o rodzinę, przywiązanie do tradycji: biedermeier żyje w nas.*

71 Kobieta z prowincji
ANITA PIOTROWSKA:
Frances McDormand jako aktorska osobowość przerasta wszelkie rankingi

73 Warto zobaczyć w TV

74 Podróż w czasie
LEKTOR o książce „Z Medyki. Wspomnienia rodzinne”

■ ■ SMAKI

75 Dieta dla Narodu
PAWEŁ BRAVO

■ ■ ZMYŚŁY

76 Czarodziej od zapyłania
JERZY WOYKE, NESTOR POLSKIEGO PSZCZELNICTWA:
Prawdziwy pszczelarz to ten, który pracuje przy pszczołach bez kapelusza ochronnego i bez koszuli

■ ■ DODATEK SPECJALNY

Marzec. 50 lat później

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Spornik (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń, Mariusz Sepiolo,
Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietyoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwił-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Klata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak,
Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek
Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech
Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Drągula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław
Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Stanisław Łubiński, Szymon
Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski,

Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina
Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Magdalena
Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś,
Agnieszka Sabor, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa
Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak,
Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoredacja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak,
Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki
(kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Sylwia Frolow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-
-Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad
Graphics

Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



OBRAZ
TYGODNIA

5

OSTATNIA NIEDZIELA

Kompromis to sztuka dzielenia ciasta tak, aby każdy myślał, że dostał największy kawałek – to angielskie przysłowie idealnie podsumowuje polskie spory o niedzielę wolną od handlu.

BŁAŻEJ STRZELCZYK

KOŚCIÓŁ, POCZĄTKOWO STANOWCZO NAWOŁUJĄCY do categorycznego zakazu i używający argumentów niemal wyłącznie religijnych, w ostatnich latach zmienił nieco ton, głównie dzięki stanowisku metropolity katowickiego abp. Wiktora Skworca, widzącego problem znacznie szerzej i powołującego się także na racje kulturowe i ekonomiczne (kościelny hierarcha mówił niemal jednym głosem z przedstawicielami lewicowych związków zawodo-

wych). Obowiązujący od 1 marca przepis jest jednak tylko połowiczną realizacją jego postulatów: początkowo wolno będzie handlować dwa razy w miesiącu, później raz, i tak aż do stycznia 2020 r., od kiedy w Polsce zacznie obowiązywać całkowity zakaz.

Warto zauważyć, że narzekają również przedsiębiorcy, dla których rosnące PKB i szybki rozwój gospodarki są ważniejsze od zasady, żeby „dzień święty święcić”, szukają więc

Kolejka do spotkania z popularnym blogerem, galeria handlowa Zamkowe Tarasy, Lublin, 3 marca 2018 r.

→

→ w ustawie luk. „My chcemy, żeby Polacy mieli prawo wyboru, czy chcą robić zakupy w niedzielę, czy nie” – przekonuje Ryszard Petru, choć Justyna Samolińska z partii Razem stwierdza, że „prawo człowieka do tego, żeby spędzić cały dzień na zakupach, jest mniej istotne niż prawo człowieka, który pracuje w handlu, do tego, żeby odpocząć”.

Co z dwiema wolnymi niedzielami w mieście zrobią Polacy? „Być może właśnie po to otrzymujemy ją w darze, aby jeszcze bardziej otworzyć oczy na sytuację osób żyjących pośród nas: sąsiadów, seniorów i ubogich” – napisał do wiernych abp Skworec. W Krakowie, Sopocie, Poznaniu i Wrocławiu od miesięcy

właśnie w niedzielę grupy wolontariuszy gotują, a później wspólnie w centrum miast jedzą z osobami bezdomnymi. Dołączenie do nich, w przekonaniu, że niczego w podzielonym społeczeństwie nie potrzebujemy tak bardzo jak przestrzeni wspólnego spędzania czasu bez względu na pochodzenie, partyjną przynależność czy posiadany dom – może być pierwszym pozytywnym efektem niedzieli wolnej od handlu. Z drugiej strony to do samorządów należy wymyślenie, w jaki sposób sprawić, by mieszkańcy, którzy dotychczas wolne dni spędzali w galeriach handlowych, odkryli, że miasto bez sklepów jest przyjaźniejsze. © P BŁAŻEJ STRZELCZYK

Memister Gowin i dyktat populizmu



PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

„NIE JESTEM SZCZĘŚLIWY, ŻE MINISTROM I WICE-MINISTROM TRZEBA ŁATAĆ ICH BUDŻETY DOMOWE premiami. Lepszym rozwiązaniem byłoby porozumienie się z opozycją, że od następnej kadencji wynagrodzenia wzrastają”. Tego zdania, wypowiedzianego w Radiu Zet przez Jarosława Gowina, nikt nie pamięta. I nic dziwnego: w tym samym wywiadzie szef resortu nauki powiedział, że gdy był ministrem sprawiedliwości, „czasami nie starczało do pierwszego”, spełniając tym samym marzenie opozycji, satyryków i twórców memów.

Gowin ośmieszył w ten sposób słuszny postulat podniesienia pensji najwyższych urzędników. Ośmieszył, bo współrzędzi krajem, w którym mediana zarobków wynosi 2,5 tys. zł na rękę. Słuszny, bo pensje szefów i wiceszefów resortów, odpowiedzialnych za milionowe budżety i strategie rozwoju dużego

kraju, są skandalicznie niskie w porównaniu z uposażeniami specjalistów i zarządzających na tzw. wolnym rynku; bo ta sytuacja sprzyja negatywnej selekcji do administracji rządowej; bo albo ugruntuje patologiczny system „dokarmiania” ministrów, m.in. wspomnianymi premiami, albo przeciwnie: spowoduje falę populizmu, czyli obcinania na pokaz wszelkich dodatkowych apanaży, co zdążył już zapowiedzieć premier Morawiecki.

„Powinni dostawać minimalne wynagrodzenie, powinni być traktowani jak zwykły pracownik w zakładzie” – to bodaj najłagodniejszy komentarz do słów ministra na forum jednego z tabloidów, których populistyczny dyktat wyznacza od lat politykę państwa w tej kwestii.

Wypowiedź Gowina tylko ten dyktat umacnia. © P

Władza zagląda do puszeki

MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH CHCIAŁOBY mieć prawo do zablokowania zbiórki publicznej, jeśli uzna, że jej cel jest „sprzeczny z zasadami współżycia społecznego lub narusza ważny interes publiczny”. Obecnie do prowadzenia zbiórki potrzebna jest tylko rejestracja na państwowym portalu, a urzędnicy mogli jej odmówić, jeśli jej cel jest sprzeczny z prawem. Przeciwno nowelizacji protestują organizacje pozarządowe, wskazując, że obecne przepisy (w mocy od 2014 r.) powstały w drodze „modelowych konsultacji publicznych”. Osobny protest złożyła Wielka Orkiestra Świątecz-

nej Pomocy, wyrażając obawy, iż nowe prawo może być skierowane przeciwko niej. Zmiana została zaproponowana po tym, jak w styczniu wyszło na jaw, że pewna skrajnie prawicowa organizacja w majestacie prawa prowadziła zbiórkę na rzecz Janusza Walusia, Polaka odsiadującego w RPA dożywocie za zabójstwo polityczne. Nawet jeśli prawdą jest, iż dotąd państwo nie miało narzędzi, by jej zapobiec, to zmiana idzie za daleko i daje ministrowi zbyt mgliście sformułowane uprawnienie. Można to uznać za chęć skorzystania z pretekstu, aby po raz kolejny utrudnić finansowanie (a więc samodzielność) sektorowi pozarządowemu.

© P PAWEŁ BRAVO

W SKRÓCIE

SPALINY. Krakowskie stacje monitoringu jakości powietrza zanotowały przekroczenia norm nawet o 400 proc., a w związku z tym prezydent miasta zaapelował do mieszkańców o ograniczenie czynności, które przyczyniają się do powstawania zanieczyszczeń.

SEPARATOR. Wśród takich czynności jest oczywiście jazda samochodem. Zjawisko i tak bardzo niebezpieczne: można zarówno najeżdżać na separator oddzielający jezdnię od torów tramwajowych, co przydarzyło się kierowcy prezydenta RP, jak jechać zbyt szybko i w efekcie stracić prawo jazdy, co przydarzyło się kierowcy rajdowemu Krzysztofowi Hołowczycowi.

SEICENTO. O tym, że od samochodów lepiej się trzymać z daleka, przekonała się też trójka prokuratorów prowadzących dochodzenie w sprawie oświęcimskiego wypadku z udziałem b. premier Beaty Szydło. „Rzeczpospolita” informuje, że śledczy nie zgodzili się z tezą przełożonego o wyłącznej winie kierowcy seicento i złożyli wnioski o wyłączenie ich ze sprawy.

SPALANIE. Nie mówimy już o tym, jak jeżdżenie samochodem jest drogie. Np. od stycznia 2016 do stycznia 2017 r. na paliwo do limuzyny używanej przez Bartłomieja Misiewicza w MON wydano 57 568 zł. Dziennikarz RMF Tomasz Skory wyliczył, że gdyby chciał tyle wydać jeżdżąc zwykłym autem, musiałby codziennie przejechać 360 km.

SUWEREN. Nic dziwnego, że premier Morawiecki podjął decyzję o redukcji liczby wiceministrów nawet o 20 proc. (w tej chwili w 19 resortach i w Kancelarii Premiera pracuje 96 ministrów i wiceministrów). Zredukowani z pewnością nie będą zmartwieni: w końcu przestanie im brakować do pierwszego.

STACJA. Zamiast samochodem można jeździć pociągami. Np. na zakupy do galerii handlowej w Gdańsku, która postanowiła obejść zakaz handlu w niedzielę przemianowując się na dworzec kolejowy, czyli otwierając kasy biletowe i poczekalnię.



RICCARDO ANTIMIANI / EPA / PAP

WŁOSI WYBRALI POPULIZM. Pierwszy wynik w wyborach osiągnął Ruch Pięciu Gwiazd, który jednak raczej nie zdąży zebrać większości w parlamencie. Misję stworzenia rządu otrzyma pewnie koalicja centroprawicy; a główną rolę odegra w niej Liga Północna, ugrupowanie antyunijne, antyimigranckie i ustępliwe wobec interesów Rosji. Na zdjęciu: lokal wyborczy w Rzymie, 4 marca 2018 r. © P PAP

Syria: bliski upadek Ghuty

SIEDEMSIEĆ DZIEWIĘTNASTU: tylu ludzi, według szacunków ONZ, zginęło we wschodniej Ghucie na przedmieściach Damaszku od początku ofensywy wojsk rządowych na tę enklawę, przez ostatnie kilka lat kontrolowaną przez antyasadowską opozycję. W miniony weekend armia syryjska, wspierana przez rosyjskie lotnictwo prowadzące naloty, zdobyła jedną trzecią obszaru wschodniej Ghuty (gdzie wciąż przebywa prawie 400 tys. ludzi). Jedną z opozycyjnych grup zbrojnych negocjowała warunki poddania się. Celem wojsk Asada jest teraz przecięcie enklawy na pół. Jeśli to się uda, zdobycie Ghuty może być kwestią najbliższych dni.

We wschodniej Ghucie syryjska armia – wspierana przez siły irańskie, rosyjskie i milicje szyickie m.in. z Liba-

nu – powtarza taktykę znaną z walk o Aleppo, w tym blokadę konwojów z pomocą humanitarną. W poniedziałek 5 marca do enklawy wjechało wprawdzie 46 ciężarówek z żywnością i lekarstwami, jednak pracownicy Światowej Organizacji Zdrowia podali, że rządowi urzędnicy opróżnili wcześniej ponad dwie trzecie ładunku (zabierając m.in. przybory chirurgiczne), prawdopodobnie po to, aby uniemożliwić leczenie rannych rebeliantów. Mieszkańcy terenów położonych na obrzeżu enklawy uciekają przed bombardowaniami do jej centrum, szukając schronienia w nieogrzewanych piwnicach. Rosja, sojuszniczka Asada, zarządziła codzienne pięciogodzinne przerwy w ofensywie, aby – jak twierdzi – umożliwić ewakuację rannych. Biały Dom, który w minioną niedzielę oskarżył Kreml o udział w zabijaniu cywilnej ludności Ghuty, nazwał rosyjski plan jednym słowem: „żart”.

© P ŻYM

Po zabójstwie Kuciaka Słowacja wrze



PATRYCJA BUKALSKA

ŚMIERĆ JÁNA KUCIACA, 27-LETNIEGO SŁOWACKIEGO dziennikarza, i jego narzeczonej Martiny Kušnírovej może doprowadzić do upadku rządu i wcześniejszych wyborów.

Ciała Jána i Martiny znaleziono w ich domu; zastrzelono ich w sposób, który wyglądał na egzekucję. Kuciak był dziennikarzem śledczym, pisał o korupcji, otrzymywał pogroźki. W swoim ostatnim – nieukończonym – tekście pisał o powiązaniach działającej na wschodzie Słowacji włoskiej mafii z osobami zbliznymi do kręgów rządowych.

W kilkudziesięciu miastach – na Słowacji, ale również za granicą – zorganizowano spotkania i marsze upamiętniające Jána Kuciaka i Martinę Kušnírovą. W Bratysławie na ulicę wyszło ponad 20 tys. ludzi, był wśród nich bardzo szanowany przez obywateli prezydent Andrej Kiska. Akcje upamiętniające ofiary miały być apolityczne, ale wielu uczestników domagało się dymisji rządu.

Premier Robert Fico, a także minister spraw wewnętrznych Robert Kaliňák obarczani są odpowiedzialnością za atmosferę przyzwolenia dla niejasnych biznesowych powiązań, a także za wielokrotne obrażanie dziennikarzy i podważanie ich uczciwości.

Fico obiecuje energiczne śledztwo i milion euro nagrody za informacje mogące pomóc w schwytaniu zabójcy. Wydaje się jednak, że to Słowakom już nie wystarczy. Frustracja i rozczarowanie politykami wzbierały w nich od lat, a teraz poczuł, jakby ich kraj stawał się państwem mafijnym.

4 marca wieczorem prezydent Kiska zadeklarował w orędziu, że będzie zachęcał partię do wcześniejszych wyborów lub utworzenia nowego rządu. Choć istnieje ryzyko, że w przedterminowych wyborach społeczne niezadowolenie mogą wykorzystać partie skrajne i antysystemowe, to jednak utrzymanie *status quo* wydaje się niemożliwe. © P



ADAM ROBIŃSKI, autor rozmowy z Jerzym Woymem, będzie gościem Grzegorza Chlasty

w środę 7 marca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

W SKRÓCIE

KSIĄDZ NIE POLITYKUJE!

„Kościół nie jest po stronie prawicy, lewicy ani po stronie centrum (...). Kościół winien stać po stronie Bożej” – mówił abp Stanisław Gądecki w homilii wygłoszonej w sanktuarium św. Józefa w Kaliszu 1 marca. Przewodniczący Episkopatu przypominał, że „prawa kapłana do ujawniania własnych wyborów politycznych są ograniczone przez wymogi jego posługi kapłańskiej”.

ADHORTACJA O ŚWIĘTOŚCI.

Papież prawdopodobnie na Wielkanoc ogłosi adhortację poświęconą świętości – twierdzi watykanista Andrea Tornielli. Według informacji, do których dotarł, Franciszek podpisze nowy dokument 19 marca, w Święto św. Józefa i piątą rocznicę inauguracji pontyfikatu. Potrzebny jednak będzie jeszcze czas na tłumaczenie adhortacji na różne języki. Będzie ona krótsza od dwóch dotychczasowych adhortacji Franciszka. Niedawno kard. Óscar Rodríguez Maradiaga publicznie wspominał, że papież przygotowuje „piękny dokument o świętości”.

„OJCZE NASZ” BEZ ZMIAN. Episkopat nie planuje wprowadzać zmian w tłumaczeniu „Ojcze nasz” – powiedział KAI bp Adam Białobłoch. „Na razie czekamy, czy będzie jakaś odgórna decyzja Stolicy Apostolskiej” – zastrzegł przewodniczący Komisji Episkopatu ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Zmianę słów „nie wódz nas na pokuszenie” na „nie dopuść, abyśmy ulegli pokusie” poparł papież 6 grudnia 2017 r. we włoskiej telewizji TV2000. Niektóre episkopaty już zmieniły tradycyjną formułę.

NOMINACJE DO NAGRODY

„ŚLAD”. Nasz stały współpracownik ks. Andrzej Draguła oraz były kierownik działu „Wiara” „Tygodnika Powszechnego” Janusz Poniewierski zostali nominowani do Nagrody Dziennikarskiej „Ślad” im. Biskupa Jana Chrapka. Ks. Draguła uzyskał nominację m.in. „za mądre poruszanie się po pograniczach wiary i współczesnej kultury”, zaś Poniewierski m.in. „za własną publicystykę z zakresu relacji chrześcijańsko-żydowskich”. Trzecim nominowanym jest naczelny „Przewodnika Katolickiego” ks. Mirosław Tykfer.

Watykan: wskazówki na temat zbawienia

PIOTR SIKORA



ZBAWIENIE NIE JEST SAMOREALIZACJĄ – osiągnięciem jakiejś formy doskonałości i dobrostanu własnym wysiłkiem lub na podstawie ludzkich struktur. Zbawienia nie da się też sprowadzić do przeżycia czysto duchowego, które działałoby się w ludzkim wnętrzu niezależnym od relacji z innymi ludźmi i całym stworzonym światem.

Dwa powyższe negatywne stwierdzenia są zasadniczym przesłaniem nowego dokumentu Kongregacji Nauki Wiary, listu „*Placuit Deo* – o niektórych aspektach chrześcijańskiego zbawienia”, ogłoszonego właśnie w Watykanie. Kongregacja odnosi się w nim do dwóch motywów obecnych w nauczaniu papieża Franciszka, próbując wątki te rozwinąć i usystematyzować. Franciszek bowiem przy różnych okazjach stwierdzał, że naszemu rozumieniu zbawienia zagrażają błędne tendencje, które określał jako pelagiańskie i gnostyckie.

Papież nawiązywał tym samym do dwóch starożytnych nurtów myślenia teologicznego odrzuconych przez Kościół. Dokument podkreśla jednak, że ze względu na różnice kulturowe krytykowane w dokumencie współczesne tendencje myślowe nie są tym samym, co dawne herezje. Dlatego też woli je nazywać neopelagianizmem i neognostycyzmem. To o tyle istotne zastrzeżenie, że zmusza do ostrożności w wykorzystywaniu współczesnych kościelnych dokumentów do oceny dawnych myślicieli (i *vice versa*).

Kongregacja precyzyjniej niż papież określa błędne tendencje, ale w pozytywnej warstwie wywodu nie pogłębia nauczania papieża. Neopelagianizm i neognostycyzm pomijają bowiem główne wątki pontyfikatu: Boże miłosierdzie dla wszystkich, także słabych i niedoskonałych, oraz więź między wiarą a troską o innych i o całe stworzenie. ©P

Zakonnice od garów

SIOSTRY ZAKONNE są traktowane w Kościele jak niemal darmowa siła robocza – czytamy w marcowym dodatku „Kobiety – Kościół – Świat” do watykańskiego dziennika „L’Osservatore Romano”.

Marie-Lucile Kubacki, korespondentka francuskiego magazynu „La Vie”, przypomina, że siostry pracują dla księży i w kościelnych instytucjach często od świtu do nocy i bez umów oraz ubezpieczeń. Chore odsyłane są z powrotem do swojego zgromadzenia. Jak mówi jedna z zakonnic: „Stoi za tym nieszczęsna koncepcja, że kobiety są warte mniej niż mężczyźni,

oraz że księża w Kościele są wszystkim, a siostry niczym”.

To nie nowa informacja. Na wykorzystywanie ich pracy przełożone zakonów żeńskich zwracały uwagę podczas spotkania z papieżem w maju 2016 r. Prasa wspominała o tym wielokrotnie. Tym razem jednak pisze o tym magazyn, który wraz z prenumeratą „L’Osservatore Romano” wędruje do rąk kardynałów i biskupów. Dzięki temu temat podchwyciły agencje informacyjne i media katolickie głównego nurtu.

Czy uda się coś zmienić? Na razie również redaktorki „Kobiety – Kościół – Świat” tworzą dodatek nie pobierając wynagrodzeń.

©P ZUZANNA RADZIK



ARCHIWUM KOLEGIATY ŚWIĘTEJ ANNY

Pietraszko na ołtarze

„KIEDY KTOŚ MNIE PROSI O POMOC w pogłębieniu wiary, daję mu Pietraszkę” – pisał w „TP” ks. Adam Boniecki o zbiorach homilii biskupa Jana Pietraszki, który zmarł w opinii świętości 30 lat temu. Z okazji tej rocznicy abp Marek Jędraszewski odprawił 2 marca mszę w kolegiacie św. Anny w Krakowie, gdzie Pietraszko głosił swoje kazania. Niedawno komisja teologów Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych wyraziła pozytywną opinię na temat heroiczności cnót krakowskiego kaznodziei. ©P ASK

Czy psy lubią, jak się z nimi rozmawia...

„TO JEST BE!” – mówiąc do dzieci, używamy innych słów i inaczej intonujemy niż wtedy, gdy zwracamy się do dorosłych. Wielu właścicieli psów w podobny sposób jak do dzieci mówi do swoich czworonożnych ulubieńców („Niedobry piesek!”). Alex Benjamin i Katie Slocombe z Uniwersytetu w Yorku sprawdzili, czy sposób mówienia i treść wypowiedzi wpływa na ich reakcje – wyniki opublikowali niedawno na łamach „Animal Cognition”. Pierwszy eksperyment wykazał, że psy faktycznie okazują więcej uczuć człowiekowi, który mówi bezpośrednio do nich



ISTOCK

w specjalny sposób, w porównaniu z osobą, która po prostu o czymś opowiada. W drugim badaniu postanowili rozstrzygnąć, czy psy preferują sam sposób mówienia (odpowiednią modulację głosu), czy też konkretne słowa. Uzyskano mieszane wyniki, co sugeruje, że dla psów istotne są obydwa czynniki: sposób mówienia i treść wypowiedzi. © P Ł K

...a naukowcy spiskują przeciw kotom?

JAMES GORMAN, dziennikarz naukowy „New York Timesa”, znalazł się w kropce, kiedy przełożony zapytał go, dlaczego częściej pisze o psach niż o kotach. By znaleźć odpowiedź na pytanie szefa, ruszył po pomoc naukowców. Znajoma genetyczka spekulowała, że większa liczba badań dotyczących psów (Gorman luźno ocenia, że może być ich nawet cztery razy więcej) musi wiązać się z uprzedzeniami – w końcu np. typy chorób nowotworowych u kotów są bliższe tym u ludzi niż u psów; dlaczego więc częściej badać te drugie? Inna genetycz-

ka stwierdziła natomiast, że psy cierpią na podobne zaburzenia zachowania jak ludzie, co predestynuje je do pewnego rodzaju analiz. Przyznała jednak, że znacznie trudniej dostać grant na badanie kotów. Z kolei bioarcheolożka nie pozostawia złudzeń co do swojej specjalizacji: ludzie częściej jedli psy niż koty, stąd więcej ich kości przy ludzkich osadach, a przez to ich opisów w publikacjach. Swoje poszukiwania Gorman puentuje oczywistością – przynajmniej dla właścicieli kotów: może po prostu koty rzadziej zgadzają się na to, by być obiektem eksperymentów? Więcej w tekście „Why Scientists Love to Study Dogs (and Often Ignore Cats)”, na stronie nytimes.com. © P AS



MATT PETTIT / REX / EAST NEWS

Oscary 2018

NIEZNOŚNIE POPRAWNA GALA zakończyła się nieznośnie poprawnym werdyktem. 90. edycja Oscarów okazała się szacownym jubileuszem, a główna nagroda nazywana złośliwie Złotym Cielcem przypadła filmowi Guillerma del Toro „Kształt wody”,

trafiającemu w uśrednione gusta. Na tle „Trzech billboardów za Ebbing, Missouri” Martina McDonagha, „Lady Bird” Greta Gerwig, „Tamtych dni, tamtych nocy” Luki Guadagnina czy „Nici widmo” Paula Thomasa Andersona, rozbuchana wizualnie międzygatunkowa hybryda wygląda tyleż oryginalnie, co anachronicznie. Gary Oldman jako Winston Churchill w „Czasie mroku”

Joe Wrighta raz jeszcze udowodnił, że nic tak dobrze nie sprzedaje się w Hollywood jak spektakularne aktorskie przeobrażenia. Grająca w „Trzech billboardach” Frances McDormand (na zdj. z Jodie Foster i Jennifer Lawrence) zdobyła drugą w karierze nagrodę Amerykańskiej Akademii Filmowej. Sylwetkę znakomitej aktorki prezentujemy na stronach działu Kultura. © AP

MAMY SZCZĘŚCIE DO PAPIEŻY

ABP GRZEGORZ RYŚ:

Wciąż żywa jest pamięć o Janie Pawle II, więc łatwo dajemy sobie wmówić, że Franciszek jest jego przeciwieństwem. Chciałbym, żeby wszyscy, którzy mówią o tym wymaginowanym konflikcie, przeczytali teksty obu papieży.

MACIEJ MÜLLER: Czuje się Ksiądz Arcybiskup lekarzem w szpitalu polowym?

ABP GRZEGORZ RYŚ: Rzadko. Chciałbym częściej.

Właśnie mija piąta rocznica pontyfikatu Franciszka. Wydaje się, że wyjątkowo lubi tę metaforę Kościoła.

Ona sugeruje, że trwa wojna: w szpitalu polowym leczy się nie tyle choroby, co rany. I najpierw trzeba się zająć tym, co jest śmiertelnie niebezpieczne, co zagraża tu i teraz. Papież mógł się zainspirować ostatnim przemówieniem Pawła VI na Soborze – o stosunku Kościoła do świata, który można porównać do relacji miłosiernego Samarytanina z poranionym Żydem. Pobity Żyd jest na co dzień wrogiem Samarytanina, co nie przeszkadza opatrzyć jego ran. To optyka radykalnie nowa: wcześniej spór między Kościołem a światem z reguły kończył się serią anatemy.

Trwa wojna, ale kto z kim walczy?

Linia demarkacyjna między chrześcijaństwem a światem to napięcie między wiarą w Boga, który stał się człowiekiem, a ubóstwianiem człowieka, który chce być Bogiem. Tę diagnozę Pawła VI uzupełniali kolejni papieże. Benedykt XVI

jeszcze jako kardynał w „Raporcie o stanie wiary” stwierdził, że to nieprawda, iż Kościół może spotkać się ze światem bezboleśnie. Jako papież mówił, że dogmat o stworzeniu należy głosić z większym naciskiem niż ten o odkupieniu. Bo człowiek nie akceptuje faktu, że jest stworzony i zależny w swoim bycie od Boga. Franciszek uzupełnia to w encyklice „*Laudato si*”, wskazując, że porzuciliśmy słowo „stworzenie” i wolimy posługiwać się „naturą”, bo tę możemy badać, kontrolować i wyzyskiwać.

Dlaczego Franciszek szuka nowej przerośni do opisu Kościoła? Nie okręt, nie lud pielgrzymujący...

Nie sądzę, żeby uważał, iż obraz szpitala wyczerpuje prawdę o Kościele. I myślę, że chce uwypuklić szczególnie ważny moment w dziejach Kościoła. W jego nauczaniu w jeszcze większym stopniu niż dotychczas Bóg jest miłosierdziem: widzi ludzkie rany i szuka na nie lekarstwa. Kościół musi się odnaleźć w środku tego Bóżego działania, bo Kościół ma sens tylko wewnątrz miłości Boga do człowieka.

A co hierarcha kościelny może zrobić w szpitalu polowym?

Musi przede wszystkim wyjść z domu. Noszę w sobie pamięć o człowieku, którego wczoraj widziałem w ogrzewalni Caritas. Od godziny 16 do 20 to jedyny punkt w Łodzi, dokąd mogą przyjść bezdomni; w pozostałych trwa odkażanie. W korytarzu niewielkiego budynku mogą się ogrzać, wypić herbatę, zjeść gorącą zupę. Akurat kiedy tam byłem, jeden z mężczyzn prawdopodobnie przedawkował leki pomieszczone z alkoholem i ratowano mu życie. Taki świat istnieje. Istnieje też taki, w który wchodzi siostry Matki Teresy z Kalkuty. One w Łodzi chodzą po kanałach i po pustostanach, skąd wyciągają ludzi. Widzą warunki życia, których nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. Istnieje też świat obsługiwany przez autobus, który jeździ po mieście w nocnych godzinach, zatrzymuje się na czterech przystankach, gdzie bezdomni mogą przyjść na gorącą zupę. Korzystają z tego także ubogie rodziny, które wysyłają po zupę dzieci ze słójkami. To ich jedyny ciepły posiłek w ciągu dnia.

Nie można wychodzić do ludzi z Ewangelią udając, że tego świata nie ma. W ogrzewalni zobaczyłem 20 osób, które gniotły się na przestrzeni wielokrotnie



→ mniejszej od tej, której używam na co dzień dla siebie. Jak potem mieszkać dalej w swoim własnym domu?

Wyjdzie Ksiądz Arcybiskup z domu, zobaczy ten świat – i co dalej?

Mam możliwość zebrania przy sobie ludzi Kościoła i podjęcia elementarnych prób zaradzenia tej nędzy. Pod Łodzią w Grotnikach jest dom, w którym przebywa 90 uchodźców, ponad połowa z nich to małe dzieci. Reagowanie na ich „rany” to kwestia wykraczająca już poza zdobycie środków medycznych, to konieczność pobycia z ludźmi, którzy znaleźli się w obcym dla siebie miejscu. Kiedy Franciszek mówi o Kościele jako szpitalu polowym, radzi: przyjrzyjcie się, czy wasz Kościół lokalny stoi stabilnie na trzech nogach.

Cóż to za nogi?

Głoszenie Słowa, sprawowanie sakramentów i posługa miłości. Między tymi obszarami musi być równowaga. Zbyt często mamy pokusę koncentrowania się na przepowiadaniu i dbałości o liturgię.

W adhortacji „*Evangelii gaudium*” słowa „ubogi”, „ubóstwo” padają prawie 80 razy. Papieżowi nie chodzi o ubóstwo duchowe, tylko o brudną, śmierdzącą biedę.

To prawda, chodzi o konkret, ale dwie rzeczy trzeba dopowiedzieć. Pierwsza: „EG” to dokument programowy Franciszka – tekst, z którym on nie dopuszcza debaty. Można dyskutować o wielu rzeczach, ale nie o tym, po co jest Kościół. Bo on jest dla ewangelizacji. Pisząc ten tekst, Franciszek wiele czerpał z „*Evangelii nuntiandi*” Pawła VI, ale nastąpiło wyraźne przesunięcie akcentów. Dla Pawła VI dzia-

Franciszek mówi, że żyjemy w czasach permanentnej misji.

A nam się wydaje, że żyjemy w świecie jednorodnie chrześcijańskim, którym Kościołowi pozostaje administrować.

łałość charytatywna jest preewangelizacją – czymś, co przygotowuje głoszenie Dobrej Nowiny. Dla Franciszka ewangelizacja jest doświadczeniem miłości ze strony Boga, które przychodzi także poprzez *caritas* Kościoła.

Papież pisze: „wolę raczej Kościół poturbowany, poraniony i brudny, bo wyszedł na ulice, niż Kościół chory z powodu zamknięcia się i wygody kurczowego przywiązania do własnego bezpieczeństwa. Nie chcę Kościoła (...), który w końcu zamyka się w gąszczu obsesji i procedur”. Mocna krytyka.

Franciszek nie mówi, że Kościół taki jest, tylko że może taki być. Ideał trzeba pokazywać ostro. Papież przeciwstawia logikę Bożą logice „uczonych w Prawie”. Pokazuje to na przykładzie spotkania z trędowatym, którego Jezus dotyka, łamiąc Prawo. Czemu ono służyło? Ochronie zdrowej społeczności. Także w Kościele można używać prawa do zabezpieczenia zdrowych. Ale logika Boga polega na wychodzeniu do tych, co się źle mają.

Mieliśmy kiedyś papieża, który tyle mówił o ubogich? Musiał się trafić dopiero taki z Ameryki Łacińskiej?

Franciszek, sięgając po doświadczenie świata, z którego wyszedł, rozeznaje rzeczywistość i odpowiednio rozkłada akcenty w przepowiadaniu. Nie wartościowałbym tego ani nie zestawiał z poprzednikami. Jest bieda, z której przyszedł Franciszek, i jest doświadczenie dwóch totalitaryzmów, z których przyszedł Jan Paweł II. Jak to porównywać? Zresztą te rozeznania co do świata się pokrywają. Jan Paweł II mówił, że istnieje nie tylko Pierwszy, Drugi i Trzeci Świat, ale także Czwarty.

Czyli?

Czyli taka bieda, o jakiej nawet w Trzecim Świecie nikomu się nie śniło.

Ale wizje Kościoła Franciszka i Benedykta raczej się rozchodzą.

Tak? A w czym?

Franciszek kładzie nacisk na decentralizację, obniża rangę Kongregacji Nauki Wiary, dowartościowuje episkopaty. Widać to też w tekstach: encyklika „*Lumen fidei*” wysłała jeszcze spod pióra Benedykta XVI. Józef Majewski wyliczył, że Sobór Watykański II jest tam wspomniany trzy razy, w „EG” – 19. Kolegialność Kościoła – odpowiednio zero i 46 razy. Dialog – 13 i 58. Widać, co kogo interesuje.

Nic nie widać. To zupełnie różne teksty, także rozmiarowo. Po drugie, „EG” jest tekstem kolegialnym jako wynik synodu biskupów. Franciszek podkreśla wagę kolegialności i rolę episkopatów – ale to nie oznacza radykalnego poszerzania kompetencji Konferencji Episkopatów.

Na pewno? „Sobór Watykański II stwierdził, że (...) Konferencje Episkopatów mogą »dziś wnieść wieloraki i owocny wkład do konkretnego urzeczywistnienia się poczucia kolegialności«. Jednak to życzenie nie urzeczywistniło się w pełni, ponieważ nie wyjaśniono dostatecznie statusu konferencji episkopatów, który by je pojmował jako podmioty o konkretnych kompetencjach, łącznie z pewnym autentycznym autorytetem doktrynalnym”. To fragment „EG”.

Próby teologicznego opisu kompetencji episkopatów, zwłaszcza w dziedzinie

Evangelii gaudium

TO DOKUMENT PROGRAMOWY FRANCISZKA.

To w tej adhortacji padają kluczowe dla pontyfikatu frazy: „wyjść na peryferie”, „preferencyjna opcja na rzecz ubogich”, „rewolucja czułości”, „konfesjonał nie powinien być salą tortur, ale miej-

scem miłosierdzia Pana”, „duszpasterstwo w kluczu misyjnym”. Papież pisze o swoim Kościele marzeń, w którym wszystko podporządkowane jest ewangelizacji. Może się wydawać, że to „nic nowego”, niemniej Franciszek podkreśla, że „defensywna obrona struktury i autorytetu instytucji, spokojnego i wygodnego życia to przejawy nieco rozpaczliwej ucieczki przed

brakiem sensu i egzystencjalną pustką”. Przyjęcie miłości wyprowadzającej z egocentryzmu – mówi Franciszek – może być wymagające, lecz daje głębsze i trwalsze szczęście. Według papieża, największymi dziś problemami są właśnie egocentryzm, brak miłości i zerwanie relacji – a czułość i głoszenie Ewangelii mają być lekarstwem na te choroby. © P B S

wykładu wiary, były podejmowane, ale zawsze wyhamowywały. Magisterium w Kościele to wszyscy biskupi z papieżem: koniec, kropka. Nie może być tak, że Magisterium określa grupa biskupów tylko dlatego, że pochodzą z jednego miejsca.

Ale papież mówi o procesie, który się nie dokonał.

Być może trzeba tu coś dopowiedzieć. Ale tego się nie robi metodą sapera – bo wtedy ktoś wdepnie na minę i potem w szpitalu połowym będziemy mu przyzywali nogę.

Jest pewna mina, na której parę osób już wyleciało w powietrze. Nazywa się „Amoris laetitia”.

Na przykład kto?

Niektórzy mówią, że sam Franciszek.

Skoro papież wypowiedział się w sposób otwierający dyskusję, to najprostszą metodą dochodzenia do prawdy jest zadanie mu pytania. Np. episkopat argentyński wypracował własne stanowisko, a następnie spytał papieża, czy się w nim odnajduje, niczego mu nie sugerując.

Nie udawajmy, że w Kościele nie ma wielu duchownych i świeckich, którzy czują się zaniepokojeni zmianą stylu nauczania papieskiego.

To jest pytanie o to, co nowe u Franciszka. Czego ludzie się boją?

Tego, że papież nie daje tabelki z rubrykami „złe/dobre” i zostawia pola dla sumienia.

Nie musi dawać żadnej tabelki, bo w nauczaniu moralnym Kościoła nic się nie zmieniło. Zmiana dotyczy nie treści, tylko odniesienia do człowieka, do którego jest ona kierowana. Franciszek nie mówi: powiedz grzesznikowi, że nie popełnił grzechu. Tylko: nie musisz mu dawać ostatecznej odpowiedzi od razu. Niektórzy biskupi i księża oczekują porady, co zrobić, kiedy przyjdzie człowiek i przedstawi swój stan: rozgrzeszyć czy nie? A skoro papież nie daje precyzyjnych wskazówek, to jego nauczanie jest do niczego. Tymczasem Franciszek mówi: umów się z nim na za tydzień. Wybierz się z nim w drogę, którą papież nazywa towarzyszeniem. Podczas niej dokonuje się rozeznanie. Kłopot w tym, że w Polsce nie jesteśmy przyzwyczajeni do takiego duszpasterstwa, wolimy jednorazowe: spotykam-osądzam-

-odsyłam. Ten w Kościele, ten nie, ten do komunii, ten ekskomunikowany. Tylko że to nie jest Ewangelia.

Dlaczego to odkrywamy w trzecim tysiącleciu wiary?

Odkrywamy to na nowo. W pismach Alfonsa Liguoriego jest wiele nauczania pokrewnego Franciszkowi. U Cypriana z Kartaginy znajdziemy pojęcie medycyny zbawczej.

Kiedy duszpasterz zaczyna komuś towarzyszyć, wychodzi od jakiegoś założenia?

Tylko od tego, że musi słuchać i rozumieć.

I rozsądnie dawkować nauczanie moralne?

On jest z tym człowiekiem po to, żeby mu głosić Ewangelię, która jest nauczaniem moralnym, ale nie w pierwszej chwili. Najpierw pokazuje się człowiekowi Jezusa, Zbawiciela. Bez tego moralność wisi w próżni.

Sprzeciw wobec nauczania papieża wynika z tego, że rozeznanie może doprowadzić do sytuacji, że np. ludzie żyjący w drugich związkach zostaną dopuszczeni do komunii.

Papież mówi, że jeśli przyjdzie do księdza człowiek żyjący w sytuacji nieregularnej, to pierwszy etap rozeznawania polega na wejściu w świat jego wiary, a nie na ocenie moralnej jego sytuacji. Niech padną pytania: kim jest dla ciebie Jezus, jaka jest twoja modlitwa, czy odnajdujesz się w Kościele, dlaczego zależy ci na dostępie do sakramentu? Biskupi argentyńscy piszą o czymś, czego u nas się nie dostrzega. Że na drodze towarzyszenia takiej parze może dojść do decyzji o życiu we wstrzeźliwości seksualnej, co umożliwi dopuszczenie ich do komunii. Ale jeśli takie

rozwiązanie nie wchodzi w grę – rozeznanie na tym się nie kończy. Tu nic nie jest mechaniczne.

Niemniej czuć w Kościele tęsknotę za precyzyjnym Benedyktem XVI.

To wszystko kalki... Nie znam równie pięknych tekstów o miłości jak te, które napisał Benedykt. Debata o „AL” wyrządza wielką krzywdę papieżowi, bo obraca się wokół jednego przypisu – owszem, ważnego. Ale żeby przepiąć dziewięć rozdziałów? O tym, jak powinna wyglądać droga do sakramentu małżeństwa, jak rozwiązywać kryzysy w związku, jak czytać Pawłowy hymn o miłości? Franciszek tłumaczy, że synod o rodzinie to ciąg dalszy synodu o przekazie wiary. To ważne założenie. W Łodzi zrobiliśmy ankietę wśród młodych. Ponad 90 proc. zgłasza, że największą wartością w ich życiu jest rodzina. Ale jak zapytać, jaki wpływ ma wiara na ich doświadczenie rodziny, to okazuje się, że znikomy. Katolicy na pytanie, po co jest sakrament małżeństwa, odpowiadają, że daje busołą moralną. Ta odpowiedź to nasza klęska! Bo oni nie interpretują sakramentu małżeństwa jako doświadczenia obecności Chrystusa i Jego łaski w swoim życiu, tylko od razu widzą katalog nakazów i zakazów moralnych. A gdzie rzeczywiste doświadczenie wiary? I co, mam rozmowę z nimi zaczynać od antykoncepcji?

„EG” się kłania: „Niekiedy wierni słuchając języka ściśle ortodoksyjnego, wynoszą coś całkowicie obcego autentycznej Ewangelii”.

Franciszkowi nie chodzi o zmienianie Ewangelii, tylko o to, jak ją głosić. Czy będziemy w stanie przyjąć ją od razu w całości? Grzegorz Wielki napisał, że na górę nie da się wbiec w podskokach. Misja wymaga inkulturacji, czasu, posłuchania, zobaczenia, co w kulturze tych, do których przychodzimy, jest wartością, która

Z zalem informujemy o śmierci

ś.†P.

Ewy Nocuń

Gosiu, przyjmij od nas wyrazy głębokiego współczucia.
Pamiętamy o Tobie w modlitwie.

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

→ sprzyja przepowiadaniu. Franciszek mówi, że żyjemy w czasach permanentnej misji. A nam się wydaje, że żyjemy w świecie jednorodnie chrześcijańskim, którym Kościołowi pozostaje administrować.

Czy wobec tego nie jest potrzebna radykalna reforma formowania księży?

To akurat Benedykt XVI zmienił myślenie o formacji seminarnej: przestała być czymś odrębnym, a wszystkie seminaria podporządkowano Kongregacji ds. Duchowieństwa. Papież tłumaczył, że istnieje tylko jedna formacja kapłańska, której stadium początkowe odbywa się w seminarium. Pytajmy więc nie o to, do czego formować kleryków, tylko do czego formować księży przez całe życie. Formacja musi mieć charakter biblijny – ksiądz i w modlitwie, i w ewangelizacji ma najpierw sięgać po Tę, a nie inną księgę. Formacja musi kłaść nacisk na doświadczenie Boga – żeby ksiądz otwierał na nie ludzi. Nacisk na intelektualny wymiar nie wystarcza. Potrzebujemy też przygotować księży do pracy w małych wspólnotach, gdzie doświadczenie spotkania jest realne. Muszą mieć zdolność odkrywania darów duchowych w świeckich braciach i siostrach, by posyłać ich i angażować w Kościół.

Może więc quasi-monastyczny model seminarium już nie jest na nasze czasy? Gdyby chociaż wymieszać kleryków ze studentami świeckimi?

Ulubione pytanie „Tygodnika”... Może. To kwestia ustawienia proporcji między studiami a praktyką duszpasterską. Ale to nieprawda, że kleryk spędza sześć, siedem lat pod kloszem.

Mówimy o rozeznawaniu, a kleryk uczy się moralności małżeńskiej z książki ks. Kokoszki, który wyjaśnia np., że „od początków zaczynają się poważne upadki moralne”.

Kleryk uczy się rozeznawania dzięki doświadczeniu towarzyszenia mu na drodze do święceń. A nie z książki.

Jak księży reagują na Franciszka?

W rozmowach z biskupem nie powiedzą nic krytycznego. Ale przed chwilą miałem spotkanie z księżmi, z którymi przygotowuję „24h dla Pana”, inicjatywę Franciszka. Trwa łódzki synod na temat młodości, rodziny i parafii: poprosiłem, żeby w każdym z ponad 300 zespołów synodalnych przeczytano „*Lumen fidei*”,

Jesteśmy w Kościele przyzwyczajeni

do pracy z grupą – im większą, tym lepiej. Myślimy kategorią: Kościół w Europie, w Polsce. A powinniśmy myśleć kategorią: Łukasz z Łodzi, Michał z Myślenic.

„*Amoris laetitia*” i „*Evangelii gaudium*” punkt po punkcie, z refleksją, jak to nauczanie stosować w lokalnym Kościele. Zespołami kierują księża – oni też będą to czytać.

Czy przez te pięć lat coś się w Kościele polskim udrożniło?

Wciąż żywa jest pamięć o Janie Pawle II, więc łatwo dajemy sobie wmówić, że Franciszek jest jego przeciwieństwem. Wtedy mobilizujemy się w obronie dziedzictwa papieża Polaka. Chciałbym, żeby wszyscy, którzy mówią o tym wyimaginowanym konflikcie, przeczytali teksty obu papieży.

Czterej kardynałowie od „dubiów” znają te pisma. I pytają: „Czy po »*Amoris laetitia*« wciąż należy uważać za ważne nauczanie św. Jana Pawła II z encykliki »*Veritatis splendor*«, oparte na Piśmie i Tradycji Kościoła, które wyklucza kreatywną interpretację roli sumienia?”.

Myślę, że papież w rozmowie z kardynałami pokazałby, że „AL” jest ciągłością w stosunku do nauczania Jana Pawła II.

Tylko że Franciszek się z nimi nie spotkał.

Z jakichś powodów tak postanowił.

Wkrótce ma się zebrać synod dla Amazonii, który podejmie m.in. zagadnienie święcenia *virī probati*. Czy w jednej części świata Kościół będzie inny niż w drugiej?

Są już wyświęceni żonaci księża, którzy przeszli z Kościoła anglikańskiego. Duch Święty wiele zrobił przez ostatnie wieki, żebyśmy pogłęбили rozumienie celibatu. Co nie zmienia faktu, że jeśli gdzieś na świecie wierni nie mają dostępu do Eucharystii, a brakuje tam powołań do kapłań-

stwa przeżywanego w celibacie, to myśli się o święceniu *virī probati*. Rozeznanie stanu Kościoła i świata musi być lokalne.

Paweł VI napisał w „*Evangelii nuntiandi*”, że ewangelizacja to spotkanie osoby z osobą. I chyba tu jest drugie dno wszystkich wątpliwości, które podnosisz. Jesteśmy w Kościele przyzwyczajeni do pracy z grupą – im większą, tym lepiej. Myślimy kategorią: Kościół w Europie, w Polsce. A powinniśmy myśleć kategorią: Łukasz z Łodzi, Michał z Myślenic. To kluczowe, do kogo idziemy z Ewangelią i jakie mamy środki. Jeśli w Polsce spytać o diakonat stały, to w większości diecezji padnie odpowiedź, że nie jest potrzebny. Ale w Łodzi, która ma największą liczbę wiernych przypadających na jednego księdza, odpowiedź nie jest już taka prosta. A to tylko praktyczny wymiar tej kwestii, nie teologiczny. To samo dotyczy kandydatów do seminarium powyżej 35. roku życia: niektórzy biskupi patrzą na nich z aprobatą, inni nie. Może Pan Bóg też rozeznaje i posyła nam ludzi, których do jakichś celów uposaża. Żebyśmy otwarli oczy.

I na tej zasadzie posłał Franciszka?

Mamy wyjątkowe szczęście do papieży – od czasów Leona XIII. Każdy był inny, potrzebny dla swojego czasu. Bóg miał absolutną rację posyłając nam Franciszka i taką samą, kiedy posyłał Benedykta. Franciszek kanonizował Jana Pawła II i Jana XXIII, daj Boże, kanonizuje w tym roku Pawła VI. Ten akt to decyzja nieomylna. Mówisz, że Franciszek stoi w opozycji wobec poprzedników, a on ogłasza ich świętymi.

Benedykt XVI w adhortacjach posynodalnych pisze o konferencjach episkopatów, zwraca się do nich, ale nigdy ich nie cytuję. A Franciszek w „EG” przywołuje episkopaty Indii, Ameryki Łacińskiej, USA, Francji, Brazylii, Filipin, Konga... To nie zmiana podejścia?

Litości... Franciszek po prostu przytoczył wota poszczególnych episkopatów zgłoszone na synod.

Rola papieża to siedzieć na synodzie i słuchać. Benedykt na synod o Słowie Bożym zaprosił braci protestantów i kilku rabinów. Ważniejsze od cytowania jest samo wydarzenie synodu. Mamy dziś większy dostęp do owocu prac synodalnych, ale to niekoniecznie zależy od otwartości papieża. Część objętych tajem-

nicą wypowiedzi synodalnych Franciszek opublikował dlatego, że anglojęzyczni biskupi puścili je własnymi kanałami do mediów. To coż miał zrobić?

W „*Evangelii gaudium*” papież uznał, że niektóre zwyczaje Kościoła „nie są bezpośrednio związane z sercem Ewangelii (...), a dziś ich przestanie zwykle nie jest właściwie odbierane”. Istnieją też „normy lub przykazania kościelne, które mogły być bardzo skuteczne w innych epokach, ale które nie mają już tej samej siły wychowawczej”. O czym mowa?

Jeśli chodzi o przykazania kościelne, to nie trzeba szukać daleko: w Polsce pięć przykazań ma dziś inną formę niż ta, której obaj uczyliśmy się przed pierwszą komunią. Bo zmienił się kontekst. Pewne zwyczaje powstają, ponieważ rozeznanie wskazuje na to, że posłużą przepływowi łaski Bożej. Tylko że w innym czasie mogą ten przepływ blokować. Nie dotyczy to tego, co najistotniejsze: nie dojdzie do odzucenia żadnego z sakramentów.

Papież w końcu zmienia nauczanie czy nie?

Zmienia odniesienie. Kościół nie potrzebuje reformy nauki czy prawa, tylko zmiany odniesienia.

Do czego?

Kościół do człowieka.

Alte to nauczanie Jana Pawła II...

O zgrozo... Odkryliśmy ciągłość między papieżami.

Franciszek wzywa do „nawrócenia pastoralnego”. Ksiądz Arcybiskup już się nawrócił?

To hasło Franciszek przywiózł z synodu biskupów Ameryki Łacińskiej w Aparecidzie (2007), do którego dokumentów, nawiasem mówiąc, wstęp napisał ów antysynodalny rzekomo Benedykt. Nawrócenie pastoralne opisano tam jako zmianę, która ma objąć wspólnoty chrześcijańskie. Pytaj więc raczej nie o nawrócenie moje, tylko Kościoła w Łodzi. Chodzi o to, żeby wspólnoty porzuciły działania, które służą wyłącznie konserwacji i administracji, a podjęły permanentną misję. Kościół ma wyjść poza siebie. Nawrócenie Kościoła w Polsce nie dokona się dziś ani jutro, ale świadomość tego, czym jest nowa ewangelizacja, narasta.

Po Franciszku nie wróci już nastawienie,

że Kościół istnieje dla siebie, przekonanie, że Panu Bogu służy się najlepiej wtedy, kiedy służy się samemu sobie. To zamknięty rozdział, *in saecula saeculorum*.

Franciszek chce, żeby biskup siedział z ludem, bo „owczarnia ma swój węch, aby rozpoznać nowe drogi”.

To nic nowego: *sensus fidei*. Mamy w Polsce ogromne ożywienie wśród świeżych i coraz większe obszary życia zawierane ich odpowiedzialności.

Co będzie trwałe z dziedzictwa Franciszka?

Po Franciszku nie wróci już nastawienie, że Kościół istnieje dla siebie, przekonanie, że Panu Bogu służy się najlepiej wtedy, kiedy służy się samemu sobie. To zamknięty rozdział, *in saecula saeculorum*.

Nawet jeśli następnym papieżem zostanie konserwatywny kurialista?

Tak, bo to nie jest wymysł Franciszka, tylko Pana Jezusa. Nowa ewangelizacja wynika z 10. rozdziału Mateusza: „Nie idźcie do pogan (...), idźcie raczej do owiec, które poginęły z domu Izraela”. Czyli ten kurialista najpierw usłyszysz od Jezusa, że ma pójść do swoich ochrzczonych braci, którzy przestali chodzić do

kościół. A kiedy tę Jego wolę spełni, to czeka go 28. rozdział: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody”. To nie nauczanie Franciszka, Benedykta ani Jana Pawła, tylko Jezusa Chrystusa. I po to Kościół istnieje.

Dobra puenta.

Nie, bo nie spytałeś o Światowe Dni Młodzieży. To wydarzenie dla Kościoła w Polsce bezcenne. Myślę dużo o tym, co Franciszek powiedział do biskupów podczas spotkania na Wawelu. Zastanawiał się nad przełożeniem „EG” na realia naszego Kościoła, ciągle mocnego parafią. Jeden z biskupów spytał wtedy, czy dziś ważne są parafie czy raczej ruchy kościelne. Franciszek odpowiedział, że parafie – ale takie, które nie są biurem, tylko dają doświadczenie wspólnoty.

Wkrótce po sakrze był Ksiądz Arcybiskup na wizycie *ad limina apostolorum*. Jak ona wyglądała?

Papież spotykał się z małymi grupami biskupów i mówił: siadajmy i rozmawiajmy, o czym chcemy.

O coś Ksiądz Arcybiskup spytał?

O synod w Aparecidzie. Franciszek wspominał obrady w dolnym kościele sanktuarium maryjnego: piętro wyżej ludzie przychodzili na mszę wiedząc, że pod nimi biskupi debatują o przyszłości Kościoła. Synod był oparty na prostej metodzie: widzieć, osądzać, działać. Franciszek zastrzegł: najpierw zbadaj swój wzrok. Czy np. na człowieka niewierzącego patrzysz tak jak Jezus? Korekta potrzebna jest najpierw temu, kto patrzy.

©© Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

Amoris laetitia

ADHORTACJA TA jest owocem synodów poświęconych rodzinie. Papież chciał osiągnąć dwa cele: dowartościować małżeństwo, rodzinę i wielko-duszną, wierną miłość małżeńską oraz ukazać pełen miłosierdzia i bliskości stosunek Kościoła wobec osób w sytuacjach, „gdzie życie rodzinne nie

jest realizowane w sposób doskonały”.

Dokument proponuje podejście duszpasterskie. Dotychczasowy nacisk na kwestie doktrynalne i moralne, zdaniem Franciszka, sprawiał, że małżeństwo jawiło się bardziej jako ciężar niż droga rozwoju. Stąd w dokumencie obok delikatnego przypomnienia prawd doktrynalnych znajdują się praktyczne porady

(np.: „warto zawsze rano pocałować się nawzajem, błogosławić jedno drugie wieczorem, czekać na drugą osobę i powitać ją, gdy wraca, czasami wyjść razem, dzielić się pracami domowymi”). Opór w Kościele wzbudziła sugestia umożliwienia w indywidualnych przypadkach dostępu do komunii dla osób żyjących w związkach nieregularnych.

©© ASK

Sierpowy od Ducha

EDWARD AUGUSTYN Z WATYKANU

Przeciwników ma wielu, ale żeby w Watykanie? Kurja to jego codzienne otoczenie. Ale czy najbliższe?

ZAMYKA OSTROŻNIE WIELKIE, METALOWE drzwi w lewym obejściu Bazyliki św. Piotra.

– To nie będzie materiał na laurkę – mówi, gdy wychodzimy prosto na plac przed Domem św. Marty.

Trudno, papieżowi Franciszkowi poświęciliśmy bardzo wiele miejsca przez te pięć lat pontyfikatu, ujęci nowym stylem jego nauczania. Skoro teraz jest okazja, by wejść do „gniazda aniołów i jaskini żmij” – jak nazwała papieski dwór św. Katarzyna ze Sieny – warto zaryzykować. Dwór – po łacinie *curia*.

O tym, że rzymska kurja nie lubi papieża Franciszka, słyszy się i czyta od dawna. O tym, że wybrano go, aby ją zreformować, mówi się od pierwszego dnia pontyfikatu, a nawet jeden dzień dłużej. 12 marca 2013 r. abp Claudio Celli, prefekt Papieskiej Rady ds. Środków Społecznego Przekazu, komentując rozpoczynające się konklawe, właśnie te dwa słowa – reforma kurii – odmieniał przez wszystkie przypadki.

Rozmówców jest pięciu, wszyscy czcigodni, wszyscy z Watykanu. Są różnej narodowości, pracują w różnych dykasteriach. Jedni są tu od kilku, inni od kilkadziesiąt lat – po szczebelkach kariery zdążyli wspiąć się dość wysoko. Ależ tak, opowiedzą chętnie... o ile nie padną żadne nazwiska.

Będą głosem opinii krytycznej – w ich przekonaniu: dominującej. Gian Franco Svidercoschi, znany dziennikarz i pisarz, były wicedyrektor „L'Osservatore Romano”, przygotowując kolejną książkę o papieżu również poruszył ten temat, korzystając z własnych, zaufanych źródeł. Przesłał „Tygodnikowi” maszynopis, dla porównania zebranych informacji.

A więc: jaki jest papież w oczach kurii?

Zwykły piar

– Spontaniczny, ale i nieprzewidywalny – mówi pierwszy rozmówca. – Podejmuje

nieprzewidziane decyzje, których potem jest zakładnikiem. A my, chcąc nie chcąc, razem z nim.

Jedną z pierwszych zaskakujących decyzji była zmiana mieszkania. Tuż po wyborze Franciszek oznajmił, że nie przeniesie się do pałacu apostolskiego, ale pozostanie w Domu św. Marty, „żeby być bliżej ludzi”. Stoimy właśnie przed tym budynkiem, pięciopiętrowym gmachem, wybudowanym za Jana Pawła II, służącym za hotel dla kardynałów i papieskich gości.

– Ta decyzja mocno skomplikowała nam życie. Widzisz sam: parking, główna droga prowadząca do Watykanu, którą codziennie przejeżdża wiele osób, udających się do gubernatoratu czy choćby do sklepów. Za każdym razem, gdy papież wychodzi z domu albo do niego wraca, zandarmeria blokuje ruch na ulicy, czasem na kilkadziesiąt minut. Szwajcarzy sprawdzają wszystkich wchodzących do domu, służby są stale obecne także w środku. Dla wielu kardynałów to dość kłopotliwe. Niektórzy postanowili już, że się wyprowadzą. A stare papieskie apartamenty były naprawdę skromne. Tyle że jemu chodziło o gest: opuszcza pałac i mieszka w zwykłym domu. Ale i tak nie jest bliżej ludzi, bo... taki ma charakter. Za Jana Pawła w pałacu apostolskim ludzie byli od rana do wieczora, drzwi się nie zamykały. Franciszek jest sam.

Opowieść następnego dnia kontynuuje inna osoba:

– Rozgłoszono w mediach, że papież je z wszystkimi i każdy może się do niego dostać. Ale krótko to trwało. Różni karierowicze i lizusy, a przecież takich tu nie brakuje, próbowali wszelkimi sposobami dostać się do papieskiego stołu. A kiedy raz ktoś całkiem przypadkowy przysiadł się i zaczął zwracać papieżowi głowę (Franciszek myślał, że przyprowadził go któryś ze współpracowników, ci z kolei uznali, że zaprosił go papież), skończyło się bratanie. Ustawiono oddzielny stół w kącie sali, od-

dzielono palmami w donicach, i tam siedzi, najczęściej sam, tyłem do ludzi. Nawet jedzenie dostaje inne niż wszyscy.

Twierdzą, że gesty, za które najbardziej cenimy papieża, to zwykły piar. Że tak naprawdę jest zamknięty, niedostępny. Dopiero gdy pojawiają się ludzie i gdy zabłyśną flesze, momentalnie się rozpromienia.

Trudno zdobyć się na współczucie wobec mieszkańców Domu św. Marty z powodu „uciążliwego sąsiedztwa”. Gest opuszczenia pałacu, choćby skromnego, i zamieszkania w „zwykłym domu” ma dla ludzi ogromne znaczenie, i został zapamiętany jako spójny z Franciszkową wizją Kościoła. Zapewne niejednemu skomplikuje to życie. Nie dziwi też, że osoba publiczna, jak papież, dobrze potrafi „wejść w rolę”, ba, można sobie nawet wyobrazić, że on naprawdę bardziej lubi zwykłych ludzi i dziennikarzy niż swoich współpracowników z kurii.

Jan Paweł II był przecież dla nich „dobrze przygotowanym aktorem”. Benedyktowi zarzucano, że zamyka się na trzecim piętrze pałacu apostolskiego i godzinami gra na fortepianie.

„Przyszedł bowiem Jan: nie jadł ani nie pił, a oni mówią: »Zły duch go opętał«. Przyszedł Syn Człowieczy: je i pije, a oni mówią: »Oto żarłok i pijak, przyjaciel celników i grzeszników«”.

Wróćmy do reformy kurii i zaczniemy jeszcze raz od początku.

Każdy z każdym

Franciszek został wybrany głosami kurii. Reprezentowało ją 37 kardynałów spośród 115 obecnych na konklawe. Jeśli jest prawdą, że kard. Bergoglio dostał ponad 90 głosów (niektórzy mówią, że nawet 100), to znaczy, że duża część kurialistów poparła jego kandydaturę.

Jak ustaliliśmy, kardynałowie wchodząc na konklawe wiedzieli, że reforma jest nieunikniona. Wybrali więc człowieka spoza kurii, „z końca świata”, co jednym wydawało się rozwiązaniem skutecznym, innym – bardzo bezpiecznym. Poprzedni papież, który znał to środowisko jak mało kto, bo zdążył przepracować w nim 24 lata, nie dał rady. Nie chodziło tylko o biurokrację i niewydolność. Głównie szło o pieniądze.

W 2012 r. rząd USA wpisał Watykan na czarną listę krajów „zagrożonych przestępstwami finansowymi”. Powszechna wiedza, że za Spizową Bramą działa luksusowa pralnia brudnych pieniędzy, zna-



VINCENZO PINTO / AFP / EAST NEWS

Podczas generalnej audiencji w auli Pawła VI, Watykan, grudzień 2016 r.

laźla potwierdzenie w faktach. W czerwcu 2013 r. włoska policja zatrzymała pralata Nunzia Scarano, głównego księgowego Administracji Dóbr Stolicy Apostolskiej (APSA), zwanego „księdzem 500 euro”, ze względu na nominal, jaki uznawał za jedyny wart trzymania w portfelu. Zza krótkie obciążał zeznaniami dyrektorów watykańskiego Instytutu Dziel Religijnych (IOR), którzy szybko podali się do dymisji.

– Mija pięć lat i z szumnie zapowiadanej reformy nic nie zostało – mówią nasi rozmówcy. – Niczego nie potrafi doprowadzić do końca. Stawia na złych ludzi. Zawsze jest tak samo: piękny początek, a potem jeszcze piękniejsza katastrofa.

Miesiąc po wyborze papież Franciszek powołał radę kardynałów, którzy będą mu pomagać w reformie. Było ich ośmiu, z różnych stron świata, zaledwie dwóch z Europy, jeden z Watykanu. Po roku dołączył do nich sekretarz stanu i nowe gremium nazwano „radą dziewięciu” (C9).

Z impetem zabrano się za reformę obu instytucji finansowych, których kompetencje były niejasne i się dublowały. Ustalono, że APSA będzie pełnić rolę banku centralnego, a IOR zajmie się wspomaganiem religijnej i charytatywnej działalno-

ści Kościoła. Opublikowano (po raz pierwszy w historii) roczny bilans IOR i zapowiedziano jego zewnętrzny audyt (wciąż do tego nie doszło). Zlecono przegląd 18 tys. kont i zlikwidowanie wszystkich niezwiązanych z misją Kościoła. Powołano siedem (*sic!*) instytucji kontrolnych, w tym te najważniejsze: złożoną ze świeckich fachowców komisję COSEA, sekretariat ekonomiczny pod dyktando kard. George’a Pella, radę ekonomiczną kierowaną przez kard. Reinharda Marksa oraz urząd rewizora generalnego do sprawdzania ksiąg finansowych.

– Jedni zaczęli kontrolować drugich, a to oznacza walkę każdego z każdym. Nawet w żandarmerii watykańskiej stworzono specjalną komórkę do śledzenia przestępstw finansowych. Ma prawo zakładać podsłuchy. Pojawiły się donosy, intrygi, przecieki. Wszyscy chcieli reform, ale najlepiej, żeby przeprowadzono je na innych. A już najgorzej, jak nastąpisz na odcisk komuś ważnemu.

I wkrótce powołane do kontroli organy same zostały sparaliżowane aferami. W 2015 r. dwoje członków COSEA, księdz Vallo Balde i Franceskę Chaouqui, oskarżono o wynoszenie tajnych informa-

cji (tzw. VatiLeaks 2) i ukarano kilkunastomiesięcznymi wyrokami. W czerwcu 2017 r. do niespodziewanej dymisji podał się rewizor generalny Libero Milone, który – jak mówi kuria – wpadł na trop dużego finansowego skandalu, ale komuś bardzo zależało, by śledztwa nie skończył. Jego dymisja miała być ucieczką przed aresztowaniem, o które wystąpił Sekretariat Stanu. Jakby tego było mało, szef sekretariatu ekonomicznego, kard. George Pell, członek C9, został oskarżony przez australijską prokuraturę o molestowanie seksualne nieletnich i zatajanie pedofilii. Papież wyraził zgodę na jego udział w procesie i wielki – dosłownie i w przenośni – kardynał zniknął na dobre z Watykanu.

Oczekiwanie, że Franciszkowi uda się w ciągu pięciu lat dokonać tego, czego Benedykt nie zdołał zrobić przez osiem, a Jan Paweł II przez dwadzieścia sześć, jest naiwnością. W kwestiach finansów opór kurialnej materii jest ogromny, i to na wielu poziomach. Svidercoschi na dowód przytacza wydarzenie drobne i anegdotyczne, ale wymowne. Od stycznia tego roku na terenie Watykanu miał obowiązywać zakaz sprzedaży wyrobów tytoniowych, które – ze względu na brak akcyzy – były →

→ tańsze niż w Rzymie, w związku z czym cieszyły się dużym zainteresowaniem. Odpowiedni przepis, umotywowany „względami zdrowotnymi”, przybrał jednak formę tylko zakazu handlu papierosami. W watykańskich magazynach zalega bowiem zbyt dużo niesprzedanych cygar.

Magiczny krąg

Rada C9 zbiera się raz na trzy miesiące. A kurią trzeba rządzić na co dzień. Do końca nie wiadomo, kto papieżowi w tym pomaga.

– Najbliższy jest mu abp Victor Fernández z Argentyny, który dużo czasu spędza w Watykanie – twierdzi jeden z kurialistów. – Obaj mają z kurią stare porachunki, bo w 2004 r. Kongregacja ds. Edukacji Katolickiej zablokowała nominację Fernándeza na stanowisko rektora Papieskiego Katolickiego Uniwersytetu w Buenos Aires.

Kardynał Bergoglio przez pięć lat walczył o cofnięcie sprzeciwu. Wygrał, ale zadra w sercu została.

Na pewno Franciszek korzysta z pomocy abp. Fernándeza, pisząc najważniejsze dokumenty. W adhortacji „*Amoris laetitia*” znaleźć można sporo fragmentów przeniesionych z dwóch wcześniejszych artykułów rektora. Kard. Gerhard Müller, poprzedni prefekt Kongregacji Nauki Wiary, często krytykował wypowiedzi abp. Fernándeza, jedną z nich – że Stolica Apostolska jest związana z osobą papieża, a nie z miejscem – uznał wręcz za heretycką. Publicznie podważał jego teologiczne kompetencje. Gdy więc skończyła się pięcioletnia kadencja Müllera, papież nie przedłużył mu mandatu.

„Niektórzy donoszą mi, anonimowo, że jest ksiądz moim wrogiem” – powiedział.

Niestroniący nigdy od dziennikarzy Müller nie ukrywał swego rozgoryczenia: „Po czterdziestu latach wiernej służby Kościołowi usłyszeć coś takiego”...

Opowiedział też, że już wcześniej papież wyrzucił, bez jego zgody i wiedzy, trzech księży pracujących w kongregacji. Jednego z nich, holenderskiego teologa Christophe’a Kruijena, miał zwolnić w oparciu o... podsłuchaną prywatną rozmowę telefoniczną.

„Mam wrażenie, że »magiczny krąg« wokół papieża zajmuje się tylko szpiegowaniem domniemanych adwersarzy, co wyklucza jakąkolwiek otwartą i wyważoną dyskusję” – dodał kard. Müller na koniec.

Choć akurat tego, że Franciszek nie przedłuży Müllerowi mandatu na ko-

lejne pięć lat, można się było spodziewać. Konflikt z abp. Fernándezem nie był jedynym powodem. Prefekt Kongregacji Nauki Wiary, mianowany jeszcze za Benedykta XVI, uchodził za przedstawiciela konserwatystów w kurii. Nie ukrywał, że wiele różni go z papieżem. Wprost nigdy mu się nie sprzeciwił, ale często korzystał ze swej funkcji naczelnego teologa, by „systematyzować” papieskie wypowiedzi.

Był jednym z sygnatariuszy listu, który wytykał łamanie regulaminu w czasie synodu biskupów w 2015 r. Zaopiniował krytycznie adhortację „*Amoris laetitia*”, tyle że jego uwagi nie zostały uwzględnione i nie otrzymał na nie żadnej odpowiedzi.

I spacyfikował Komisję ds. Obrony Nieletnich, sztandarowy projekt Franciszkowego pontyfikatu.

Zero tolerancji

Benedyktowe hasło „zero tolerancji dla pedofilii” Franciszek przyjął jak własne. Wspólnie z radą kardynałów postanowił, że do skutecznej walki z tuszowaniem przestępstw seksualnych kleru należy zaangażować ludzi, którzy z tym problemem już się spotkali: prawników, psychologów, działaczy społecznych, osoby pokrzywdzone przez księży. W marcu 2014 r. powstała Komisja ds. Obrony Nieletnich, a na jej czele stanął członek C9, kard. Sean O'Malley, arcybiskup Bostonu, który sprawnie poradził sobie z wyjaśnieniem afer pedofilskich w swojej diecezji, był też specjalnym wysłannikiem Benedykta w tej sprawie do Irlandii.

Ale oskarżenia księży o najcięższe przestępstwa od zawsze trafiały do Kongregacji Nauki Wiary, spadkobierczyni Świętego Oficjum (jeszcze wcześniej – Świętej Inkwizycji). I kongregacja nie miała się zmiaru z nikim swoją władzą dzielić.

Komisja postulowała stworzenie sądu dla biskupów tuszujących pedofilię. Papież projekt zatwierdził, media go ogłosiły (w czerwcu 2015 r.). Do dziś nie doczekał się realizacji. Wytyczne i programy szkoleniowe, które komisja chciała przesłać do konferencji episkopatów, seminariów duchownych diecezjalnych i zakonnych, też były blokowane.

Troje członków komisji złożyło dymisję, w tym Marie Collins z Irlandii i Peter Saunders z Wielkiej Brytanii – ofiary przestępstw księży. Zwłaszcza dymisja Collins była wizerunkowym ciosem. Irlandka jest najbardziej znaną działaczką społeczną na tym polu, osobą bezkompromisową, za-

interesowaną działaniem, a nie honorowym udziałem. O sabotowanie prac komisji oskarżyła kongregację kierowaną przez kard. Müllera. Do papieża – jak mówi – wciąż jeszcze ma zaufanie i wierzy, że uda mu się skutecznie skruszyć watykański opór.

Kuria nie jest tego taka pewna.

– Opcja „zero tolerancji” była dobra na początku, gdy problem dotyczył obcych. Kiedy się okazało, że w pedofilię mogą być zamieszane osoby bliskie papieżowi, Franciszek zmienił ton – mówi jeden z naszych rozmówców.

Podczas ostatniej pielgrzymki do Chile papież stanął w obronie abp. Juana Barrosa, oskarżanego o niezgłoszenie przestępstw swojego byłego przełożonego, Fernanda Karadimy, skazanego przez Watykan w 2011 r. za molestowanie nieletnich. Stwierdził, że jak dotąd nie są mu znane żadne poważne dowody winy arcybiskupa. Zareagował na to kard. O'Malley oraz Marie Collins, przypominając, że przed dwoma laty sami informowali Franciszka o tej sprawie.

Papież uznał swój błąd, przeprosił ofiary eks-księdza. Wysłał do Chile specjalnego wysłannika, który ma zbadać zarzuty wobec biskupa Barrosa.

– To chyba jedyny przypadek, gdy Franciszek przyznaje, że coś źle zrobił. Zwykle się nie cofa. Jest uparty i pewny swoich racji. A błędów popełnia wiele – mówią w kurii.

Svidercoschi zmianę tonu widzi szerzej. Zauważa, że Franciszek z upływem lat stał się bardziej ostrożny w słowach. Zawsze mówił szczerze i otwarcie, często „z głowy”, odchodząc od przygotowanego wcześniej tekstu. Sam przyznał, że zdarza mu się „coś palnąć”, zwłaszcza w czasie podróży samolotem. Teraz stara się – przynajmniej w sprawach budzących największe emocje – bardziej zważać na konsekwencje. Tak jest w przypadku oskarżeń o pedofilię czy w kwestii politycznych rozwiązań problemu uchodźców, gdy uznał prawo państw do rozsądnej, biorącej pod uwagę realia, polityki migracyjnej.

I reszta świata

Rzymska kuria nie lubi papieża Franciszka, ale i z wzajemnością. Choć nie było tak od początku.

W przemówieniu wygłoszonym pod koniec pierwszego roku pontyfikatu znaleźć można wiele ciepłych słów i podziękowań za lata poświęceń i cichej, kom-

petentnej pracy. „W kurii zawsze byli i wciąż są ludzie święci” – mówił Franciszek w grudniu 2013 r. Potem było jednak gorzej. Sporządził katalog chorób kurii (pycha, próżność, „duchowy alzheimer”, „egzystencjalna schizofrenia”), ganił za lizusostwo, plotki, karierowiczostwo, materializm (2014). Następnie było o oporze wobec reformy, jawnym i ukrytym, o sercach zatwardziałych i zalęknionych, o przewrotnych umysłach i wilkach w owczej skórze (2016). I wreszcie o kurii skoncentrowanej na sobie, skazanej na samozniszczenie, o spiskach, siłwie i raku na zdrowej tkance (2017). A wszystko to przy okazji bożonarodzeniowych życzeń.

Ludzie z kurii mają mu to za złe i można ich zrozumieć. Nie wszyscy są skorumpowani, nie wszyscy knują i spiskują. Wielu chce po prostu dobrze wykonywać swoją pracę, jak dotąd. Zmiany burzą poczucie bezpieczeństwa, zwłaszcza te, które wydają się być prowadzone bez planu i niekonsekwentnie.

– To człowiek pełen sprzeczności, ciężko go rozgryźć – słychać wielokrotnie. – Jednocześnie rządzi i jest w opozycji; to chce wydawać rozkazy, to znów zachowuje się jak anarchista; jezuita i franciszkanin. Czym jeszcze to może się skończyć?

Drugi głos: – Ma inną mentalność, południowoamerykańską. Nie rozumie kurii, Rzymu, Europy. Mówi, że reforma to nie wymiana osób, ale ich przemiana. Trudno

będzie zmienić mentalność wszystkich. Już prędzej nas powyrzuca. Ale chyba nie zdąży.

Na razie zdążył powołać 49 kardynałów z czynnym prawem wyborczym. To prawie 40 proc. składu kolegium. Zajęli miejsca tych, którzy przeszli na emeryturę (po przekroczeniu 80. roku życia) lub zmarli; był też jeden przypadek (kard. Keith O'Brien ze Szkocji) dobrowolnej rezygnacji. Ogłaszając nominacje, papież odchodzi od kryterium demograficznego na rzecz geograficznego – państwa o znikomej liczbie katolików (np. Birma) mają takie samo przedstawicielstwo w kolegium kardynalskim jak kraje w większości katolickie (Austria czy Irlandia). Niektóre, jak Słowacja czy Słowenia, nie mają go w ogóle.

Wśród nowo powołanych kardynałów jest tylko czterech członków watykańskich kongregacji, niewielu jest Europejczyków (16). Pojawiają się za to przedstawiciele obu Ameryk, a także Syrii, Laosu, Birmy, Bangladeszu, Wietnamu, Tajlandii, Korei, Filipin, Papui-Nowej Gwinei, Mauritiusa, Mali, Tonga, Etiopii, Burkina Faso, Republiki Środkowej Afryki, Republiki Zielonego Przylądka... To oni wybiorą jego następcę.

– Kuria to instytucja zbudowana na prawie rzymskim, mocno zakorzeniona w historii i kulturze Europy – podkreśla jeden z kurialistów. – Tego nie da się tak po prostu zastąpić nośnymi sloganami:

„Kościół na peryferiach”, „Kościół w drodze”, „Kościół – szpital polowy”. Za tym nie ma żadnej eklezjologii. Jesteśmy Kościołem rzymskokatolickim, kropka. Nie zapominajmy.

Gian Franco Svidercoschi przytacza statystyki, z których wynika, że za dwanaście lat 70 proc. chrześcijan będzie mieszkało na półkuli południowej. A my, w Europie, znajdziemy się na peryferiach Kościoła. Franciszek chce nas do tego przygotować. Nie tylko zmieniając skład elektorów, ale przede wszystkim decentralizując swój urząd, przekazując władzę lokalnym Kościołom. Jednak jak na razie ani Rzym, ani diecezje nie są na to w pełni gotowe. Dla kurii to problem wieloletnich nawyków, prestiżu i ambicji. Dla lokalnych biskupów – przyjęcie odpowiedzialności, do której wcale się nie palą.

Kard. Angelo Scola – wielki przegrany ostatniego konklawe – powiedział niedawno, że papież Franciszek to „cios w sam żołądek od Ducha Świętego – skuteczny sposób, by obudzić nas z letargu”. Wielu, niestety, wciąż jeszcze jest nim oszołomionych. Niektórzy mogą się nawet nie podnieść.

©© EDWARD AUGUSTYN

Korzystałem, za zgodą autora, z książki Giana Franco Svidercoschiego „Papież, który dzieli?”. Książka ma się ukazać we Włoszech w najbliższym miesiącu.

Kuria rzymska i jej reforma

KORZENIE KURII SIĘGAJĄ STAROŻYTNOSTCI.

Z czasem zadania grupy duchowieństwa otaczającego papieża zformalizowały się; powstała kancelaria, z której wydzielano kolejne urzędy, utworzono kolegium kardynalskie i papieskie trybunały. Kluczową rolę dla organizacji kurii miały reformy Sykstusa V (druga poł. XVI w.). Dzisiejsza struktura kurii wynika przede wszystkim z ustaleń Vaticanum II.

Na szczycie kurii znajduje się Sekretariat Stanu: jego szef (obecnie kard. Pietro Parolin)

jest rodzajem watykańskiego „premiera” i zarządza Sekcją Spraw Ogólnych, wspierając działania administracyjne papieża (m.in. przygotowanie ostatecznych form dokumentów), oraz Sekcją ds. Relacji z Państwami, zajmującą się kwestiami dyplomacji i nominacjami biskupimi. Niższy stopień w hierarchii kurialnej tworzą kongregacje, które zajmują się sprawami Kościoła jako hierarchicznej struktury. Najważniejsza z nich, wywodząca się ze średniowiecznej inkwizycji, to Kongregacja Nauki Wiary, wydająca najistotniejsze dla Magisterium Kościoła dokumenty dotyczące doktryny i moralności, dbająca

o czystość doktrynalną dociekając teologicznych, badająca objawienia. Od czasów Jana Pawła II KNW dostaje do oceny wszelkie dokumenty wpływające z innych urzędów. Franciszek przestrzegać tego zwyczaju, a rolę KNW opisuje jako pomocniczą wobec biskupów.

Z kolei papieskie rady zajmują się problemami życia Kościoła w świecie. Do najważniejszych należą: Papieska Rada ds. Popierania Jedności Chrześcijan, koordynująca dialog ekumeniczny, Papieska Rada ds. Kultury czy Papieska Rada ds. Krzewienia Nowej Ewangelizacji. Franciszek zlikwidował kilka rad, łącząc ich kompetencje w dwóch superurzędach: Dyka-

sterii ds. Świeckich, Rodziny i Życia oraz Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka. Niewykluczone, że takich fuzji będzie więcej. Zwolennicy reformy kurii wskazują, że jej kompetencje nieproporcjonalnie rozrosły się podczas choroby Jana Pawła II. Franciszek reformuje kurię z pomocą powołanej przez siebie rady dziewięciu kardynałów. Założenia reformy to odbiurokratyzowanie kongregacji i sprawniejsza między nimi współpraca, uszczelnienie systemu finansów. Kuria według papieża ma realizować nową wizję zarządzania Kościołem: stać się narzędziem ewangelizacji i wspierania Kościołów lokalnych. ©© MAM

SZYMON

Hołownia: *Ewangelia, tu i teraz!*



GDY BENEDYKT XVI OGŁOSIŁ REZYGNACJĘ, byłem na południowej mszy w krakowskiej bazylice dominikanów. Wibrujący w kieszeni telefon zaczął tak wariować, że – przyznając bez bicia – zerknąłem. Zobaczywszy, co się dzieje, w trakcie pokornego uwielbienia podszedłem do dwóch znajomych celebriansów, ojców Kozy i Kozackiego, i szokowany powiedział im: „Panowie, papież zrezygnował”. Oni zaś odpowiedzieli mi spojrzeniem pełnym miłosierdzia i współczucia, przeznaczonym dla osób przeżywających trudności z głową. Pamiętam też doskonale tamten wieczór, gdy w studiu TVN24 – nie rozumiejąc jeszcze, jaką rewolucję Duch Święty szykuje Kościołowi – wymądrzaliśmy się z równie błyskotliwymi jak ja kolegami, czy kolejnym papieżem zostanie któryś z obstawianych na giełdzie najwyżej: kardynał Scola lub Scherer. A gdy na balkon wyszedł Jorge Bergoglio, rozdzieliliśmy się i rzuciliśmy się do smartfonów, żeby dowiedzieć się cokolwiek o tym, którego nikt się tam nie spodziewał. Kto, jeszcze te dziesięć lat temu, mógł przewidzieć, że ktoś z mojego pokolenia będzie mógł oglądać trzech tak wybitnych papieży: Wielkiego Przywódcę, którego podziwiałem; Wielkiego Intelektualistę, którego nie przestaję czytać; i Proboszcza Świata, którego po prostu, instynktownie, ma się ochotę naśladować?

Gdy idzie o mnie, Franciszek zmienił wszystko. Wcześniej miałem wrażenie, że mój Kościół to często wspólnota melancholijnie rozpamiętująca swoją chlubną przeszłość i tęskniąca za eschatologiczną przyszłością. Franciszek jakby wypuścił go z Wieczernika. Pokazał mi na przykładach, że Jezus nie jest sztabowym strategiem, lecz frontowym praktykiem; że rozpisywanie się o mającym nadejść zderzeniu cywilizacji to kompletna strata czasu, jeśli tej cywilizacji nie zbuduje się w prawdziwych relacjach – aplikując Ewangelię tu i teraz.

Franciszek skutecznie obnażył wszystkie słabości stetryczalej centrali Kościoła instytucjonalnego, która funkcjonowała sobie spokojnie od dokumentu do dokumentu, od obchodów do obchodów. Apostołowie zamienieni w urzędników pomstowali widząc, jak papież „rozmienia się” dzwoniąc do ludzi, o których tragedii wyczytał w gazetach, osobiście angażuje się w rozwiązywanie problemów niektórych piszących do niego księży, udziela ślubu w samolocie, zaprasza na wywiady takich dziennikarzy, z którymi rozmowy sam jest ciekaw. Urząd w takich sytuacjach cierpi, ale on musi się przesunąć, by to miejsce znów mógł zająć Kościół. Jak mawia młodzież, „co się zobaczyło, tego się nie odzobaczy”. Jasne, że jeden człowiek nie naprawi wszystkich spraw świata. Ale może dać przykład. To tak można? Opo-

wieć o tym, że pasterz zostawia tłum owiec, by szukać jednej, to nie piękne „baju-baj”, lecz instrukcja? Podobnie: nakaz pójścia na koniec świata? Nakaz dawania pierwszeństwa człowiekowi przed szabatem?

Intuicjami, które dał mi Franciszek, mógłbym zapełnić ze trzy tomy. Ewangelia to nie szwedzki stół, z którego mogę wybrać sobie np. nierozzerwalność małżeństwa, ale odrzucić nakaz darowania długów i przyjęcia obcych, bo „Jezus nie lubi na wpół przebytych dróg, drzwi otwartych tylko do połowy, podwójnego życia”. Jezus to nie fundamentalista – łamie ewidentnie przepisy starotestamentalnego prawa (choćby dotyczące rytualnej nieczystości), by ratować człowieka. Już nie tylko oszczędność, ale obmowa (wyciąganie komuś brudów z przeszłości, za które dawno już przeprosił i odpokutował) jest jednym z korzeni rozpadu wspólnoty. Uwaga na pokusę zamiany samotności przed Bogiem w zrzędcze duchowe starokawalerstwo czy staropanieństwo. Przypomnienie roli czułości, dotyku, wspólnoty stołu (i kielicha) w przeżywaniu chrześcijaństwa. Odejście od konceptu chrześcijańskiego podboju świata z zewnątrz na rzecz przemiany go od wewnątrz, która zaczyna się czasem od prośby, „by ci, którzy nie mogą się modlić, wysłali mi chociaż dobre myśli”.

Papież ujmuje mnie tym, że wie, iż nie jest ideałem. Jorge Bergoglio to człowiek ze stuprocentowym latynoskim temperamentem. Miłośnik tanga i arcymistrz refleksu, gdy idzie o sytuacyjne zarty, wulkan ciepła i serdeczności – ale to też przecież choleryk, który potrafi zbesztać tak, że człowiek nie wie, jak się po tym pozbić. Który naprawdę, nie kokieterystycznie, przeżywa swoją grzeszność; który wie, że potrzebuje naszej modlitwy, wybaczenia, błogosławieństwa.

Franciszek to i proboszcz, i prorok. Widać to w każdej encyklice czy homilii z Domu św. Marty, na każdej audyencji. W ostatnim, przeciekawym wywiadzie rzece („Otwieranie drzwi”) pada myśl, że świat przeżywa dziś moment ofiarowania Jezusa w świątyni; że ratunek przyjdzie, gdy dzieci odważnie zaczną wcielać w życie prorockie sny, marzenia tych, którzy powoli zbliżają się już do progu Domu: widzieli już wszystko, znają cenę czekania. Czy mojemu pokoleniu, przemądrzałem i pochłoniętemu bez reszty „czynieniem sobie Ziemi poddaną”, wystarczy dziecięcej odwagi, wizjonerstwa i energii, by z – powiedzmy to sobie wprost – ciecia Ewangelii zmienić się wreszcie w jej apostoła?

A że jakaś część katolików kontestuje papieża? Powtórzę to, co napisałem kiedyś o ks. Bonieckim: nie znam nikogo, kto z powodu Franciszka odszedł od Kościoła, znam tysiące takich, którzy dzięki niemu znów zaczęli o nim myśleć jako o miejscu dla siebie. Parę tygodni temu, wracając z wykładu, zatrzymałem się na stacji benzynowej. Młody człowiek wypisujący mi fakturę zbierał się i zbierał, aż w końcu zagaił: „Od bierzmowania nie chodziłem do kościoła. Teraz, gdy zobaczyłem ojca Franciszka, coś we mnie pękło, znowu się modłę, znowu chodzę. Nie wiem dlaczego, po prostu chcę chodzić tam, skoro on tam chodzi”. Podaliśmy sobie ręce, zapewniliśmy o modlitwie. Kościół na stacji benzynowej w Kielcach – to jest Kościół, który pozwolił mi od- ©



Przed audiencją w auli Pawła VI, Watykan, 2015 r.

Rekolekcjonista

PAWEŁ MILCAREK, REDAKTOR NACZELNY „CHRISTIANITAS”:

Mamy do czynienia z papieżem, który chce inspirować, ale nie rozstrzyga. Albo chce „rozstrzygać” na drodze faktów dokonanych. Dla mnie to nie jest w porządku.

PIOTR SIKORA: Czy da się krótko określić doktrynalne, teologiczne owoce tego pontyfikatu?

PAWEŁ MILCAREK: Początek dawał dużo nadziei. Obecnie u Benedykta XVI głębokie

teologiczne rozpoznanie prymatu Boga i skarbu religii prawdziwej, w dodatku mocno związane z odkrywaniem „ortodoksji” liturgii, mogło uzyskać dzięki Franciszkowi dopełnienie w postaci chrześci-

jańskiego rozumienia sprawiedliwości społecznej, przeżywania jej także jako konsekwencji wiary. I Franciszek to przyniósł, postawił każdego z nas przed tą kwestią. Jestem mu za to wdzięczny, zdałem sobie sprawę, że ta kwestia nie jest zamknięta w teologii wyzwolenia, w jej radykalizująco-politycznym wydaniu. I że za mało myślimy o tym, że wychodząc z Eucharystii, w której powinniśmy być cali dla Boga, mamy swój „eksplodujący” obowiązek wobec bliźnich: nie tylko głoszenia prawdy i dawania przykładu, ale po prostu wrażliwości na konkretną ludzką biedę.

I to jest według mnie najlepszy wątek pontyfikatu, podkreślony w encyklice „*Laudato si*” nutą swoistego antymodernizmu: wymaganiem, by Kościół →

→ i chrześcijanie nie wtapiali się we wszystkie formy nowoczesnego społeczeństwa kapitalistyczno-liberalnego.

Dlatego przez pierwsze miesiące odbiór Franciszka w środowisku „Christianitas” był pozytywny i pełen nadziei, mimo świadomości, jak różny jest Franciszek od poprzednika. Uważaliśmy, że zaistniała niepowtarzalna szansa, by doszło do połączenia rzeczy, które się nieco rozchodzą. Jak powiedział pewien biskup afrykański: trzeba być integristą w wierze i progresistą w miłości. Niestety kolejne miesiące i lata nie potwierdziły nadziei na tę szczerą syntezę.

Jednak w „Laudato si” Franciszek łączy wątki wrażliwości społecznej i liturgicznej. Wrażliwość na stworzenie wiąże ściśle z wrażliwością na najślabszych, a postawę kontemplacyjną wobec stworzenia – z wrażliwością i duchowością sakramentalną.

Na poziomie „*Laudato si*”, a jeszcze bardziej „*Lumen fidei*” – encykliki, której tekst Franciszek przejął od Benedykta, uzupełnił i podpisał własnym imieniem – ma pan rację. Ale w kolejnych miesiącach pontyfikatu mieliśmy coraz więcej oznak tego, że papież dobrze się czuje ze swoim orędziem społecznym, a niewiele rozumie z odwagi Benedykta w sprawach doktryny i liturgii.

Wielokrotnie sygnalizował (np. w wywiadach), że nie rozumie, o co chodziło w udostępnieniu Kościołowi liturgii tradycyjnej – dla niego jest to tylko ustępstwo na rzecz wrażliwości tradycjonalistów, bez wartości dla całej wspólnoty. Cały ten rosnący prąd odkrywania starej liturgii łacińskiej jest mu na tyle obcy, że jedynie go znosi, lecz nie stara się zrozumieć. To tylko jeden z przykładów tego, że Franciszek może powtarzać gesty szacunku dla Benedykta, ale nie włączył odkryć jego pontyfikatu do swojej misji. I nawet gdy ma blisko siebie kogoś, kto mógłby mu w tym pomóc – jak kardynał Robert Sarah – to raczej traktuje takich ludzi jako „chłopców do bicia” niż jako współpracowników uzupełniających jego słabsze odcinki. Zresztą papież chyba nie ma ochoty w ogóle komunikować się z pewną bardziej tradycyjnie nastawioną częścią Kościoła – skoro wciąż sugeruje, że to ci ludzie zostali przezeń obsadzeni w roli „faryzeuszów” czy „pelagian”.

Franciszek nie słucha
uważnie swych krytyków,
raczej określa ich negatywnie,
jako np. „faryzeuszów”,
i odcina się od nich tak,
żeby nie musieć słuchać dalej.

Jak Pan i Pańskie środowisko odbieracie mocne gesty papieża dokonywane właśnie w przestrzeni liturgii – jak umycie nóg muzułmanom w Wielki Czwartek, które tumażył pewien zwyczaj, lecz nie było zrobione przypadkowo, tylko z wyraźną intencją symboliczną?

Pragnienie, żeby coś „mocno powiedzieć”, to za mało, żeby manipulować znakami liturgii, która powinna być wolna od gestów władczej kreatywności (co świetnie rozumie Benedykt). Język też nie zmienia się dlatego, że nagle ktoś zmieni znaczenie słów. Chodzi też o sposób. Papież ma najwyższą władzę i może z niej korzystać także w odniesieniu do liturgii. Ale istnieje pewna elegancja używania władzy, która polega na tym, że się tak postępuje, jakby samemu się było pod prawem, dopóki ono obowiązuje. Jeśli chodzi o obmywanie nóg, „*mandatum*”, pozostaje też kwestia teologiczna: czy bardziej podstawowy jest jego związek z sakramentami (Jezus obmywał nogi tylko swoim uczniom), czy sam sens moralny, lekcja uniżenia i służby (na który papież kładzie nacisk, oddzielając od pierwszego). To jednak pozostaje w obszarze dyskusji.

Dla mnie drugim kluczowym elementem charakterystyki tego pontyfikatu jest to, że dochodzi w nim do skrajności ultramontańskie spojrzenie na papieństwo – czyli absolutyzowanie osoby papieża, jego woli. Przyzwyczailiśmy się kojarzyć ultramontanizm z agendą antyliberalną (jak było np. za bł. Piusa IX). Ale ultramontanizm przetrwał bez tej antyliberalnej postawy, przechodząc po części na pozycje liberalne czy populistyczne. Dzisiaj pozostała z tego jakby karykatura: papolatria i traktowanie władzy papieskiej jako praktycznie niczym nieograniczonej.

Na pewno nie jest odwrotnie? Przecież Franciszek częściej tytułuje się

biskupem Rzymu niż papieżem, mówi o decentralizacji, w kilku dokumentach pisze, że nie wszystko musi być rozstrzygane przez Magisterium – w domyśle: rzymskie?

Moim zdaniem jedynym papieżem, który w ostatnich dwustu latach miał wyrażną świadomość tego problemu, był Benedykt XVI.

Ale jego powściągliwość została zinterpretowana jako słabość, brak „woli politycznej” w przepychaniu swych idei i budowaniu popularnego wizerunku. Jednak jeszcze jako współpracownik św. Jana Pawła II kładł on nacisk na to, że papieństwo musi zrezygnować z posługiwania się pozorami władzy absolutnej, tak jakby papież „mógł wszystko”. Co do papieża Franciszka, słusznie podkreśla on prawdę teologiczną, że papież jest biskupem Rzymu. Ale równocześnie wykorzystuje z całą mocą schematy władzy superbiskupa, a przy tym doskonale wczuwa się w to, jak powinien się zachowywać jako superstar naszych czasów.

Ultramontanizm był reakcją na absolutyzm państw i próbą zabezpieczenia wolności Kościoła, ale następnie wewnątrz Kościoła ożywił głód absolutnej władzy papieża, na kształt centralnej władzy nowoczesnego państwa. Tyle że do połowy XX w. ta rosnąca moc papieża była harmonizowana, potem jeszcze równoważona przez mocne poczucie Tradycji: uznawano, że papież pewnych rzeczy nie może, nawet gdyby chciał – bo nie ma do tego upoważnienia w Piśmie i Tradycji. Dzisiaj siła władzy papieskiej nie jest równoważona przez to ograniczenie. Mówi się: papież może wszystko, zwłaszcza jeśli coś nie jest wyraźnie zakazane w Objawieniu; a nawet jeśli jest – przecież żyjemy w innych czasach... Od pięknego pobożnościowego zwrotu o papieżu jako „słodkim Jezusie na ziemi” przechodzimy zbyt łatwo do praktycznego traktowania papieża tak, jakby miał być lub był Zmartwychwstałym Panem sprzed wniebowstąpienia – lub dopiero uwalniał nas od Starego Prawa.

A nie jest to jednak kwestia tego, jak ludzie odbierają papieża zgodnie ze swoją potrzebą posiadania takiej postaci, a nie tego, co sam papież robi? Czy nie jest to dziedzictwo poprzednich czasów?

Oczywiście, że współczesny ultramontanizm jest dziedzictwem wszystkich

papieży XX w. Już w latach 40. Gustave Thibon załił się na „dziecinna papolatrię”. Ludzie powinni kształtować swoją drogę w odniesieniu do pewnych ram, zasad, a nie zawierzać całkowicie jednemu człowiekowi, który staje się idolem. Benedykt XVI wygasł te oczekiwania i zrobiło się trochę nieprzyjemnie. Sądzę, że nie przeszliśmy pozytywnie tej próby. Po przyjsciu Franciszka nastąpiło wzmocnienie marzeń, żeby papież był popularny, a Kościół przez to pozytywnie odbierany. Tak jakby katolicy oceniali swojego papieża przez poklask w świecie. A więc nie przez pryzmat głoszenia Ewangelii, ale przez pryzmat oczekiwania świata, że papież – który „wszystko może” – unieważni, zmieni pewne fragmenty przesłania Ewangelii.

Świat, media mają oczekiwanie, że Kościół może się zmienić wedle tej samej logiki co państwa – przychodzi nowy panujący i wprowadza nowe zasady. Ma pan rację, że wiele z tych rzeczy wynika z istniejących mechanizmów naszego traktowania papieża. Franciszek musiałby mieć tego świadomość i chcieć wprowadzić nas w pewien „post” w tej sprawie. Ale on raczej podkreśla to mocniej, nie robi ograniczeń.

Czy nie robił tego w sposobie, w jaki prowadził synod o rodzinie? W trakcie synodu pozwalał wypowiadać kardynałom i biskupom różne, nawet sprzeczne stanowiska, a sam nie za-

biał oceniającego głosu, choć wielu się tego domagało. A w pierwszej adhortacji, w najbardziej kontrowersyjnym punkcie, wycofał się z rozstrzygnięcia. Trwa spór: czy pozwolił, czy nie pozwolił udzielać komunii rozwodnikom w nowych związkach. A on podkreśla: nie będę zastępował waszego sumienia. Reakcja wielu jest taka: niech on powie, jak ma być...

Kiedy krytykuję absolutyzm papieża „wszystkomogącego”, nie chodzi o to, żeby papież przestał nauczać, nie rozstrzygał, wycofał się do pozycji biskupa diecezji rzymskiej, ewentualnie rozjemcy pomiędzy rozmaitymi stronami w Kościele. Dogmat o nieomylności i o prymacie papieskim nie jest ultramontański, mimo że ultramontanie go pragnęli i propagowali. Ale papież, jak mówi Sobór Watykański I w definicji misji papieskiej, nie ma głosić nowych nauk, dodawanych do Objawienia, a wypływających z jego własnego przeświadczenia lub szkoły teologicznej, która jest dla niego ważna. Jeśli coś takiego robi lub wytwarza wrażenie, że można się tego po nim spodziewać, nadużywa swej misji.

Tymczasem Franciszek z jednej strony jakby wzdraga się przed wyraźnymi rozstrzygnięciami – ale przecież równocześnie bardzo dużo mówi, wprowadza w obieg wiele materiału, który może być traktowany jako nauczanie Magisterium. Mamy dziś zamęt co do tego, jaki jest sto-

pień autorytetu różnych wypowiedzi papieża – i na ile są one zawsze autentyczną interpretacją Objawienia.

Uważam, że o wiele zdrowsza jest sytuacja, w której papież nie wypowiada się często, nie określa wciąż nowych opcji duszpasterskich, lecz w momencie, w którym w Kościele narasta spór, wkacza z rozstrzygnięciem. To jest charyzmat Piotrowy.

Tymczasem Franciszek raczej inicjuje dyskusję, a prosząc o rozstrzygnięcie zostawia domysły. Wzorcowy przykład tego uniku mamy w przypadku spornego fragmentu z „*Amoris laetitia*”: jest to skrajnie niejasne nauczanie, przy pomocy systemu przypisów i aluzji. A potem odmowa poważnego rozstrzygnięcia, lecz i sugestia – poprzez wskazanie na dyspozycje biskupów argentyńskich – co jest papieżowi bliższe.

Papież dysponuje najwyższym magisterium, lecz wie, że powinno się ono opierać na solidnym gruncie.

Być może w tym przypadku nie może, a jednak chce przeprowadzić swoją zmianę – więc zamiast uczciwej odpowiedzi na „*dubia*” kardynałów mamy właśnie grę w drukowanie prywatnego papieskiego listu do biskupów argentyńskich w oficjalnym zbiorze dokumentów i traktowania go jako normy zmieniającej wszystko.

Nie dziwię się, że niektórzy solidni teolodzy – jak np. niedawno o. Jarosław Kupczak – uznają to za „dziwne posunięcie” i przestrzegają przed takim sposobem „rozwijania” Magisterium. To przecież skrajny pozytywizm w rozumieniu norm nauczania kościelnego.

A może Franciszek jest spójny w swojej paradoksalnie bardzo tradycyjnej wizji papieżstwa: papież jest biskupem Rzymu i cała reszta papieżstwa stąd się bierze? Podstawowe zaś zadanie biskupa to głosić i wyjaśniać Ewangelię.

Do urzędu biskupa Rzymu wchodzi to, że niektóre jego akty nie są duszpasterstwem w odniesieniu do jego wiernych w diecezji, lecz rozstrzygnięciami dla całego Kościoła, utwierdzaniem go w wierze. Lepiej więc, jeśli biskup Rzymu wyraźniej odróżnia swe duszpasterstwo partykularne od misji powszechnej. W każdej z dziedzin misji pasterskiej – w nauczaniu, uświęcaniu i rządzeniu – charyzmat Piotrowy czyni tego biskupa wyjątkowym. Za ➔

Laudato si

PIERWSZA napisana samodzielnie przez Franciszka encyklika (nad „*Lumen fidei*”, mimo że podpisana przez Franciszka, pracę rozpoczął jeszcze Benedykt XVI), uznana przez krytyków raczej za esej o bieżących sprawach świata niż watykański dokument, przez kilka miesięcy nie schodziła z listy bestsellerów włoskich dzienników „*Corriere della Sera*” i „*La Repubblica*”. Ekologia po raz pierwszy stała się samodzielnym tematem naj-

ważniejszego papieskiego dokumentu. Napisana przystępnym językiem, zajmująca się tematami globalnego ocieplenia i wpływu działalności człowieka na środowisko, wywołała chyba większe wrażenie w środowiskach niekojarzonych bezpośrednio z Kościołem katolickim. Franciszek nie tylko trafnie diagnozuje w niej problemy zmian klimatycznych, ale także przedstawia konkretne pomysły na powstrzymanie dewastującego sposobu życia. Z jednej strony krytykuje rządy, koncerny i inne po-

tęgi przemysłowe za uleganie stylowi życia „użyj i wyrzuć”. Z drugiej przekonuje, że wybory pojedynczych ludzi (korzystanie z transportu zbiorowego oraz odnawialnych źródeł energii, ubieranie się cieplej zamiast podkręcania temperatury czy zadrukowywanie obu stron kartki) – będzie nie tylko „ekologicznym nawróceniem”, ale również realnie przyczyni się do poprawy jakości środowiska. „Żyj uważnie!” – tak można podsumować przesłanie Franciszka w „*Laudato si*”.

© P BS

→ niepokojące uważam nie to, że papież jest również duszpasterzem, który np. głosi codzienne homilie i w ogóle ma zwyczajny kontakt z ludźmi – to bardzo dobrze – ale pewne pomieszanie porządków. Np. jego homilie to nauczanie skierowane do tej grupy, która go słucha.

Nie wszystko, co papież robi jako duszpasterz, ma wymiar papieski, tj. nie wszystko odnosi się do całego Kościoła. Jesteśmy bardzo blisko takiego podejścia. Przestrzegaj przed nim kard. Gerhard Müller, jeszcze niedawno prefekt Kongregacji Nauki Wiary. Przestrzegaj – i nie jest już współpracownikiem papieża, został zwolniony w trybie gwałtownym. Trzeba powiedzieć, że Franciszek nie jest papieżem, który uważnie słucha swych krytyków, raczej określa ich negatywnie, jako np. faryzeuszów i – jak niedawno sam wyznał – odcina się od nich tak, żeby nie musieć słuchać dalej.

Franciszek umie używać swej mocy, ale nie wiem, czy rozumie znaczenie prostych instytucji. Gdy go wybierano, towarzyszyły temu nadzieje na reformę kurii i oczyszczenie z nadużyć. Wydaje mi się, że papież ich jak dotąd nie spełnił. Nawet w tak ważnej kwestii, jak sprawa pedofilii w Kościele – rozczarowanie zaniechaniem na tym polu jest mocne także w samej komisji papieskiej.

Chcę to powiedzieć jasno: nie mam oczekiwań, by papież stał się prorokiem, który codziennie programuje moją wiarę. Przyzwyczajenie Kościoła do tego, że żyje osobowościami aktualnie rządzącymi papieży, jest bardzo złą pedagogiką. Zamiast większej koncentracji na źródłach, co było zresztą ideą odnowy soborowej, mamy koncentrację na ostatnich słowach papieża, już nawet nie z gazet, ale z Twittera. Natomiast ma pan rację, że papież czasami mówi coś przeciwnego. Np. kiedyś wygłosił piękną homilię o tym, że w centrum Kościoła jest nie papież, tylko Chrystus. Ale

Panuje zamęt:

na ile wypowiedzi papieża są zawsze autentyczną interpretacją Objawienia?

Pamiętajmy,
że nie wszystko, co robi
papież jako duszpasterz,
ma wymiar papieski.

w tym, co robi, nie zawsze się tego trzyma. W tym sensie, że np. „*Amoris laetitia*” ma w większości formę, jak to określił teolog domu papieskiego, o. Wojciech Giertych, „duszpasterskich pogaduszek”.

Być może mamy tu do czynienia po prostu z różnicą paradygmatu: europejska teologia systematyczna wobec rozwijanej w Ameryce Łacińskiej teologii narracyjnej.

To znaleźliśmy się po złej stronie Atlantyku. Bo ta teologia jest niezrozumiała dla znacznej części Kościoła.

Niektórzy wskazują, że teologia narracyjna jest bliższa w swej formie nauczaniu samego Jezusa. Poza tym, jeśli rolę papieża jest utwierdzać nie Kościoła w wierze, to problem może brać się z różnych wizji wiary. Można akcentować trwanie w wierze, w sensie wierności temu, co otrzymane. Można widzieć wiarę jako ruch, wyjście w nieznanne (jak Abraham), podkreślać, że nie tyle posiada się całą prawdę, co w nią wchodzi – ale ona jest zawsze większa. Tak to chyba widzi Franciszek.

Wzywaniu do ruchu to bardziej charyzmat św. Pawła. Papież jest jednak następcą świętego Piotra. Piotr jest zawsze trochę ostrożniejszy. Ale za to w momencie konfuzji innych wie, co powiedzieć, żeby zabrzmiała Prawda. I to nie dlatego, że sam jest taki mądry. Kościół nie żyje papieżami, ale korzysta z charyzmatu Piotrowego rozpoznania Prawdy. Jest przez niego rządzony, w tym sensie, że w potrzebie on interweniuje. Co zaś do kwestii rozoznania: myślę, że papież wszystko, co pisze i mówi, traktuje jako element rozważa-

nia rekolekcyjnego, ćwiczeń duchowych. I jest w tym bardzo dobry. Jest papieżem rekolekcjonistą. Czasami jednak czyni to za pomocą licznych metafor, które są dopiero materiałem fabularnym dającym się ukształtować w różne tezy. To wciąż dobre w rekolekcjach, ale niedobre w wyrażaniu nauczania powszechnego. Co prawda czasami mówi, że to czy tamto musi pozostać w pouczeniu szczegółowym, nie da się wyrazić jako uniwersalna zasada – ale robi to tak, że zdaje się odbierać znaczenie każdej zasady wyrażanej ogólnie. Zaciera się granica pomiędzy szczegółami a tym, co uniwersalne. Na końcu tego procesu jest przyzwyczajenie wiernych do specyficznego fideizmu: o tym, w co wierzy Kościół, dowiemy się z następnego przemówienia papieskiego. A potem z następnego itd.

Mamy do czynienia z papieżem, który chce inspirować, ale nie rozstrzyga. Albo chce „rozstrzygać” na drodze faktów dokonanych. Dla mnie to nie jest w porządku. Aw kwestii teologii narracyjnej: były w XX w. próby dehellenizacji chrześcijaństwa, wiązały się z krytyką wizji Boga jako zrozumiałego Logosu, który jest podstawą porządku i prawa. W zamian proponowano wizję Boga nieprzewidywalnego w swej wszechmocy. Jest coś z tego u Franciszka, gdy mówi o tym nieprzewidywanym. Tego akurat w jego przekazie nie cenię. Owszem, Bóg pozostaje też Tajemnicą, a Jego łaska zawsze jest „nowością” dla „starego człowieka”. Ale Bóg chce, byśmy teraz służyli Mu rozumiejąc Jego wolę.

Wycucie niepoznawalności Boga nie jest czymś nowatorskim, jest kluczowe dla wielu Ojców Kościoła, zwłaszcza wschodnich. Z naszej rozmowy widać, że pontyfikat Franciszka stawia przed nami fundamentalne pytania: o poznanie Boga, o naturę ewangelicznego prawa, o to, kim jest i powinien być papież...

Niewątpliwie wywołuje mnóstwo różnych pytań.

©© Rozmawiał PIOTR SIKORA



EDWARD AUGUSTYN, autor reportażu

z Watykanu, będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie”

Radia TOK FM w czwartek 8 marca o godz. 15.40

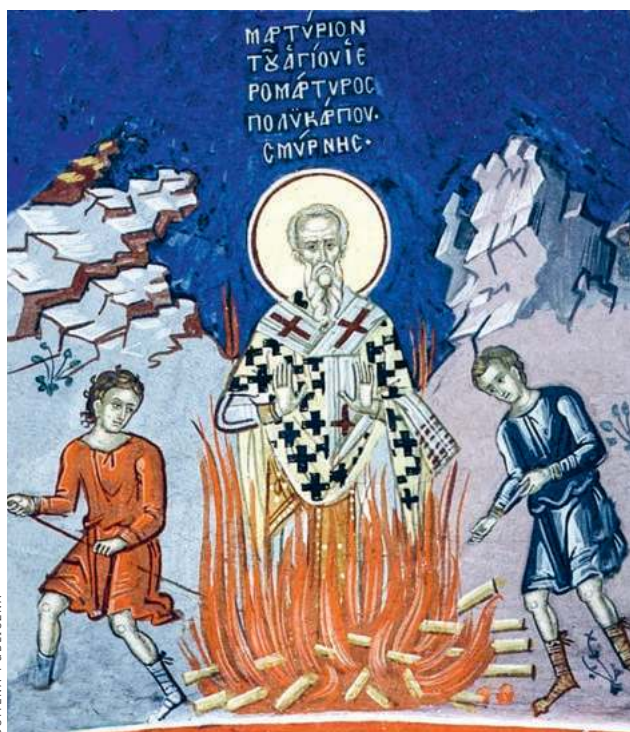
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław

96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź

97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

– www.tokfm.pl

PAWEŁ MILCAREK (ur. 1966) jest filozofem, historykiem i publicystą. Redaktor naczelny kwartalnika „Christianitas”. Publikuje teksty na temat łacińskiej tradycji liturgicznej, duchowości monastycznej i sporów o interpretację Soboru Watykańskiego II. Mieszka w Brwinowie k. Warszawy, z żoną i sześciorgiem dzieci.



Św. Polikarp ze Smyrny, ikona z II wieku.

Zobaczyć to, co istotne

SZYMON HIŻYCKI OSB

Czy mnisi i święci z początków Kościoła mogą nas czegoś nauczyć? Przyjrzyjmy się im w Wielkim Poście – dzisiaj towarzyszymy ostatnim chwilom św. Polikarpa.

*Musimy być dość pobożni na to, by uznawać, że wszystko jest w ręku Boga.
„Męczeństwo św. Polikarpa, biskupa Smyrny”*

ABY NAUCZYĆ SIĘ CZEGOŚ NOWEGO, NIEKONIECZNIE TRZEBA PATrzeć na jasno błyszczące gwiazdy. Czasem studium detalu, posłuchanie skromnego świadka, przyswojenie sobie tego, co zazwyczaj nam umyka, może stać się przełomem – prawdziwym nawróceniem, przemianą myślenia, serca, życia i na końcu postępowania.

Gdzieś w połowie II w. (trudno ustalić dokładną datę, gdyż nasze źródła są w tej materii sprzeczne) w Smyrnie został stracony św. Polikarp, który przewodził Kościołowi w tym mieście przez kilkadziesiąt lat. Jednak nie tylko przez swoje męczeń-

stwo i długoletnią pracę mąż ów godzien jest uwagi. Wiemy, że był uczniem św. Jana Apostoła, że odwiedził Rzym, aby tam rozmawiać o dacie Wielkanocy (bez większych rezultatów zresztą – Rzym dalej świętował w pierwszą niedzielę po pierwszej wiosennej pełni księżyca, Azja Mniejsza 14 dnia miesiąca nisan). Polikarp, sam święty i uczeń świętego, był nauczycielem wielkiego św. Ireneusza z Lyonu, człowieka, który dał Kościołowi do ręki broń do przeciwstawienia się gnostykom i ich pogardzie okazywanej Staremu Testamentowi, ciału, małżeństwu i, generalnie, widzialnemu światu. Strata tak wielkiego człowieka musiała zatem boleć. Wszystko to działo się, gdy na tronie cesarskim zasiadał filozof, Marek Aureliusz.

Przebieg męczeństwa św. Polikarpa znamy dość dobrze z listu, który wspólnota ze Smyrny rozesłała po męczeństwie swego biskupa. Pomyślmy przez chwilę o anonimowym autorze tego tekstu. Nie wiemy o nim w zasadzie nic: kim był, jaki zawód wykonywał; pod koniec zostaje wymienione imię Marcjon, ale trudno orzec, czy to sekretarz, czy poseł dostarczający list, czy też jego redaktor. Wiemy za to, w jaki sposób ów człowiek, czy też raczej cała wspólnota, w imieniu której pisał, patrzył na tragiczne wydarzenia, których był świadkiem. Czy słyszymy skargę, płacz, niepokój, gdy opisuje prześladowania, które dotknęły wspólnotę w Smyrnie? Czy oskarża Boga o to, że nie uratował sędziwego biskupa od śmierci? Nic z tych rzeczy. Natomiast ów nieznamy nam człowiek, oglądając przerażające widowisko (pamiętajmy, że św. Polikarp miał być spalony żywcem, ostatecznie dobito go ciosem miecza), zobaczył swego biskupa, który jak prawdziwy naśladowca Jezusa Chrystusa na nowo w swoim ciele i w swym męczeństwie uobecnia zbawczą Mękę Pana.

Gdy pod męczennikiem zostaje rozpalony stos, gdy płomień ogarniają umęczone ciało starca, smyrneńscy chrześcijanie widzą swego biskupa, który jest wypiekany jak chleb w piecu, czują zapach świeżego pieczywa i zapach kadzideł; gdy kat przebija św. Polikarpa mieczem i wypływa krew w takiej ilości, że gasi płonący ogień, obraz eucharystyczny zostaje dopełniony: biskup, jak Chrystus niemal wiek wcześniej, oddaje swoje ciało na umęczenie, zostaje przeistoczony jak hostia i jego krew gasi płomień – wedle świadectwa autora wraz ze śmiercią św. Polikarpa ustało prześladowanie.

Wielki Post, czas wielkiej wiary, czyli spoglądania na wszystko oczami samego Boga. Tego się uczymy. Czy tak, jak ów nieznamy nam Smyrneńczyk, potrafimy spojrzeć na trudne i niezrozumiałe sprawy w naszym życiu, na krzyże i próby, z których na pewno nie uwolnimy się przed śmiercią? Czy mamy o to pretensje do Pana Boga, że przydarza się nam coś trudnego, czy też przeciwnie – dzięki wierze potrafimy zobaczyć, że „nic nas nie zdoła odłączyć od miłości Chrystusowej”. I że wobec tej prawdy nic innego nie ma żadnego znaczenia. Nasze życie może być pełne pokoju i miłości nie dlatego, że świat pokoju i miłości jest pełen, ale dlatego, że pomimo wszystko patrzymy na nasze życie z wiarą. „Gdzie nie ma miłości, połów miłość, a znajdziesz miłość” (św. Jan od Krzyża). ©

O. SZYMON HIŻYCKI (ur. 1980) jest opatem klasztoru benedyktynów w Tyńcu, patrologiem i badaczem początków monastycyzmu.

PAWEŁ

Śpiewak: Góra, świątynia i lud



„A W ŚWIATŁOŚCI TWOJEJ OGŁĄDAMY ŚWIATŁOŚĆ” (Ps 36, 10) – mowa tu oczywiście o pierwotnej światłości widocznej tylko w akcie Stworzenia świata, która stała przed światłem i ciemnością, a której blask został ukryty przed ludźmi; stanie się ponownie widoczna tylko

dla sprawiedliwych już u kresu czasu. Owa światłość jest absolutnie czysta. Wedle autorów midraszy narodziła się z miejsca, na którym stoi świątynia. Przekonany jest o tym rabin Berechiah wypowiadający się w imieniu rabiego Izaaka. Potwierdzeniem są słowa z Księgi Ezechiela o tym, że chwała Boga izraelskiego przychodzi ze wschodu, „a ziemia się lśniła od chwały jego” (Ez 43, 2).

Chwałą może być tylko świątynia i od niej bije ów blask. Wynika z tego, że świątynia jest najściślej związana z aktem Stworzenia, choć w Księdze Rodzaju mowy o tym nie ma. Stąd przychodzą pierwsze dzieła Boga, w tym niebios, ziemia i wszelkie wody. Są nawet świadectwa żydowskich mędrców, że w tamtym miejscu, pod górą Syjonu, jeszcze dzisiaj burzą się pierwotne wody, wody chaosu (*tohu-wa-wohu*). Przepastne wody, które w czasie potopu znów pochłonęły ziemię, wydobyły się na powierzchnię, gdy król Dawid kopał fundamenty pod świątynię. Czytamy o tym w księdze Zohar. Ale Dawid odmówił piętnaście psalmów wstępujących i wody opadły. W aramejskim tłumaczeniu Tory mowa jest o skale, na której zostały wyrzeźbione cztery litery będące imieniem Boga: *jud hej waw hej* – tą skałą Bóg u początków Stworzenia zamknął gębę otchłani (i od tej skały pochodzi – twierdzą niektórzy – nazwa przepięknego meczetu Kopuła Skały na wzgórzu świątynnym). Z wód chaosu wypływa do dzisiaj mały strumień Gihon, który zaopatruje miasto w wodę. Nieład ukryty przed naszym wzrokiem zamienił się dla nas w porządek, urodzaj, oczyszczenie.

Jak wiemy z lektury księgi biblijnej, wystarczyło Bogu dziesięć ludzkich pokoleń, by pożałować swego dzieła i przywrócić władzę wodom chaosu. Rozlały się z niebios i podziemi. Jedynym miejscem, które nie podlegało władzy potopu, była według autorów midraszy Jerozolima: tak wysoko położona, że wody tu nie powróciły. Wiemy od żydowskich mędrców, że gołąb wypuszczony z arki Noego znalazł listek na wzgórzu oliwnym.

Położenie wzgórza Syjon zmieniało się w czasie i długo było utożsamiane z górą Moria, na której Abraham ofiarował Izaaka. Ze wzgórzem łączy się Jerozolima. Świętość obu miejsc przenika się ze sobą. Syjon to w innych pieśniach cała ziemia Izraela, a według Izajasza świątynia Boga Izraela, góra świątynna i lud Izraela to jedno (Iz 51, 15-17). Wybór Izraela wykracza poza wymiar historyczny. Dokonuje się w perspektywie stawiania się świata. Staje się faktem kosmicznym czy kosmologicznym. Ustanawiając swoją świątynię w tym miejscu, na tej ziemi, lud może brać udział w konstruowaniu niebios i ziemi.

Szaloną odpowiedzialność stawia przed Izraelem Bóg. Izrael ją przyjmuje. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Straszny Nabucco



AUTOR DRUGIEJ KSIĘGI KRONIK PISZE, ŻE BÓG: „Posłał przeciwko (Izraelitom) króla Chaldejczyków (Nabuchodonozora). Wymordował on mieczem ich młodzieńców w ich świątyni. Nie miał miłosierdzia ani dla chłopców, ani dla dziewcząt, ani dla

ludzi starszych i okrytych siwizną (...). Jego wojsko spaliło dom Boży i zburzyło mury Jerozolimy, spaliło wszystkie pałace (...). Wszystkich, którzy ocalili od miecza, król uprowadził do Babilonii. Byli oni [jego] niewolnikami (...). Tak wypełniło się słowo Pana wypowiedziane przez usta Jeremiasza”. Wszystko dlatego, że Izraelici sprzeniewierzyli się Bogu i zerwali przymierze. Pokuta trwała przez „siedemdziesiąt lat”, aż do wstąpienia na tron Cyrusa, który przywrócił im wolność i pozwolił wrócić do ojczyzny. W ten sposób sprawiedliwości stało się zadość, Bóg uśmierzył swój gniew, ale też okazał miłosierdzie.

Dzisiaj, kiedy słyszymy, że gdzieś w świecie toczy się wojna i giną na niej kobiety, dzieci i starcy, takie działania potępiamy jako ludobójstwo, a sprawców stawiamy przed trybunałem. Potępiamy również stosowanie odpowiedzialności zbiorowej, terroryzm, użycie broni masowego rażenia; co więcej, papież Franciszek mówi, że już samo jej posiadanie jest złem, a dla chrześcijanina grzechem. Rodzi się więc pytanie, czy Bóg mógł nakazać dokonanie tak okrutnej zbrodni? Według autora Księgi Kronik i autorów innych ksiąg biblijnych, owszem, mógł. Tak sądzili nie tylko oni, wielu innych też, i takie podejście do winy i kary nieobce jest również dziś.

Oczywiście pedagogika strachu nie jest najlepszym sposobem kształtowania ludzkich sumień, ludzkiego serca i mentalności. Niemniej niezauważanie związku między naszymi czynami i tym, co one powodują w pojedynczych ludziach i całych społecznościach, też prowadzi prostą drogą do tragedii na miarę pojedynczych osób i całych społeczeństw. A skoro już mówimy o królu Nabuchodonozorze (to ten z opery „Nabucco” Verdiego) i królu Cyrusie, za przykład niech nam posłużą wybory i nasze do nich podejście. W kraju demokratycznym pójście na wybory, lub nie, głosowanie na takiego czy innego kandydata, na taki czy inny urząd, nie jest aktem, który nie podlega ocenie moralnej i religijnej. Pozostanie w domu też jest działaniem i kiedy na początku mszy spowiadamy się Bogu i Kościołowi z zaniebdania, powinniśmy odczuć to jako naszą winę. Ponosimy też odpowiedzialność za to, jak wybrany przez nas urzędnik będzie swój urząd sprawował. Prawdą jest, że wszelka władza, jak wszystko inne, „pochodzi od Boga”, to znaczy, że jest powołaniem do służby dobru wszystkich, również przestępców, jeśli Jezusowe przykazanie miłości nieprzyjaciół bierzemy na poważnie. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Czyny z serca

*Gdy umysł powraca
do siebie, poprzez siebie
samego wznosi się
do Boga.*

BAZYLI WIELKI



*Oświecenia trzeba
szukać tylko w umyśle.
Po cóż zajmować
się poszukiwaniem
tajemnic na zewnątrz?*

SZÓSTY PATRIARCHA ZEN

HUI-NENG



Wybrał PIOTR SIKORA



TYM RAZEM CYTAT Z BIBLIJ HEBRAJSKIEJ, Z KSIĘGI PROROKA JEREMIASZA – LITURGIA OGŁOSIŁA GO NAM W OSTATNI CZWARTEK: „Ja, Pan, badam serce i doświadczam nerki, bym mógł każdemu oddać stosownie do jego postępowania, według owoców jego uczynków” (Jer 17, 10).

Czy to nie uderzające?

Bóg, aby poznać wartość ludzkiego postępowania, przenika ludzkie serce. Bez zbadań serca ocena ludzkiego działania może się poważnie mijać z prawdą. Owszem, potrafimy opisać, co komuś udało się osiągnąć: czy był skuteczny, czy też nie? Kompetentny czy nie? Zrobił daną rzecz właściwie czy nie? Czy jego praca przyniesie pożytek czy też nie?

Nie wiemy jednak nic o jego motywach.

Co nim kieruje? Duch służby czy kariery? Bezinteresowność czy gruba interesowność? Poszukiwanie dobra czy własnej chwały? Dążenie do prawdy czy chęć manipulowania innymi? W jakiej mierze deklarowane przezeń motywy pokrywają się z rzeczywistymi?

Pan ma mu oddać według jego postępowania. Ale, być może, nie ma mu już nic do oddania? Być może „otrzymał już swoją nagrodę” (zob. Mt 6, 2. 5. 16) – tę, na której mu zależało.

Co więcej, Jeremiasz mówi nam także, iż tak naprawdę nie znamy również owoców ludzkich uczynków. To ważne, zwłaszcza gdybyśmy chcieli ze zbytnią pewnością siebie stosować zasadę „poznacie ich po owocach”.

Czy owocem ludzkiego działania jest tylko to, co widać? Efekt zewnętrzny? Dobrze zarobane pole? Poprawnie ułożony chodnik?

Mądrze napisana książka? Dobrze skrojona suknia? Przekonująco zagrana teatralna czy filmowa rola? Kolejnej generacji sprzęt elektroniczny? Wszystko – jak mówimy – najlepszej jakości? Płomiennie wygłoszone rekolekcje, wysłuchane przez wielu uczestników?

Pan patrzy w serce: widzi pomnożoną pokorę lub pychę; radość z wykonanego dzieła lub z zaspokojonej pożądliwości zapłaty; widzi uwielbienie Boga lub natarczywe poszukiwanie potwierdzenia siebie – swojej wielkości i niezbędności.

Jednym z refrenów dokumentów społecznej nauki Kościoła w ostatnim stuleciu jest podejrzenie, że ze wszystkich coraz bardziej nowoczesnych warsztatów ludzkiej pracy materia wychodzi coraz bardziej ulepszona; za to człowiek – coraz gorszy. Rozwój świata rzadko uchwytuje równowagę – bardzo rzadko obejmuje nie tylko każdego człowieka, ale również całego człowieka.

Św. Benedykt zarządza w swojej regule, by każdy z mnichów pracował w swoim wyuczonym zawodzie – niech robi to, co umie, i co zapewne sprawia mu także przyjemność.

Wszakże do czasu. Może się bowiem okazać, że mnich, np. świetny sadownik, dojdzie do przekonania, że bez jego pracy klasztor by przepadł; że jest dla klasztoru jedynym źródłem dochodu (i to jakiego); że jego bracia żyją niemal wyłącznie na jego koszt.

Wtedy – mówi Benedykt – należy go natychmiast pozbawić tej pracy, a zlecić taką, na której kompletnie się nie zna. Jest pisarzem? Zróbcie go ogrodnikiem. Klasztor zapewne trochę zbiednieje; ale serce współbrata zostanie ocalone (a z nim także wartość jego czynów). ©

CZYTANIA LITURGICZNE (11 – 18 III)

4. Niedziela Wielkiego Postu (Niedziela Laetare):
2 Krn 36, 14-16. 19-23; Ps 137; Ef 2, 4-10; J 3, 14-21.
Poniedziałek: Iz 65, 17-21; Ps 30; J 4, 43-54;
Wtorek: Ez 47, 1-9. 12; Ps 46; J 5, 1-3a. 5-16;
Środa: Iz 49, 8-15; Ps 145; J 5, 17-30;

Czwartek: Wj 32, 7-14; Ps 106; J 5, 31-47;
Piątek: Mdr 2, 1a. 12-22; Ps 34; J 7, 1-2. 10. 25-30;
Sobota: Jr 11, 18-20; Ps 7; J 7, 40-53;
5. Niedziela Wielkiego Postu: Jr 31, 31-34;
Ps 51; Hbr 5, 7-9; J 12, 20-33.

DLACZEGO MaBeNa NIE DZIAŁA

Prawica postanowiła poszerzyć swój arsenał
o narzędzia zmonopolizowane dotąd przez lewicę i liberałów.
Korzysta z nich jednak bez zrozumienia
i z gracją słonia w składzie porcelany.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

JEST 2 STYCZNIA, CZYLI W ZASADZIE PIERWSZY poranek nowego roku. Andrzej Zybertowicz w studiu radia TOK FM opowiada Janowi Wróblowi o największej, jego zdaniem, porażce „dobrej zmiany”, jaką jest nieumiejętność kształtowania pozytywnego obrazu Polski za granicą. To właśnie w tej rozmowie padną pamiętne słowa o Maszynie Bezpieczeństwa Narracyjnego (w skrócie: MaBeNa), które będą śmieszyć komentatorów przez kolejne dwa miesiące.

W głowach nieprzychylnych Zybertowiczowi słuchaczy natychmiast zwizualizowały się lampki i trybiki. Niektórzy, jak Paweł Wroński z „Gazety Wyborczej”, proponowali rozbudowane obrazy MaBeNy: „Przez moment taką maszynę sobie wyobraziłem. Potężna szafa w piwnicy przy ul. Nowogrodzkiej, do której prof. Zybertowicz wrzuca problem. Na przykład, co zrobić, aby naród polski pokochał PiS całym sercem? Maszyna porządziłaby, postękała i wyrzuciła: »zaprosić za astronomiczną kasę na sylwestra w Zakopanem Luisa Fonsiego, aby zaśpiewał z play-backu«”. A więc szafa, stękanie, rżenie i jeszcze w dodatku skojarzenia z czymś prząśnym, topornym, niezbyt udanym.

Ale dlaczego właściwie tak bezlitośnie wyszydono MaBeNe? Przecież bardzo podobne koncepcje mogłyby się pojawić

na lewicy albo wśród liberałów. Pierwsi w swych publikacjach nieustannie używają metafor i skomplikowanych intelektualnych modeli – także dobrze już ugruntowanej w filozofii i socjologii metafory maszyny; drudzy chętnie opowiadają o skoordynowanej promocji naszych interesów za granicą. Gdyby więc o „maszynie narracyjnej” na łamach „Krytyki Politycznej” napisał, dajmy na to, Andrzej Leder albo Jan Sowa (*nota bene* używa on np. terminu „maszyna polityczna”), ci sami, którzy śmieją się dziś w głos, cmoкалиby z uznaniem nad trafnością takiego języka opisu. Gdyby o konieczności koordynacji promocji Polski za granicą opowiadał w bardzo podobny sposób Donald Tusk – chwalono by wizjonerstwo i zdecydowanie.

Zamiast chichotać, posłuchajmy zatem, co tak naprawdę powiedział Andrzej Zybertowicz. „Maszyna jest tu, oczywiście, metaforą. Jak wiadomo, maszyna to zbiór elementów, które ze sobą współpracują, by wykonywać wspólną funkcję. Niska jakość polskiej narracji państwowej wynika z braku całościowej synchronizacji różnorodnych zasobów, którymi dysponuje państwo i społeczeństwo”. Czyli metafora maszyny użyta jest w sposób prze-myślany, świadomy. Autor nawiązuje, zdaje się, do tradycji cybernetyki, bardzo

istotnej dla polskich nauk humanistycznych i społecznych lat 70. i 80. XX w.

Zybertowicz przekonuje, że należy zbudować „system komunikacyjny”, który „rozpoznawałby zagrożenia dla reputacji Polski na arenie międzynarodowej, neutralizował je i nagłasniał nasz pozytywny przekaz”. Wyraźnie zaznacza jednak, że nie chodzi mu o rzeczywistą maszynę czy algorytm, lecz o synchronizację „instytucji i narzędzi, dzięki którym można tłumaczyć, co naprawdę dzieje się w naszym kraju”. Można więc nie zgadzać się z Zybertowiczem – chociażby stwierdzając, że zagraniczne media rzetelnie przedstawiają to, co naprawdę dzieje się w Polsce. Odruch sprzeciwu jest zrozumiały. Ale dlaczego zamiast polemik koncepcja MaBeNy wywołała przede wszystkim salwy śmiechu?

Z drugiej strony, abstrahując od rozbawionych reakcji – MaBeNa na naszych oczach okazuje się kompletną porażką. Od wypowiedzi Zybertowicza minęło zaledwie kilka tygodni, a w obszarze, któremu patronować miała jego maszyna, Polska zalicza kolejne dramatyczne kryzysy wizerunkowe. A to premier Morawiecki mówi o żydowskich sprawcach, a to Marek Kochan wzywa do budowy „Muzeum Polokaustu”. Co zatem poszło nie tak? Błąd oprogramowania? Wady konstruk-



cyjne? Sabotaż? Dlaczego Maszyna Bezpieczeństwa Narracyjnego zamiast działać sprawnie, raz za razem wypala w twarz swoim twórcom? Dlaczego im bardziej rozpędzają się jej tryby, tym głośniejszy słychać zgrzytanie?

Otóż wydaje mi się, że te same czynniki, które czynią MaBeNę śmieszną, sprawiają także, że jest nieskuteczna. Spór o obraz Polski za granicą, w szczególności o związaną z nim politykę pamięci, w interesujący sposób obnaża pułapki komunikacyjne naszego dyskursu politycznego.

Kto celebruje, kto promuje

Zobaczmy, jak właściwie skonstruowana jest MaBeNa. Skupmy się na gorącej w ostatnich tygodniach dyskusji o prze-

szłości, za przedmiot przyjmując kilka głośnych tekstów poświęconych problematyce kształtowania wizerunku Polski za granicą oraz ich recepcję (polemiki, komentarze, memy). Najważniejsze z nich to, obok wspomnianego już wywiadu Zybortowicza, zamieszczony na portalu wPolityce.pl tekst Macieja Świrskiego „Uzbrojona narracja przeciwko Polsce” oraz artykuł Marka Kochana „Zbudujmy szybko Muzeum Polokaustu” („Rzeczpospolita”). Na potrzeby analizy posłużmy się czymś w rodzaju naszej własnej maszyny semiotycznej, która klasyczny podział prawica-liberałowie-lewica wiąże z określonymi strategiami narracyjnymi.

Prawica, lewica i liberałowie (w idealnej, rozłącznej formie) mają swoje charaktery-

styczne opowieści. Te opowieści zawsze są o kimś i snute w pewien sposób. W kwestii podmiotów rzecz przedstawia się następująco: prawica opowiada o narodzie, liberałowie – o jednostkach lub o zbudowanym z nich społeczeństwie, lewica – o grupach społecznych, wyróżnianych na podstawie uwarunkowań klasowych, płciowych czy rasowych. Jeżeli chodzi o strategię, do czynienia mamy odpowiednio z celebracją, promocją i emancypacją. Prawica świętuje wspólne wartości i celebrowanie narodu, liberałowie promują najlepsze jednostki (najzdolniejsze, najbardziej przedsiębiorcze), lewica emancypuje grupy wykluczonych czy uciśnionych.

Oczywiście zdają sobie sprawę, że jest to tylko jeden z wielu możliwych podziałów, ➔

→ niedotykający praktycznie szczegółów propozycji ekonomicznych czy społecznych poszczególnych ugrupowań. Mapa polskiej sceny politycznej jest znacznie bardziej skomplikowana. Na korzyść takiego podziału przemawia jednak częste posługiwanie się tymi kategoriami przez samych uczestników debaty, czasem w formie dosłownej, czasem zaś w formie zbitek takich jak „liberalno-lewacka wizja przemian Europy”, o której mówił prof. Zybertowicz.

Taki podział zastosowany do analizy trwającego od dwóch miesięcy dramatycznego kryzysu wokół polskiej narracji pamięciowej przynosi ciekawe rozpoznania w kwestii komizmu MaBeNy oraz jej awaryjności. Okazuje się, że problem MaBeNy polega na próbie połączenia w całość intelektualnych klocków wyciągniętych z różnych zestawów.

Co dobre, to naród, co złe, to jednostki

Śledząc ton polskiej debaty politycznej ostatnich kilkunastu lat, można chyba pokusić się o stwierdzenie, że język prawicy był zazwyczaj językiem dość prostym. Gdy np. mieliśmy do czynienia z negatywnym zjawiskiem, to wyjaśniane było ono poprzez przypisywanie sprawstwa konkretnym przeciwnikom, w myśl logiki „kto za tym stoi”. Czasem wróg narodowej wspólnoty był dobrze zakamuflowany, co objawiało się konstrukcjami pojęciowymi takimi jak np. „układ”, zawsze był jednak ktoś, kogo można było pokonać.

Lewica tymczasem specjalizowała się w budowaniu niezwykle skomplikowanych konstrukcji teoretycznych, nie rzadko wyrażanych hermetycznym żargonem filozofii czy socjologii. Jako wroga wskazywano często nie konkretne osoby czy grupy, lecz „mechanizmy społeczne” czy „kody kulturowe”, a więc sam „język”, „dyskurs” czy „narrację”. Aby zwyciężyć, nie zawsze trzeba było kogoś pokonać, lecz raczej przekonać, np. w zorganizowany sposób zmieniając reguły debaty publicznej – chociażby forsując pewne określenia czy zabraniając innych, jak to się dzieje w ramach reguł poprawności politycznej.

Prawica takie podejście chętnie wyszyldowała, pisząc o „Orwellowskiej manipulacji językiem”, „szalonych feministkach”, które wszędzie widzą dyskryminację, albo o lewackiej dyktaturze poprawności politycznej.

	PRAWICA	LIBERAŁOWIE	LEWICA
PODMIOT OPowieści	naród	jednostka/ społeczeństwo	grupy społeczne
DOMINUJĄCA STRATEGIA NARRACYJNA	celebracja	promocja	emancypacja

Z tego punktu widzenia przypadek MaBeNy można uznać za próbę przejścia przez prawicę języka i sposobu argumentacji charakterystycznego dotychczas dla lewicy. To przypadek ciekawy i ważny także dlatego, że nie jest zjawiskiem odosobnionym, lecz raczej symptomem szerokiej zmiany zachodzącej w debacie publicznej.

W analizowanych przeze mnie tekstach kluczową rolę pełniło pojęcie „narracji”, charakterystyczne raczej dla publicystyki lewicowej, a Świrski posługuje się nawet terminem „kod kulturowy”. Tymczasem dotychczas w sporze między podejściami wedle którego historia to przede wszystkim opowieść o przeszłości (narratywizm), a przekonaniem, że fakty historyczne wyprzedzają interpretację (esencjalizm), prawica stawiała raczej po tej drugiej stronie – nawet mimo zaadaptowania już ponad dekadę temu pojęcia „polityki historycznej”. Ten esencjalizm w podejściu do historii związany był ściśle z prawicową wizją tożsamości (przede wszystkim narodowej) jako czegoś raczej danego niż wytwarzanego.

Można więc postawić tezę, że MaBeNa nie działa m.in. dlatego, że oparta jest na wewnętrznej sprzeczności. „Status ofiary popłaca, przynosi wizerunkowe korzyści, można go zdyskontować na wiele sposobów – pisze Marek Kochan. – Robią to mniejszości seksualne i inne realnie lub rzekomo wykluczone i prześladowane grupy”. Abstrahując od (symptomatycznego) użycia słowa „rzekomo”, zdradzającego nieufność wobec opisywanych procesów, w zasadzie identyczne zdanie mogłoby się pojawić w lewicowej publicystyce czy w rozprawie naukowej inspirowanej nowoczesnymi odczytaniem marksizmu. I faktycznie – czytając Kochana miałem wrażenie, że gdzieś już podobny fragment widziałem.

W wydanej cztery lata temu książce „Moral Blindness” („Ślepotą moralną”) Zygmunt Bauman wraz z europarlamentarzystą i intelektualistą litewskim Leonidasem Donskischem piszą o „martyrologii porównawczej”. Według autorów żyjemy w czasach, gdy „sugestywna nar-

racja o cierpieniu stała się drogą do sukcesu i uznania nie dlatego, że na świecie zatriumfowały humanizm i wrażliwość, ale ponieważ cierpieniu, męczeństwu i byciu ofiarą towarzyszy element rywalizacji podobny do walki o władzę”. Według Baumana i Donskisa ofiary konkurują między sobą właśnie na narrację: kto bardziej cierpiał, kto jest w swym cierpieniu bardziej przekonujący i autentyczny. Podobne rozpoznanie już w 1997 r. wysuwa francuski badacz Jean-Michel Chaumont w książce „La concurrence des victimes: génocide, identité, reconnaissance”.

Dlatego to samo zdanie przeczytane u Baumana czy Chaumonta w ogóle mnie nie raziło, podczas gdy u Kochana wywołało mój odruchowy sprzeciw? (I nie byłem w swojej reakcji odosobniony). Wydaje się, że mamy tu do czynienia z czymś więcej niż tylko plemienną lojalnością, która każe nam pochylać zdanie ludzi z „naszego obozu” i ślepo krytykować wszystko, co wymyślili „oni”.

Badacze dyskursu opisując zjawisko „konkurencji ofiar” robią to w sposób krytyczny, gdyż stanowi ono jak gdyby „ciemną stronę” mechanizmu emancypacji – jej negatywny efekt uboczny. Z punktu widzenia charakterystycznej dla prawicy strategii celebracji to samo zjawisko jawi się jak prawo przyrody, które możemy wykorzystać dla własnej korzyści. Musimy być tylko sprytni.

Bałagan wkrada się do MaBeNy także w kwestii podmiotu działania. Widać go wyraźnie w debacie wokół nowelizacji ustawy o IPN. Z punktu widzenia prawicy naród jest podmiotem oczywistym. Nie dokonuje się jego analizy i rozbioru na części pierwsze, lecz celebracji: potwierdzania, wzmacniania, utrwalania. Tymczasem zbudowana na narracjach logika lewicy, którą prawica próbuje podkraść i wykorzystać, opiera się na rozbieraniu i analizowaniu. Kiedy więc MaBeNa – ustami polityków i publicystów – zaczyna produkować opowieść o przeszłości, natychmiast pojawiają się zgrzyty.

Celebruujemy naród (temu ma służyć skoordynowany przekaz Fundacji Narodowej i postulowane „Muzeum Polokau-

stu”), ale za wszystko, co złe, odpowiadają najwyżej jednostki czy grupy społeczne. „»Polskie gestapo« – nie było polskiego gestapo – tłumaczył premier Mateusz Morawiecki – »polskie SS« – nie było polskiego SS, »polskie obozy śmierci« – nie było polskich obozów śmierci. Musimy to tłumaczyć ludziom. W 1968 r. nie było w ogóle Polski. Był reżim komunistyczny, który tak naprawdę paskudnie traktował Żydów”. Nie mam problemu z tym wywoдем i też uważam określenia w rodzaju „polskie obozy śmierci” za haniebne, szkodliwe i propagowane ewidentnie w złej wierze. Ale czy rozwijając myśl Morawieckiego nie dojdziemy szybko do wniosku, że skoro w XIX i XX w. nie było Polski, to nie było także polskich powstań niepodległościowych?

Martyrologia i cynizm

Przez ostatnie lata język prawicy budował raczej Polskę, której trzeba bronić przed przybyszami z zewnątrz, niż Polskę, którą chcielibyśmy promować. Tymczasem liberałowie często mówili o Polsce jako marce, którą należy promować, uatrakcyjnić, popularyzować. Podobnie jak w przypadku lewicowej fascynacji dyskursem, to także była strategia, którą prawica chętnie wyszydzała jako banalizację Polski i polskiej historii. Dość przypomnieć tylko przypadek niesławnego „orla z czekolady” (2013 r.), kiedy to prawica nie zolaowała sukcesowi nitki na prezydencie Bronisławie Komorowskim za budowanie plastikowej, tandetnej i nietradycyjnej wizji patriotyzmu. Trzeba zresztą powiedzieć, że strategia promowania w ogóle jest przez Polaków chętnie wyśmiewana, co widać chociażby w przypadku konkursów w rodzaju „logo dla Polski” czy regionalnych akcji promocyjnych.

Tymczasem obok słowa „narracja” głównym kluczowym pojęciem w analizowanych wypowiedziach była „koordynacja”. W tekście Świrskiego znajdziemy akapit: „Przeciwko Polsce prowadzona jest skoordynowana akcja dyfamacyjna. (...) Przeciwnik, aby dotrzeć z antypolskim komunikatem, wykorzystuje kod kulturowy odbiorców w Europie Zachodniej i Ameryce. Podobnie nasza akcja przeciwdziałania musi być prowadzona w sposób skoordynowany i w kodzie (idiomie) kulturowym adresata. Tak więc – potrzeba skoordynowanej akcji obserwacyjnej oraz skoordynowanego przeciwdziałania i akcji antydezinformacyjnej”.

Język prawicy był oparty na nienegocjowalnych wartościach.

Tymczasem „dyskontowanie kryzysów” zderzone z martyrologią przynosi niechciany efekt cynizmu.

Jeden krótki akapit i aż cztery wzmianki o „koordynacji”! Na tej samej idei oparta jest MaBeNa Zyburtowicza oraz postulowane przez Kochana „Muzeum Polokaustu”. To właśnie w tym muzealnym projekcie najwyraźniej widać przejście od prawicowej celebracji do liberalnej promocji i ryzyko fatalnych niezręczności, a nawet profanacji, które się z tym wiążą.

„Nazwa Polokaust nie jest nowa – proponuje Kochan – anglojęzyczny słownik uwzględni ją już w 2012 r. (www.urbandictionary.com). Tak, wiem oczywiście, że taka nazwa może się nie wszystkim podobać. Trudno. Jestem pewien, że to dobra nazwa dla muzeum, zapadająca w pamięć i wywołująca zainteresowanie. Pozwalająca zdyskontować obecny kryzys dla dobra wizerunku Polski. Wypromujmy ją. Musimy mieć swoją narrację”.

Abstrahujemy już od tego, że Urban Dictionary to edytowany przez internautów język ulicznego slangu, w którym jedna z definicji słowa „Polish” brzmi „ludzie o długich członkach”. Czy naprawdę do pogodzenia z celebracją narodowej wspólnoty jest opisywanie najbardziej tragicznych rozdziałów naszej historii w kategoriach czegoś, co się „dyskontuje” i czym chcemy „wywołać zainteresowanie”?

Język prawicy był silnie oparty na nienegocjowalnych wartościach. Niezależnie od szlachetnych intencji „skoordynowane akcje” i „dyskontowanie kryzysów” zderzone z martyrologią łatwo mogą przynieść niezamierzony efekt cynizmu znacznie bardziej odpychającego niż czekoladowy orzeł, który od początku był pusty w środku.

Z kogo się śmiejecie?

Kryzys wizerunkowy związany z naszą trudną przeszłością można z pewnością analizować z wielu perspektyw. Jak niemal każda katastrofa, ma on zapewne wiele drobnych przyczyn, które łącznie powodują efekt kataklizmu. I choć nasza

wyobraźnia jest tak zbudowana, że chcielibyśmy zawsze odnaleźć tę jedną, jedyną przyczynę nieszczęścia – musimy pamiętać, że to logika prowadząca w objęcia teorii spiskowych. Dlatego nie twierdzę, że to wyłącznie opisaną wyżej wewnętrzną nieśpójnością MaBeNy wyjaśnić można niekończące się pasmo katastrof, jakie stało się naszym udziałem na arenie międzynarodowej. Nie mniej racji mają zapewne ci, którzy wskazują na nieszczęśliwe zbiegi okoliczności, wewnętrzny konflikt polityczny w Izraelu czy nawet (jak Maciej Świrski) na cyniczne działanie określonych grup.

Proponowane tu wyjaśnienie wydaje mi się jednak o tyle istotne, że dotyczy spraw, na które mamy wpływ. Jedną z przyczyn katastrofy okazuje się bowiem to, że nie słuchamy się wzajemnie. Prawica, zamiast w pogłębiony sposób analizować logikę adwersarzy lewicowych i liberalnych, przez lata skupiała się na ich wykpiwaniu, obejmującym także pojęcia takie jak „dyskurs” czy „promocja”. Naturalne przenikanie idei między obozami politycznymi było w ten sposób poważnie okrojone ostrzem szyderstwa. Kiedy więc teraz prawica postanowiła (m.in. z banalnego powodu znalezienia się u władzy) poszerzyć swój arsenał o narzędzia zmonopolizowane dotychczas przez lewicę i liberałów, robi to bez ich należytego zrozumienia i z gracją słonia w składzie porcelany.

Ale to chyba nie dla prawicy płynie najważniejsza nauka z tego kryzysu. Śmiech z MaBeNy, który od dwóch miesięcy rozlega się w mediach, może się okazać powtórzeniem przez liberałów i lewicę wszystkich wymienionych wyżej błędów prawicy. I to w najgorszej możliwej formie. Wszelkie działania władzy (w tym sama nowelizacja ustawy o IPN) odczytywane są przez nieprzychylną część opinii publicznej w maksymalnie złej wierze. Bez próby zrozumienia i analizy, przy natychmiastowym założeniu złych intencji.

Tymczasem przydałaby się w tym zakresie przynajmniej odrobina dobrej woli. Niekoniecznie po to, by ostatecznie wesprzeć przeciwnika czy przyznać mu rację, ale chociażby po to, żebyśmy, „gdy przyjdzie nasza kolej”, byli gotowi nie popełniać tych samych błędów. Ostatecznie więc może się okazać, że lewica i liberałowie śmieją się nie z MaBeNy, „skoordynowanych akcji antydyfamacyjnych” i „Muzeum Polokaustu”, lecz z samych siebie.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Zamęt w bastionach Platformy

JACEK GĄDEK

Warszawa i Gdańsk – dla PO nie ma ważniejszych miast na politycznej mapie Polski. Utrata jednego z nich może być gwoździem do trumny partii.

NIE WYGLĄDA TO DOBRZE: W STOLICY kampania Rafała Trzaskowskiego przygasła, nim na serio ruszyła. Na wybrzeżu Platformie z kolei grozi podział i bratobójcza walka między obecnym prezydentem miasta Pawłem Adamowiczem a Jarosławem Wałęsą.

Rafał Trzaskowski przygotowuje konwencję wyborczą – plany mówią o maju. Na razie – jak słyszymy w PO – rozgląda się, rozpoznaje potrzeby i gromadzi pomysły. A także cieszy się sondażami, w których jest o włos od wygranej już w I turze. Startuje w tandemie z Pawłem Rąbiejem z Nowoczesnej. Są na siebie skazani, ale prowadzą odrębne kampanie. – Trzaskowski i Rąbiej pracują osobno na własną popularność. Kandydatura na wiceprezydenta to eksperyment polityczny – mówi jeden z polityków PO.

Trzaskowski ma wytłumaczenie: to nie amerykańska kampania prezydencka. Kandydat PO dyplomatycznie zapewnia, że z Rąbiejem się konsultuje, choć na zeewnątrz tego nie widać. Bardzo prawdopodobne zresztą, że dołączy do nich kolejny kandydat na wiceprezydenta, aby przekonać do siebie lewicowych wyborców.

Do aliansu z Trzaskowskim przebowiem SLD. Jeśli się nie uda, Sojusz może stoczyć się w niebyt. Faworytem SLD do fotela zastępcy jest Sebastian Wierzbicki, który pracuje dla Ratusza Hannu Gronkiewicz-Waltz jako wiceprezes Pałacu Kultury i Nauki. Z kolei lewica skupiona wokół Barbary Nowackiej chciałaby skrzyknąć ruchy miejskie i Partię Razem – w kontrze do bloków PO i PiS.

Warszawska trampolina

W biurze Trzaskowskiego przy ul. Pięknym mnóstwo książek. Dominują nie te o stołecznym samorządzie, ale o polityce

zagranicznej i UE. To jego domena. W gabinecie cieni PO wciąż jest szefem MSZ. Jeden z najbardziej perspektywicznych polityków PO 40+ nie był entuzjastą własnej kandydatury na prezydenta Warszawy. Ale partia – w osobie Grzegorza Schetyny – wzywała, więc nie odmówił.

Podobnie było w 2013 r., gdy na wezwanie Donalda Tuska złożył mandat europosła i na niespełna rok został ministrem administracji i cyfryzacji: ugrzązł w e-resorcie, który istniał tylko na papierze. Stawił się karnie, choć Tusk *de facto* go zdegradował. Potem odzyskał przy premier Ewie Kopacz, jako wiceminister ds. europejskich.

Prezydentura stolicy dla Trzaskowskiego może być trampoliną nawet do przywództwa w partii – jeśli najpierw wygra, a potem podoła urzędowi. Wówczas przestałby być siwiejącym, wiecznym talentem, a stałby się realnym liderem.

Na razie zamiast w pełni zajmować się własną kampanią, musi odpowiadać na ataki ze strony dawnego kolegi. Warto przypomnieć, że zaraz po ogłoszeniu swojej kandydatury sam się zlustrował w internecie. W żartobliwym tekście napisał, że „w młodości pijał tanie wino, z rzadka palił zioło i bywał niegrzeczny”. Wpis rozniósł się po portalach społecznościowych. W ostatnich dniach uwagę przykuł jednak szokujący wpis autorstwa Michała Dzięby – przed laty współpracownika Tuska i Trzaskowskiego. Zarzucił on kandydatowi PO zażywanie narkotyków, romans i wysługiwanie się biznesmenowi. Trzaskowski już zapowiedział pozew, podkreślając, że jego dawny kolega leczy się psychiatrycznie, czego Dzięba zresztą nie kryje. To najgłośniejszy akord w kampanii Platformy w ostatnich dniach.

Celem Trzaskowskiego jest wygrana w I turze. Sondaże pokazują, że to realne.



Kupowanie lojalności Nowoczesnej i SLD za obietnicę udziału we władzy to niska cena. Zwłaszcza że pozycja negocjacyjna tych partii jest słaba – startując samodzielnie mogą nie wejść do rady miasta.

Wymuszone uśmiechy

Równie wymuszona jak antypisowski alians w stolicy jest koalicja PO z Nowoczesną w wyborach do sejmików, a także najpewniej w dużych i średnich miastach. Katarzyna Lubnauer przejęła od Ryszarda Petru partię, która dołącza w sondażach, ma także mizerne struktury lokalne – samodzielny start tylko obnażyłby słabość „partii telewizyjnej”. Lubnauer lepiej było odrzucić sukces zawiązania koalicji z PO i targować się o cenę jednoczenia opozycji. Partie bardziej dla pozoru opracowały minimum programowe „Bliżej ludzi”.

Za kulisami uśmiechającej się koalicji jednak trzeszczy. Także w samej Platformie. W atmosferze skandalu partia wyrzuciła niegdyś wpływowego Jacka Kozłowskiego, byłego wojewodę mazowieckiego. Oskarżył on kierownictwo warszawskiej PO o „ustawienie” wyników wewnętrznych wyborów w stolicy. Z kolei były wiceprezydent Warszawy Jacek Wojciecho-



JAN RUSEK / AGENCJA GAZETA

Prezydent Gdańska Paweł Adamowicz w tunelu pod Martwą Wisłą, kwiecień 2016 r.

wicz odszedł sam, nazywając Schetyne „politykiem w stylu cinkciarza spod Pekwesu w latach 70.”.

Na takim tle Trzaskowski będzie – słyszymy w PO – prezentował siebie jako wizjonera o europejskich horyzontach. Chcącego brać to, co najlepsze z zachodnich metropolii. A że rozwój Warszawy jest zależny od pieniędzy z Unii, to, jak mówi jeden z jego współpracowników, PO może wykorzystać fakt, iż jako polityk obeznany z mechanizmami działania UE będzie te pieniądze sprawnie przyciągał. Im więcej sposobów na odwrócenie uwagi od afery reprivatyzacyjnej, tym lepiej.

Jak dotąd jednak Trzaskowski nie ma z kim rywalizować, bo PiS ociąga się z wyborem kandydata. Marszałek Senatu Stanisław Karczewski jest bezbarwny, a wiceministra Patryka Jakiego obciąża trwający kryzys polsko-izraelski, choć w sondażach wypada lepiej. Stąd PiS sonduje inne warianty, np. wystawienie szefa KPRM Michała Dworczyka – decyzja ma zapaść na przełomie kwietnia i maja.

Projekt Wałęsy

O ile w Warszawie rysuje się koalicja Platformy, Nowoczesnej i SLD, to w Gdańsku

– jak mówi jeden z ważnych polityków opozycji – aż się gotuje.

Od 20 lat prezydentem Gdańska jest Paweł Adamowicz – dziś bezpartyjny, ale związany z PO (był jednym z jej założycieli). Z kolei Jarosław Wałęsa – o czym mówił w wywiadzie dla „TP” – marzy o prezydenturze Gdańska od pięciu lat. Jako europoseł mieszkał z rodziną w Brukseli, ale przeprowadził się do Gdańska, by nie stawiano mu zarzutu, że bliższe są mu korytarze Parlamentu Europejskiego niż uliczki rodzinnego miasta. Kłopot w tym, że choć w Trójmieście wszyscy znają nazwisko Wałęsy, to w samej Platformie nie jest on popularny. – Nie znam Jarosława Wałęsy i nie wiem, co chce zaproponować wyborcom w Gdańsku. Oczekuję konkretów, jak miałyby wyglądać jego rządy – mówi Beata Dunajewska, radna PO.

Za pieniądze PE Wałęsa nagrał spot, w którym przekonywał, że choć dziś już posiłki w garniturze, to jest chłopakiem z gdańskiego blokowiska, w młodości popijającym z kumplami piwo w Parku Oliwskim. – Gdańsk ma nową, młodą twarz – rzucił w poincie filmu.

Dla niego starą, niewymienianą z nazwiska twarzą jest Paweł Adamowicz. Gdy

w 1998 r. Polacy wciąż przeliczali nowe tysiące na stare miliony, Adamowicz rządził już w Gdańsku – a dziś chciałby rządzić już szóstą kadencję. Razem prawie ćwierć wieku. Dlatego Wałęsa w wywiadach podkreśla, że Adamowicz przy okazji poprzednich wyborów nieoficjalnie obiecywał: to ostatnia kadencja. A skoro znów chce kandydować, to znaczy – sugeruje Wałęsa – że kłamał. Jeszcze w listopadzie 2017 r. Adamowicz mówił, że „nie będzie kandydował z własnego komitetu wyborczego” i „nie będzie rozbijał prodemokratycznych, proeuropejskich sił w Gdańsku”. Teraz nazywa to „pewnym wahaniem”.

– Gdybym miał walczyć np. z Jarosławem Wałęsą, to stałoby się bardzo źle. Na pewno w Gdańsku ludzie byłiby zdezorientowani. Czy jednak taki scenariusz się spełni, to już zależy od Platformy. Z takiej próby sił nikt nie wyjdzie bez szkód – mówi w rozmowie z „TP”.

Obaj kandydaci obrali jednak kurs kolizyjny. Na pytanie o kandydowanie Wałęsa odpowiedział: „Możliwe, że będę musiał”. Na razie nie ma widoków na przesilenie i rezygnację któregoś z nich.

Rozłam w gdańskiej PO na obozy Adamowicza i Wałęsy jest realny, bo ordynacja wyborcza nakazuje kandydatowi na prezydenta zarejestrować swój komitet do rady miasta i zgłosić kandydatów na radnych. Mówi polityk PO z Pomorza: – Jeśli ktoś nie dostanie miejsca na liście Platformy, to co mu pozostanie? Pójdzie do Adamowicza.

Gdy rozmawiałem z Lechem Wałęsą, na pytanie, czy chce, aby jego syn został prezydentem Gdańska, odpowiedział, że nie: – Bo to ciężka robota. Jarek jest po wypadku na motorze. Przed wypadkiem to jeszcze bym nawet chciał, ale po jest bardzo mocno zmaltretowany i potrzebuje lat, żeby jakoś z tego wyjść. Odradzam mu ten pomysł. W tym wieku synowie rzadko słuchają ojców. Mnie też w rodzinie mówili, że bym nie wchodził w politykę, bo źle na tym wyjdę – mówił Wałęsa senior.

Ale to była tylko kokieteria. Lech Wałęsa w rzeczywistości wykorzystuje autorytet, jakim cieszy się w Gdańsku, by torować synowi drogę do Ratusza. – Dwie kadencje i do widzenia – mówił Wałęsa do Adamowicza, którego zwał „swoim przyjacielem”, by pozbyć się konkurenta dla syna. Były prezydent przy okazji poprzednich kadencji Adamowicza tak głośno mu tego nie radził. Przeciwnie: zawsze go popierał.

Grillowanie Adamowicza

→

Sondaż GFK na zlecenie Radia Gdańsk pokazał, że według gdańszczan największe szanse na wygraną ma Adamowicz (41 proc.), za którym uplasowali się Jarosław Wałęsa (26 proc.) i Agnieszka Pomaska (11 proc.). Z kolei w badaniu Kantar dla „GW” na Adamowicza (jako kandydata niezależnego) chciało głosować 26 proc. – raptem o dwa punkty procentowe więcej niż na Wałęsę juniora. I jeszcze jedna liczba: co trzeci wyborca Adamowicza z 2014 r. chce teraz głosować na Wałęsę. Z kolei Ewę Lieder z Nowoczesnej popiera 6 proc. Sondaże można mnożyć, ale wniosek jest prosty: w Gdańsku liczą się tylko Adamowicz i Wałęsa, a ich szanse są wyrównane. PiS jest tłem. Najpopularniejszy pretendent do prezydentury z ramienia PiS – Kacper Płażyński (syn Macieja Płażyńskiego) – za sukces mógłby uznać wejście do II tury.

Dyżurny argument PO, aby odstawić Adamowicza na boczny tor, brzmi: trwa jego proces w sprawie nieprawdziwych informacji w oświadczeniach majątkowych. Nie wpisał do nich dwóch z siedmiu mieszkań i nie wykazał łącznie ok. 500 tys. zł oszczędności. Adamowicz przyznał się do „mechanicznego” powtarzania błędów i złożył korekty oświadczeń.

Proces nabiera rozpędu, choć dwa lata temu niemal się zakończył. Na polecenie prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry śledczy złożyli wówczas odwołanie od postanowienia sądu o warunkowym umorzeniu sprawy. Dzięki temu majątek Adamowicza jest znów prześwietlany.

– Trzymam się zasady domniemania niewinności, ale mam pewne obawy i ryzyko aresztowania bądź skazania Pawła Adamowicza mnie przeraża – mówi Be-

ata Dunajewska. Wyrok oznaczałby utratę stanowiska i wprowadzenie do miasta komisarza z PiS.

Prokuratura wciąż zajmuje się Adamowiczem co jest dziś na rękę Platformie. Mimo to Adamowicz profesjonalnie przygotował się do ponownego zgłoszenia swojej kandydatury: mówi wyuczonymi formułkami, odbył tournée po mediach. A lokalną Platformę przeliczył, dając młodzieży darmowe przejazdy komunikacją miejską, choć wcześniej był przeciwny. Potem zepsuł Schetynie urodziny – zadzwonił do niego właśnie tego dnia i poinformował, że startuje bez względu na niego i partię. Ma nawet gotowe hasło wyborcze.

Między PO a Nowoczesną trwa tymczasem przydługi kontredans. Schetyna wygłasza kwestie o poszukiwaniu wspólnego kandydata, a w rzeczywistości szuka najniższej ceny za poparcie Wałęsy przez Nowoczesną. Z kolei Lubnauer oficjalnie prezentuje swoją partyjną koleżankę jako kandydatkę, choć Ewa Lieder wcześniej deklarowała gotowość poparcia Wałęsy. Syn przywódcy Solidarności liczy z kolei na jak najszybsze namaszczenie przez obie partie.

Bruksela nie kusi

Prezydent Gdańska pod koniec minionego roku liczył, że proces zostanie zakończony szybko, co miało mu otworzyć drogę do nominacji od PO. Stało się odwrotnie, a zeznania świadków wydają się kłopotliwe. Owo pół miliona – wedle relacji Adamowicza – miało stanowić darowiznę ze strony dziadków jego żony dla prawnuków. W sądzie urzędniczka Urzędu Skarbowego wspominała, jak żona Adamowicza przekonywała, że dziadkowie mieli dysponować tak wielką kwotą, bo

babcia była krawcową „dla elity”. Z kolei dziadek miał przywieźć walizkę pieniędzy wracając z Niemiec, gdzie był na robotach. Urząd nie dał temu wiary. Dziadkowie już nie żyją.

To meandry, ale dla lokalnej polityki ważne. Z nieoficjalnych rozmów z działaczami Platformy wynika, że w partii przecierano oczy ze zdumienia. – Co jeszcze może wyjść? – pytają. Takie argumenty są dla PO i N wygodne, bo obie partie i bez nich chętnie pozbyłyby się Adamowicza z Ratusza.

Szefowa Nowoczesnej Katarzyna Lubnauer wprost powiedziała o nim, że jest „skompromitowany”, i wykluczyła poparcie. A kandydatka ugrupowania na prezydenta Gdańska, Ewa Lieder, mówi: – W polityce zaczęłam działać z powodu wściekłości na działania Pawła Adamowicza. Dziś, tak jak w 2014 r., startuję przeciwko niemu. Nie mogłabym poprzeć jego szóstej kadencji. Rządzi już 20 lat. Wystarczy. Co miał zrobić dobrego, to zrobił. A co zepsuł, to czas w końcu naprawić.

Platforma była gotowa dać Adamowiczowi – wedle jego uznania – dobre miejsce na listach do Parlamentu Europejskiego, które mają się odbyć pół roku po samorządowych, albo do Sejmu lub Senatu – za kolejne pół. Były tylko nie ubiegał się o szóstą kadencję w Gdańsku. Delegacja do Brukseli byłaby dla niego wygodna, bo to i immunitet, i duże pieniądze, więc w PO liczone, że przystanie na zamianę stołków z europosełm Wałęsą.

Tyle że Adamowicz nie chce być jednym z wielu w Brukseli. Woli być pierwszym w Gdańsku. Nie on jeden.

© JACEK GĄDEK

Autor jest dziennikarzem Gazeta.pl

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Chełmie, I Wydział Cywilny, w sprawie I Ns 747/17, z wniosku Grażyny Mrozek, toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości oznaczonej nr. 212, o powierzchni 0,40 ha, położonej w obrębie Stołpie, gm. Chełm, pow. chełmski, woj. lubelskie, dla której nie została urządzona księga wieczysta, a której posiadaczem samoistnym przed 1976 r. była Wiktoria Meckier.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 358/17 toczy się postępowanie z wniosku Kredyt Inkaso S.A. w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Ewie Beacie Wydra, z domu Kanclerz, c. Mieczysława i Alicji, ostatnio zwykle przebywającej w Warszawie przy ul. Rabsztyńskiej 7/9, m. 1, ur. 24 grudnia 1967 r. w Warszawie, zm. 17 lipca 2013 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OSTATNIE DNI NISKICH CEN PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”!



Szanowni Państwo,

ze względu na wprowadzone z dnia na dzień przez Pocztdę Polską podwyżki obsługi przesyłek krajowych zostaliśmy zmuszeni do podniesienia cen prenumeraty. Od 21 marca 2018 r. będzie funkcjonował nowy cennik, nad którym aktualnie pracujemy. Do tego czasu mogą jeszcze Państwo skorzystać z poprzedniej oferty.

Dołożymy wszelkich starań, by podwyżka była jak najmniej dotkliwa. Podkreślamy też, że „Tygodnik” w prenumeracie to pewność otrzymania każdego wydania, to egzemplarz dostarczany do skrzynki pocztowej oraz dostęp do ofert lojalnościowych dla Prenumeratorów.

Wydawca Tygodnika Powszechnego



CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ – AKTUALNY TYLKO DO 21 MARCA 2018!

Prenumerata	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	299 zł	349 zł
Półroczna (26 numerów)	189 zł	209 zł
Kwartalna (13 numerów)	99 zł	109 zł

Prenumeratę można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

PRENUMERATĘ ZAGRANICZNĄ można opłacić poprzez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Joanna Mazur-Polańska pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER
MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation

Szczęście alkoholika

TEKST KATARZYNA KUBISIOWSKA, ILUSTRACJE JOANNA RUSINEK

Po przebudzeniu potrafiłem policzkować się, wymyślając sobie od najgorszych. A teraz mam poranną radość, że jestem trzeźwy.

45-LETNIA URSZULA, pediatra:

Jako jedyny z rodziny miał cierpliwość wytłumaczyć mi zasady odczytywania godzin z tarczy zegarka. I nie skarcił, kiedy wyszło na jaw, że wykradałam czekoladki z pudełka schowanego na dnie jego szafy. W latach 70. to było peerelowskie „złote runo” – wujek Jędrzek skombinował je spod lady, znał pół miasta, był „konikiem”, stał pod peweksem z plikiem szeleszczących dolarów w kieszeni marynarki w kratę.

Gdy miał dni trzeźwe, zakładał idealnie wyprasowaną koszulę, buty pastował, golił się, spryskiwał wodą kolońską – wzór człowieka, tylko opuchlizna na twarzy zdradzała, że coś z nim jest nie tak. W trzeźwości nadrabiał stracone dni – pastował podłogi, mył okna, trzepał dywany, gotował obiady – na nowo chciał wskrzesić świat po alkoholowym armagedonie.

Ale jak pił, to na umór – od świtu do świtu, od poniedziałku do poniedziałku, od listopada do grudnia. Leżał pod bramą zasikany, nieraz we własnych rzygowinach. Głowa rozbita, oko fioletowe – strzęp człowieka.

Co rusz portfel mu ginął, co chwila izba wytrzeźwień. Jak był w lepszej formie, to na ostrej bani wracał do domu dorożką – na podwórku stukot końskich kopyt anonsował jego wejście, ściślej rzecz biorąc: wczolganie się na trzecie piętro. Nie awanturował się, nie podnosił ani głosu, ani ręki. Kilka razy podciął sobie żyły – wtedy mój ojciec, a jego brat, wzywał pogotowie. Pamiętam moje ośmioletnie nogi z waty, kiedy spostrzegłam kałużę krwi i wujka Jędrka nieprzytomnego. Nie chciał żyć? Czy nie chciał już pić i nie miał pojęcia, jak to przerwać, więc wołał przestać żyć?

Z wujkiem Jędrkiem pod jednym dachem mieszkaliśmy przez dziesięć lat. On ze swoją mamą, a moją babcią w jednym pokoju, my – rodzice, brat i ja – w pokoju obok. Wspólna kuchnia, łazienka, toaleta. Mama miała obsesję, że wujek Jędrzek nie wiadomo jaką zarazę do domu przywlecze. Z tego powodu wydała radykalny zakaz kąpienia się w wannie, mogłam wziąć wyłącznie prysznic. Do dziś ten nawyk mi pozostał...

A babcia kochała wujka Jędrka miłością małpią. Może ona jedyna wiedziała, że to była choroba: on pije nie dlatego, że lubi, tylko dlatego, że jakaś siła nie do opanowania pcha go w stronę wody. Najpierw umarła babcia, a za dwa lata wujek uznał, że najwyższa pora iść do niej w zaświaty. Wtedy mieszkaliśmy już w innej dzielnicy Krakowa, w końcu komuna przydzieliła rodzicom ciasne M-2.

Mój brat przyszedł do wujka, by mu przypomnieć, że punkt dziewiętnasta czekamy na niego przy wigilijnym stole. Brat dzwoni. Cisza. Puka. Cisza. Szarpie klamkę. Cisza.

Drzwi otwiera zapasowym kluczem. Wujek leżał w przedpokoju lodowaty, spokojny i, jak mówił wówczas 20-letni brat, uśmiechnięty. Umarł w nocy, nie trzeźwiął od trzech dni, wykończył go spirytus.

Jezus się rodził, wujek Jędrzek odchodził. Smutne to bardzo.



Na pogrzebie zażenowany ksiądz plót farmazony. Pani pyta, co miał powiedzieć? Nie mam pojęcia, jaka teologiczna reguła pasowałyby do topionego w wódzie doczesnego życia. Ale akurat ja wujka Jędrka lubiłam. I szanowałam.

Na raty

W Polsce na śmierć zapisują się tylko w jednym roku 10 tys. osób, w tym 7 tys. umiera wskutek marskości wątroby, krwotoku żyłaków przełyku, przedawkowania. Jak długo tych 10 tys. osób popełnia to samobójstwo na raty? – bo tym właśnie jest choroba alkoholowa. 10, 20, 40 lat?

Zaczyna się od przysłowiowego okocięcia, sączzonego małymi łykami na prywatce w szkole średniej. Potem więcej prywatki i więcej alkoholu. I z góry: kilka piw wieczorem, a rano trzeba „wałnąć klina”, bo głowa łupie, wytrzymać się nie da. Z czasem organizm reaguje wyłącznie na mocniejsze trunki – whisky jest w porządku, gorzka żółdkowa też. Przychodzi moment, kiedy nie można sobie przypomnieć fragmentów z dnia poprzedniego, ma się czarne dziury w mózgu. A przecież coś się dziać musiało, skoro okno wybite, ręka zraniona, kolana zdarte.

2 procent

Według Ministerstwa Zdrowia w Polsce żyje ok. 600-700 tys. alkoholików – 2 proc. społeczeństwa. Co piąty pijący popada

w alkoholizm i nie sposób przewidzieć, kto się uzależni. To loteria. Pewne jest tylko to, że alkoholikiem może być każdy: od uniwersyteckiego profesora po absolwenta podstawówki, od bezdomnego po rentiera. I rzecz kluczowa: alkoholizm nie jest dowodem braku silnej woli i wypaczonych moralności. To choroba, która odbiera kontrolę. Człowiek musi pić, nawet jeśli nie chce. Nie ma kontroli nad tym, ile pije, co pije, z kim, w jakich okolicznościach. Pije, choć wie, że to dla niego szkodliwe. Pije, choć chce się z picia wyrwać. Pije, choć cierpi. W Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób ICD-10 choroba alkoholowa trafiła do grupy F, uznana za „zaburzenia psychiczne i zaburzenia zachowania”.

Kokon

Degeneracja w chorobie alkoholowej postępuje w każdym paśmie: somatycznym, umysłowym, duchowym. Codzienność alkoholika kręci się wokół butelki, wszystko inne idzie na bok. Jednym z kryteriów diagnozy choroby alkoholowej jest niemożność rzućcia picia mimo doświadczanych negatywnych skutków: utraty pracy, rozpadu rodziny, kulejącego zdrowia, wszczynania publicznych skandali.

W tym mentalno-materialnym bałaganie pijący człowiek wykazuje się niebywałym sprytem: tworzy system obronny zwany mechanizmem iluzji i zaprzeczania.

Owija się w kokon chroniący go przed kontaktem z rzeczywistością i przyznaniem się przed samym sobą, że to, co robi, jest kładką w stronę nicości.

Stosując wyrafinowane strategie, podporządkowuje sobie otoczenie. To prosta droga do współuzależnienia: bliscy stają się uzależnieni od choroby alkoholika, tak jak on od butelki. Fałszywie pojmując troskę, zapewniają mu komfort picia: przejmują obowiązki domowe i ukrywają absencję w pracy. Słowem, umacniają alkoholika w nałogu, dopieszczając go w nim każdym ochronnym gestem.

Przykład. Pan Jędrak z dwoma promilami we krwi w drodze do domu zasypia na trawniku. Sąsiedzi donoszą żonie: „Zobacz, gdzie twój Jędrak leży”. Zawstydzona żona mobilizuje siły własne i dzieci, by go wciągnąć na górę, rozebrać, umyć, położyć do czystej pościeli. Pan Jędrak rano budzi się, trochę go suszy, ale widzi, że świat wkoło całkiem jest przyjemny, bo i schludnie, i szklanka wody na stoliku. Oczywiście nie ma pojęcia, że w nocy narozrabiał. I za kilka dni ta sytuacja na pewno się powtórzy.

Istnieje też druga możliwość: pan Jędrak budzi się o trzeciej nad ranem nieopodal domu, w błocie, bez jednego buta i portfela pełnego kart kredytowych. Ponosi więc konsekwencje picia, a wraz z tym pojawia się cień szansy, że nie będzie chciał tego powtarzać.

→



Piję, bo...

→ Marzeniem alkoholika jest wypić, ale w taki sposób, by móc kogoś za to obwinić. Szuka wkoło usprawiedliwienia, każdy pretekst jest dobry.

Tę pokrętną logikę brawurowo tłumaczy Juruś, narrator powieści Jerzego Pilcha „Pod Mocnym Aniołem”: „Piję, bo piję. Piję, bo lubię. Piję, bo się boję. Piję, bo jestem obciążony genetycznie. Wszyscy moi przodkowie pili. Pili moi pradiadowie i dziadowie, pił mój ojciec i piła moja matka. Nie mam ani siostr, ani braci, ale jestem pewien: gdyby byli na świecie, wszystkie moje siostry by piły i wszyscy moi bracia również by pili. Piję, bo mam słaby charakter. Piję, bo coś mi się przestawiło w głowie. Piję, bo jestem zbyt spokojny i chcę się ożywić. Piję, bo jestem nerwowy i chcę ukoić nerwy. Piję, bo jestem smutny i chcę rozweselić duszę. Piję, kiedy jestem szczęśliwie zakochany. Piję, bo daremnie szukam miłości. Piję, bo jestem zbyt normalny i potrzebuję odrobiny szaleństwa. Piję, gdy coś mnie boli i chcę ukoić ból. Piję z tęsknoty za kimś. I piję z nadmiaru spełnienia, kiedy ktoś przy mnie jest. Piję, kiedy słucham Mozarta i kiedy czytam Leibniza. Piję z powodu cielesnego uniesienia i piję z powodu seksualnego głodu. Piję, kiedy wypijam pierwszy kieliszek, i piję, kiedy wypijam ostatni kieliszek, wtedy piję tym bardziej, ponieważ ostatniego kieliszka nie wypilem nigdy”.

Właśnie – ostatni kieliszek. Alkoholik permanentnie odkłada go na zaś. DIALOGUJE z własnym sumieniem przekonując je, że dziś wychyli ten ostatni, a od jutra koniec. Gdy nadejdzie dzień, w którym znajdzie moc, by z niego świadomie zrezygnować, robi pierwszy krok w stronę trzeźwienia. Drugi krok... I tu zaczynają się serpentyny, i na pewno nie ma drogi na skróty.

Wyleczalni

Choć w lecznictwie wędrowało się latami właśnie na skróty. Kierowano na odwyk nakazem prawnym na mocy ustawy z 1959 r. Po odbyciu kuracji i przyjmowaniu anticolu pacjent stawał przed stołem nakrytym zielonym sukniem. Major MO oznajmiał: „W myśl ustawy antyalkoholowej jesteście wyleczeni”, siedząca obok przedstawicielka Ligi Kobiet potakiwała głową. Pacjent wracał do domu z dokumentem poświadczającym ozdrowienie i natychmiast wysyłał żonę po flaszkę.

Popularne były też „rzyganki” – polegające na wytworzeniu odruchu warunkowego. Podawano środek wymiotny, następnie alkohol, i się wymiotowało.

Lub pod skórę wszywało się esperal pełniący funkcję straszaka. Lęk budziła reakcja między nim a alkoholem, dlatego nadużywający decydował się na abstynencję, w kalendarzu odliczając dni do chwili, kiedy esperal przestanie działać i ponownie, na luzie, będzie można odkręcić pół litra.

W ostatnich czasach wielkie nadzieje rozbudziły cudowne pigułki – akamprozat i naltrekson – zmniejszające alkoholowy głód.

DOKTOR BOHDAN T. WORONOWICZ,

psychiatra, specjalista terapii uzależnień, prawie całe zawodowe życie poświęcił pomaganiu osobom z problemem alkoholowym i ich bliskim, z rezerwą odnosi się do farmakoterapii:

Zażywając naltrekson pije się mniej, ale gdy się go odstawi, wraca się do poprzedniego modelu picia. Jeszcze inna historia wiązała się z nalmefenem, który w 2013 r. został zatwierdzony do stosowania w Europie w leczeniu uzależnienia od alkoholu. Wkrótce w Polsce grupa utytułowanych specjalistów, z których część od dawna współpracowała z firmą produkującą nalmefen, wydała zalecenia dotyczące leczenia nim uzależnienia od alkoholu. Zalecano, aby każdy pacjent, który trafia do sieci lecznictwa odwykowego, obligatoryjnie otrzymywał ten lek, którego jedna tabletką kosztowała ok. 20 zł, czyli mniej więcej tyle, ile pół litra najtańszej wódki. Jeśli przemnożyć te dziesiątki tysięcy osób, które są w lecznictwie, to ktoś mógłby zrobić na tym niezły interes. Na szczęście ten pomysł nie przeszedł. I dobrze, bo dwa lata później szkoccy naukowcy z University of Stirling stwierdzili, że nie ma wystarczających dowodów na jego skuteczność w ograniczaniu spożywania alkoholu, a pozytywna ocena wydana przez European Medicines Agency oparta była głównie na wynikach trzech badań sponsorowanych przez producenta leku.

Moim zdaniem ludzie piją tylko częściowo ze względu na niedobory w układzie opioidowym, bo po spożyciu alkoholu wzrasta poziom tzw. hormonów szczęścia – endorfin, czyli endogennej morfiny – ale głównie dlatego, że nie radzą sobie z różnymi życiowymi sytuacjami.

Mają deficyty emocjonalne – alkoholizm to „choroba duszy”.

W połowie lat 70. w Polsce zaczęliśmy się przymierzać do psychoterapii uzależnień. To ona właśnie uczy, jak można funkcjonować bez alkoholu; żadna tabletką tego nie robi. Osoba uzależniona od alkoholu powinna dokonać zmian na najgłębszym osobistym poziomie – najpierw musi przyznać się przed samą sobą, że jest chora. Tego też żaden lek za nią nie załatwi.

W procesie radzenia sobie z uzależnieniem ogromne znaczenie ma Wspólnota Anonimowych Alkoholików. To ona wspiera niektórych nawet dożywotnio. Na mityngach spotykają się ludzie znający problem z autopsji. Pacjentowi, który przejdzie program psychoterapii uzależnienia, gdzie uzyskuje podstawową wiedzę na temat choroby, sugeruję wsparcie płynące ze Wspólnoty AA. Tam alkoholik spotyka takich samych jak on – trzeźwiejący alkoholik jest dla trzeźwiejącego alkoholika największym wsparciem. Poza wszystkim zdrowieć w samotności jest niezwykle trudno, w grupie o wiele łatwiej.

12 kroków

Kolebką AA są Stany Zjednoczone. W roku 1935 spotkało się w Akron dwóch mężczyzn. Jeden był człowiekiem interesu, drugi – chirurgiem; obaj zdążyli zapisać się niemal na śmierć. Próbowali różnych kuracji i wielokrotnie przebywali w szpitalach. Wydawało się pewne, także dla nich samych, że nie ma już ratunku. Przypadkiem stwierdzili zdumiewający fakt: kiedy przebywają w swoim towarzystwie, kiedy rozmawiają, nie chce im się sięgać po alkohol. Powiadomili o tym trzeciego alkoholika, prawnika, przykutego do łóżka szpitalnego. On też postanowił spróbować. Wszyscy trzej zaczęli pomagać innym alkoholikom. Kontynuując to zajęcie, nieznana z nazwisk garstka niepijących alkoholików uświadomiła sobie w 1937 r., że dwudziestu z nich zachowuje trzeźwość. Ustalili, że powinni spisać swoje przeżycia, aby ich doświadczenia można popularyzować. Tak powstały pierwsze grupy Anonimowych Alkoholików. Początkowo ich działania obejmowały terytorium USA i Kanady, ale z czasem swoim zasięgiem AA objęła cały świat.

W Polsce gwałtowny rozwój AA przypada na drugą połowę lat 80. Wielkim propagatorem tej idei był m.in. Wiktor Osiałyński, zmarły w kwietniu ubiegłego roku

po 34 latach życia w trzeźwości profesor nauk prawnych, specjalista w zakresie prawa konstytucyjnego i historii doktryn polityczno-prawnych, wykładowca akademicki, który podczas pobytu w USA poddał się leczeniu odwykowemu w ośrodku Caron Foundation – Chit Chat Farms, co stało się zarzewiem do napisania książki „Rehab”.

Dziś w Polsce działa ok. 2400 grup AA. Spotykają się w wynajmowanych lokalach, często przy kościołach lub poradniach odwykowych. Realizują program 12 Kroków. Polega on na zmienianiu siebie, właśnie krok po kroku, tym samym na dostosowywaniu się do wymagań, które stawia życie bez kropli alkoholu. Pozostają anonimowi nie tylko po to, żeby mieć poczucie bezpieczeństwa, lecz także by podkreślić, że różnica płci, wykształcenie, zamożność, pozycja społeczna nie mają znaczenia, gdyż ich podstawową cechą jest bycie alkoholikami. Kto przychodzi do AA? Pierwsze grupy zakładali robotnicy, dziś dużą część członków stanowią aktorzy, muzycy, adwokaci, lekarze, dziennikarze, księża i siostry zakonne.

Modlitwa o „Pogodę Ducha”

W Krakowie biorę udział w mityngu otwartym, czyli takim, w którym mogą uczestniczyć osoby spoza wspólnoty zainteresowane ideą AA (pierwszy mityng

AA w Krakowie odbył się 33 lata temu, 8 grudnia).

Spotkanie zaczyna się od „modlitwy o Pogodę Ducha” – modlitwy w przesłaniu świeckiej i skierowanej do Siły Wyższej, a nie do Boga z konkretnej religii (choć ponawiane próby opublikowania Dwunastu Kroków w polskiej prasie lat 60. i później były kolejno odrzucane przez Urząd Kontroli Prasy właśnie ze względu na odwołanie się do Boga jako istoty wspomagającej trzeźwienie).

Na mityngu każdy może się wypowiedzieć – krótko, na temat, nie oceniając innych i odnosząc się wyłącznie do swojego alkoholowego doświadczenia. Każdy, kto zabiera głos, przedstawia się z imienia i deklaruje, że jest alkoholikiem.

Uderza mnie ogromna samoświadomość tych ludzi, otwartość w mówieniu o najintymniejszych sprawach, nazywanie rzeczy po imieniu i, to zaskakujące, ogromne poczucie humoru. Czas spędzony na mityngach pozwala mi zrozumieć, że najlepszym wsparciem dla alkoholika będzie drugi alkoholik, o ile naprawdę zdrowieje i odmienia swoje życie. Przywoływanie dramatycznych epizodów z „piciorysu” jest tu jak najbardziej uzasadnione – każda z tych osób ma podobne wstydliwe epizody z przeszłości związane z kradzieżami, przemocą, nieuczciwością, nielojalnością, kłamstwami itp. Świadomość tego, już na początku zdrowienia,

uzmysławia poniesione straty, pozwala na rozliczenie się z przeszłością i pomaga w zadośćuczynieniu.

Inni ludzie

– Kiedy wiele lat temu usłyszałem: „jestem szczęśliwy, że jestem alkoholikiem” – to patrzyłem na tego człowieka ze zdziwieniem i z niedowierzaniem – mówi Bohdan T. Woronowicz. – Dopiero z czasem pojąłem, że skutki niekontrolowanego picia alkoholu zmusiły tę osobę do gruntownego zastanowienia się nad sobą samym, do przeanalizowania swojego życia. I wywrócenie do góry nogami dotychczasowego myślenia. Dziś to są inni ludzie – po zaprzestaniu picia dokonali wielu istotnych zmian i są teraz o wiele bardziej zadowoleni ze swojego życia niż przeciętny śmiertelnik niemający pojęcia, po co chodzi po świecie, bo nigdy nie zadał sobie tego pytania. AA uratowało na całym świecie miliony ludzi i wlało w ich egzystencję sens.

Kilka dni temu zadzwonił do mnie dawny pacjent Kazik, który nie pije od 38 lat. Wkrótce zadzwonił drugi – Ryszard, niepijący od 37 lat. Kiedy ci dwaj ludzie leczyli się u mnie, zorientowałem się, że pracują w tym samym zakładzie. Skontaktowałem ich ze sobą. I ten „starszy” wspierał w niepiciu „młodszego”. Powiedziałem, że jak stuknie im czterdziestka abstynencji, to niech się czują przeze mnie zaproszeni na elegancki obiad.

→





→ MAM NA IMIĘ KAMIL.

Jestem alkoholikiem...

Pić zacząłem, gdy miałem sześć lat. Mieszkaliśmy z rodzicami w Suchej Beskidzkiej. W rodzinie byłem najmłodszym dzieckiem. Jedyną moją zabawką była łódeczka zrobiona z puszki po byczkach w tomarcie. Czuję się nieszczęśliwy, bo starsze siostry studiowały w Warszawie, blisko miały dziadków, a ja całymi dniami chodziłem wokół domu sam: mama w pracy, tata w pracy, jakaś sąsiadka opiekowała się mną albo spędzałem długie godziny w kiosku Ruchu; do dziś czuję ten zapach – kredek, gazet, kolorowego druku. Lecz pewnego dnia łódeczka odpłynęła w siną dal, gdy ją puszczałem w potoczku. Plakałem za nią dwa dni. Tę zaznaną wówczas samotność i lęk za wiele lat zacząłem zapijać.

Życie toczyło się swoim rytmem: przeprowadzka do Warszawy, dorastanie, kompleksy, pierwszy nieudany seks, liceum, z którego mnie wyrzucają, komuna, która podcina skrzydła. Popijałem po lekcjach, w barze blisko szkoły.

Z całkiem dobrym wynikiem ukończyłem architekturę – to była połowa lat 70. Mam dyplom, mam pieniądze, bo dostaję olbrzymi spadek, i udaje mi się rozkręcić firmę architektoniczną. Dziewczyny tylko nie mam. Po pięciu latach, tuż przed ślubem, Anka zostawia mnie z dwiema obrączkami. Jej rozmiar palca – 12.

Wtedy mam pierwszy ciąg: trzy miesiące piję dzień w dzień, od rana.

Kiedyś pojechałem w interesach na Śląsk i przy okazji odwiedzam kumpla. A u niego impreza. Wojtek żegna swoją dziewczynę, która wylatuje do Argentyny.

W jednym pokoju mnóstwo ludzi. Palą i tańczą. W pokoju obok – siedzę z Wojtkiem na podłodze, każdy trzyma swoją flaszkę i pije z gwinta. Wojtek płacze, ja go obejmuję i pocieszam. Z dzisiejszej perspektywy oceniam to jako typowe pijackie sceny, a wtedy dla mnie to był dowód przyjaźni.

W pewnym momencie otwierają się drzwi i wchodzi śliczna kobieta z burzą rudych włosów. Przedstawia się: – Jestem Justyna. Pytam: – Jaki masz numer pierścionka? Justyna: – Dwanaście.

Następnego dnia oświadczam się obrączką po Ance.

Ślub za dwa miesiące. Za rok rodzi się Kasia, za dwa – Maciek.

Piję dużo mniej, są momenty, że w ogóle. Justyna jest wspaniałą kobietą, kocham i czuję się kochany. Tworzymy dobrą rodzinę, mamy dla siebie uwagę i czułość. Nawet gdy Justyna z dziećmi jedzie na wakacje, a ja zostaję w Warszawie, bo firmy trzeba doglądać, nie mam tęsknoty za alkoholem. Justyna jest prawnikiem, prowadzi kancelarię. Pod Warszawą budujemy ogromny dom. To marzenie Justyny: chce założyć dom dziecka. Przeznaczamy na to 27 pokoi. Część prywatna dla naszej czwórki – 200 metrów.

Rok 2000. Maciek ma 13 lat, Kasia – 15. W lipcu pojechaliśmy wszyscy na wakacje do Włoch. Justyna, po długiej przerwie, była w kolejnej w ciąży. We wrześniu prosi, byśmy raz jeszcze pojechali do tego samego miasteczka nad Adriatykiem – tylko my. Dzieci zostawimy pod opieką dziadków. Boję się tej podróży, czuję, że może wydarzyć się coś złego. Ostatniego dnia pobytu – 17 września – idziemy po-

tańczyć na dach hotelu. Jest tam taras otoczony metalowymi barierkami. Justyna założyła czerwoną sukienkę, ciąży jeszcze nie widać. Jest piękna. Pijemy wino. Ona pół kieliszka, ja resztę butelki. Ale dla mnie to pryszcz. Wtedy na raz potrafiłem wychylić litr wódki. Przy jednym z obrotów Justynie łamie się szpilka. Nie utrzymuję jej, skronią uderza o metalową barierkę. Umiera na miejscu.

Nie miałem odwagi zadzwonić do Polski. Gdy alkoholik nie ma odwagi, to wydaje mu się, że gdy wypije litr wódki, na pewno jej nabierze. Ale ja piję i nie nabieram. Horror trwał półtora tygodnia – Justynę pochowałem sam. Jej ciała nie mogłem do Polski od razu przewieźć, bo lato, bo chłodnia, bo prokurator, bo dochodzenie, jak do tego doszło. Dopiero gdy wróciłem do Warszawy, powiedziałem dzieciom, że mamy nigdy już nie zobaczą. Koszmar. Ciało Justyny udało mi się sprowadzić na warszawski cmentarz dopiero sześć lat później.

Od tego momentu piłem praktycznie non stop. Głównie w nocy. W dzień udawałem, że opiekuję się dziećmi. Ale średnio mi to wychodziło. Tamtej jesieni wiozłem Kasię na basen, kołem ostro zahaczyłem o krawężnik. Córka zaczęła półszepetem śpiewać – zawsze tak robiła, gdy widziała ojca pijanego.

Mieszkaliśmy w trójkę w domu z 27 pokojami. Wszędzie widywałem Justynę z jej marzeniem o domu dziecka, którego ja – wiecznie pijany – nie potrafiłem zrealizować. Robiłem ruchy pozorowane: wymieniałem wykładziny, umeblowałem pokoje i zgłosiłem do sanepidu do odbioru. Ale gdy przychodziła data kontroli, regu-

larnie byłem pijany. Odwoływałem sanepid. Dzwoniłem mówiąc, że jednak jeszcze nie skończyłem. Mimo że wszystko było gotowe. Wstydzilem się siebie.

Czerwoną sukienkę Justyny odzyskałem. To ważne, bo świadczy o tym, jak ciężko jestem chory. Zamknąłem ją w metalowym pudełku, zakleiłem skoczem i 17 września puszczałem z laptopa „*Lady in red*” – piosenkę, do której tańczyliśmy w ostatni wieczór. Otwieram i wącham. Pierwszego roku pachnie Justyną, drugiego pachnie Justyną. Trzeciego piję potwornie, bo już nie czuję żadnego zapachu. Takie urządzałem nabożeństwa na cześć nieżyjącej żony. Gdy komuś o tym opowiadałem, słyszałem: „Boże, jak ty ją w dalszym ciągu kochasz...”.

Maj, dzień matury Kasi. Wróciłem w nocy z mojej ulubionej knajpy w Warszawie, w której zostawiłem przez lata picia równowartość dużego mieszkania. Obudziłem się w garażu, na betonowej posadzce, w samych slupkach. Nie mam spodni, nie mam zegarka, nie mam marynarki. Pierwsza myśl: czy piechotą przyszedłem w slupkach z centrum miasta na wieś? Druga: czy w takim stanie przywiózł mnie taksówkarz? Trzecia: czy mnie ktoś widział w nocy? Okazało się, że fantazja złapała mnie kilkadziesiąt metrów przed wejściem do domu. Na wiśnię rzuciłem marynarkę, rozebrałem się, bo chciałem natychmiast położyć się spać. Odwagi mi wystarczyło na wejście do garażu – z picciem ukrywałem się latami. Firma kręciła się – praca była moim alibi. Mówiłem dzieciom, że jadę do Francji, bo złapałem świetne kontakty. I to mi dawało tydzień wolności w warszawskich knajpach. Kwa-

terowałem się w hotelu, mogłem pić bez limitów. W rzeczywistości nie chodziło o tę wolność, ale by Kasi i Maćkowi, nieszcześliwym po stracie matki, swoim pijaństwem nieszczęścia nie powiększać. Dlatego się kryłem. Ale bezsilny, nie wiedząc, jak szóstego dnia wrócić do domu, zadaje sobie pytanie: nie widzą mojego cierpienia? I natychmiast przychodzi refleksja: przecież ty się ukrywasz, ty jesteś partyzant, ty *gieroj*. Zobacz: nikt nie wie.

Nigdy nie piłem z radości. Piłem z niepowodzeń lub z lęku, że niepowodzenie nastąpi. Piłem, by wyprzedzić strach.

W ciągach okłamywałem się w ten sposób: wypiję tylko dwie setki i na pewno będę miał tyle siły, by wstać i wyjść z knajpy – taką rozmowę prowadziłem z własną głową. Jeszcze jedna setka, przecież nic się nie dzieje, przecież wstałem, przecież byłem w toalecie... Tolerancja na alkohol u alkoholika w miarę picia wzrasta. W pewnym momencie piłem na dobę dwa i pół litra żółdkowej gorzkiej, zwanej „rudą”. Bardzo ją lubiłem. Można ją było pić z gwinta, gdy już nie miałem możliwości nalania sobie do szklanki, bo szyjka butelki omijała jej brzegi. Wkoło rozlana woda. Pamiętam lepiące się hotelowe blaty, gdy rano wstawałem i sięgałem po przyklejony do nich telefon.

Zawsze zabezpieczałem się i kilka butelek miałem przy sobie, gdyby nastąpił moment, że nie będę mógł chodzić. Chciało mi się pić. Organizm domagał się paliwa. Bolała wątrobka, wszystko wewnątrz paliło. Marzyłem o tym, by zwymiotować, zwrócić to, co boli, rzecz jasna, tylko po to, by móc pić dalej. Trzeciego tygodnia ciągu nie chciałem już pić, ale musiałem.

Wracam do garażu. Drzwi domu zatrzasnęły się, patrzę przez małe okienko i widzę warkocz Kasi. Ja rozdygotany, w slupkach, jeszcze nie znalazłem swoich rzeczy. I rozpacz, że nie mogę córki przed egzaminem maturalnym przytulić, mówiąc: „Powodzenia”.

Tego samego dnia mam mistyczne doświadczenie. Słyszę głos Justyny: – Kamil, nie pij, mamy dzieci. „Aha, nie jestem sam, ona o mnie myśli, dalej mnie kocha” – tłumaczę sobie. Zdarzyło się to ten jeden raz i jestem pewien, że to było delirium. Ale na tyle mocne doświadczenie, by przestać pić. Trzy lata ani kropli.

W 2015 r. zaczęły się kłopoty w firmie, i tak zdumiewające, że tak późno. No, ale oczywiście to był powód, by znowu wpaść w ciąg. Kasia i Maciek założyli już rodziny.

Był lipiec, ciemno, koło 22. Zakwaterowałem się w jednym z hoteli. Wcześniej wykąpałem się, co było rzadkością. Na trzeci, czwarty dzień bałem się wchodzić pod prysznic, by nie wyróżnić orla. Raz wyróciłem się i leżałem na posadzce nieprzytomny, nie mam pojęcia jak długo. Włożyłem świeżą koszulę, zawsze miałem ją pod ręką, bo jak jestem cały brudny w środku, to chociaż po wierchu muszę być czysty. Rozsuwam zasłonę, a na ulicy stoi Maciek i macha w moją stronę. O kurwa, przecież ja jestem w Marsylii! – wpadam w panikę. Wyjrzałem tylko, by zobaczyć, gdzie się jeszcze świeci. Może spotkam kogoś znajomego. Zupełnie idiotycznym odruchem zgasiłem światło. Za moment pukanie do drzwi. Nie zabarykadowałem ich szafą tylko z braku sił. W zamku zgrzyt przekręcanego klucza. Maciek przekonał recepcjonistę, że trzeba ➔

→ działać, że tu jest jego ojciec i istnieje zagrożenie życia. Stoję naprzeciwko mojego syna. – Tato, ja wiedziałem. – Siadaj synu, co wiedziałeś? – Że to nie pierwszy raz, wróć dzisiaj do domu. – Tak, wrócę, obiecuję. Tylko nie wylewaj, proszę, tej wódki, bo umrę, jak jej nie wypiję.

Skąd Maciek wiedział, gdzie jestem? Gdy laziłem po Warszawie przez cały tydzień nawalony, w samotności i z samotności pisałem esemesy lub dzwoniłem po ludziach. Szukałem kontaktu, by ktoś żywy coś do mnie powiedział. Jednej z koleżanek przyznałem się, gdzie śpię, dodając, że powieszę się, bo już dłużej tak nie mogę. To ona zadzwoniła do Maćka.

Maciek wyszedł z hotelu, ja wypilem resztę wódki. I minął strach związany z konfrontacją z dzieckiem. Więc pojechałem pięć przecznic dalej do innego hotelu.

Jeszcze chciałem się napić. Bo teraz trzeba będzie opowiedzieć ostatnie lata. No to jeszcze schowam się, jeszcze dam sobie czas, jeszcze nie dziś... Wypilem litr żółtkowej. Rano wychodzę z hotelu. – Mam coś dla pana – mówi recepcjonistka. Otwieram kopertę, czytam: „Tato obiecałeś”.

Okazało się, że ponownie dzwoniłem do tej kumpeli, mówiąc jej, gdzie jestem i że chcę się zabić. I ponownie ona zadzwoniła do Maćka.

Zamawiam taksówkę, wracam do domu, otwieram komputer, szukam rachunku.

Jedynie znane mi miejsce to Tworki. Słyszałem, że zajmują się takimi jak ja. Warunek: trzeba być trzeźwym. Na izbie przyjęć przyjęła mnie przepięknej urody pani doktor. Opowiedziałem krótko, co mnie sprowadza. Pani doktor zaczęła wypełniać ankietę: imię, nazwisko, czy cierpi pan na inne choroby przewlekłe?... Patrząc w jej oczy mówię: – Tak, pani doktor, bardzo szybko się zakochuję. Ona: – Proszę panu zbadać trzeźwość! 2,73 – do domu!

Wypilem setkę i w Google wpisałem hasło: „terapię prywatną”. Znalazłem ośrodek, dzwonię, rozmawiam z właścicielem. Przedstawia się: – Ja mam na imię Jacek. A ty? – Kamil. – Kamil, przyjeżdżaj.

Spakowałem się w trzy sekundy, jazda trwała pół godziny. I rozmowa z taksówkarzem, pierwszą osobą, której przyznałem się do tego, że jestem alkoholikiem. Pytam: – Wie pan, gdzie jedziemy? – No tak, mówił pan. – Ale wie pan, co tam jest? – Podał pan numer, nie ma pojęcia. – Tam jest ośrodek leczenia alkoholizmu, jestem alkoholikiem, już sobie nie mogę poradzić.



Siedząc z tyłu, zobaczyłem jego oczy. – Boże, jak to dobrze. Mój brat pije i nigdy takiej decyzji nie podjął.

Zostałem przyjęty, obmyślając jednocześnie, jak by tu w nocy można było przeskoczyć przez ogrodzenie, bo widziałem z taksówki 500 metrów wcześniej taki fantastyczny sklepik. Ale nie, spodoba mi się. Jest 24 lipca, południe, jak w „Żółtym szaliku”, na początek dostaję pożywną zupę. Zostaję miesiąc.

Interesujące rzeczy na terapii usłyszałem. Okazało się, że moim problemem nie była wódka, tylko nieumiejętność życia. Wódka była lekarstwem na tę ułomność. W tym ośrodku nowe życie się dla mnie zaczęło. Po tygodniu pobytu stwierdzam, że nie chce mi się pić. Po dwóch, że w ogóle nie myślę o alkoholu.

Kto chce, w niedzielę jedzie do kościoła, obok którego stoi czynny tego dnia sklep. Dowiaduję się, że Artur z terapii kupił sobie flaszkę i wypił ją w nocy. – Jaki nieodpowiedzialny! – myślę.

A przecież to samo robiłem dwa tygodnie temu.

W programie terapii są wizyty w jednym z klasztorów. Za pierwszym i drugim razem nic mi nie dała ani cisza, ani światło wpadające przez witraże, ani próba kontemplacji. Oczekuję, że z nieba list od Boga dostanę. Za trzecim razem zmieniam miejsce, dotąd siadałem w ostatniej ławce. I teraz dopiero zobaczę obraz nieudolnie przez jakiegoś mnicha namalowany dwieście, może trzysta lat temu: panowie w gronostajach z kielichami w drugim planie przy stole, a na planie pierwszym mężczyzna półnagi, przewiązany tylko białym płótnem, biczujący się przed małym ołtarzykiem. Alegoria pokory. Patrząc na ten obraz i wiem, że mogę już nie pić w ogóle. W moim życiu wydarzył się, mówię to śmiało, cud.

Teraz jestem w AA. Codziennie uczestniczę w mityngu. Słyszałem historie o człowieku, który w trzeźwości żył przez 17 lat, uznał, że jest zdrowy, wypił jeden kieliszek, wpadł w ciąg i zapił się na śmierć. Chciał nadrobić 17 lat abstynencji, ale organizm odwykł.

Są ludzie, którzy wyjeżdżając na tydzień za granicę, szukają miejsc na spotkania AA we Francji, w Niemczech. Robią to świadomie. Boją się tego, że gdy znajdą się w obcym środowisku, to przypomną im się czasy, kiedy wyjeżdżali – i to była okazja, by się napić.

Nie lubiłem siebie dawniej. Po przebudzeniu potrafiłem policzkować się w tych hotelach, wymyślając sobie od najgorszych. A teraz mam, wartą wszystkich pieniędzy, poranną radość, że jestem trzeźwy, że nic mnie nie boli, że nie muszę pić, że mogę działać.

Dalej prowadzę firmę. Jednak po zakończeniu terapii zajmuję się wyłącznie ostatnim etapem w dogrywaniu kontraktów. Planowo pozbyłem się zapalnika w postaci pracy – to z jej powodu w pewnym momencie wróciłem do picia. W styczniu tego roku spaliła mi się jedna trzecia firmy. Gdyby to zdarzyło się trzy lata temu, to teraz byśmy nie rozmawiali. Chłabym do dzisiaj.

Dom z 27 pokojami sprzedałem. Zakończyłem trwającą 15 lat żałobę po Justynie. Zaakceptowałem, że z przeszłością nic nie zrobię, że Justyna nie uśmiechnie się nigdy do mnie. Pozostał mi szacunek dla wspólnych przeżyć. I pamięć.

Dziś staram się być uczciwy. Nie konfabuluję. Nie boję się pytań. Dawniej z hotelu w Warszawie potrafiłem pisać esemesa do córki: „Wiesz, tutaj już się zaczął sezon żeglarski, siedzę przy stoliku, piję kawę, pusta plaża, ciepło. A co tam u was?”.

Niedawno podczas mityngu jeden z chłopaków powiedział: „Przeżyłem wiele tragedii, niektóre z nich naprawdę. Reszta była wymyślona”. Bardzo mi się to spodobało.

Łódeczka z dzieciństwa przypłynęła. I, o dziwo, nie jest zardzewiała. Mimo to, że ma już pewnie 58 lat. Błyszczą w słońcu czy deszczu poranka – każdego dnia, gdy budzę się trzeźwy. Przypłynęła jako moje trzeźwe szczęście. Jako brak lęku, który w pijanym życiu zabijał.

Mam na imię Kamil. Jestem szczęśliwym, trzeźwiejącym alkoholikiem.

© KATARZYNA KUBISIOWSKA

ANNA

Dziewit-Meller: *Owiniemy cię flagą*



NIE WIEM DO DZIŚ, CZYJE TO BYŁY KSIĄŻKI, ALE pamiętam, że leżały długo na dolnej półce małej biblioteczki w domu w górach, gdzie jeździliśmy na wakacje w czasach mojego dzieciństwa. Stare podręczniki do nauki rosyjskiego, w porządnym, twardym, żółtym okładkach. Nadawały się idealnie do tego, by je pokolorować, z tymi swoimi czarno-białymi ilustracjami do tekstów, których oczywiście nie rozumiałam, nie umiając wówczas jeszcze czytać nie tylko bukw, ale i łacińskich liter.

Czegóż tam nie było? I egzotyczne zwierzęta, i rośliny z tajgi, i fabryki dymiące z kominów, i wesołe wakacje nad Morzem Czarnym – ot, cała potęga Związku Radzieckiego, zawarta w czytankach dla szczęśliwych dzieci. Przede wszystkim jednak był Lenin, i to w dużych ilościach. Pamiętam, jak kolorowałam jego przyciętą równo brodę i kaszkiet kredkami świecowymi. Lenin występował zawsze w otoczeniu dzieci, które uśmiechały się szeroko, wręczały mu kwiaty i tuliły się do niego jak do dobrego ojca. A on rozdawał im pocałunki.

Wkrótce się okazało, że to jednak nie były nasze książki i że jest chryja, bo ich właściciele nie docenili faktu, że pieczę Magnitogorska zostały pokolorowane we wszystkie kolory tęczy, a Lenin ma kaszkiet w kwiaty.

Może z tego właśnie względu – mając wryte w podświadomość wspomnienie grubszej afery z Leninem w tle – impregnowałam się na ten rodzaj propagandy i strasznie brzydzę się przedstawieniami satrapów, którzy całują podstawiane im przez usłużnych nauczycieli/rodziców/Bóg wie kogo małe dzieci. A lubią oni to, oj lubią. Nic tak nie ociepla wizerunku najgorszego zamordysty jak ufna mała łapka w spoconej władczej dłoni.

Tymczasem ubiegły tydzień przyniósł światu, pośród wielu innych strasznych obrazów, także ten: gdy w Polsce pod ambasadą Turcji odbywały się protesty przeciwko skazywaniu na DOŻYWOCIE dziennikarzy, którzy nie podobają się reżimowi, prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan przemawiał na wiecu w Kahramanmaraş, gdzie wśród tłumu wypatrzył dziewczynkę w militarnym stroju. Wyciągnął ją natychmiast na scenę i postawił obok siebie. Na zdjęciu, które obiegło świat, widać, jak prezydent pochyla się nad sześciolatką i składa jej pocałunek na policzku, choć dziecko jest przerażone tą dorosłą obcą twarzą, która przysuwa się do jej małej buzi.

Gdybyż jeszcze poprzestał na przytulasach – może nie byłoby o co drzeć szat, ot, kolejny watażka, który potrzebuje świeżej krwi na obrazku. Ale ten przywódca kraju, w którym co dzień ktoś trafia do więzienia za myślozbrodnie przeciw reżimowi, rzekł do zanoszącego się szlochom dziecka: – Nie płacz dziewczynko. Kiedy umrzesz za ojczyznę, owiniemy cię turecką flagą.

Wizja męczeńskiej śmierci na polu bitwy nie wpłynęła jednak dobrze na samopoczucie dziecka. Oj, nie robi ona chyba wielkiej kariery w armii, ta mała, wbrew wyrażnej woli rodziców, którzy przecież wbili ją w mundur i wsadzili jej na głowę bordowy beret, każąc salutować przed satrapą na wiecu.

Ale zaraz, zaraz – coś mi tu pobrzmiwa znajomo. Jakbym to już gdzieś słyszała. Dzieci w mundurach? Gloryfikacja męczeńskiej śmierci za ojczyznę w jak najmłodszym wieku? Rekonstrukcja akcji pod Arsenalem dla grup wiekowych od 3 do 5 i od 6 do 9? Córeczko, jeśli zginiesz na wojnie o Polskę, owiniemy cię piękną białą-czerwoną flagą i złożymy do małej trumienki. Wszędzie to samo – ojczyzna pragnie ofiary albo przynajmniej gotowości do jej złożenia. To jest chyba zła matka, taka ojczyzna.

W kinach zaś film „W ułamku sekundy” niemieckiego reżysera tureckiego pochodzenia Fatiha Akin. W zamachu bombowym przygotowanym przez neonazistów giną kurdyjski mąż i synek bohaterki. Precyzyjny do bólu, chłodny opis tego, co dzieje się z ciałem dziecka poddanym działaniu bomby domowej roboty, jest niczym cios pięścią w twarz. Chciałabym gorąco polecić ten film nie tylko całej ambasadzie tureckiej, ale i wszystkim miłośnikom dzieci w mundurach. Zabierzcie splendory śmierci dla siebie. Dzieci zostawcie w spokoju. ©

TP

W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA”

znajdą Państwo specjalny dodatek poświęcony gdańskiej nagrodzie literackiej

Europejski Poeta Wolności

a w nim: tekst Pawła Sottysa (znanego też jako Pablopavo), w którym tłumaczy, czym jest poezja i dlaczego warto ją czytać, a także wywiad z Andą Rottenberg i Zbigniewem Mikotejką, jurorami Nagrody, którzy opowiadają o wierszach silniejszych od polityki, a na koniec prezentację wszystkich ośmiu nominowanych w tym roku tomików. Zapraszamy do lektury oraz na Festiwal do Gdańska (23-25 marca)!

instytut
kultury
miejskiej



TOAST ZA NIEPODLEGŁOŚĆ

Szukając sojuszników, Litwa nie zapomina o Polsce. Choć atmosfera w naszych relacjach w ostatnich latach była zła, dziś powoli zmienia się na lepsze.

DOMINIK WILCZEWSKI Z WILNA

NAWET EPIDEMIA GRYPY NIE POWSTRZYMAŁA Litwinów, którzy w piątek, 16 lutego, tłumnie wzięli udział w wileńskich obchodach stulecia odzyskania niepodległości. Mróz co prawda nie doskwierał, ale jeśli komuś było zimno, mógł ogrzać się przy jednym ze stu ognisk płonących w alei Giedymina – reprezentacyjnej ulicy stolicy. Na finał uroczystości przygotowano koncert z udziałem gwiazd lokalnej estrady i pokaz sztucznych ogni.

W tym samym czasie w Operze Narodowej w dźwięki muzyki klasycznej wsłuchiwali się politycy – w tym prezydent Dalia Grybauskaitė i jej zagraniczni goście, m.in. prezydenci Niemiec Frank-Walter Steinmeier, Ukrainy Petro Poroszenko i Polski Andrzej Duda, a także szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker i przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk.

Łatwo zauważyć, którego z sąsiadów Litwy zabrakło na wileńskich uroczystościach. Ale nieobecność prezydenta Władimira Putina nikogo nie dziwiła. Od kiedy Rosja anektowała Krym i rozpoczęła wojnę przeciwko Ukrainie, rosyjscy politycy nie są tu mile widziani.

Wilno, luty 1918

Sto lat temu odbudowa litewskiej państwowości – po ponad 120 latach od czasu, gdy przestała istnieć Rzeczpospolita

Wielu Narodów (której częścią stało się po unii lubelskiej z 1569 r. Wielkie Księstwo Litewskie, wcześniej będące – w unii z Koroną Polską – jednak samodzielnym państwem) – nie była sprawą łatwą.

W dniu, w którym Rada Litewska (Taryba) uchwaliła Akt Niepodległości, w Wilnie stacjonowało niemieckie wojsko, a tereny przyszłego państwa – jeszcze parę lat wcześniej będące guberniami carskiego imperium – były pod okupacją wojsk niemieckich, które w wyniku kolejnych zwycięskich ofensyw przesunęły front I wojny światowej daleko na wschód.

Wilno zamieszkiwali wtedy głównie Polacy i Żydzi, Litwinów była dosłownie garstka. Za miedzą szalała już od kilku miesięcy bolszewicka rewolucja. Tak naprawdę budowa państwa mogła rozpocząć się dopiero pod koniec roku 1918, gdy Niemcy (oraz bardziej na południu Austriacy) zaczęli wycofywać się z terytoriów wschodnich. A trzeba było jeszcze stoczyć walki z bolszewikami i Polakami. Wilno, jak wiemy, nie udało się wówczas Litwinom utrzymać – stolicą nowego państwa (jak powtarzano: „tymczasową”) miało stać się Kowno.

Dokument odnaleziony

Litwini zrobili wiele, aby obchody stulecia odzyskania niepodległości nie wyglą-



SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

dały sztampowo, aby nie ograniczyły się tylko do drętowych mów polityków i salw honorowych.

W przeddzień święta na profilach Kolei Litewskich w serwisach społecznościowych pojawił się film, w którym litewski hymn wykonują... lokomotywy, dyrygowane przez Mantasa Katkusa, kierownika artystycznego Orkiestry Kameralnej św. Krzysztofa. Z kolei w aplikacji Spotify zamieszczono playlistę z setką najbardziej charakterystycznych litewskich kompozycji. Znalazło się na niej miejsce zarówno dla poematu „Morze”, najsłynniejszego litewskiego kompozytora Čiur-



Obchody 100-lecia odzyskania niepodległości przez Litwę, aleja Giedymina, Wilno, 16 lutego 2018 r.

lionisa, jak i dla elektronicznych rytmów świętującego triumfy w Europie duetu Golden Parazyth.

Najważniejszy dokument – Akt 16 Lutego – można dziś oglądać w miejscu jego podpisania, czyli w Domu Sygnatariuszy na wileńskiej starówce. Jest schowany za kuloodporną szybą i strzeżony przez funkcjonariuszy litewskiego odpowiednika Biura Ochrony Rządu.

Niewiele brakowało, a Litwinom musiałaby wystarczyć jego kopia. Jeszcze rok temu nikt nie zdawał sobie sprawy, gdzie znajduje się oryginał Aktu. Dopiero niedawno, 29 marca 2017 r., z Berlina nade-

szła sensacyjna wiadomość: dokument został odnaleziony w archiwum niemieckiego MSZ.

Prof. Liudas Mažylis, który dokonał tego odkrycia, z dnia na dzień z nieznanego szeregu naukowca stał się narodowym bohaterem. Radość ze znaleziska zmąciły jedynie kąśliwe komentarze, że Akt musiał czekać na Mažylisa, bo najwyraźniej nikt z gwiazd litewskiej nauki nie wpadł wcześniej na to, że dokument może być przechowywany w Niemczech.

Przy okazji nie zabrakło narzekania na stan szkolnictwa wyższego: uniwersytetów jest jakoby za dużo i nie nadążają za

potrzebami rynku pracy, a absolwenci zamiast oddawać swoje talenty Litwie, zasilają szeregi emigrantów...

Karbauskis z tylnego fotela

W dniu uroczystości na trybunie honorowej przed Pałacem Prezydenckim zabrakło natomiast miejsca dla lidera partii rządzącej – Związku Rolników i Zielonych – Ramūnasa Karbauskisa. Poszedł on bowiem w ślady Jarosława Kaczyńskiego i nie objął funkcji premiera. Na szefa rządu delegował formalnie bezpartyjnego Sauliusa Skvernelisa, byłego szefa policji i ministra spraw wewnętrznych. Sam →

→ zadowolili się stanowiskiem przewodniczącego frakcji i szefa sejmowej komisji kultury.

Nie ma w tym nic dziwnego, że Karbauskis – 48-letni biznesmen, właściciel wielobranżowego giganta Agrokoncernas i ponad 30 tys. hektarów gruntów – wybrał akurat tę komisję. Jest on zafascynowany litewskim folklorem i tradycyjnymi wierzeniami starożytnych Białtów.

Jego sukces (ten polityczny) przyszedł nagle. Jesienią 2016 r. Związek Rolników i Zielonych nieoczekiwanie wygrał wybory parlamentarne, chociaż sondaże wróżyły sukces dwóch tradycyjnych antagonistów litewskiej polityki: konserwatywnego Związku Ojczyzny (czyli partii założonej przez „ojca” powtórnie odzyskanej niepodległości, prof. Vytautasa Landsbergisa) oraz Partii Socjaldemokratycznej (stworzonej w miejsce dawnej partii komunistycznej przez jej ostatniego szefa, a później prezydenta i premiera Litwy Algirdasa Brazauskasa). W 141-osobowym Sejmie Rolnicy i Zieloni objęli 54 mandaty. Tak dużej frakcji tworzonej przez jedną partię nie było w parlamencie od 1992 r.

Dwie Litwy

Jak to się stało, że partia, która we wcześniejszych wyborach delegowała do Sejmu ledwie po kilku posłów, tym razem osiągnęła tak duży sukces?

– Ludzie chcieli czegoś nowego, a ta partia miała w sobie potencjał zmian – wyjaśnia mi Ainė Ramonaitė, politolog z Uniwersytetu Wileńskiego. Litwini byli zmęczeni dotychczasowym układem sił na scenie politycznej, z których żadna nie potrafiła rozwiązać ich problemów. A Rolnicy i Zieloni obiecali, że zaprowadzą rządy „bezpартijnych profesjonalistów”. Do zwycięstwa przyczyniła się też osobista popularność przyszłego premiera Sauliusa Skvernelisa, który – choć nie wstąpił do partii – to stał na czele jej listy wyborczej.

Ze swoim ludowym konserwatyzmem Rolnicy i Zieloni wchodzili na teren zarezerwowany dotąd dla Związku Ojczyzny. Z drugiej strony, obiecując zatroszczenie się o najbardziej potrzebujących i poszkodowanych przez reformy, podbierali głosy lewicy. Skorzystali z błędów rządzących socjaldemokratów, którzy na ostatniej prostej przed wyborami przeforsowali projekt liberalizacji kodeksu pracy, co prawdopodobnie zdecydowało o ich wyborczej porażce.

Wileńscy eksperci i publicyści nie przewidzieli wtedy sukcesu Karbauskisa i jego partii. Nie dostrzegali, że od dłuższego czasu Rolnicy i Zieloni aktywnie działali w terenie, wsłuchiwali się w problemy mieszkańców wsi i małych miasteczek.

Jak twierdzi publicystka i komentatorka polityczna Monika Garbačiauskaitė-Budrienė, najgłębszy podział w kraju to podział na „dwie Litwy”: – Pierwsza to Wilno, Kowno, duże miasta, czyli Litwa dobrze sytuowana, wykształcona i głośna. Druga Litwa to ta, która jest słaba i biedna. Zieloni i Rolnicy stali się jej głosem.

Litewski Trump

To paradoks: w roli obrońcy najbardziej szkodliwych i wykluczonych występuje dziś człowiek, który należy do ścisłej czołówki najbogatszych Litwinów.

Max Daly, autor reportażu opublikowanego parę miesięcy temu na portalu Vice.com, nazwał Karbauskisa „pseudopogańskim XVIII-wiecznym Donaldem Trumpem”. Podobnie jak amerykański prezydent, lider partii rządzącej Litwą toczy regularną wojnę z mediami. Jeszcze przed wyborami dziennikarze badali prowadzone przez Karbauskisa interesy, zwłaszcza jego biznesowe związki z Rosją: w latach 90. XX w. Karbauskis miał reprezentować na Litwie oligarchę Władysława Kantora, właściciela koncernu Acron, który swego czasu próbował przejąć Zakłady Azotowe Tarnów.

Ale do tej pory dziennikarskie śledztwa nie wykazały niczego, co mogłoby pogryźć Karbauskisa. Jak ustalił dział śledczy portalu 15min.lt – współpracujący z międzynarodową siecią dziennikarską Organised Crime and Corruption Reporting Project – Karbauskis miał przez podstawione spółki skupować ziemię, omijając w ten sposób ustawowy zakaz nabywania ziemi o powierzchni większej niż 500 hektarów. Jego firma omijała również obowiązki opłaty ceł antidumpingowych za importowane z Rosji nawozy sztuczne. Karbauskis odrzuca te oskarżenia, twierdząc, że wszystko, co robi, mieści się w granicach prawa.

Oligarcha w roli ofiary

Lider Rolników i Zielonych nie pozostaje dłużny dziennikarzom i podejmuje próby objęcia mediów jeśli nie swoją kontrolą, to stworzeniem takiej atmosfery, by dziennikarze obawiali się o pracę. Przynajmniej ci zatrudnieni w mediach publicznych.

I tak, w styczniu w Sejmie powołano komisję do zbadania finansów publicznej telewizji LRT. – Po to, aby wyjaśnić, jak były wydawane środki publiczne, jakie są wady w strukturze zarządzania, i zgłosić propozycję rozwiązania problemów – tłumaczy mi Arvydas Nekrošius, inicjator powołania komisji i zarazem wiceprzewodniczący Sejmu z ramienia Rolników i Zielonych. Choć politycy uspokajają, że komisja nie zamierza badać treści programów ani pracy dziennikarzy, to nie brak głosów, że takie właśnie działania zagrażają niezależności mediów publicznych. Zaniepokojenie zdążyli wyrazić już przedstawiciele Europejskiej Unii Nadawców (EBU).

Dla Karbauskisa, który sam nie zasiada w tej komisji, ale głośno krytykuje politykę finansową telewizji LRT, jest to dodatkowa okazja zdobycia politycznych punktów. – To już przyniosło korzyść Karbauskisowi. Dowolnie dobierając sobie fakty, pasujące do tezy o niekontrolowanych wydatkach LRT, pokazuje swoim wyborcom, jak dużo pieniędzy wydaje się rzekomo na programy telewizyjne. Udało mu się zasiać wątpliwości, że z finansami LRT jest coś nie tak – uważa publicystka Monika Garbačiauskaitė-Budrienė.

Tymczasem elity wileńskie kpią z Karbauskisa i jego otoczenia, wysmiewają jego pomysły ubrania uczniów w stroje ludowe czy fascynację pogaństwem. Ale liderowi partii wydaje się to nie szkodzić. Wręcz przeciwnie – próbuje budować na tym swoją polityczną pozycję jako rzekoma ofiara medialnych ataków.

„Na Litwie lubi się męczenników i pokrzywdzonych. Współczucie mobilizuje nawet tych, którym jest wszystko jedno” – tak działania Karbauskisa skomentował publicysta Andrius Užkalnis w opublikowanym na portalu Delfi.lt artykule pod tytułem: „Dlaczego Karbauskis jest geniuszem i wygra wszystkie wybory?”.

Co może osiemnastolatek

Jeśli ktoś chciał 16 lutego wznieść toast za sto lat niepodległej Litwy, musiał się pośpieszyć: od 1 stycznia alkohol można kupić tylko do godziny dwudziestej. I aby go kupić, trzeba mieć ukończonych 20 lat. Zakazano również reklam napojów wysokoprocentowych. W ten sposób Litwa próbuje walczyć z plagą alkoholizmu. To sztandarowy projekt rządzącej partii oraz oczko w głowie Karbauskisa, który sam deklaruje się jako abstynent.

Ograniczenia w handlu alkoholem wielkomięjskie elity potraktowały niemal jak zamach na wolność wyboru stylu życia. Problem jest jednak poważny, a potwierdzają to statystyki: według danych WHO w 2016 r. na Litwie na głowę mieszkańca przypadało aż 18,2 l spożytego czyścgo spirytusu, co było najgorszym wynikiem w Unii. Na tym nie koniec: pijani powodują i giną w wypadkach, alkohol towarzyszy przemocy domowej. Wysoką liczbę samobójstw (32,7 na 100 tys. mieszkańców) również często kojarzy się z problemami alkoholowymi.

Czy środki podejmowane przez władze są właściwe? Politycy zgadzają się, że alkoholizmowi trzeba przeciwdziałać. Nie wszyscy jednak popierają zakazy. Opozycyjni konserwatyści podzielili się w kwestii poparcia dla zmian w prawie. Poszło przede wszystkim o podniesienie granicy (z 18 do 20 lat) wieku, od którego można spożywać alkohol.

– Mając 18 lat, możesz już wziąć ślub, założyć firmę lub wziąć kredyt, ale nie możesz kupić sobie piwa – bulwersuje się w rozmowie Mykolas Majauskas, jeden z liderów Związku Ojczyzny, który nie poparł nowego prawa. Ograniczenie czasu sprzedaży alkoholu uważa za dobre posunięcie, ale podniesienie wieku to według niego sygnał, że władza nie ma zaufania do młodych obywateli.

Zachowanie konserwatystów w sprawie ograniczeń w sprzedaży alkoholu jest symptomatyczne. Występując w roli „konstruktywnej” opozycji, są gotowi popierać niektóre z propozycji rządowych. Ale zdają sobie sprawę, że Rolnicy i Zieloni mogą podbierać im elektorat. Majauskas też mówi o „dwóch Litwach”: – Chociaż kraj szybko się rozwija, to nie wszyscy na tym skorzystali. Ta wzbierająca fala nie uniosła wszystkich łodzi – zauważa.

Jednak Majauskas nie popiera takich rozwiązań Rolników i Zielonych, jak np. skopiowany z Polski dodatek dla rodzin z dziećmi – choć tu w wysokości tylko 30 euro. On uważa, że lepiej jest walczyć z nierównościami społecznymi przez przyciąganie do kraju zagranicznych inwestycji, które pozwolą na stworzenie atrakcyjnych i dobrze płatnych miejsc pracy w regionach.

Odmładzanie politycznej elity

Mykolas Majauskas jest przedstawicielem nowego pokolenia w szeregach konserwatystów. Doszło ono do głosu wraz z wybo-

Są dwie Litwy:

Pierwsza to Wilno, Kowno i inne duże miasta, czyli Litwa dobrze sytuowana, wykształcona i głośna. Druga jest słaba i biedna. Karbauskis stał się jej głosem.

rem na przewodniczącego partii Gabrieliusa Landsbergisa, wnuka Vytautasa. Jego dziadek, „ojciec” litewskiej niepodległości – tej odzyskanej w roku 1990 – nadal cieszy się dużym szacunkiem, a twardy elektorat konserwatystów skoczyłby za nim w ogień. Wielu jest jednak takich, którzy uważają jego zachowawcze poglądy i etnicznie pojmowany patriotyzm za anachroniczne.

Pod kierunkiem Landsbergisa juniora konserwatyści zaczęli przesuwac się w stronę politycznego centrum. Ale w szeregach partii nie brak też równie młodych polityków, którym imponuje Donald Trump, i którzy zagrożeni dla Litwy upatrują nie tylko w Rosji, lecz także w – jak twierdzą – postępującej islamizacji i liberalizacji Europy.

Na pytanie o polityczną tożsamość muszą też odpowiedzieć socjaldemokraci. Po porażce w wyborach musieli wybrać nowego lidera. Algirdasa Butkevičiusa (premiera w latach 2012–16) zastąpił przedstawiciel młodych: 38-letni wicemerc Wilna Gintautas Paluckas. Zadeklarował on konieczność powrotu do prawdziwych lewicowych wartości. We wrześniu 2017 r. partia z hukiem opuściła koalicję.

Decyzja Paluckasa nie spodobała się części posłów, głównie przedstawicielom starszego pokolenia, na czele z byłymi premierami Butkevičiusem i Gediminasem Kirkilasem, którzy zrezygnowali z członkostwa w partii. I jedni, i drudzy odwołują się do dziedzictwa Brazauskasa (zmarłego w 2010 r.). Na lewej stronie sceny politycznej brakuje dziś jednak równie silnej jak on postaci. – Wątpię, czy Paluckasowi uda się zmienić partię. Nie jest aż tak silnym liderem – zastanawia się Monika Garbačiauskaitė-Budrienė.

Wkrótce „stare” partie będą musiały zdecydować, kogo poprzeć w wyborach prezydenckich w maju 2019 r., po zakończe-

niu drugiej kadencji Dalii Grybauskaitė. Największe szanse sondaże dają premierowi Skvernelisowi i dwóm kandydatom niezależnym: burmistrzowi Kowna Visvaldasowi Matijošaitisowi i ekonomistcie Gitanasowi Nausėdnie.

W wyborach prezydenckich niezależność jest atutem, bo w kraju powszechne jest oczekiwanie, że prezydent będzie ponad partyjnymi podziałami. – Jednak bez poparcia partii trudno jest zebrać podpisy i prowadzić kampanię – tłumaczy politolog Ainė Ramonaitė.

Trudno też wyobrazić sobie, że 61-letnia dziś Dalia Grybauskaitė spokojnie odejdzie na polityczną emeryturę. Czy stanie na czele jakiegoś nowego ruchu, czy raczej będzie zabiegać o stanowiska w strukturach międzynarodowych? Na razie pani prezydent nie odpowiada na te pytania, pozostawiając miejsce dla spekulacji.

Szukając sojuszników

„Ktokolwiek obierze sobie Litwę za wroga, będzie miał również wroga w Stanach Zjednoczonych” – te słowa ówczesnego prezydenta USA George’a W. Busha, wypowiedziane w Wilnie 23 listopada 2002 r., zostały upamiętnione tablicą na budynku starego ratusza.

Litwini zdają sobie jednak sprawę, że same obietnice nie wystarczą. Gdy w 2004 r. kraj wstępował do NATO, wydawało się, że Litwie wystarczy tylko niewielka armia zawodowa. Dopiero agresja Rosji przeciw Ukrainie wytrąciła polityków z letargu. Momentalnie podjęto decyzję o zwiększeniu wydatków na obronę oraz o przywróceniu poboru.

Po stu latach historia zatoczyła koło: tak jak 16 lutego 1918 r., na Litwie stacjonują dziś wojska niemieckie. Tym razem nie jako okupanci, lecz sojusznicy. W styczniu 2017 r. służbę na Litwie zaczęli pierwsi żołnierze Bundeswehry, w ramach międzynarodowego batalionu Wzmocnionej Wysuniętej Obecności NATO. Dziś Niemców jest 500, a skład dowodzonego przez nich batalionu uzupełniają żołnierze z Francji, Holandii, Chorwacji, Norwegii i Islandii.

Szukając sojuszników, Wilno nie zapomina o Polsce – mimo nie najlepszej atmosfery w relacjach dwustronnych w ostatnich latach. Coś jednak zaczęło się zmieniać. Po świątecznej wizycie w Wilnie Andrzeja Dudy przywrócił do Polski m.in. obietnicę prezydent Grybauskaitė, że Litwa nie poprze żadnych unijnych sankcji wobec

→ Polski. Prezydent Duda omijał dotąd Wilno w swoich podróżach zagranicznych. Być może dlatego jego podróż na Litwę cieszyła się dużym zainteresowaniem miejscowych mediów, niespotykanym wcześniej w przypadku wizyt polskich prezydentów.

Dawno też z ust litewskich polityków nie słyszano tak dużo zapowiedzi rozwiązania problemów polskiej mniejszości. Prezydent Grybauskaitė nie mówiła o konkretnych decyzjach, ale deklarowała gotowość dialogu. Andrzej Duda zaś prosił rodaków nad Wilną o cierpliwość, co oznacza też zmianę tonu po polskiej stronie.

W zmianę atmosfery w stosunkach polsko-litewskich wpisał się też lider Akcji Wyborczej Polaków na Litwie Waldemar Tomaszewski, który przestał afiszować się z prorosyjskimi wypowiedziami i tzw. wstążką georgijską – symbolem rosyjskiego separatyzmu (np. w Donbasie) i proputinowskich sympatii.

A w przeddzień święta niepodległości socjaldemokraci zarejestrowali w parlamencie projekt ustawy o mniejszościach narodowych, przewidujący m.in. dopuszczenie języka mniejszości jako pomocniczego w samorządach.

Euroentuzjastyczni

Polska pod rządami PiS zyskuje na Litwie specyficzną grupę zwolenników, którzy zainteresowani są np. prospołecznymi rozwiązaniami polskiego rządu. Litwa była też jednym z wielu sąsiadów Polski, w którym niemal bez echa przeszła sprawa zmian w ustawie o IPN.

Niektórym konserwatystom podoba się również asertywne stanowisko Warszawy w stosunkach z Brukselą. Ale to nie znaczy, że można w najbliższym czasie spodziewać się litexitu. Litwini pozostają jednym z najbardziej euroentuzjastycznych społeczeństw Unii, nawet jeśli narzekają na wzrost cen po wprowadzeniu euro.

– Jak można być antyeuropejskim na Litwie? – pyta retorycznie Ainė Ramonaitė.

© DOMINIK WILCZEWSKI

Autor jest redaktorem portalu www.przegladbaltycki.pl, zajmuje się stosunkami polsko-litewskimi.

Kabila kontra wszyscy

MARCIN ŻYŁA

ONZ zaliczyła walki w kongijskich prowincjach do kategorii „emergency” – tej samej, którą określa wojny w Syrii czy Jemenie. Katastrofa humanitarna grozi milionom ludzi.

NAJPIERW ZAUWAŻONO, ŻE PRZESTAŁ występować publicznie, a gazety rzadziej drukują jego zdjęcia. Na tych nielicznych, które pokazywano, wyglądał na nieobecnego. Wyraźnie się roztył. Potem widywano go też, jak jeździ po Kinszasie motocyklem – *incognito*, nocami, wte i wewte, najwyraźniej bez celu. Mówiono: prezydent myśli, prezydent się zastanawia.

Josephowi Kabili, 45-letniemu wówczas przywódcy Demokratycznej Republiki Konga – bo to o nim mowa – kończyła się wtedy druga, ostatnia dozwolona prawem kadencja. Może w ogóle nie rozważałby rozpisania wyborów, gdyby nie wydarzenia w innym kraju Afryki, Gambii, gdzie ociągającemu się z oddaniem władzy prezydentowi sąsiednie kraje zagroziły ostatecznie wojną. W końcu – nie wiadomo, czy podczas któregoś z motocyklowych rajdów, czy w zaciszu własnej rezydencji – zdecydował. Odda władzę. Ale dopiero za rok.

Działo się to 14 miesięcy temu. Do końca roku 2017 również nie odbyły się wybory – Kabila prolongował swoje rządy o kolejny rok. Efekt? Od wielu tygodni żądający jego ustąpienia Kongijczycy regularnie wychodzą na ulice protestować. Przeciwno prezydentowi zwróciła się też jedyna instytucja zdolna dziś zmobilizować całe społeczeństwo – Kościół katolicki.

Odtąd prezydent ma same kłopoty.

Biskupi, którzy jednoczą

Demokratyczna Republika Konga to drugie co do wielkości państwo afrykańskie, zamieszkane przez ok. 80 mln ludzi. Położone w centrum kontynentu, dysponuje jednymi z największych w świecie złóż naturalnych (według ostrożnych szacunków mają one wartość co najmniej 24 bln dolarów). Posiada więc olbrzymi potencjał – mogłoby łączyć kilka regionów Afryki. Mogłoby – gdyby nie chroniczny, trwający od wielu lat kryzys, który w ostatnich mie-

siącach tylko przybrał na sile. Oraz gdyby nie lokalne konflikty, wybuchające coraz częściej w prowincjach położonych o tysiące kilometrów na wschód od stołecznej Kinszasy.

Zacznijmy od prezydenta, który nie chce oddać władzy. Wśród protestujących przeciwko Kabili pierwsze śmiertelne ofiary padły 31 grudnia 2017 r. – zginęło wtedy co najmniej siedem osób. Odtąd katolicki biskupi mobilizują do sprzeciwu kolejne parafie: obecnie w Kinszasie i kilku innych dużych miastach w ruchu oporu przeciw prezydentowi bierze udział ponad sto lokalnych wspólnot. Protesty odbywają się w niedziele. Ostatnio – już co tydzień. I co tydzień policja oraz wojsko używają podczas tych demonstracji ostrej amunicji. W niedzielę 25 lutego życie straciły kolejne dwie osoby.

Dlaczego Kościół zaangażował się bezpośrednio w kongijską politykę? – Obowiązuje zakaz zgromadzeń, liderów wielu partii opozycyjnych zmuszono do emigracji – tłumaczy „Tygodnikowi” Jędrzej Czerep, analityk Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. – Ruchy opozycyjne są zwykle ograniczone do pojedynczych grup społecznych, nie mają poparcia w całym kraju. Poza Kościołem nikt nie ma ani siły politycznej, ani możliwości logistycznych, aby wyciągnąć ludzi na ulicę.

Czerep dodaje, że od czasów bezpośredniego po uzyskaniu przez Kongo niepodległości (1960 r.) – kiedy dochodziło do ataków na parafie, misje i szkoły katolickie kojarzące się z Belgią, dawną kolonialną metropolią – zmieniła się rola i postrzeganie Kościoła.

– Od początku lat 70. XX w. staje on w opozycji do państwa, po stronie Kongijczyków. Pod koniec rządów Mobutu Sese Seko [dyktatora, który rządził krajem w latach 1965-97; zmienił też jego nazwę na Zair – MŻ] i w czasach Laurenta Kabili, ojca obecnego prezydenta, biskupi przy-





KENNY KATOMBE / REUTERS / FORUM

Policja rozpędza demonstrację przeciwników prezydenta Josepha Kabili. Protesty, inicjowane przez Kościół katolicki, odbywają się już co tydzień. Kinsza, Demokratyczna Republika Konga, 21 stycznia 2018 r.

mowali rolę mediatorów między władzą a społeczeństwem. To dzięki Kościołowi podpisano tzw. porozumienie sylwestrowe, w którym Joseph Kabila zobowiązał się do rozpisania wyborów w 2017 r. Teraz biskupi poszli o krok dalej: domagają się odejścia prezydenta. Co ważne, choć katolicy to połowa ludności Demokratycznej Republiki Konga, autorytet Kościoła jest uznawany znacznie szerzej. Kiedy biskupi zaczęli się domagać odejścia Kabili, poparła ich np. społeczność muzułmańska z Kinszasy – mówi analityk PISM.

Wielu graczy

Poza Kościołem Kongijczycy, którzy chcieliby ustąpienia Kabili i rozpisania wyborów, nie mają właściwie alternatywy. Choć jeszcze rok temu, po śmierci uznanego za lidera opozycji Étienne'a Tshisekediogo, na najpoważniejszego przeciwnika Kabili wyrósł Moïse Katumbi, były gubernator prowincji Katanga.

Jędrzej Czerep: – Jako prezes TP Mazembe Lubumbashi, jednego z najlepszych klubów piłkarskich na kontynencie, sówicie wynagradzał on nie tylko piłkarzy, ale i przywódców kibiców. W ten sposób powoli budował swoją pozycję po-

lityczną. Mówiono: tak świetnie zarządza klubem – może sprawdzi się jako przywódca kraju? Wkrótce i inni politycy zaczęli kupować udziały w klubach.

Ta metoda miała jednak ograniczenia: na sympatii do jednego klubu trudno zdobywać ogólnokrajowe poparcie; Katumbi nie przestał być odbierany jako człowiek regionu Katanga. A podziały regionalne w DRK – kraju niemal ośmiokrotnie większym od Polski, w którym do wielu miejscowości można się dostać wyłącznie samolotem lub żeglugą rzeczną – odgrywają coraz większą rolę.

– Więzy, które łączą kongijskie prowincje i grupy etniczne, umacniają się w korzystnych warunkach, ale gdy przychodzi kryzys, stają się coraz luźniejsze – wyjaśnia ekspert PISM. – Konflikty, które wybuchają w prowincjach Tanganika, Kiwu Północne i Kiwu Południowe, nie są bezpośrednio powiązane z sytuacją polityczną w Kinszasie. Kiedy jednak władza centralna traci autorytet, w regionach odżywają ruchy odśrodkowe, pojawiają się również gracie z zewnątrz.

Analityk dodaje: – Trudno oszacować skalę protestów, ale liczą one raczej nie więcej niż kilka tysięcy ludzi. Nie osiągają

więcej takiej masy krytycznej, po przekroczeniu której dowódcy wojskowi mogliby zacząć myśleć, za kim się opowiedzieć. Przeciwnie – są już pierwsze informacje, że Kabila obstawia kościoły wojskiem. Byłby to sygnał, że uznaje biskupów za swoich przeciwników.

Czy w tej sytuacji nastroje z ulic Kinszasy przeniosą się do innych regionów? Tam sytuacja jest jeszcze bardziej skomplikowana, do sprzeciwu wobec prezydenta dochodzą bowiem jeszcze wpływy państw sąsiednich.

Wielka Republika Wulkanów

Przenieśmy się do wschodniej części kraju – do Beni, miejscowości w prowincji Kiwu Północne położonej tuż przy granicy z Ugandą. To teren bogaty w ropę naftową i złoża złota. Ich przemysł, nawet na niewielką skalę, do Ugandy i Rwandy stanowi od lat źródło zarobku dla lokalnej społeczności.

W ciągu ostatnich czterech lat w atakach dokonywanych przez rozmaite grupy zbrojne zginęło tu prawie tysiąc cywili – i to mimo obecności sił pokojowych ONZ (MONUSCO), jedynej dziś na świecie misji błękitnych hełmów z mandatem ➔

→ do podejmowania akcji ofensywnych. Opublikowana przed dwoma laty przez Congo Research Group, afiliowaną przy Uniwersytecie Nowojorskim organizację monitorującą sytuację w tym kraju, szczegółowa mapa wpływów oddziałów rebelianckich tylko na terenie obu prowincji Kiwu wymienia aż 69 aktywnych grup zbrojnych.

Choć armie ugandyjska i rwandyjska oficjalnie wycofały się z Konga w 2003 r. – po tzw. drugiej wojnie kongijskiej, w której, według różnych szacunków, zginęło od miliona do pięciu milionów ludzi – wielu mieszkańców regionu utrzymuje, że Rwandyjczycy pozostali na miejscu, tyle że w szeregach armii kongijskiej. „Wojna hybrydowa” – pojęcie, które świat poznał szerzej za sprawą rosyjskiej agresji na Krymie – tutaj, na wschodzie DRK, znana była już od lat.

W ostatnich tygodniach wydarzenia przyspieszyły. 7 grudnia 2017 r. w ataku na obozowisko ONZ w Beni zginęło siedmiu żołnierzy z Tanzanii. Choć oficjalnie utrzymuje się, że ten i inne ataki są dokonywane przez oddziały tzw. Sojuszników Sił Demokratycznych (ADF), islamistycznego ugrupowania zapuszczającego się tu z terytorium Ugandy – tak twierdzą zarówno ONZ, jak i władze prowincji – wielu mieszkańców tego regionu odpowiedzialnością za nie obarcza sąsiednią Rwandę.

Również Boniface Musavuli, pochodzący z Beni aktywista i uchodźca polityczny, od kilku miesięcy mieszkający we Francji, powtarza, że niestabilność Konga miała zawsze źródło we wpływach z zewnątrz.

– Jestem pewien, że ten atak przeprowadzili żołnierze rwandyjscy, wcieleni do naszej armii na mocy tajnego porozumienia, które prezydent Joseph Kabila zawarł z prezydentem Rwandy Paulem Kagame w 2009 r. – przekonuje w e-mailu do „Tygodnika”. – Obydwa współdziałają; przede wszystkim po to, aby grabić kraj z jego bogactw naturalnych i utrzymywać we wschodnim Kongu klimat terroru.

Ta, jak mówi Musavuli, „zmowa prześcępcza” dwóch prezydentów jest dla niego kluczem do zrozumienia sytuacji we wschodnim Kongu, na który na Zachodzie rzadko zwraca się uwagę. Państwo, które rzekomo chciałyby założyć tu Rwanda, ma już nawet nazwę: Grande République des Volcans (Wielka Republika Wulkanów). Tak silne jest przekonanie

nie o nieczystych intencjach sąsiada. Już wiele lat wcześniej rwandyjscy politycy przebąkiwali o zwołaniu „drugiej konferencji berlińskiej”, czyli zrewidowaniu granic ustalonych przez mocarstwa kolonialne w 1885 r.

Uganda: apetyt na ropę

Jędrzej Czerep jest dużo ostrożniejszy w ocenie okoliczności ataku na kontyngent błękitnych hełmów. Przypomina, że w tej sprawie trwa śledztwo ONZ. A także, że islamistyczna ADF – choć przez pewien czas działająca w uśpieniu – w 2010 r. pomagała już somalijskiej organizacji Asz-Szabab w przeprowadzeniu zamachu terrorystycznego w Kampali, stolicy również ważnego sąsiada DRK – Ugandy (zginęły wtedy 74 osoby). Przyznaje jednak, że oskarżanie ADF jest dla Ugandy wygodne: – Na Zachodzie islamistów nikt nie będzie bronił. Można przypuszczać, kto najbardziej skorzysta na tej sytuacji; teoretycznie możliwe jest np. wejście Ugandy i Rwandy

do regionów przygranicznych, ustanowienie stref bezpieczeństwa pod ich patronatem, które dziwnym trafem pokryją się z zasięgiem występowania złóż naturalnych – mówi ekspert PISM.

W okolicy Beni znajdują się duże pokłady złóż ropy naftowej. Miejscowa ropa jest jednak ciężka i gęsta – do portów na wybrzeżu Oceanu Indyjskiego należałoby ją transportować w specjalnie podgrzewanym rurociągu. Latem 2017 r. Uganda i Tanzania rozpoczęły jego budowę (długości 1500 km, najdłuższy w świecie), ale koszt transportu ropy w ten sposób jest czterokrotnie wyższy niż zwykłym rurociągiem – aby się opłacał, trzeba by transportować nim więcej surowca.

Zdaniem wielu Uganda tęsknym okiem spogląda więc na złoża po kongijskiej stronie, wokół Beni. Są tacy, którzy twierdzą wręcz, że ataki dokonywane w dwóch prowincjach granicznych, Kiwu Północnym i Kiwu Południowym, to w istocie tzw. wojna zastępcza, prowadzona przez



PER-ANDERS PETTERSSON / GETTY IMAGES

dwóch wpływowych sąsiadów DRK. Słuchając tych wyjaśnień trudno oprzeć się wrażeniu, że brzmią jak teorie spiskowe – z drugiej jednak strony sporządzona przez Congo Research Group mapa ataków w rejonie Beni pokrywa się z rejonem, gdzie francuski koncern Total (ten sam, który buduje rurociąg z Ugandy na wschód) prowadzi próbną odwierty.

Wojna znaczy: gwałt

A to tylko dwie wschodnie prowincje kraju. W 2017 r. do wojny etnicznej na masową skalę doszło także w dużej prowincji Kasai w centralnej części DRK, gdzie przeciw ludności Luba (największej grupy etnicznej kraju, 18 proc.) wywołało obsadzenie przez Kabilę swoimi zwolennikami lokalnych władz. W odpowiedzi rozwinął się tu nowy ruch mistyczny, uznający wręcz kongijskie państwo za siłę okupacyjną. Coraz mniej spokojnie jest również na pograniczu z Tanzanią.



– Pacyfikacja regionu Kasai pokazuje, że prezydent Joseph Kabila coraz częściej zamiast policją i wojskiem posługuje się lokalnymi bojówkami, byłymi watażkami, a nawet przestępcami wyciąganymi z więzień – mówi Jędrzej Czerep. – Jego siła nie polega już na oparciu w określonej grupie, tylko na pozycji i możliwościach, jakie daje jego urząd.

Tymczasem ONZ zaliczyło walki w kongijskich prowincjach do kategorii „emergency” – tej samej, którą określa wojny w Syrii czy Jemenie. Kilku milionom Kongijczyków grozi katastrofa humanitarna, a nieliczne szczegółowe dane, które docierają ze wschodnich prowincji kraju, są zatrażające.

Oto dwa przykłady. Przeprowadzona przez szwajcarskich badaczy w 2014 r. (a opublikowana niedawno w „European Journal of Public Health”) ankieta na temat przemocy seksualnej wykazała, że 76 proc. kobiet było zgwałconych co najmniej pięciokrotnie; zwykle we własnych domach (72 proc.), w obecności krewnych (81 proc.), przez żołnierzy i rebeliantów tak z zagranicy, jak i kongijskich (86 proc.). Ankietę przeprowadzono na terenach graniczących z Ugandą, Rwandą i Burundi. Z kolei w połowie 2017 r., na podstawie rozmów z byłymi żołnierzami jednej z grup rebelianckich działających na wschodzie DRK, dziennikarze „Washington Post” wyodrębnili ich najczęstsze postawy wobec gwałtu. Po pierwsze, wielu z nich uznawało gwałt za „naturalną biologicznie” czynność, zwłaszcza podczas wojny; po drugie – do jego usprawiedliwiania używali oni argumentów rasowych i etnicznych. Innymi słowy: przemoc seksualna była dla nich nieodłączną częścią wojny.

Boniface Musavuli wydał właśnie książkę „Les massacres de Beni” – kronikę zbrodni dokonywanych w ciągu ostatnich miesięcy w jego rodzinnym regionie Konga. – Ludzie zabijani są masowo

i z premedytacją, w okrutny sposób: kobietom w ciąży rozpruwane są brzuchy, niemowlętom ścina się głowy, pali się domy z ludźmi w środku – opisuje „Tygodnikowi”. – Sprawcy tych zbrodni nigdy nie są karani. Co gorsza, wracają potem do tych samych miejsc ponownie zabijając, tym razem w mundurach kongijskiej armii. Ludzie nie mogą uciec do buszu, tam są rebelianci, ani zwrócić się po pomoc do armii, w której służy wielu kryminalistów. Cywile po prostu czekają na śmierć – kończy Musavuli.

Co dalej z DRK

Tymczasem w Kinszasie prezydentowi Josephowi Kabili ubywa partnerów. Po tym, gdy postanowił nie respektować tzw. porozumienia sylwestrowego, Belgia, dawna metropolia, zagroziła mu zerwaniem relacji z Unią Europejską. Stosunki z ONZ są wyjątkowo napięte, bo za kilka dni Rada Bezpieczeństwa ma zdecydować o przyszłości misji MONUSCO – jej przedłużenie jest formalnością, ale Kabila naciska na określenie ostatecznej daty wyjścia błękitnych hełmów z DRK.

Prezydent oficjalnie wciąż utrzymuje, że zorganizuje wybory w grudniu tego roku, a ich brak w roku ubiegłym był związany z brakiem pieniędzy i niemożnością dokończenia rejestracji wyborców. – Kłopot w tym, że do przeprowadzenia wyborów Kabila potrzebuje właśnie pomocy ONZ – mówi Jędrzej Czerep. – To logistyczne wyzwanie: na kilka miesięcy przed głosowaniem trzeba zarejestrować wyborców. Kraj jest nieprzejezdny, bez helikopterów ONZ-u cały proces nie odbędzie się sprawnie.

Boniface Musavuli opisuje „Tygodnikowi”: – Nikt nie jest w stanie powiedzieć, co zdarzy się w DRK w najbliższych miesiącach. Kongijczycy mobilizują się przeciwko prezydentowi, z którym już chyba nikt nie chce tu wiązać przyszłości kraju. Informacje o policji, która używa gazu łzawiącego w kościołach, o porwaniach chrześcijan i motywowanych politycznie zabójstwach chrześcijan mogą zmienić nastawienie Zachodu. Tym bardziej że demonstrujących przybywa także we wschodnim Kongu, w miejscowościach Goma, Bukavu, Beni, Butembo i Kisanjani. Różnica polega na tym, że na wschodzie mamy jeszcze grupy rebelianckie.

Kolejne protesty zaplanowano na najbliższe niedziele. Jak zwykle, po mszach.

©© MARCIN ŻYŁA

W państwie ośmiokrotnie większym od Polski, którego duża część porasta las deszczowy, do wielu miejscowości można się dostać wyłącznie statkami. Oddalone od stolicy o tysiące kilometrów regiony na wschodzie kraju w praktyce pozostają odcięte. Na zdjęciu: poranne nabożeństwo podczas rejsu do Kinszasy, okolice miasta Bokondo, Demokratyczna Republika Konga, 2006 r.



YURI SMITYUK / TASS / FORUM

Na ulicach Kioto, maj 2017 r.

Jak stworzono nowocześnie Japonię

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Gdyby rozejrzeć się z Tokio po świecie, Japonia jawi się jako oaza spokoju i dobrobytu. To kraj zbudowany przez Japończyków dla Japończyków. Jego źródeł trzeba szukać w wydarzeniach, które zaczęły się 150 lat temu.

BYŁA JESIEŃ ROKU 1868, GDY 15-LETNI cesarz Mutsuhito, usadowiony w lektyce dwa metry nad ziemią, wyruszył w najdalszą podróż swego życia – z jednej ery do drugiej. Orszak cesarski opuścił pałac w Kioto, aby po dwóch miesiącach dotrzeć do Edo. Do tej pory miasto Edo było siedzibą szogunów. Właśnie zmieniło swą nazwę na Tokio, stając się nową stolicą kraju.

Kończyło się panowanie szogunatu Tokugawy, który na ponad 200 lat od-

ciął Japonię od świata. Nowa „era Meiji” (dosłownie: „oświeconych rządów”, datowana na lata 1868–1912) stanie się synonimem rewolucyjnych zmian i gwałtownego rozwoju. W krótkim czasie feudalna i zacofana Japonia przekształci się w nowoczesne państwo i imperialną potęgę.

Mija właśnie 150 lat od tamtych wydarzeń. Japończycy będą je celebrować przez cały rok – zastanawiając się przy okazji,

jak z bagażem nabytych doświadczeń odpowiedzieć na dzisiejsze wyzwania.

Otwarcie

Impuls do zmian przyszedł z zewnątrz. W 1853 r. Amerykanie wymusili na Japonii przerwanie izolacji, pod groźbą inwazji. Szogun ustąpił, wiedząc, że w starciu z armatami wroga jego samurajskie miecze będą bez szans. Wkrótce na wyspach japońskich powstaną tzw. Porty Traktatowe – w istocie przyczółki kolonialne, gdzie obcy nie będą podlegać japońskiemu prawodawstwu.

Nie wszystkim w kraju spodobała się uległość władz. Rebelia wyszła z południowych prowincji Satsuma i Choshu, młodzi samuraje zażądali „wyrzucenia barbarzyńców i przywrócenia cesarza”.

Japonia miała do tej pory dwa ośrodki władzy. Cesarz rezydował w Kioto, oddając się głównie obrzędowi religijnemu i kultywowaniu tradycji. Faktycznie krajem rządził szogun, będąc kimś w rodzaju wojskowego dyktatora.

Społeczeństwo składało się z czterech kast, od góry byli to: samuraje, chłopci, artyści i kupcy. Z biegiem lat system ten stał

się anachroniczny – w kraju panował pokój i bezczynni samuraje zadłużali się często u prosperujących kupców. W kraju narastała więc potrzeba zmian, zanim jeszcze pojawili się Amerykanie.

Podwójna struktura władzy umożliwiła zbuntowanym samurajom dokonanie rewolucji. Zgromadzeni wokół autorytetu cesarza, wystąpili przeciw nieudolnym rządóm szoguna. Po otwarciu kraju, w atmosferze chaosu i gnicia starego porządku, dochodzi do wojny domowej. Ostatecznie wojska szoguna ponoszą klęskę, a cesarz zasiada na tronie w Tokio.

Młodzi rebelianci z dalekiej prowincji zdominują życie polityczne Japonii przez następne pół wieku.

Kopiuwanie Zachodu

Krajobraz, który roztaczał się z nowej stolicy, budził jednak trwogę. Kraj był słaby, zacofany, panoszyli się po nim obcy. Co gorsza, zachodni imperializm nabierał tempa. Nawet Chiny wydawały się bezbronnie i beznadziejnie anachroniczne wobec wigoru białych barbarzyńców. Wybór był zatem prosty: albo Japonia sama padnie ofiarą kolonializmu, albo szybko zbuduje silne nowoczesne państwo i obroni suwerenność. Tylko jak to zrobić?

Jeszcze z Kioto cesarz wydał dokument nakazujący „szukania wiedzy za granicą”. W 1871 r. wyrusza słynna misja Iwakury: przez blisko dwa lata 55 notabli będzie podróżować po świecie, próbując rozwikłać tajemnice zachodniej siły. Niektórzy już w garniturach, inni ciągle w kimonach, odwiedzą USA i większość krajów Europy, przejadą pociągiem z Berlina do Sankt Petersburga, w drodze powrotnej zatrzymają się m.in. w Egipcie oraz w krajach Azji Południowo-Wschodniej.

Wysłannicy spostrzegli, że świat białego człowieka nie jest jednorodny. Rosja była zacofana wobec Anglii czy Francji, bogate kraje zaś różniły się między sobą formą rządów. Dla skutecznego rządzenia jakiś rodzaj władzy przedstawicielskiej, nawet ograniczony, wydawał się jednak niezbędny. Zauważono też rolę chrześcijaństwa w zamożnych społeczeństwach, konstatając, że w Japonii nie ma podobnego, osadzonego w mistyce systemu moralnego, który łączyłby naród.

Warto odnotować też uwagi o zachodniej dyplomacji, bo trwale wpłyną one na postrzeganie świata przez Japończyków. „Choć dyplomaci zachodnich krajów emanują przyjaźnią i manierami, se-

kretnie nikt tam sobie nie ufa. Zwłaszcza małe kraje (...) są jak jeżozwierze stroszące igły, cały czas wzmacniają obronę i nawet na chwilę nie mogą rozluźnić pasków od hełmów”.

W sumie jednak sytuacja Japonii nie była tak beznadziejna, jak na początku sądzono. Dystans wydawał się do nadrobienia. Dopiero co zjednoczone Niemcy przeszły rewolucję przemysłową zaledwie kilkadziesiąt lat wcześniej.

Ostatecznie zdecydowano, aby industrializację oprzeć na wzorach angielskich, system szkolnictwa na amerykańskich, we Francji zaś podpatrzono organizację armii i prawodawstwa. „Nasi ludzie nie są gorsi od Amerykanów czy Europejczyków, wszystko jest sprawą edukacji albo jej braku” – konkludowano po powrocie. Od początku liczyła się też budowa narodowego prestiżu. „Chodzi o to, żeby w zachodniej psychice oderwać Japonię od zacofanej Azji” – pisał słynny myśliciel Fukuzawa.

Cesarz bogiem i żołnierzem

Ameryka mogła fascynować Japończyków dynamiką, ale na pewno już nie demokracją. Dla byłych samurajów, wychowanych w konfucjańskiej tradycji, rządy ludu karzyły się z populizmem i chaosem. Dużo ciekawiej prezentował się model niemiecki, z ograniczoną rolą parlamentu i twardymi rządami kanclerza Bismarcka. Co więcej, w przeciwnieństwie do krajów anglosaskich, gdzie członkiem wspólnoty zostawało się przez nabycie praw politycznych, w wilhelmińskich Niemczech obywatelstwo oparto na etniczności i kulturze sięgającej teutońskiej mitologii. Do pomocy w pisaniu konstytucji Meiji zaproszono więc niemieckich prawników.

Dokument, który powstał w 1890 r., był niezwykłą hybrydą. Przewidziano w nim dwuizbową legislaturę i ograniczone do najzamożniejszych wybory, ale odwoływano się też do mitologii oraz do rzekomo antycznych, a w istocie świeżo utworzonych rytuałów. Nowa religia, tzw. szinto państwowe, miała spajać naród. Jej naczelnym kapłanem, a zarazem głową państwa i zwierzchnikiem sił zbrojnych został cesarz, łącząc w sobie boskie i ludzkie atrybuty. Podważenie decyzji cesarskiej było więc bliskie naruszeniu religijnego dogmatu.

Jednak to nie cesarz zarządzał państwem, lecz skupieni wokół tronu dworzanie i oligarchowie, wymieniający się na fotelu pre-

miera. Kraj miał więc rząd i parlament, ale o ważnych sprawach decydowano gdzieś za parawanem w imieniu cesarza.

Dopóki żyli pierwsi oligarchowie, których autorytet trudno było podważyć, system działał. Potem coraz częściej armia pozwalała sobie na niesubordynację, ingerując w świat polityki i inicjując konflikty zbrojne za granicą. Tłumaczenie było zawsze to samo: działamy w imieniu cesarza lub chronimy cesarski honor przed brudnym światem polityki. To zachowanie zawiedzie w końcu Japonię do katastrofy.

Tymczasem nastała jednak chwila, by cesarz wręczył swoim poddanym nową konstytucję. Najpierw w stroju kapłana szinto oddał on hołd swym przodkom aż do bogini słońca Amaterasu. Potem, już w mundurze wojskowym, otoczony dworzanami we frakach, podejmował zagranicznych dyplomatów.

Eksplzja wolności

Zanim państwo Meiji przystąpi do dyscyplinowania swoich obywateli, przez pierwszą dekadę po roku 1868 wielu Japończyków otworzy się na świat z rozpostartymi szeroko ramionami i zaczniesz korzystać z dostępnych swobód. Drugi raz taka atmosfera powtórzy się dopiero po 1945 r.

Kroniki donoszą o zdziwieniu cesarza, gdy wizytując prowincjonalną szkołę w 1876 r., usłyszał uczniów recytujących Cycerona. Po wioskach i miasteczkach ludzie spontanicznie tworzyli projekty reform kraju. Sto lat później w jednym z takich miejsc odkryto gotowy projekt konstytucji, napisanej wyraźnie pod wpływem anglosaskich filozofów oświecenia.

Najodważniejsi modernizatorzy sugerowali porzucenie japońskiego pisma, mieszane związki małżeńskie z białą rasą, a nawet chrystianizację Japonii. Do tego nigdy nie doszło, ale gdy w 1873 r. zniesiono zakaz nałożony parę wieków wcześniej na chrześcijaństwo, w ciągu zaledwie dwóch dekad stało się ono modnym „nowoczesnym” wyznaniem.

Również władze wykonują szereg gestów, aby w oczach Zachodu pokazać się jako kraj już nowoczesny i móc odzyskać suwerenność nad Portami Traktatowymi. Zakazano więc eksponowania nagości w miejscach publicznych czy sprzedaży kobiet do prostytucji. W Tokio organizowano bale, na których dawni samuraje, tańczyli niewprawnym krokiem polki i walce.

→ Jednak obok tej maskarady zachodziły trwale zmiany. Do Japonii nadciągali naukowcy, misjonarze i inżynierowie, którzy zakładali szkoły, uniwersytety i szpitale. Część z tych placówek przetrwała do dziś. Pierwsze pokolenie Meiji będzie lepiej znało angielski niż następne. W latach 1868–1902 wydano 11 tys. paszportów na studia za granicą.

Spółeczeństwo samurajów

Przywódcy Meiji byli coraz bardziej zaniepokojeni, że Japończycy ulegają obcym wpływom. Uznano, że społeczeństwo potrzebuje nowego uniwersalnego kodu postępowania. Rola tę spełnia dwa dokumenty cesarskie: jeden określi obowiązki armii, drugi zasady wychowania Japończyków.

Żołnierze mieli być całkowicie posłuszni woli cesarza, lojalnością „cięższą niż góry”, gdzie „śmierć jest lżejsza od piórka”. Kult cesarski przedstawiono jako istotę japońskości i najintymniejszą z relacji. Z kolei „Rozporządzenie Cesarskie o Edukacji” miało charakter świętego pisma, przed którym każdy Japończyk musiał się pokłonić. Poza obowiązkiem zdobywania wiedzy, kultywowania cnót rycerskich i przestrzegania konstytucji, istotą dokumentu było posłuszeństwo – wobec rodziców, przełożonych, aż po cesarza, który stanowił źródło prawdy i moralności.

Oznaczało to ni mniej, ni więcej, że w świeckim wymiarze całe społeczeństwo przekształcono w samurajów. Lojalność i kodeks zachowań, które kiedyś dotyczyły wybranej kasty, teraz objęły wszystkich, a feudalnego pana zastąpił cesarz.

Japonia szła zatem wyraźnie antyliberalnym kursem. W tamtych czasach jednak ujednoliconą edukacja i narodowa armia z poboru stanowiły istotny element scalenia i modernizacji kraju. Wcześniej, w czasie wojny domowej, gdy szogunat chylił się ku upadkowi, chłopci – nie poczuwając się do lojalności – sprzedawali swoje produkty obu stronom konfliktu. Teraz państwo Meiji tworzyło patriotów z wszystkich Japończyków, utożsamiających dobro ojczyzny ze swoim własnym i gotowych dla niej do poświęceń.

Wkrótce przekonają się o tym sąsiedzi Japonii.

Początki imperium

W latach 1894-95, a potem 1904-05 Japonia stoczyła dwie zwycięskie wojny – z Chinami



Studenci prestiżowego Uniwersytetu Waseda, Tokio, 1915 r.

i Rosją. W obu przypadkach poszło o kontrolę nad Koreą, która obok Tajwanu stała się japońską kolonią.

Konflikt z Chińczykami postrzegano w Tokio jako starcie dwóch cywilizacji, z których jedna potrafiła się zmodernizować, a druga, ta chińska, pogrążyła w dekadencji. Z kolei triumf nad państwem carów oznaczał ugruntowanie statusu Japonii jako regionalnej potęgi. Równie istotne było to, że pierwszy raz we współczesnych dziejach białe mocarstwo imperialne musiało uznać wyższość przedstawiciela innej rasy.

Dynamika i konsekwencja, z jaką wykazali tę wyższość, mogła zaszokować – nie tylko Rosję. Japończycy uderzyli z zaskoczenia na siły rosyjskie w okolicach Port Arthur, dalej w Cieśninie Cuszimskiej niemal doszczętnie zniszczyli potężną Flotę Bałtycką wroga (przerzuconą wcześniej z Europy na morza azjatyckie), przy minimalnych stratach wśród własnych okrętów.

Walki prowadzone wtedy na lądzie, w której zginęły setki tysięcy Rosjan i Japończyków, stanowiły preludium do I wojny światowej. Obie strony wyrzynały się wzajemnie, szturmując z okopów pod zmasowanym ostrzałem wroga i przez pola minowe.

Świat był w szoku po wyczynach japońskiej armii. Zwłaszcza zniewolone narody na wszystkich kontynentach, włącznie z Polską pod zaborami, odnotowały to, co się wydarzyło: pokonanie imperialnego mocarstwa nie było niemożliwe.

Japończycy fetowali sukces, ale nie tak entuzjastycznie jak po wojnie z Chinami. Uważali, że dostali za mało w ramach

wojennych reparacji. W Tokio doszło do gwałtownych demonstracji, spalono kilka kościołów. Wyczuwało się też melancholię. Kraj tracił niewinność, rosnąca potęga okupiona została tysiącami ofiar.

Bez dogmatu

Do wygrywania wojen potrzeba silnej gospodarki. Japonia czasu Meiji, jak wcześniej kraje Zachodu, przeszła rewolucję przemysłową. Warunki pracy w kopalniach i przędzalniach były równie złe albo gorsze od tych, które znamy z powieści Dickensa czy Reymonta.

Warto zatrzymać się jednak na specyfice japońskiego modelu gospodarczego.

Rozwój gospodarki niemal w całości oparto na kapitale własnym. Wyjątkiem były pożyczki na budowę pierwszej linii kolejowej oraz na wojnę z Rosją. W tym drugim przypadku pieniądze pochodziły od żydowskich bankierów, gotowych wspomóc wojnę z krajem znanym z antyżydowskich pogromów. Niechętnie patrzono natomiast w Japonii na zagraniczne inwestycje. Przestroga był Egipt, ubezwłasnowolniony przez obcy kapitał. Gospodarkę napędzały więc rodzime wielobranżowe konglomeraty, tzw. zaibastu, wspierane przez państwo. Giganty takie jak Mitsui czy Mitsubishi zaczęły stopniowo wychodzić na rynki zagraniczne i przynosić krajowi dewizy.

Z perspektywy czasu najważniejszy może być jednak zapis z misji Iwakury po świecie. Oto przed zacumowaniem w Anglii jedna z wielkich postaci Meiji – niejaki Ito Hirobumi – ostrzega współtowarzyszy, że miejscowi politycy i prze-

mysłowcy będą przekonywać Japonię do wolnego handlu. „Tak długo jak obce produkty są tańsze, Japończycy nie będą kupować własnych. Dlatego nakłada się cła importowe, zwane podatkiem defensywnym. Zacołane kraje jak nasz opóźnią nadejście cywilizacji, jeśli tego nie zastosują. (...) To niemoralne, ale stanowi jedyną drogę do wzbogacenia własnego kraju. Właśnie tak Anglia osiągnęła prosperity i zdominowała światowy przemysł”.

Pojmowanie gospodarki w Japonii niewiele zmieniło się od tamtego czasu.

Rozterki duszy

Nawet gdyby przywódcy Meiji nie zdecydowali się zakotwiczyć kraju na nowo w tradycji, to część japońskiego społeczeństwa sama zapewne zaczęłaby szukać powrotu do korzeni.

Mechanizm jest uniwersalny. Po otwarciu na świat, który stoi wyżej w rozwoju, po okresie zachwyty okazuje się, że szybkie kopiowanie obcych rozwiązań prowadzi do zachwiania tożsamości. Ludzie zaczynają się zastanawiać nad tym, kim są, a niektórzy szukają twardego oparcia w wartościach.

Widać to dobrze na przykładzie literatury okresu Meiji i życia osobistym samych pisarzy. Najślynniejszy z nich – Natsume Soseki – przestrzegał, że zbyt szybki rozwój skończy się dla Japonii „zalamaniem nerwowym”. Bohaterowie jego powieści to często ludzie osamotnieni, których świat znany z dzieciństwa runął, i którzy nie potrafią odnaleźć się w nowym. Losy autorów takich jak Tanizaki, Akutagawa czy później Kafu pokazują różne sposoby zmagania się z nową rzeczywistością. Jedni duchową pustkę wypełniają chrześcijaństwem, inni marksizmem, jeszcze inni zamykają się w świecie wymyślonej przeszłości.

Dla wielu Japończyków bolesne było też zderzenie wyobrażeń o Zachodzie z rzeczywistością. Uemura Kenzo, który stał się chrześcijaninem, jechał do Ameryki z przekonaniem, że spotka samych braci w wierze pozdrawiających się słowem „alleluja”. Przeżył więc szok, gdy odczuł dyskryminację rasową. Dziwiło go też, że Amerykanie zamykają drzwi na klucz, podczas gdy w pogańskiej Japonii nikt tego nie robi.

Wielu z tych entuzjastów Zachodu zrobi później zwrot o 180 stopni, stając się wiernymi wyznawcami boskości cesarza i eks-

Uparte podążanie Japonii

własną drogą może być wyzwaniem dla wciąż zmieniającego się świata. Kraj opiera się większości współczesnych ideologii i radzi sobie nieźle. Ekologia, feminizm, multikulturalizm są poza głównym nurtem debaty.

pansji jego imperium. Ból rozdartej duszy będą już mieli za sobą.

Made in Japan

Restauracja Meiji stanie się dla wielu krajów przykładem do naśladowania, mimo że wtedy zaczął się też rodzić japoński militarizm. Trudno jednak za Nanking (gdzie w latach 30. XX w. armia japońska wymorduje kilkaset tysięcy Chińczyków), za ówczesną agresywną ekspansję albo za zbrodnie popełniane podczas II wojny światowej winić dawnych samurajów. Ekstremizm zawładnął Japonią już po ich śmierci, choć również skutek stworzonego wcześniej modelu państwa.

Wiemy o tym od dawna. Czy da się jednak dziś spojrzeć na restaurację Meiji inaczej niż np. w jej setną rocznicę? Jest to możliwe o tyle, o ile zmienia się percepcja Japonii na przestrzeni lat. To, co kiedyś uchodziło za anachronizm lub błąd, nagle jawić się może jako pragmatyzm.

Co sądzić bowiem o obecnej administracji USA, która odkryła, że kapitał ma narodowość i nakłania amerykańskie firmy do inwestowania w kraj, a nie za granicą? Japonia wie to od czasu Meiji – i nie tylko

tutaj wyłamuje się z wolnorynkowej ortodoksji. Trudno jednak wąsko rozumianym rachunkiem ekonomicznym tłumaczyć obecność takich zawodów, gdzie jedynym obowiązkiem jest naciskanie guzików w windzie i kłanianie się pasażerom. Alternatywą jednak byłby wzrost bezrobocia i kosztów społecznych z tym związanych.

Uparte podążanie Japonii własną drogą może stanowić wyzwanie dla wciąż zmieniającego się świata. Kraj opiera się większości współczesnych ideologii i radzi sobie całkiem nieźle. Homogeniczne społeczeństwo uważa się tutaj za wartość samą w sobie, stąd niechęć do imigracji i zamknięte drzwi dla uchodźców.

Japonia leży na wyspach. Ale jej odrębność wynika też z faktu, że od czasów Meiji, pomimo wojennych turbulencji, nie doszło tu do zerwania ciągłości elit, które odtwarzają podobny sposób postrzegania rzeczywistości.

Zasklepanie się we własnym świecie może oczywiście prowadzić do patologii. Nie doszłoby do awarii w elektrowni atomowej w Fukushima, gdyby nie klanowe powiązania w japońskim sektorze atomowym. Nikt rozsądny nie zaprzeczy też, że wymuszona po 1945 r. na Japończykach demokracja jest lepsza niż militarizm i kult cesarza-boga.

Nie ma miejsc idealnych. Dziś japońska gospodarka rośnie słabo, społeczeństwo się starzeje, Chiny prężą muskuły, dylemat otwarcia się na imigrację staje się palący. Premier Abe porównuje te wyzwania do tych sprzed 150 lat.

A jednak, gdy rozejrzeć się dziś z Tokio po świecie – jak kiedyś samuraje u początku ery Meiji – to Japonia jawi się jako oaza spokoju i dobrobytu. To kraj zbudowany przez Japończyków dla Japończyków.

Ktoś krytyczny mógłby dorzucić: i dla nikogo więcej.

© PIOTR BERNARDYN

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I.Ns 312/17 postępowanie z wniosku Stefani Sulkowskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Eugeniuszu Sulkowskim, zm. 10 lutego 2010 r., ostatnio zamieszkałym w Lublinie. W skład spadku po zmarłym wchodzi udział w prawie do lokalu mieszkalnego położonego w Lublinie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



Daniel Everett z Indianami Pirahã (kadr z filmu „Amazoński kod”)

KALEJDOSKOP UMYSŁÓW

Poza naszą biologią na to, jak postrzegamy świat, zadziwiająco głęboko wpływają także czynniki kulturowe. Psycholodzy późno uświadomili sobie, jakie konsekwencje niesie to dla całej dyscypliny.

KASPER KALINOWSKI

ŚWIAT NIGDY WCZEŚNIEJ NIE BYŁ TAK homogeniczny jak obecnie. Według szacunków organizacji Survival International z 2013 r. liczebność ostatnich społeczności łowiecko-zbierackich pozostających bez kontaktu z cywilizacją wynosi ok. 100 plemion – to nie więcej niż 2-3 tysiące osób. Zachodnie demokracje to obowiązujący wzór, pożądamy identycznych nowinek technicznych i niemal w każdym miejscu na Ziemi możemy zjeść takie samo śmieciowe jedzenie. Ale zanikanie różnorodności kulturowej to strata nie tylko dla etnografów. Odmienne rejony świata różnią się pod względem psychologicznym – zagłada kultur to zagłada unikalnych sposobów myślenia.

Przyjrzyjmy się kilku stwierdzeniom. „Sukcesy osobiste przyczyniają się do dobrego samopoczucia”. „Ludzie chcą się wyróżniać – każdy jest zbiorem niepowtarzalnych cech”. „W relacjach międzyludzkich równość jest stanem pożądanym”. Prawdopodobnie zgadzasz się z powyższymi тезami.

Nic dziwnego – podobnie myślą miliony ludzi na całym świecie i większość osób, które znasz. Nie są one jednak reprezentatywne dla całego globu. Dotyczą mieszkańców Zachodu; w pozostałych rejonach świata, m.in. w Azji, nie spotkałyby się z powszechną aprobatą.

Kultura tak bardzo wpływa na nasze umysły, że trudno przyjąć obcą nam per-

spektywę, o czym przekonał się pewien biskup, który w XIX w. odwiedził odizolowaną wioskę Maorysów w Nowej Zelandii. Aby uhonorować znakomitego gościa, udającemu się na spoczynek biskupowi wódz zaproponował towarzystwo jednej z Maorysek. Widząc jego dezaprobatę, natychmiast zaproponował dwie kobiety.

„Dziwny” Zachód

Czytając doniesienia z badań psychologów bez wahania uogólniamy wyniki na całą populację. Prawda jest bardziej złożona – ogromną większość słynnych eksperymentów na psychologicznych przeprowadzono na specyficznej grupie osób: studentach, do tego wywodzących się z silnie

zindywidualizowanego, ceniącego logikę i myślenie analityczne Zachodu.

Joseph Heinrich z Uniwersytetu Kolumbii Brytyjskiej w 2010 r. przewrotnie określił tę grupę jako WEIRD (z ang. „dziwny”). Akronim ten pochodzi od słów dobrze opisujących mało reprezentatywne dla reszty globu społeczeństwa, z jakich wywodzi się dominująca w psychologii grupa osób badanych: zachodni (*western*), wykształcony (*educated*), uprzemysłowiony (*industrialized*), zamożny (*rich*), demokratyczny (*democratic*).

Amerykanie są autorami ponad 70 proc. publikacji z zakresu psychologii, a badacze z zachodniego kręgu kulturowego – aż 99 proc. Przekłada się to na strukturę uczestników badań. W latach 2003-07 68 proc. osób badanych pochodziło z USA, aż 96 proc. zaś z uprzemysłowionych krajów zachodnich. Według szacunków Jeffreya J. Arnetta z Uniwersytetu Clarka taki dobór osób badanych sprawia, że w eksperymentach psychologicznych pod uwagę brane jest jedynie 5 proc. globalnej populacji. Losowo wybrany amerykański student ma aż 4000 razy większe szanse na wzięcie udziału w eksperymencie psychologicznym niż losowo wybrana osoba spoza zachodniego kręgu kulturowego.

Wschodni kolektywizm

Richard Nisbett, profesor psychologii z Uniwersytetu Michigan i jeden z najwybitniejszych badaczy międzykulturowych różnic w sposobach myślenia, wyznał, że inspiracją do napisania „Geografii myślenia” (wyd. polskie 2009) był kontakt ze studentami azjatyckiego pochodzenia. Choć zdawali się oni dorównywać wiedzę czy błyskotliwością amerykańskim kolegom, rzadko zabierali głos w dyskusjach, a ich prace pisemne uzyskiwały niskie oceny.

Na Zachodzie jednostki przekonane są o swojej osobistej sprawczości i niepowtarzalności. W kulturach Wschodu ważniejsza niż sprawczość jest harmonia, człowiek określa się w relacjach z innymi. Kontekst sytuacyjny jest bardziej akcentowany. Opisany przez psychologów społecznych podstawowy błąd atrybucji (wyjaśnienie zachowania innej osoby jej wewnętrznymi cechami – np. lenistwem, inteligencją itd. – uznawanymi za niezmiennie w czasie, przy ignorowaniu kontekstu sytuacji i roli czynników społecznych) rzadziej występuje w kulturach

Wschodu. Wynika to z zachodniej, niezrozumiałej dla ludzi Wschodu koncepcji Ja jako odseparowanego od innych czynników i stałego w różnych sytuacjach. Jeśli ktoś osiąga słabe wyniki w jakiejś dziedzinie, stwierdzamy, że najprawdopodobniej nie ma do tego predyspozycji. W krajach Wschodu zakłada się, że nauczyciel stara się niewystarczająco lub trzeba zmienić sposób przekazywania wiedzy. Również dokonana przez Michaela Morrisa i Kapinga Penga analiza artykułów prasowych w USA i Chinach pokazała większe znaczenie kontekstu sytuacyjnego w wyjaśnianiu zachowań przez ludzi Wschodu. W badaniach Stevena Cousinsa poproszono Amerykanów i Japończyków o opisanie siebie w konkretnej sytuacji i poza jakimkolwiek kontekstem. Japończycy mieli problem, aby opisać siebie poza kontekstem – ról rodzinnych czy pracy.

Zniekształcenie ponadprzeciętności – opisywanie własnych cech i zdolności jako lepszych od innych ludzi – rzadziej występuje wśród Azjatów. W porównaniu do Amerykanów czy Kanadyjczyków wyniki testów samooceny są tam niższe. Podkreślanie roli wspólnoty ma odzwierciedlenie również w marketingu. Specjaliści od reklamy Sang Pil Han i Sharon Shavitt analizując koreańskie i amerykańskie reklamy zauważyli, że te pochodzące z Azji częściej podkreślają zbiorowość i wartości kolektywistyczne niż indywidualne korzyści, które odnosi jednostka. Świat zachodni opisywany jest za pomocą kategorii, a zasady logiki formalnej, jak zasada niesprzeczności, są powszechnie cenione. W kulturach Wschodu logikę zastępował dialektycyzm – uchwycenie relacji między obiektami lub zdarzeniami. Twierdzenie prawdziwe w jednych okolicznościach nie musi być prawdziwe w innych.

Język pozbawiony kolorów

Już sama konstrukcja języków indoeuropejskich umożliwia tworzenie abstrakcyjnych pojęć. Dodając sufiks „-ość” można utworzyć rzeczownik opisujący ogólny, oderwany od danego układu atrybut przedmiotu, jak np. „białość”. Odpowiednik sufiksu „-ość” nie występuje w niezwykle konkretnym języku chińskim. Powszechne dla zachodniej cywilizacji zamiłowanie do zdobywania wiedzy dla samej siebie czy tworzenia abstrakcyjnych teorii naukowych praktycznie nie występowało we wschodnim kręgu kulturowym. Donald Munro, filozof i sinolog, zauważa,

że „w konfucjanizmie nie istniało pojęcie wiedzy, z której nie wynikałoby jakieś działanie”. Może dlatego tyle chińskich wynalazków wyprzedzało europejskie.

Dyskutowana wśród filozofów, psychologów i językoznawców hipoteza Sapira-Whorfa zakłada, że myślenie kształtowane jest przez język – użytkownicy różnych języków postrzegają świat w różny sposób. Niezależnie od tego, czy język kształtuje procesy myślowe, czy raczej je odzwierciedla, jest on jednym z kluczy do zrozumienia danej kultury, ponieważ w nim akumulują się doświadczenia jej członków. Niestety, postępująca unifikacja świata następuje również pod względem lingwistycznym – w samej Australii wymarło ok. 250 języków.

Według Daniela Everetta w języku amazońskiego plemienia Pirahã istnieją tylko trzy określenia liczebności (jeden, dwa i wiele) i zupełnie nie ma określeń kolorów. Inny badacz Pirahã, Peter Gordon, wykazał, że pozbawieni większości liczebników Indianie nie radzili sobie z prostymi zadaniami arytmetycznymi polegającymi na dodawaniu liczb większych niż trzy.

Oczywiście tych różnic jest znacznie więcej. W kulturze Pirahã nieobecne są także mity czy opowieści o stworzeniu, o czym ze zdziwieniem przekonał się Everett. Zetknął się on z tym plemieniem jako katolicki misjonarz, jednak nie udało mu się nikogo nawrócić. – Zrozumiałem, że oni już są szczęśliwi. Niesienie im przesłania od Pana jest jak zawożenie lodu Eskimosom – stwierdził. Ostatecznie sam porzucił swoją wiarę.

Z kolei żyjące w Papui-Nowej Gwinei plemię Berinmo posiada jedynie pięć określeń na kolory, znaczeniowo odmiennych od języków europejskich – np. kolor zielony i niebieski określane jest tym samym słowem *noł*, a kolor, który nazwalibyśmy zielono-żółto-pomarańczowym, określane jako *wor*. W eksperymencie Debi Roberston i współpracowników Anglicy mieli problem z odróżnianiem koloru *wor*, natomiast Papuasi z odróżnianiem niebieskiego i zielonego (badani wybierali paski kolorystyczne zbliżone do pokazanego wcześniej). Wyniki te potwierdzają, że język faktycznie w jakimś stopniu wpływa na sposób myślenia.

Również wschodnie języki różnią się od znanych nam języków europejskich. W chińskim nie znajdziemy słowa „indywidualizm”. Najbliższe mu znaczeniowo →

→ słowo to „samolubstwo”. Japończycy nie mają rdzennego określenia na poczucie własnej wartości – wykorzystuje się zapożyczone z angielskiego *serufu esutiimu* (od ang. *self-esteem*). Jak zauważa Nisbett, typowa rozmowa zachodniego rodzica z małym dzieckiem polega na używaniu rzeczowników, nazywaniu obiektów i wyliczaniu ich właściwości. W kulturach Wschodu byłaby ona niezrozumiała. Matki w Japonii rozmawiając ze swoimi dziećmi koncentrują się bardziej na uczuciach, większej ilości czasowników, opisują relacje społeczne i normy zachowania. Takie odmienne trajektorie rozwojowe rzutują na późniejsze postrzeganie świata.

Inuici się nie gniewają

Postrzeganie ludzi Wschodu wydaje się bardziej kompleksowe, nie tylko w przypadku życia społecznego. Uwzględnia więcej elementów i rolę kontekstu. Takahiko Masuda pokazywał amerykańskim i japońskim studentom animowane obrazy ukazujące życie pod wodą. Badanych pytano o to, co widzą. I Amerykanie, i Japończycy wspominali o centralnie umieszczonych rybach, ale Japończycy także o 60 proc. częściej wspominali o elementach tła, takich jak woda czy kamienie. W późniejszym teście polegającym na przypomnieniu sobie uprzednio widzianych elementów Japończycy osiągnęli lepsze rezultaty, kiedy elementy były eksponowane zgodnie z wcześniejszym tłem (niezgodność ta nie przeszkadzała Amerykanom). Również w sytuacjach z życia codziennego Japończycy zwracali większą uwagę na tło i detale (badanym eksponowano dwa niemal identyczne filmy, prosząc o znalezienie różnic). Różnice zaobserwowano również na poziomie neuroanatomicznym. Angela H. Gutchess z Uniwersytetu w Michigan udowodniła, że Amerykanie, w porównaniu do wschodnich Azjatów, aktywują więcej regionów mózgu zaangażowanych w przetwarzanie obiektów, m.in. zakręt skroniowy środkowy, nadbrzeżny czy kątowy, płacik ciemieniowy dolny.

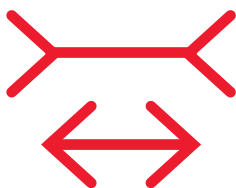
W klasycznych, przeprowadzonych na Papuasach badaniach Paul Ekman wyróżnił zbiór uniwersalnych i wspólnych kulturowo emocji (w jednej z klasyfikacji: strach, złość, smutek, radość, wstręt, zaskoczenie) – także wielu innych badaczy przyjmuje pewne uniwersalne emocje podstawowe. Jednak mimo wspólnych

Podatność na iluzje

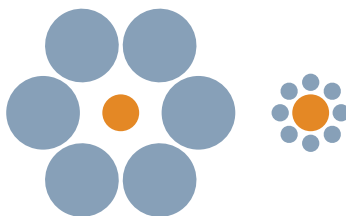
Uzależniona od kultury może być także podatność na popełnianie błędów percepcyjnych.

ILUZJA WZROKOWA MÜLLER-LYERA

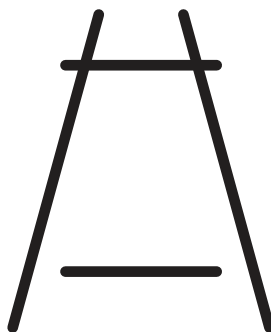
sprawdza się w przypadku m.in. Amerykanów, którzy przeszacowują długość górnego odcinka (w rzeczywistości oba są równe), ale nie poddają się już jej członkowie afrykańskiego plemienia San z kotliny Kalahari.



ZŁUDZENIE EBBINGHAUSA (zwane też Kołami lub Okręgami Titchenera): w rzeczywistości środkowe koła po lewej i prawej stronie są identyczne. Jedno z badań wykazało, że Anglicy znacznie częściej ulegają iluzji (oceniając środkowe koło po prawej stronie jako większe) niż członkowie plemienia Himba z Namibii.



ZŁUDZENIE PONZA: w rzeczywistości poziome odcinki są równej długości. Studenci z Ugandy byli mniej podatni na iluzję niż studenci amerykańscy, oceniający górny odcinek jako dłuższy. Co ciekawe, mieszkańcy wiejskich obszarów z Ugandy też ulegali iluzji.



wszystkim ludziom biologicznych komponentów, kultura może wpływać na ekspresję emocji.

Nawet tak oczywista dla nas emocja jak gniew nie wszędzie jest wyrażana w takim samym stopniu. Przedstawiciele inuickiego plemienia Utku bardzo rzadko przejawiają gniew, a w życiu społecznym unikają sytuacji mogących być źródłem frustracji dla innych. Przedstawiciele Wschodu, interpretując emocje innych osób, przywiązują większą wagę do kontekstu społecznego, z którego czerpią informacje. Takahiko Masuda wraz ze współpracownikami pokazywał sceny przedstawiające różne emocje, z postacią centralną i otoczoną przez inne osoby. Mimika osób z otoczenia wpływała na oceny Japończyków, przedstawiciele Zachodu zaś całkowicie je ignorowali. Zwracanie większej uwagi na kontekst i otoczenie przez ludzi Wschodu udokumentowano również przy użyciu eye-trackera (urządzenia monitorującego, w które miejsce dana osoba patrzy).

Odmienne sposoby myślenia członków różnych kultur przejawiają się także w wielu innych obszarach życia. Ciekawym przykładem są decyzje ekonomiczne i szacowanie ryzyka. W dylemacie ekonomicznym zwanym grą „Ultimatum” jedna z dwóch osób ma zdecydować, czy akceptuje proponowany przez drugą podział środków (w przeciwnym razie pieniądze przepadają). W USA, Europie i Azji środki są z reguły dzielone po połowie (między 40-50 proc. dla strony, która akceptuje lub odrzuca podział), a propozycje poniżej 30 proc. są postrzegane jako niesprawiedliwe i odrzucane. Jednak decyzje takie nie są reprezentatywne dla całego świata. Proponowany w USA podział jest blisko dwa razy korzystniejszy dla drugiej osoby niż u przedstawicieli plemienia Hadza z Tanzanii czy mieszkańców boliwijskiej części Amazonii.

Te wszystkie ustalenia nie tylko sporo mówią o naszej naturze – pokazując podatność umysłu na wpływy kultury – ale jednocześnie zmuszają do wykonania rachunku sumienia badaczy wywodzących się z wielu dziedzin psychologii. Można się bowiem zastanawiać, na ile tradycyjne badania, prowadzone na osobach wywodzących się z zachodnich, indywidualistycznych społeczeństw, pozwalają formułować uniwersalne prawa – do czego przecież pretendują psycholodzy.

© KASPER KALINOWSKI

WOJCIECH

Bonowicz:

Radio w samochodzie



ZNOWU MI NIE UWIERZYCIE, ALE CO TAM. NIE dalej, jak kilka dni temu, w jedno z tych mroźnych popołudni, kiedy temperatura spadła poniżej minus dziesięciu, jadę przez miasto – nie, nie jadę, posuwam się metr za metrem – i słucham Radia Maryja. Tak, wiem, nie powinienem. Nie powinienem brać samochodu w taki mroźny dzień, kiedy wszyscy palą, czym popadnie, mimo że prezydent miasta wzywa, aby nie palić, a auta zostawić w domu. Tak, wiem, ale, niestety, zawartości mojego bagażnika nawet taki King Kong jak ja nie byłby w stanie wnieść do tramwaju. Więc mimo wyrzutów sumienia musiałem wziąć samochód. I teraz jadę, posuwam się właściwie, a z głośnika dobiega znajomy głos sławnego kaznodziei.

Głos ten jest niezwykle kojący. Ale kojąca jest nie tylko jego tonacja – ciepła barwa, spokojny, równy tok wywodu, umiejętne akcentowanie kluczowych miejsc homilii. Kojące są również treści, które ów głos przekazuje. Mówi o otwarciu na świat, o konieczności przezwyciężenia podziałów, o międzyludzkiej solidarności. Z anteny Radia Maryja padają słowa: wielość, szacunek dla odmienności, „wszyscy z wszystkimi” i „wszyscy dla wszystkich”. Stojąc na brzegu morza Polaków, kaznodzieja mówi o wezwaniu, które płynie ze strony morza jako takiego (bo kazanie, którego słucham, wygłoszone zostało w Gdyni).

„Wezwanie morz”, mówi znajomy głos, „spotyka się z losami wszystkich ziem zamieszkanymi. Nie tylko rozdziela te ziemie i utrzymuje w oddali, w odległości – ale także łączy. Tak. Morze mówi człowiekowi o potrzebie szukania się nawzajem. O potrzebie spotkania i współpracy”.

Uwięziony w ciekącym powoli strumieniu aut (czyżby wszyscy tego dnia mieli tak samo obciążone bagażniki?) słucham oklasków, które wybuchają, kiedy pada po raz pierwszy słowo „solidarność”. Kaznodzieja prosi jednak o skupienie: ważne dlań jest nie tylko to jedno słowo, ale cały wywód. Prosi o jego uważne wysłuchanie i nagrodzenie brawami dopiero na końcu, jeśli wywód ewentualnie się spodoba... „Czy przyszłość, lepsza przyszłość, może wyrosnąć z narastania różnic i przeciwieństw na drodze wzajemnej walki?”, pyta retorycznie. „Walki systemu przeciw systemowi, narodu przeciw narodowi — wreszcie: człowieka przeciw człowiekowi? W imię przyszłości człowieka i ludzkości trzeba było wypowiedzieć to słowo »solidarność«”. I dodaje: „Solidarność to znaczy sposób bytowania wielości ludzkiej, na przykład narodu, w jedności, w uszanowaniu wszystkich różnic, wszystkich odmienności, jakie pomiędzy ludźmi zachodzą. A więc jedność w wielości, a więc pluralizm – to wszystko mieści się w pojęciu solidarności”.

Zapewne domyśliliście się już, że znajomy głos, który mówił takie słowa, nie należał ani do ojca dyrektora stacji, ani do żadnego z jego duchownych akolitów. Słowa takie, jak „pluralizm” czy „odmienność” to w ustach ludzi występujących na antenie tego radia raczej inwektywy – przynajmniej w tych wystąpieniach, których słuchałem, bo przecież nie słucham na okrągło.

Nie wiem, co sprawiło, że w ostatni dzień lutego, mroźny i ciemny, Radio Maryja między godziną 17 a 18 puściło kazanie wygłoszone przez papieża Jana Pawła II na spotkaniu z ludźmi morza w czerwcu 1987 r. Ale kazanie to było jak powiew wiatru – porywistego, morskiego wiatru – w duchowym smogu. ©

TP Kluby „TP” zapraszają

BERLIN

czwartek, 8 marca, godz. 19.00

Spotkanie „Polak Polakowi bratem”. Gośćmi będą: Paulina Gulińska-Jurgiel, Piotr Fabiś. Klasztor oo. Dominikanów (Oldenburger Str. 46, 10551 Berlin-Moabit).

GLIWICE

środa, 7 marca, godz. 17.30

Spotkanie z okazji piątej rocznicy powstania Klubu. Gościem będzie ks. Adam Boniecki. Prowadzenie: Piotr

Magosz. Centrum Edukacyjne im. św. Jana Pawła II (ul. Górnych Wałów 3A).

LIPSK

czwartek, 8 marca, godz. 18.30

Spotkanie „Braterstwo służb. Stasi i SB w inwigilacji Polaków w NRD”. Gościem będzie Sławomir Buczek – archiwista lipskiego oddziału urzędu ds. akt Stasi. Salka KOLPINGA w Propsteikirche (Nonnenmühlgasse 2).

SZCZECIN

czwartek, 15 marca, godz. 17.00

Spotkanie z okazji pierwszej rocznicy powstania Klubu. Gościem będzie ks. Adam Boniecki. Prowadzenie: Cecylia Judek. Aula Książnicy Pomorskiej (ul. Podgórna 15/16, III piętro).

WARSZAWA

czwartek, 8 marca, godz. 19.00

Spotkanie z cyklu „Czytamy Tischnera”. Temat: „Naprzeciw człowiekowi, czyli ryzyko Pana Boga”. Sala KIK (ul. Freta 20/24A, II piętro).

sobota, 17 marca, godz. 16.00

Kawiarenka Klubu. Gościem będzie Katarzyna Kubisiowska. Stacja Muranów (ul. Andersa 13, wejście od dziedzińca).

WROCŁAW

środa, 14 marca, godz. 18.00

Spotkanie „Między prawem i sprawiedliwością”. Gośćmi będą: prof. Adam Strzembosz i Stanisław Zakroczyński. Synagoga pod Białym Bocianem (ul. Pawła Włodkowica 7).



Prezydent Chin i sekretarz generalny Chińskiej Partii Komunistycznej Xi Jinping, czyli nowa twarz globalizacji. Hongkong 2017 r.

WESELE I KILKA POGRZEBÓW

Dlaczego nikt nie płacze po liberalizmie?
Przeciwnie: wszyscy wieszają na nim psy. Jego naturalni sojusznicy
wołą dziś postawy autorytarne i silne państwa narodowe.

JAKUB DYMEK

WLISTOPADZIE 1989 R. EDWARD Luce, student nauk politycznych na Uniwersytecie Oksfordzkim, z kilkorgiem przyjaciół uciekł z zajęć. Z nie byle powodu: walił się mur berliński i młodzi studenci historii i polityki chcieli mieć swój skromny udział w dziejącej się na ich oczach historii. Wsiedli do samocho-

du i po 18 godzinach własnoręcznie, ramię w ramię z berlińczykami, walili młotkami w żelazną kurtynę. Kawalek przywieszonego jako pamiątka muru uchronił ich przed naganą od profesorów – nawet serca statecznych oksfordzkich akademików musiały zmięknąć wobec tego gestu żywego, młodzieńczego entuzjazmu dla tryum-

fującej nad kruszejącym komunizmem liberalnej demokracji.

Atmosfera optymizmu była zresztą powszechna – chwilę wcześniej w Polsce, kraju Solidarności, odbyły się pierwsze częściowo wolne wybory, a kolejne kraje bloku wschodniego odcinały splatający je z Moskwą węzeł, odbijając od centralnie

planowanej gospodarki na wolne wody globalnego kapitalizmu. Swoje powody do zadowolenia znajdowali zarówno zachodni konserwatyści, jak i liberałowie. Jedni cieszyli się, że epokowa misja Ronalda Reagana i Margaret Thatcher się powiodła, drudzy – że demokracja, wolność jednostki i świat bez granic zatrzymują zgodnie tam, gdzie do niedawna zamknięte murami społeczeństwa trzymane były w szachu przez autorytaryzm, monopartię i kolektywizm.

W przeciągu tych burzliwych kilkudziesięciu miesięcy między 1989 r. a ostatecznym końcem zimnej wojny, ogłoszonymi ustami odchodzącego amerykańskiego prezydenta, George'a Busha seniora – gdy robotnik dysydent został prezydentem Polski, gdy rozpadało się największe światowe imperium, gdy dawni więźniowie polityczni wypełniali poselskie ławy – powstała też definiująca te czasy ideologia. „Koniec historii”, „ostatnia fala demokracji”, „globalizacja” – eseje Fukuyamy i Huntingtona nadały ton epoce. Strzała historii musiała mknąć naprzód, nie było innego wyjścia.

Dziś jednak pisanie o końcu wszystkich tych procesów stało się wręcz intelektualną modą. Defetyzm względem losów liberalnej demokracji praktykujemy równie gorliwie, co w 1989 r. – tryumfalizm. Lista autorek i autorów, którzy pospieszyli ogłaszać koniec demokracji (liberalizmu, globalizacji, Zachodu), jest imponująca: z każdej politycznej tradycji, kraju i orientacji.

Również Edward Luce, który w 1989 r. chciał być świadkiem tryumfu liberalnej demokracji i własnoręcznie wyrwać cegłę z berlińskiego muru, dziś pisze o jej klęsce. „*The Retreat of Western Liberalism*” („Odwrót zachodniego liberalizmu”), nowa książka tego dziennikarza i analityka, mierzy się z genezą kryzysu – dlaczego tak fetowany jeszcze ćwierć wieku temu zachodni liberalizm musiał (bo Luce przekonany jest, że musiał) tak nieodwołalnie skończyć?

Miało być wesele

Fundamentem liberalno-demokratycznego porządku była jego gospodarcza wydajność. Przez kilka powojennych dekad można było w ciemno założyć się, że zachodnie (w domyśle liberalne, kapitalistyczne i demokratyczne) kraje będą rozwijać się sprawniej, dostarczać lepszych towarów i usług oraz pewniej gwaran-

tować wolności obywatelskie niż niedemokratyczny „Drugi” i „Trzeci Świat”. To wszystko przy jednoczesnym podwojeniu dobrobytu każdego kolejnego pokolenia względem poprzedniego. Oczywiście w wybranych wskaźnikach gospodarczych albo rozwoju niektórych sektorów przemysłu Związek Radziecki czy Korea Południowa mogły czasem prześcignąć kraje Zachodu, ale klasa średnia – trzon liberalnego społeczeństwa – we Francji, RFN czy Stanach Zjednoczonych nie miała powodów, by mieszkańcom ZSRR czy Korei specjalnie zazdrościć. Związane ze sobą obietnice – demokracja będzie umacniać wolność, a kapitalizm dobrobyt – pomimo kryzysów, fał niezadowolenia i społecznych rewolt pozostawały dla znacznej części społeczeństwa prawdziwe.

Do czasu. Realne płace w Ameryce przestały rosnąć w latach 70. Choć taniały dobra codziennego użytku i elektronika, to niezbędne dla stabilności i klasowego awansu edukacja, ubezpieczenia i opieka zdrowotna drożały nieporównywalnie bardziej. Ceny wynajmu mieszkań rosły szybciej niż możliwości finansowe absolwentów coraz droższych uczelni. Społeczeństwa edukowały się ponad zdolność absorpcji wykwalifikowanych pracowników przez rynek pracy, a społeczna emancypacja kobiet i mniejszości tworzyła presję na wcześniej uprzywilejowanego białego robotnika. Reakcja sprzeciwu na te społeczne zmiany nie była chwilowa, ale na trwałe weszła do amerykańskiej – i nie tylko – polityki.

W Europie Zachodniej otwarte granice oznaczały napływ tanich dóbr i imigranckich rąk do pracy – ale również zaburzenie starego porządku klasowego, ryzyko dumpingu płacowego i egzystencjalny lęk o kształt starzejących się społeczeństw. Obywatele Zachodu nie musieli wczytywać się w roczniki statystyczne, aby zauważyć, że coś jest nie tak – widzieli, że awans, który miał być naturalnym i oczywistym przywilejem życia na Zachodzie, został odebrany pokoleniu ich dzieci i wnuków. W kategoriach bezwzględnych wcale nie żyje im się gorzej niż Chińczykom czy Hindusom – ale mają uzasadnione przeczucie, że róg obfitości globalnego kapitalizmu hojniej wysypuje swoje owoce gdzie indziej.

W Stanach Zjednoczonych – społeczeństwie zbudowanym na idei awansu „średniaków”, gdzie pojęcie „klasa robotnicza” nie funkcjonuje, jest wręcz tabu

– w 2000 r. jedna trzecia obywateli deklarowała, że należy do „klasy niższej”. I to po optymistycznej dekadzie prezydentury Clintona, „nowej ekonomii nowych demokratów”, gdy kraj rzeczywiście mógł pochwalić się dobrymi wskaźnikami gospodarczymi. W 2015 r., według Instytutu Gallupa, odsetek Amerykanów określających się jako „klasa niższa” wzrósł do blisko połowy.

Co gorsza, wbrew obowiązującej ideologii, niedemokratyczne systemy, zamiast zdemokratyzować się, aby pokornie gościć Zachód, zaczęły go doganiać bez spełnienia tego pierwszego warunku. Błyskawiczny rozwój Chin Jintao i Xi Jinpinga, relatywna poprawa stopy życia w putinowskiej Rosji, mocarstwowe ambicje Turcji pod przywództwem Recepa Erdoğana – przeczą aksjomatowi o nierozzerwalności rozwoju i demokracji.

Zbuntowane przeciw autokratom społeczeństwa „Drugiego” i „Trzeciego Świata” miały domagać się na ulicach demokracji, jednak równie często „Pierwszy Świat” (Occupy i Indignados, Tea Party i Solidarni 2010, greccy komuniści i związkowcy oraz wchodnoniemiecka PEGIDA) domaga się wykopania z siodła swojej własnej klasy panującej – meryto- i technokratów.

Czy musiało do tego dojść? „Najwyraźniej musiało, skoro doszło” – można starym bon motem sparafrazować diagnozę, jaką przedstawia Luce. Systemy, które przestają wypełniać swoją obietnicę, skazane są na kryzys. Zachodni liberalizm i obietnica nieustannego wzrostu nie są wyjątkami. Co więc stoi za genezą sukcesu Trumpa, Orbána, referendum brexitowym i pnącymi się w górę partiami protestu? Tak, oczywiście: „Gospodarka, głupcze!”.

Dla Chińczyka to nie stypa

Ostatecznym znakiem upadku zachodniego liberalizmu jest zdaniem Luce'a – i szerokiego grona amerykańskich autorów – oczywiście zwycięstwo Donalda Trumpa. A konkretnie dwa różne jego antyliberalne wymiary. Po pierwsze, fakt wygranej Trumpa ośmieszył w oczach wielu ludzi – zadeklarowanych przeciwników liberalizmu, jak i przekonanych liberałów – same założenia liberalnej demokracji. Przekonanie, że na wolnym rynku idei zatrzymać muszą te lepsze; że prawda obroni się w oparciu na faktach dyskusji; że kompetencje i wiedza ważą więcej niż ślepe oburzenie i kaprys mas.

→ Zwycięstwo tak paradoksalnej figury – miliardera w roli ludowego trybuna – zepchnęło też spór polityczny z dotychczasowych torów.

Centralne miejsce na agorze zajęły stronnictwa obłudnie opiewające mądrość i moralny kompas „zwykłych Amerykanów” (Polaków, Brytyjczyków, Francuzów). Stały one naprzeciw autentyczności wściekłych na ludową głupotę, niewdzięczności i wsteczności elitarystów. Na liberalizm – przekonanie o autonomii jednostek, ale i ograniczających ją prawach i instytucjach – nie ma już w takiej postaci miejsca.

Po drugie zaś Trump i jego program wyborczy (to, co można nazwać programem) to odwrót od pewników, które przyjmowali i Republikanie, i Demokraci, całe szerokie polityczne centrum. Przy wszystkich różnicach między konserwatywną i bardziej lewicową stroną głównego nurtu liberalny trzon wewnętrznej i zagranicznej polityki USA nie był kontestowany. Dotychczas jedni i drudzy wierzyli w sens „promocji demokracji” i wspierania społeczeństwa obywatelskiego za granicą, w wolny handel i globalizację, multilateralizm w stosunkach międzynarodowych i przyjazne stosunki z europejskimi partnerami. W 2017 r. zatryumfował nacjonalizm w retoryce, protekcjonizm w gospodarce i izolacjonizm w polityce zagranicznej. Wszystko to razem (głęboko „antyamerykańskie” wartości – zdaniem liberalnych komentatorów) oznacza jeśli nie od razu koniec, to najbardziej radykalny od dawna odwrót od liberalnej tradycji.

Edward Luce ilustruje ten pogląd sceną ze szczytu w Davos w 2017 r. – spotkania globalnych decydentów, szefów rządów, bankierów i prezesów korporacyjnych gigantów – „gdzie dokonała się zmiana warty w światowej gospodarce”. W roli obrońcy wolnego handlu, gospodarczej globalizacji i głębiej zintegrowanego świata wystąpił... sekretarz generalny Chińskiej Partii Komunistycznej i prezydent Chińskiej Republiki Ludowej Xi Jinping. Sekretarz Xi antycypował atak na te same wartości ze strony świeżo zaprzysiężonego prezydenta Stanów Zjednoczonych, dla którego kilku czy kilkunastu poprzedników na tym stanowisku wygłoszenie na międzynarodowym szczycie mantry o wyższości kapitalizmu i znaczeniu globalnych instytucji byłoby oczywistością.

Tym razem było inaczej: funkcjonariusz partii komunistycznej pouczał świat o wadze relacji handlowych jako honorowy gość zjazdu kapitalistów w kurorcie w szwajcarskich Alpach. Świat, można było pomyśleć, stanął na głowie. Zegar odmierzający historyczne epoki wybił północ. Coś się skończyło, coś się zaczęło. Z tezą, że obserwujemy tektoniczną zmianę światowego porządku, a jednobiegunowy „atlantycki” świat jest zagrożony, trudno się spierać. Fakty na temat wzrostu znaczenia Chin są niezaprzeczalne, a globalizacja dziś ma inny charakter, niż wyobrażali sobie to zarówno amerykańscy „nowi demokraci” lat 90. i neokonserwatyści dekadę później. Model rozwoju kapitalizmu, który sprawdzał się na Zachodzie pół wieku temu, wyczerpał swój potencjał – a wzrost klasy średniej obserwujemy właśnie w Chinach czy Indiach. W krajach Zachodu ta sama klasa średnia deklaruje w badaniach poczucie zagrożenia, niepewności i głęboki pesymizm – co przekłada się na wzrost tolerancji dla postaw autorytarnych i żądanie silnego państwa narodowego.

Jednak tak, jak amerykanocentryzm był wadą popularnych interpretacji „końca historii”, tak być może i opisywany przez Luce’a odwrót zachodniego liberalizmu cierpi na podobną dolegliwość?

Reszta świata

Jeśli utożsamiamy zachodni liberalizm wyłącznie z dominującą rolą Ameryki, powszechną wiarą w prymat wolnego rynku i zgodą na globalizację opierającą się na wielkich traktatach handlowych w rodzaju NAFTA czy TTIP – owszem, zachodni liberalizm znajduje się w odwrocie. Ameryka musi liczyć się i negocjować z państwami o wielokrotnie słabszej gospodarce (Iran), dzielić wpływy z odradzającymi mocarstwami (Rosja), chronić swoją gospodarkę przed technologiczną konkurencją nowych cyfrowych potęg (Chiny). Gdzie się nie obejrzeć, jakaś obietnica protekcjonizmu i wzmocnienie roli państwa – choćby jako obrońcy „tutejszego” robotnika przed imigrantem – podminowuje dotychczas dominujące przekonanie o wyższości rozwiązań rynkowych i nieskrępowanej konkurencji.

W kolejnych krajach to konserwatyści, a nawet skrajna prawica podbiera socjalne pomysły i wyborców lewicy – co jest rewersem sytuacji z ostatniego ćwierćwiecza, gdy to lewica rezygnowała z socjal-

nego programu i upodobniała się do swoich przeciwników.

Czy splot demokracji i rynku (oparty na globalizacji i handlu) to jednak wyłączone rozumienie liberalizmu? Możemy sobie wyobrazić, że choćby jutro Donald Trump wypowiedział wszystkie amerykańskie umowy handlowe, zamknął granice dla handlu z Meksykiem, zaostriżył prawo imigracyjne, a nawet zbudował swój mityczny mur – liberalna demokracja, ustroj oparty na wolności przekonań i słowa, przejrzystym systemie wyborczym, niezależności instytucji i wolnościach obywatelskich utrzymały się w świecie Zachodu. Pewnie nie bez uszczerbku, fakt. Ale stan demokracji i kondycja liberalizmu w Polsce, na Węgrzech, w Hiszpanii czy we Włoszech ma mniej wspólnego z bilansem handlowym USA-Chiny, a więcej z decyzjami obywateli i polityków tych krajów. Czy można więc wyobrazić sobie demokrację liberalną bez wielkich traktatów handlowych, wprowadzania recept Światowej Organizacji Handlu, podążania za ekspertami Banku Światowego i bez wiary w nieomyślność amerykańskiej polityki zagranicznej? Chyba tak.

Teza o zwycięskim pochodzie populizmów i nacjonalizmów w Europie – do której przychylił się autor „Odwrotu...” – także prosi się o głębszą dyskusję. Brexit był niewątpliwie politycznym wstrząsem, ale decyzję o rozpisaniu referendum podjął premier z ramienia Partii Konserwatywnej i ta sama partia wygrała kolejne wybory – antyeuropejski i antyimigrancki UKIP jako siła polityczna po referendum stracił, a nie zyskał wpływy. Czy Wielka Brytania odwróciła się od liberalizmu, czy po prostu od Unii Europejskiej? Podobnie w żadnym z europejskich krajów, które najdotkliwiej odczuły skutki gospodarczego kryzysu w strefie euro (Grecja, Hiszpania, Portugalia i Włochy), nie doszło do nacjonalistycznego, autorytarnego przewrotu. Grecją i Portugalią rządzą koalicje radykalnej lewicy, ale nie wydaje się, aby liberalne prawa i wolności obywatelskie miały się tam gorzej (lub lepiej) niż przed paroma laty. Wzrost popularności partii protestu, ugrupowań nacjonalistycznych lub wprost neofaszystowskich faktycznie niepokoi analityków od Bratysławy po Lizbonę, ale stopniowe gnicie tradycyjnej sceny partyjnej to jeszcze nie powrót do czasów Republiki Weimarskiej.

Partie głównego nurtu, polityczna reprezentacja liberalizmu, zostały w ostatniej

dekadzie upokorzone w krajach takich jak Polska czy Węgry, gdzie teza o erozji klasy średniej i ekonomicznych frustracjach znacznej części społeczeństwa jest tylko połowicznie uzasadniona. Fakt, wiele z globalnych trendów na rynku pracy surowo obeszło się z Polakami, Czechami, Węgrami. Ale PiS wygrywał w sytuacji, gdy Polska miała za sobą dekadę wzrostu gospodarczego, rosnących płac i spadku bezrobocia przy względnie stabilnym poziomie nierówności społecznych. Biografie tęskniącego za złotą erą amerykańskiego (białego) kapitalizmu wyborcy Trumpa i zwolennika Orbána czy Kaczyńskiego są siłą rzeczy odmienne. Chyba że chodzi – jak twierdzą niektórzy polscy liberałowie – o płytko ukrytą nostalgię za gierkowskim ciepłym małym stabilizacją.

A może Luce jednak ma rację i chodzi w tym wszystkim o globalny proces, którego przemożnej siły nie zmieniają odmienne lokalne tożsamości i historie? Skoro i Polska, i Turcja, i Wielka Brytania są klockami tego samego gmachu globalizowanej gospodarki, to w oczywisty

sposób podlegać będą tym samym tendencjom, cokolwiek by się działo? Czy bez Orbána, Putina, Erdoğan koło historii potoczyłoby się w analogiczny sposób, a na grabarzy liberalizmu zgłosiliby się w ich miejsce inni? Niestety nie dowiadujemy się tego od autora, bo sukcesom innych niż Trump przywódców „nietoliberalnych” – także wiele mówiącym karierom dawnego liberała Orbána albo drodże Jarosława Kaczyńskiego w Polsce – poświęca co najwyżej po kilka akapitów lub zdań.

Gdyby rzeczywiście „zachodni liberalizm” był wyłącznie zakładnikiem powodzenia amerykańskiej Partii Demokratycznej, to nic dziwnego, że nie wszyscy chcą go opłakiwać. Ale bagatelizowanie prezydentury Donalda Trumpa, jak i poważnego kryzysu politycznego centrum w Europie byłoby równie niemądre, co jednogłośnie dekretywanie „końca historii” ćwierć wieku wcześniej. Nic, co dzieje się dziś na świecie, nie daje powodu do spokojnego oddechu, a wrażenie, że kolejny wielki międzynarodowy kryzys czai się tuż za rogiem, jest zrozumiałe. Edward Luce sugeruje wręcz, że wojna USA z Chi-

nami – nie zimna, lecz gorąca – byłaby naturalnym skutkiem (autor pisze „ekstrapolacją”) przyjętych w Białym Domu założeń na temat polityki zagranicznej.

Prezydent Trump jest nieprzewidywalny, to fakt, ale światowe kryzysy, wojny i gospodarcze załamania zdarzały się w XX i XXI wieku także za kadencji najbardziej przewidywalnych i racjonalnych przywódców. Amerykański system polityczny – oligarchiczne wpływy możnych sponsorów partii, pozbawianie praw wyborczych biedniejszych obywateli, coraz bardziej dysfunkcyjny Kongres – cierpiał na poważne schorzenia liberalizmu od dawna. Problem w tym, że dla wielu choroba zaskoczyła na uwagę dopiero teraz, gdy objawił się Trump.

Ale nie zawsze „Ameryka” znaczy „Zachód”, „liberalizm” znaczy „demokracja”, „rynek” znaczy „wolność”, a „Produkt Krajowy Brutto” to nie jest „dobrobyt”.

© JAKUB DYMEK

Edward Luce, THE RETREAT OF WESTERN LIBERALISM, Atlantic Monthly Press, Nowy Jork 2017

TP

JUŻ ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU”:

Festiwal widzę ogromny

I nie może być inaczej, skoro patronem jest wiedeński klasyk-rewolucjonista. Od kilkunastu lat Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena gromadzi zespoły i solistów, będąc jedną z niewielu estrad, na których można usłyszeć zarówno przybywające ze świata orkiestry symfoniczne, jak i zespoły kameralne, wybitnych solistów, a nawet opery. Głównie w Warszawie, ale także w szeregu innych miast. W tym roku będą to Katowice, Wrocław, Lublin, Gdańsk, Szczecin, Radom i Zabrze oraz tradycyjnie Kraków. Festiwal świętować będzie dwie wyjątkowe rocznice. Rocznicę, które zajął się z ewolucją światowego życia muzycznego. Wybrane

koncerty przypomną więc, co zawdzięczamy dwóm wyjątkowym artystom: Leonardowi Bernsteinowi (100. rocznica urodzin) oraz Krzysztofowi Pendereckiemu (urodziny 85.). Kilkakrotnie posłuchamy nie tylko ich dzieł: Bernsteina wspomni też np. wykonanie wielkiej II Symfonii „Zmartwychwstanie” Mahlera (którego był przełomowym propagatorem i interpretatorem), dyrygowane przez innego wybitnego amerykańskiego kapelmistrza, Leonarda Slatkina. Muzyka Krzysztofa Pendereckiego, wypełniająca połowę recitalu tak znakomitej artystki, jak Anne-Sophie Mutter, ukaże swoje współczesne miejsce w świecie.

O wszystkich znakomitych gościach festiwalu – a także o programie imprezy – przeczytaj Państwo w specjalnym dodatku, w następnym numerze „TP”.



WARSZAWA 16-30 MARCA 2018



UGNIATAJ, BIJ, WYCISKAJ

W „Czerwonym głodzie”, poświęconym ofiarom ukraińskiej tragedii z lat 1932–1933, Anne Applebaum ponownie rozlicza komunizm, nie uznając żadnych okoliczności łagodzących.

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

NAJNOWSZĄ KSIĄŻKĘ ANNE APPLEBAUM „Czerwony głód” otwierają dwa cytaty symbolizujące poznawczą przepaść między ofiarami a świadkami Wielkiego Głodu, próbującymi nazwać to, czego doświadcza. „Szanowny Towarzyszu Stalin, czy jakaś radziecka ustawa określa, że wieśniacy mają głodować? (...) Za co ginęliśmy na froncie? Żeby głodować, żeby patrzeć, jak nasze dzieci konają z głodu?” – alarmuje kołchoźnik. „Burzuje wywołał tu istną klęskę głodu, realizując kapitalistyczny plan, żeby nastawić całą klasę chłopską przeciwko radzieckim władzom” – twierdzi inny.

Mentalna walka między zdesperowanymi przeciwnikami zamordyzmu i równie sfrustrowanymi działaczami, karnie recytującymi propagandowe slogany, trwała od pierwszych zwycięstw bolszewików po upadek Związku Radzieckiego – a nawet dłużej, jak przekonuje Applebaum. Zachód obarcza zaś winą za dekady milczenia o krzywdzie społeczeństw Wschodu w imię złudnego wyboru mniejszego zła, jakim miał być komunizm wobec faszyzmu i lokalnych nacjonalizmów.

Amerykański sen

Bywa zbyt liberalna dla Republikanów i zbyt antyrosyjska dla Demokratów, lecz

Anne Applebaum

od 30 lat kształtuje opinię amerykańskich elit o Rosji i Europie Wschodniej. Śledztwo wokół rosyjskich wpływów w otoczeniu Donalda Trumpa przysporzyło czytelników jej komentarzom w „The Washington Post”. Przysporzyło jej też wrogów (jak m.in. syn Leopolda Tyrmanda) na alt-prawicowym portalu Breitbart. Jej opinie o Polsce pod rządami PiS przedrukują liczne anglosaskie media. Jej specjalizację można by uznać za zdeterminowaną losami rodziny. Pradziadek ze strony ojca urodził się w Kobryniu, niedaleko Brześcia, dziś w granicach Białorusi, wcześniej Polski. Na początku XX w. Apfelbaum (takie nazwisko wtedy pewnie nosił) w obawie przed wcieleniem do carskiej armii wyemigrował do Ameryki. W Bessemer w Alabamie prowadził sklep obuwniczy, a poślubiona tam dziewczyna podobno też przybyła z Kobrynia. Emigracja ocaliła im życie – latem 1941 r. Niemcy utworzyli w Kobryniu getto, wielu tamtejszych Żydów zginęło w Babim Jarze. Z kolei rodzina matki przybyła z Odessy, a w Houston dziadek Benjamin pracował w branży naftowej. Kariera Anne jest przykładem wielkiego amerykańskiego awansu społecznego.

Córka prawnika i kuratorki sztuki ukończyła Uniwersytet Yale i London School of Economics. Zaczynała jako redaktorka i zagraniczna korespondentka

„The Economist”, „The Independent” oraz „The Spectator”. Jeszcze przed przełomem 1989 r. znalazła się w Warszawie, która wyglądała wówczas jak okładka polskiego „Vogue’a”, tyle że bez modelek. „Przeżyłam hiperinflację, pierwsze wolne wybory i cztery zmiany rządu w tyłuż latach: widziałam niemal tylu premierów, ilu pamiętałam amerykańskich prezydentów. Warszawa dała mi przedsmak niestabilności” – wspomina. Lawirująca między skrajnościami rzeczywistość nie zraziła jej. Od pięciu lat ma polskie obywatelstwo. A w czerwcu 1992 r. kronika towarzyska „New York Timesa” odnotowała ślub panny Applebaum z Waszyngtonu z panem Radkiem Sikorskim z Dworu Chobielin. Poznali się podczas spontanicznie zaaranżowanej dziennikarskiej wyprawy do Berlina, gdzie właśnie upadał mur.

Wiatr ze Wschodu

Jej pierwsza książka, pt. „Między Wschodem a Zachodem. Przez pogranicza Europy” (1994, pol. wyd. 2001), to quasi-obięty zapis podróży po republikach rozpadającego się Związku Radzieckiego. „Na kartkach tej świetnej książki, w której czuje się niekiedy ducha Franza Kafki i Brunona Schulza, odżywa dramatyczny świat (...), który ludziom Zachodu wydawać się może bardziej egzotyczny, nieodgadniony i tajemniczy niż dalekie barwy ➔

→ kontynenty naszej planety” – chwalił Ryszard Kapuściński. W przeciwieństwie do jego „Imperium”, któremu zarzucano egzotyzację bliskiego Innego, jej książka to studium rozdartych tożsamości miast, które przechodziły z rąk do rąk wraz z gwałtownymi przesunięciami granic powstających i upadających mocarstw. Applebaum pyta ich mieszkańców, jak godzą to, co zostało brutalnie rozdzielone – kulturową przynależność i fizyczną egzystencję w państwach, w których się nie urodzili, nawet jeśli nigdy nie zmieniali adresu.

Niczym archeolożka przekopuje warstwy cywilizacji w poszukiwaniu śladów zachodnich ciągów Wschodu. Nie jest tak protekcyjna jak markiz de Custine, ani tak sentymentalna jak Andrzej Stasiuk, ani sarkastyczna jak Ziemowit Szczerek. Mimo to pozostaje wysłanniczką z zewnątrz świata, kimś testującym kulturową tożsamość Wschodu i kimś testowanym z własnej żydowskości zarówno przez antysemitów, jak i religijnych Żydów. Do obu typów podchodzi z dystansem, trochę jak do dzieci. Najmocniej przeraża i zarazem fascynuje ją sowiecki żywioł zmiatający z pogranicza osady zachodniości. W Kaliningradzie nie spotyka nikogo, kto czytał Kanta, a w Drohobyczu – Schulza. Rუსyfikację nazywa kulturowym ludobójstwem, a w postsowieckim nacjonalizmie nie widzi wówczas zjawiska jednoznacznie negatywnego.

O ile w książkowym debiucie Applebaum tłumaczy Zachodowi poradziecki Wschód, o tyle w kolejnej pracy chce skłonić do obrachunku. „Gułag” (2003, pol. wyd. 2005), za który otrzymała Nagrodę Pulitzera, to sztandarowe dzieło – obok m.in. prac Simona Sebaga Montefiorego i Timothy’ego Snydera – drugiej fali rozliczania się Zachodu z obojętnością na zbrodnie stalinowskie, które nigdy nie stały się tam mrocznym obiektem fascynacji, jak ludobójstwo nazistowskie. Applebaum dzięki pomocy Stowarzyszenia Memoriał i Ośrodka Karta nie tylko do tarła do wielu zapomnianych i nieujawnianych dokumentów oraz wspomnień obozowych, ale także do dawnych więźniów łagrów. Nie ukrywa, że przy tak politycznym temacie wiele drzwi otworzyło jej ministerialne stanowisko męża.

Analogicznie do refleksji Hannah Arendt i Zygmunda Baumana nad nowoczesnymi źródłami Zagłady, Applebaum przekonuje, że istnienia łagrów nie należy

tłumaczyć jako patologii systemu, lecz jako logiczną konsekwencję pogardy władzy wobec pojedynczego życia. Tym, co odróżnia ostateczne rozwiązanie od sowieckich obozów pracy, jest konstrukcja wroga. O ile w nazistowskich Niemczech osoba zaklasyfikowana jako Żyd nieodwołalnie stawała się wrogiem, o tyle łagiemnikiem mógł zostać każdy. Najpierw znajdowano człowieka, a później powód zatrzymania. Jak miał powiedzieć jednej z więźniarek śledczy: „Nigdy nie aresztujemy niewinnych. Ale nawet jeśli nie byłeś winna, nie możemy cię zwolnić, bo ludzie mówiliby wtedy, że zgarniamy niewinnych”. Mimo to, inaczej niż dla Żydów, istniał cień szansy, że władza zmieni zdanie i wypuści niepotrzebnych jej więźniów. Łączna liczba przymusowych pracowników w Związku Radzieckim do 1953 r. wyniosła, według obliczeń dziennikarki, 28,7 mln ludzi, a przynajmniej 3 mln zginęły.

Jej zdaniem mentalność łagrowa nadal pokutuje w pogardzie rosyjskich elit wobec ludu i w ignorancji historycznej. Ostrzega w typowym dla siebie alarmistycznym tonie, że gdyby Zachód rzeczywiście chciał wiedzieć, co czynił Stalin, to nie pozwoliliby na to, żeby Władimir Putin czynił dziś niemal to samo.

Rehabilitacja Europy Wschodniej

W „Za żelazną kurtyną” (2012, pol. wyd. 2013) Applebaum analizuje sowiecką machinę fizycznego i psychologicznego łamania ludzi w Polsce, Niemczech wschodnich i na Węgrzech w pierwszej dekadzie powojnia. Wyposażona w багаż rozmów z intelektualistami, historykami i dawnymi opozycjonistami z tego regionu, proponuje solidnie udokumentowaną opowieść łączącą problemowy ciężar rozpraw Andrzeja Paczkowskiego, Marcina Zaremby oraz Jana Tomasza Grossa (z jego mało znanej w Polsce pracy „*Revolution from Abroad. The Soviet Conquest of Poland's Western Ukraine and Western Belorussia*”) z wysmakowaną lekkością esejów Marci Shore.

Applebaum nie pisze o wypaczeniach słusznej idei albo błędach wynikających z kultu złej jednostki. W jej mniemaniu patologiczny i wypaczony jest sam rdzeń komunizmu, który nie może przetrwać bez ostentacyjnej propagandy. Dla młodego pokolenia lewicowo zorientowanych badaczy powojnia jest więc modelem konserwatystką. Komunistyczna

modernizacja społeczna czy sterowana demokratyzacja na uniwersytetach, w kulturze i sztuce to według Applebaum nie tyle źle urodzone slogany, co idee genetycznie bezpłodne.

Zajmuje się więc bardzo dramatycznymi tematami. Jest jednak wyjątek. W 2011 r. wydała (razem z Danielle Crittenden) książkę kucharską „Przepisy z mojego ogrodu”. Tytułowy ogród przynależał do dworu w Chobielinie, który został kupiony u schyłku PRL-u przez jej teściów i męża. Ten zbiór przepisów jest lekturą niezmiernie pouczającą, gdyż powstawał z myślą o amerykańskim czytelniku wypatrującym nad Wisłą polarnych niedźwiedzi. Autorka stara się go zaskoczyć ciekawostkami, iż „dawno, dawno temu Wisła była pełna jesioteń, a Polacy zjadali się kawiozem, podobnie jak angielska klasa robotnicza ostrzygami”.

Nie byłaby też sobą, gdyby nie wpisała polskich receptur w historyczny kontekst. I tak dowiadujemy się, że choć przed 1989 r. Polska była krajem pustych półek, a Radosław Sikorski do dziś ma awersję do śledzi, które musiał jeść na okrągło w mrocznych czasach niedoboru, to dziś dzięki kapitalizmowi i pracy u podstaw Magdy Gessler polska kuchnia „odzyskała możliwość swobodnego rozwoju na równi z wolnymi związkami zawodowymi i demokratycznymi partiami politycznymi”. Applebaum rozsmakowała się w pole-dwicy wołowej z grzybami i ogórkami kiszonymi, gulaszu z kurczaka *blanquette à la polonaise* oraz combrze sarnim z suszonymi śliwkami.

Wielkie kłamstwa

W „Czerwonym głodzie” Applebaum odnotowuje przerażające obrazy śmierci głodowej, ale nie epatuje nimi. Uwagę ogniskuje na wytwarzaniu totalitarnej psychozy. *Hołodomor*, jak nazywany jest na Ukrainie, pochłonął niemal 4 miliony istnień w kraju słynącym z żyznego czarnoziemu. Próbuje wyjaśnić ten paradoks, Applebaum rozpoczyna opowieść od euforii, jaka towarzyszyła rewolucji lutowej i kruchej niepodległości Ukrainy oraz od wcześniejszych plag głodu – w 1921 r. i w latach 1928-29 – także wynikających ze zbójczej polityki konfiskowania ziarna i kolektywizacji rolnictwa. „Towarzysz Stalin rzucił nam hasło: ugniataj, bij, wy-ciskaj” – cytując poborzę plonów.

O ile w latach 20. bolszewicy w krytycznym momencie łagodzą nierealistyczne

plany dostaw z Ukrainy i pozwalali działać zachodnim organizacjom pomocowym, o tyle na początku lat 30. Stalin nie cofnął się ani o krok: „Brygady pojawiały się o różnych porach dnia i nocy, chcąc złapać na gorącym uczynku wszystkich, którzy mieli jeszcze co jeść. Jeśli przypadkiem rodzina jadła skromny obiad, zabierali ze stołu chleb. Jeśli akurat gotowała się zupa, zdejmowali z ognia garnek i wylewali za wartość. A potem chcieli wiedzieć, jak to możliwe, że rodzina miała jeszcze co włożyć do garnka. Z upływem tygodni samo pozostawanie przy życiu stało się podejrzane”.

Applebaum po części podziela tezę ukraińskich historyków, że zagłodzenie ludu miało być strategią ostatecznego stłumienia antysowieckich ruchów na wsi przy równoczesnym dewastowaniu kultury inteligentnej. Lewicowi teoretycy społeczni powinni odnotować z zadowoleniem fakt, że publicystka głównego nurtu dowartościowuje chłopski ruch narodowy jako postępową lewicę żądającą egalitaryzmu gospodarczego i politycznego – lecz nie za cenę rozpląnięcia się ukraińskiej tożsamości w sowieckiej magmie. Podkreśla, że nienawistna polityka nie miała być do rążną karą, lecz efektem procesu naznaczania Ukraińców jako motłochu, który musi zostać skolonizowany dla powodzenia rewolucji, a *de facto* dla opóźnienia kłeski pierwszego planu pięcioletniego. Niektórzy chłopci widzieli w Stalinie antychrysta. Applebaum nie bagatelizuje tych głosów, akcentując zaślepiającą obsesję przywódcy bolszewików. Utkął on teorię o antysowieckim spisku chłopów, którzy rzekomo nie głodują, tylko sabotują dostawy zboża dla Moskwy, a więc nie są ofiarami, lecz sprawcami swojego cierpienia (Stalin podtrzymywał tę wersję aż do śmierci).

O głodzie nie tylko nie mówiono publicznie, ale także tuszowano go w aktach zgonu i spisach ludności. Politycy europejscy, w tym polscy, o głodzie wiedzieli, lecz udawali niewiedzę. W swojej krytyce Applebaum nie oszczędza też dziennikarzy. Walter Duranty, moskiewski korespondent „New York Timesa”, pisał wówczas o Ukraińcach i innych ofiarach sowieckiego, że ich „cierpienie ma szlachetny cel”. Za bycie pożytecznym idiotą Duranty dopisał „zaszczytu” przeprowadzenia wywiadu ze Stalinem. Łatwo przypisać mu łatkę sługasa reżimu – lecz jak wytłumaczyć to, że w 1932 r., gdy Ukraina już głodowała, własne środowisko wyróżniło go

Mentalność łagrowa nadal pokutuje w pogardzie rosyjskich elit wobec ludu i w ignorancji historycznej.

Nagrodą Pulitzera za artykuły chwalcące kolektywizację i plan pięcioletni? Kto okazał się gorszy – kalkulujący Duranty czy amerykańska elita dziennikarska, której wygodnie było utrzymywać, że „Rosjanie [bo nie Ukraińcy, którymi mało kto się interesował za Oceanem – MNF] są głodni, ale nie głodują”? Były wyjątki, jak deprecjonowany przez Duranty’ego Gareth Jones, lecz jego relacji nie wierzone.

Pamięć o Hołodomorze przetrwała w ukraińskiej historii mówionej. Świadek tragedii próbowały nagłośnić emigracyjne ukraińskie ośrodki badawcze, lecz ich starania długo traktowano jako bajdurzenie wschodnioeuropejskich nacjonalistów. Żeby świat przyjął do wiadomości historię Wielkiego Głodu, musiał o nim napisać pół Brytyjczyk, pół Amerykanin, Robert Conquest. W 1986 r. opublikował monografię „*The Harvest of Sorrow*” („Żniwa smutku”). Stosunek do Ukrainy pozostał jednak na Zachodzie ambiwalentny, żeby nie powiedzieć repulsywny.

Choć autorka zarzeka się, że „Czerwonym głodem” nie komentuje obecnej sytuacji międzynarodowej, to jej książka jest w ten sposób odbierana. Zresztą Applebaum czyni w tekście aluzje do dzisiejszej polityki Rosji, chociażby poprzez nazywanie przeszłości językiem współczesnej publicystyki. Pisz m.in. o „wojnie hybrydowej” wypowiedzianej Ukraińcom jeszcze przez Lenina. „Moskiewska paranoja na punkcie kontrrewolucyjnego potencjału Ukrainy utrzymywała się i po drugiej wojnie światowej, nawet jeszcze w latach 70. i 80. Wpajano ją wszystkim kolejnym pokoleniom funkcjonariuszy tajnych służb, od OGPU i NKWD po KGB, oraz wszystkim kolejnym pokoleniom przywódców partyjnych. Być może wpłynęła nawet na sposób myślenia postsowieckich elit jeszcze długo po rozpadzie ZSRR” – przekonuje.

Applebaum ukazuje długie trwanie piętna barbarzyńskiej Ukrainy i propagandowego niepohamowania moskiewskiej

władzy. Jednak zrównywanie Związku Radzieckiego i Putinowskiej Rosji jest obciążone grzechem prezentyzmu. Pielęgnuje bowiem fatalistyczną wizję powtarzającej się raz po raz historii. W czasach wojen faktycznie hybrydowych i multimedialnych uznanie agresji Rosji na Krym i wschodnią Ukrainę za czyste echo stalinizmu nie mówi nic nowego o istocie współczesnej przemocy. Co nie znaczy, że obecna i dawna tragedia Ukrainy nie powinny stanowić dla świata wyrzutu sumienia.

Książka Applebaum „jest przypomnieniem tego, jak daleko posuną się demagogi, aby zatruszować lub zafałszować prawdę – co jest dzisiaj w wielu krajach nie mniejszym problemem, niż było w Związku Radzieckim osiem dekad temu” – tak kończy recenzję „Czerwonego głodu” Adam Hochschild w „New York Timesie”, odcinając się od Duranty’ego. Z kolei w „Guardianie” Sheila Fitzpatrick, badaczka sowieckiej modernizacji społecznej, odnotowuje z pewną satysfakcją, że Applebaum nie jest bezkrytyczna wobec ukraińskiej narracji i „ostatecznie nie kupuje ukraińskiego argumentu, że Hołodomor był aktem ludobójstwa” – czym zniekształca głęboko antysowiecki i sympatyzujący z Ukraińcami przekaz autorki „Czerwonego głodu”.

Pamięć o Hołodomorze jest dziś przedmiotem ukraińskiej polityki historycznej. Umiejętnie grał tą kartą Wiktor Juszczenko, duch ofiar krążył też nad Majdanem. W 2006 r. parlament Ukrainy z inicjatywy prezydenta uznał Wielki Głód za ludobójstwo. Decyzję Ukrainy poparł wówczas Sejm i Senat RP, a sprzeciwiła mu się rosyjska Duma. W tym roku mija 85. rocznica apogeum Hołodomoru. Na zmianę stanowiska Rosji nie należy liczyć, ale wciąż długa jest lista demokratycznych państw, które nie uznały Wielkiego Głodu za ludobójstwo. Nasz parlament w ostatnich latach kładzie coraz większy nacisk na upamiętnienie polskich ofiar głodu, a mniejszy na antyukraiński charakter działań Stalina. Jakby hekatomba bez polskich ofiar była tragedią niepełną.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Anne Applebaum, **CZERWONY GŁÓD**, przeł. Barbara Gadomska i Wanda Gadomska, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2018

Rozmowę z Anne Applebaum opublikujemy w następnym numerze „Tygodnika”.

Królestwo klasy średniej

PIOTR KOSIEWSKI

Życiowy umiar, dbałość o rodzinę, przywiązanie do tradycji: biedermeier żyje w nas.

NA BIEDERMEIERZE DŁUGO CIĄŻYŁO odium. Nawet dziś bywa on utożsamiany z oportunizmem, ciasnotą poglądów i wszelkim wstecnictwem. Nieprzypadkowo. Zaczęło się bowiem od żartu prawnika Ludwiga Eichrodta oraz lekarza Adolfa Kussmaula, którzy stworzyli postać Weilandta Gottlieba Biedermeiera, skromnego nauczyciela wiejskiego i poety. Jego utwory w latach 1854-57 publikowali na łamach monachijskiego pisma satyrycznego „Fliegende Blätter”.

Już samo nazwisko, złożone ze słów „bieder” i „meier” miało podkreślać przeciętność i pospolitość poety. „Biedermeier to tyle co »kołtun«, »filister«, »drobnomieszczanin«, a w najlepszym przypadku »pocziwota«” – podkreśla Jacek Kubiak we wprowadzeniu do wydanej przez kilkoma laty ciekawej antologii tekstów „Spory o biedermeier”. Równie niewyrafinowane były same utwory, powstające – jak drwili Eichrodt i Kussmaul – w czasach, w których Niemcy „jadły, piły, tworzyły poezję i trawiły w cieniu garnków z kiszoną kapustą”. Żart dobrze się przyjął i mianem biedermeieru zaczęto określać – na poły nostalgicznie, na poły prześmiewczo – dekady „małej stabilizacji” między końcem wojen napoleońskich a Wiosną Ludów. Czasem dostrzeżono też inne oblicze biedermeieru: jest on pierwszą samodzielną manifestacją klasy społecznej – mieszczaństwa – która zaczyna odgrywać kluczową rolę w nowoczesnych czasach. A sam termin „biedermeier” jest dziś używany nie tylko dla określania sztuki, ale też literatury i muzyki, a nawet stylu życia i obyczajowości.

Wartości bliskie

W Muzeum Narodowym w Szczecinie (w innej wersji wystawa była wcześniej prezentowana w Muzeum Narodowym w Warszawie) można zobaczyć dzieła najwybitniejszych twórców biedermeieru – powstałe w latach 1815-48 w Europie Środkowej i Północnej. Są tu meble, tka-

niny, porcelana i szkło, wyroby złotnicze i ubrania, ilustracje książkowe i dziecięce zabawki. Biedermeier nie był jednak wyłącznie przejawem gustu mieszczańskiego. Trafił do arystokratycznych pałaców i ziemiańskich dworów. Jego początki odnaleźć można w rezydencjach Berlina, Monachium czy Wiednia, a jednym z najważniejszych architektów doby biedermeieru był Joseph Kornhäusel, pracujący z cesarskiego polecenia w podwieńskim Baden, dziś określanym mianem *Biedermeierstadt*.

Autorom wystawy udało się – to jest ich największe osiągnięcie – pokazać ówczesny styl życia, nawyki i obyczaje. Poprzez obrazy, rysunki, rzemiosło opowiedzieć o pełnionych wówczas rolach społecznych, o pracy i życiu codziennym. Nie wiele było okresów, w których sztuka tak wiernie, bez specjalnych upiększeń przedstawiała ludzi swego czasu i ich sposób życia. Portretowani przez Jana Chruckiego, Bonawenturę Dąbrowskiego czy Aleksandra Kokulara, w swych schludnych, prostych ubraniach wydają się aż nadto zwyczajni, powszechni, ludzcy. Była to twórczość propagująca wartości uznawane wtedy za bliskie, jak rodzina. To jej poświęcano wiele czasu i chętnie przedstawiano. Ceniono też intymność, celebrowanie drobnych, zwykłych czynności, jak w obrazie „Hafciarka” Kerstinga, chyba najpiękniejszym na tej wystawie. Uderza w tych wszystkich obrazach precyzja w oddaniu detali, dopracowanie nawet najmniejszego, zdawałoby się, istotnych szczegółów. To dziwny realizm, jakże bliski XX-wiecznym jego wcieleniom, z nową rzetelnością z lat 20. i 30. na czele.

Była to też epoka, w której po raz pierwszy tak bardzo dowartościowano rolę dziecka. Stało się ono ważną częścią życia – stąd niezliczone portrety dzieci, czasami trochę naiwne, ale próbujące oddać ich odrębny świat. Jednak, co istotniejsze, dzieci stają się ważnym odbiorcą. Dla nich specjalnie powstają ilustrowane książki i za-

bawki czy też miniaturowe meble, których świetne przykłady można zobaczyć na wystawie.

Nowy styl życia

W dobie biedermeieru kształtuje się wreszcie styl życia, który przetrwa kolejne dekady. Więcej, wydaje się dziś bardzo współczesny. Chodzi nie tylko o stosunek do dzieci, ale też o poczucie wspólnotowości, stosunek do ziem ojczystych, lokalny patriotyzm. Cenione stają się nie tylko odległe kraje, lecz to, co bliskie. Masowo powstają widoki współczesnych miast, ale również ważnych obszarów przyrodniczych. Modne staje się zainteresowanie własną przeszłością. Georg Dehio, jeden z najwybitniejszych historyków sztuki, podkreślał nawet, że wiek XIX „powierzył sam siebie nowemu duchowi, duchowi historii”. Powstaje nowoczesna turystyka i rekreacja oraz – dobrze nam znany – przemysł pamiątkarski: m.in. uzdrowskie szkła, pamiątkowe litografie i plakiety, albumy z zabytkami.

W dobie biedermeieru dokonała się jeszcze jedna znacząca zmiana. Był to pierwszy styl, dla którego – jak twierdzi część badaczy – tak ważna była wygoda i funkcjonalność. „Antidotum na ograniczenia i represje systemu metternichowskiego szukano w sferze domowej idylli – kultywowano życie rodzinne, ceniono ład, komfort i przytulność w sposobie urządzania wnętrz” – podkreślają Anna Kozak i Agnieszka Rosales Rodríguez, współtwórczyni wystawy.

Zmieniły się sposoby dekorowania wnętrz. Porzucono bogate zdobienie ścian, ozdobne stiuki i plafony. Jednak przede wszystkim zmieniły się meble, ich konstrukcja, sam sposób myślenia o materiale, z którego je wykonywano. Podstawą była funkcjonalność. Ceniono prostotę. Z upodobaniem korzystano z jasnego drewna owocowego i liściastego. Dekoracje ograniczano często do minimum. I to meble do dziś są symbolem biedermeieru.

Rzemiosło tamtych czasów, zwłaszcza meblarstwo, miało wpływ na sztukę XX w. Ogromne znaczenie miała zorganizowana w 1896 r. wielka wiedeńska wystawa biedermeieru. Naznaczyła ona myślenie młodych artystów o projektowaniu i znacząco określiła styl tamtejszej secesji, jakże odmienny w swym umiarze od jej paryskiego czy brukselskiego wydania. Umiar i sposób wykorzystania materiałów wpłynął później na twórców *art déco*,



Rekonstrukcja saloniku mieszczańskiego, wystawa „Biedermeier” w Muzeum Narodowym w Szczecinie

ROBERT STACHNIK / MUZEUM NARODOWE SZCZECIN

ale też twórców z kręgu Bauhausu, którzy do dziś w znacznej mierze wyznaczają sposób myślenia o designie.

W dobie biedermeieru doszło do jeszcze jednej rewolucyjnej zmiany. Michael Thonet opracował sposób produkcji mebli z giętego drzewa. Jego słynne krzesła „tonety” nie tylko stały się symbolem – do dziś – funkcjonalizmu i zmieniły sposób myślenia o konstrukcji mebli, ale też dały początek produkcji masowej. Innej rewolucyjnej zmiany dokonał Joseph Ulrich Danhauser. W założonym przez niego w 1804 r. wiedeńskim zakładzie Etablissement für alle Gegenstände des Ameublements oferowano pełne wyposażenie domów, poczynając od mebli, przez tkaniny i dywany, po szkło i wyroby z brązu. Wszystko powstawało według projektów Danhausera. Klienci mogli wybierać projekty z katalogu, w którym było m.in. 153 modele krzeseł, 56 sof, 179 rodzajów żyrandoli i 124 draperii, i otrzymywali gotowe produkty. Fabryka działała do 1838 r. Zainteresowanie jej ofertą było tak duże, że powstały filie w Gruzji i Budapeszcie, a styl propagowany przez Danhausera na trwałe zagościł w mieszczańskich (i nie tylko) domach w całym Cesarstwie Austriackim. Porównanie z Ikeą, jakiego użyli twórcy wystawy, wydaje się całkiem zasadne.

Biedermeier jako postawa

Ramy wystawy wyznaczają ważne daty: kongresu wiedeńskiego i Wiosny Ludów. Biedermeier to epoka – zwłaszcza w tej części Europy – Klemensa von Metterni-

cha, wybitnego austriackiego polityka, rzecznika legitymizmu, współtwórcy osławionego Świętego Przymierza, sojuszu władców powołanego nie tylko do zwalczania dążeń niepodległościowych, ale w ogóle reform konstytucyjnych na kontynencie. Metternich pragnął zaprowadzić porządek polityczny, ale także ideologiczny w Europie po czasie francuskiej rewolucji i wojen napoleońskich. W samej Austrii wprowadził rządy policji, cenzurę i nadzór władz nad wieloma dziedzinami życia.

Metternichowski ład przetrwał przez ponad trzy dekady. Nieustannie był zresztą kwestionowany. W tym przecież czasie m.in. trwały walki o niepodległość Grecji (1821-32), powstawały kolejne konflikty wokół konstytucji w Hiszpanii, wybuchła rewolucja belgijska 1830 r. i powstanie listopadowe. Ostateczny jego kres – i koniec rządów samego Metternicha – przyniosła Wiosna Ludów. Sam biedermeier przetrwał w różnych wcieleniach dłużej. W Polsce – jako „styl dworski” – na całe dekady określił wygląd szlacheckich siedzib. Samo mieszczaństwo porzuciło dawny umiar na rzecz rozmaitych stylów historycznych, eklektycznych stylizacji, kolejnych wcieleń gotyku, renesansu czy rokoka. Jednak biedermeier to nie tylko styl, określony projekt estetyczny, ale też postawa. Ten wymiar jest szczególnie interesujący.

Biedermeier był – jak pisała Dobrochna Ratajczakowa – lekiem na romantyzm. Porzuceniem nadmiaru emocji. Pracowi-

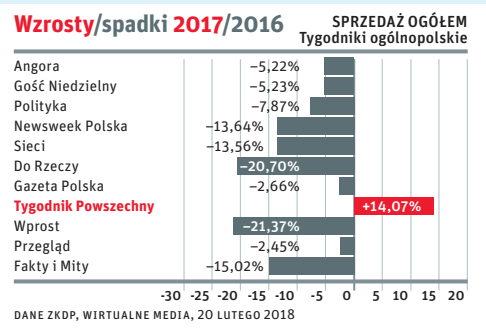
ność, oszczędność, dbałość o rodzinę, ale też przywiązanie do tradycji i wartości religijnych, codzienny patriotyzm – to biedermeierowski ideał. Doba biedermeieru – jak pisze Claudio Magris – to rezygnacja z patosu, życiowy umiar, powrót do indywidualistycznych wartości czy spokój ducha, ale także przywiązanie do wspólnoty, jej obyczajów i tradycji. To życiowa postawa, która dalece wykracza poza ramy tej jednej epoki. Nie przypadkiem biedermeier był przywoływany w niemieckich sporach w latach 20. i 30. jako antidotum na ideologiczne szaleństwo tego czasu, ale był też kluczem do interpretacji powojennych Niemiec czasów kanclerza Adenauera.

Warto jednak dobrze przemyśleć dziedzictwo biedermeieru, bo to w tym czasie powstał zespół cech mieszczańskich, potem wielokrotnie lekceważonych, postpowowanych czy wyszydzanych. A to przecież mieszczaństwo, w późniejszym wcieleniu zaś warstwa średnia, wywiązująca się ze swoich obowiązków wobec społeczeństwa i państwa, stało się, obok liberalnej demokracji, filarem współczesnego zachodniego państwa.

© PIOTR KOSIEWSKI

BIEDERMEIER – SZCZECIN, Muzeum Narodowe, wystawa czynna do 15 kwietnia 2018 r. (w innej wersji była wcześniej prezentowana w Muzeum Narodowym w Warszawie), kuratorzy: Dariusz Kacprzak, Anna Kozak i Agnieszka Rosales Rodríguez.

Suwerenni dzięki Wam, nadal rośniemy!



Mija kolejny rok, w którym coraz więcej Czytelniczek i Czytelników sięga po „Tygodnik Powszechny”. Ufamy, że ten wynik to nie tylko efekt docenienia przez Państwa niezależności oraz dbałości o obiektywizm i wiarygodność informacji w naszym piśmie, ale także tego, że zabiegamy o jakość debaty publicznej, nie angażując się bezpośrednio w spory partyjne.

ODPOWIEDZIALNE DZIENNIKARSTWO to także niedopuszczenie do degradacji więzi i relacji tworzących wspólnotę. Dlatego na naszych łamach nie stajemy po żadnej ze stron, lecz relacjonujemy fakty, opisujemy postawy i komentujemy poglądy. W działalności pozawydawniczej (festiwale Conrad i Copernicus, akcja społeczna Lekcje Czytania, debaty) staramy się łączyć, nie dzielić, poznawać różne punkty widzenia, dyskutować i poszerzać horyzonty, widząc w tym drogę do pełniejszego poznania świata i wyzbycia się lęku.

JESTEŚMY PRZEKONANI, że los odpowiedzialnego dziennikarstwa leży Państwu na sercu. Dlatego prosimy o przekazanie 1% podatku **FUNDACJI TYGODNIKA POWSZECHNEGO**. Jej najważniejszym zadaniem jest zachowanie dziedzictwa „Tygodnika”. Fundacja ponosi też właścicielską odpowiedzialność za suwerenny rozwój pisma. Festiwale kulturalne i akcje społeczne, które organizujemy, pozwalają wyjść z misją „TP” poza gazetowe łamy i przyciągnąć nowych czytelników.

SKALA I SKUTECZNOŚĆ działań Fundacji Tygodnika Powszechnego zależą od naszych Czytelników i Przyjaciół. Za wszelkie wsparcie: 1% podatku, darowizny pieniężne czy sponsoring naszych przedsięwzięć – jesteśmy Państwu ogromnie wdzięczni.



Fundacja Tygodnika Powszechnego posiada status OPP, co oznacza, że można, i że warto przeznaczyć na jej działalność 1 procent podatku, wpisując w rozliczeniu rocznym PIT w odpowiedniej rubryce nr KRS: **0000125605**

Darowizny na rzecz Fundacji prosimy wpłacać na konto: **31 1910 1048 2006 1845 1121 0001**



Ks. Adam Boniecki
redaktor senior,
przewodniczący
Rady Fundacji TP

Aleksander Kardyś
prezes zarządu
Fundacji TP

Edyta Piłchta
członkini zarządu
Fundacji TP

Jacek Ślusarczyk
prezes zarządu „TP”

Maja Kuczińska
członkini zarządu „TP”

Piotr Mucharski
redaktor naczelny
„Tygodnika Powszechnego”



MATERIAŁ PRASOWY

Frances McDormand w filmie „Fargo”

Kobieta z prowincji

ANITA PIOTROWSKA

Jako córka wędrownego kaznodziei często zmieniała miejsca zamieszkania, spotykając pewnie nie raz pierwowzory swoich filmowych bohatererek. Dała im własną twarz.

WMOMENCIE, KIEDY ODDAJEMY DO druku te strony numeru „TP”, nie są jeszcze znane oscarowe werdykty. Ale to bez znaczenia. Frances McDormand jako aktorska osobowość przerasta wszelkie rankingi, a rola w filmie „Trzy billboardy za Ebbing, Missouri” Martina McDonagha okazała się dzięki niej podwójnym manifestem kobiecej siły – jako bohaterki i jako aktorki. Niezależnie od decyzji Amerykańskiej Akademii Filmowej dostaje naszego Oscara.

Pani Nie

Gdyby bracia Coen szukając odtwórczyni do roli głównej w „Fargo” (1996) kierowali się wartością rynkową McDormand, zamiast docenić jej faktyczne umiejętności, pewnie nigdy nie zagrałaby ciężarnej policjantki. Mało która współczesna ak-

torka pozostaje tak bardzo trzeźwa w ocenie kondycji tego zawodu, szczególnie z perspektywy uprawiającej go kobiety. „Jedyną siłą, jaką posiadasz, jest słowo »nie«” – mówiła w 2001 r. dziennikarzowi „Guardiana”, mając na myśli brak realnej władzy oraz, niezależnie od stanu konta, bycie skazanym na wieczne bezrobocie. I choć dziś ma 60 lat, a w dorobku niemal tyle samo ról, także w filmach błahych czy kiepskich, to „nie” zdaje się najlepiej definiować jej zawodową i czysto ludzką postawę. Również opisując fenomen McDormand trudno uniknąć tego słowa.

Nie ukrywa swego wieku, traktując własną twarz niczym „mapę drogową”, na której zaznaczyły się wszystkie przeżycia i zakręty losu. Nie pasuje do kanonów kobiecej urody – ze swą mocno zarysowaną, zwykle zaciśniętą szczęką, zdradzającą że-

lazny upór, z cierpkim uśmiechem, bezczelnym spojrzeniem wycelowanym prosto w oczy i pozbawionym tzw. sex appealu dziarskim chodem.

Nie lubi się fotografować, a jeśli już, to najlepiej w obiektywie takich artystek, jak Katy Grannan czy Annie Leibovitz, która widzi w niej esencję Ameryki – nie tej wygładzonej Photoshopem, lecz szorstkiej, gniewnej, plebejskiej.

Nie dopuszcza dziennikarzy do swojej prywatności – bo czy może być dla nich coś mniej ekscytującego niż życie przez 33 lata u boku tego samego mężczyzny, nawet jeśli jest nim Joel Coen?

Nie zamieniła swojej biografii w sensacyjną legendę, choć we wczesnym dzieciństwie została adoptowana i dorastała w domu pastora ewangelikalnego. Do czasu serialu HBO „Olive Kitteridge” (2014) nie grywała głównych ról i nawet w „Fargo” pojawia się na ekranie dopiero po półgodzinie, będąc jedną z kilku postaci pierwszego planu.

Te rozliczne zdania przeczące muszą złożyć się w portret kogoś, komu po prostu się wierzy, bo konsekwentnie podąża swoją drogą, a droga ta najczęściej wiedzie pod prąd.

Na twardo i na miękko

Jako mistrzyni drugiego planu wyspecjalizowała się w portretowaniu kobiet ➔

→ nazywanych zwykle „charakternymi”. Debiutując w czarnym kryminale Coenów „Śmiertelnie proste” (1984), który rozpoczął także błyskotliwą karierę braci oraz jej związek z Joelem Coenem (dotychczas zrealizowali wspólnie sześć tytułów), była jeszcze zakładniczką filmowej konwencji.

Ale już chwilę potem przyszła seria postaci twardo stąpających po ziemi, zadziornych, mówiących zdecydowane „nie” i czasem płacących za to wysoką cenę. Taka jest żona zastępcy szeryfa z filmu „Missisipi w ogniu” (1988, pierwsza nominacja do Oscara) w reżyserii Alana Parkera – jedyna sprawiedliwa w miasteczku terroryzowanym przez członków Ku Klux Klanu sto lat po zakończeniu wojny secesyjnej. W „Tajnej placówce” (1990), politycznym dramacie Kena Loacha, McDormand wcieliła się w postać amerykańskiej dziennikarki i obrończyni praw człowieka, która w Irlandii Północnej prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa bliskiego jej prawnika, a w konsekwencji odkrywa grubą aferę z udziałem brytyjskich służb specjalnych. Z kolei „Daleka północ” (2005) Niki Caro przyniosła zapowiedź dzisiejszej aktywności aktorki w obronie praw kobiet – ponownie nominowana do Oscara McDormand zagrała tu działaczkę związkową walczącą na drodze prawnej przeciwko molestowaniu robotnic zatrudnionych w kopalni (wzorowaną na autentycznej postaci). Drelichowy kombinizon, który aktorka nosi w filmie Caro, to niemalże jej znak rozpoznawczy: we „Wszystkich odlotach Cheyenne’a” (2011) Paola Sorrentina przywdzieje uniform urodzonej strażaczki, zaś podobny do górniczego nosić będzie w „Trzech billboardach za Ebbing, Missouri” – jako samotna mścicielka kontestująca również w taki sposób tradycyjne role płciowe.

Przełomem w karierze McDormand była oscarowa rola w czarnej komedii

Bohaterki grane przez McDormand
nie zabiegają o naszą sympatię, a jednak stały się zwierciadłem dla wielu dojrzałych kobiet: popełniających błędy, zgorzkniałych, idących na udry ze światem.

„ Fargo”. Szefowa policji z miasteczka w Minnesocie okazała się postacią znacznie bardziej nieoczywistą niż dotychczasowe „twardzielki” z filmografii aktorki. Mówiąca z przesadnym lokalnym akcentem Marge Gunderson łączyła w sobie profesjonalną stanowczość z poczciwym zadziwieniem kształtem tego świata, w którym pogon za mamoną odbiera ludziom rozum czy nawet zwykły instynkt samozachowawczy. Fakt, że bohaterka McDormand patrząca w zdumieniu na rozpętaną wokół absurdałną jatkę jest w zaawansowanej ciąży, dodawał filmowi zgola filozoficznego wymiaru. Lecz także osobistego: w 1995 r. aktorka sama została matką, adoptując sześciomiesięcznego chłopca z Paragwaju.

Jednymi z najbardziej charakterystycznych filmowych wcieleń McDormand są zresztą niekonwencjonalne role matek: w „Na skróty” (1993) Roberta Altmana czy „Na wzgórzach Hollywood” (2002) Lisy Cholodenko, lecz przede wszystkim w filmie „U progu sławy” Camerona Crowe’a (2000, kolejna nominacja do Oscara). Reżyser na podstawie własnych wspo-

mnień opowiada tu historię 15-latka, który chciałby zostać dziennikarzem muzycznym i w pierwszej połowie lat 70. wyrusza w trasę z zespołem rockowym, podczas gdy jego nadopiecznica i konserwatywna rodzicielka nie jest zachwycona tym pomysłem.

W wykonaniu McDormand walka o duszę i bezpieczeństwo chłopca skrywa w sobie wewnętrzny cichy dramat – samotnej kobiety, która wraz z wyfrunięciem dzieci z domu traci kontrolę nad światem, lecz nade wszystko chce pozostać wierna sobie i swojej miłości do syna. Do historii kina powinna przejść scena, w której zdesperowana matka w rozmowie telefonicznej z gwiazdą rocka, posilkując się cytatem z Goethego, sprowadza młodzieżowego idola do moralnego parteru.

Role życia

Wszystkie te smakowite role, poważne i zabawne, chociaż wbrew scenariuszowi przebijały się nierzadko na pierwszy plan, pozostawiały jednak uczucie niedosytu, bo czas ekranowy McDormand był w nich mniej lub bardziej ograniczony. Żeby stworzyć wielką postać na miarę swoich możliwości, musiała wziąć wreszcie sprawy w swoje ręce. Wykupiła prawa do ekranizacji powieści „Olive Kitteridge” Elizabeth Strout, nagrodzonej wkrótce potem Pulitzerem, a następnie sfilmowanej przez Lisę Cholodenko.

Główna postać emerytowanej nauczycielki matematyki z miasteczka w stanie Maine dla 57-letniej wówczas aktorki okazała się prawdziwym spełnieniem. Trudno wyobrazić sobie odtwórczynię, która tak intuicyjnie wyczułaby wszelkie słabości swojej bohaterki – zgryźliwej, pozbawionej sentymentów kobiety po menopauzie. Cofając się w czasie o 25 lat dostajemy prawdziwsze, znacznie bardziej złożone oblicze Olive, a wraz z nim przenikliwy obraz zmieniających się relacji społecznych i obyczajowych.

McDormand jako debiutująca producentka od początku wiedziała, że film fabularny tego wszystkiego nie pomieści. „Kobiecie historie mają kształt bardziej kolisty, są bardziej rozlewne i skomplikowane, wymagają więc innego formatu” – tłumaczyła na łamach „Los Angeles Times”. Wyprodukowany przez HBO czteroczęściowy serial okazał się jednym z najsłynniejszych osiągnięć dzisiejszej telewizji, przekraczając formułę serialu „kobiecego”.

W Sądzie Rejonowym Lublin-Wschód w Lublinie z siedzibą w Świdniku, w sprawie sygn. akt I Ns 603/17 toczy się postępowanie z wniosku Mirosława Kwiatosza o stwierdzenie nabycia spadku po Franciszku Iżewskim, s. Szymona i Katarzyny, zm. 8 października 1978 r. w Częstoborowicach, ur. 3 września 1893 r. w Częstoborowicach, ostatnio stale zamieszkałym w Częstoborowicach.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 6 miesięcy od opublikowania niniejszego ogłoszenia stawili się w Sądzie Rejonowym Lublin-Wschód w Lublinie z siedzibą w Świdniku i wykazali swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

I gdy już się wydawało, że aktorka sięgnęła samych szczytów, przyszła kolejna rola życia, czyli Mildred Hayes z „Trzech billboardów za Ebbing, Missouri” – buńczuczna, kanciasta, zaskakująca na każdym kroku. McDormand stworzyła tutaj postać jak z westernu, a zarazem ikonę matki cierpiącej, która nigdy nie płacze. Wypowiadając wojnę lokalnej policji, filmowa Mildred stała się budzicielką sumień dla całej społeczności. Była to zarazem kolejna rola tej aktorki zawierająca prowokacyjną sugestię, czym może być kobiecość. Raz jeszcze miała pokazać, że determinacja bywa skuteczniejsza od uległości, że macierzyństwo jest raczej arcytrudnym zadaniem aniżeli darem, a wdzięk osobisty i dobry wygląd w ostatecznym rozrachunku liczą się znacznie mniej niż gorzka mądrość.

Bohaterki grane przez McDormand nie zabiegają bowiem o naszą sympatię, a jednak stały się zwierciadłem dla wielu dojrzałych kobiet: popełniających błędy, zgorzkniałych, idących na udry ze światem. Dzięki Olive Kitteridge, Mildred Hayes czy wspomnianej już postaci matki z „U progu sławy” zobaczyły one, że nawet życie z pozoru przegrane może mieć ukryty sens. I że o ten sens trzeba walczyć do samego końca. Poprzez takie role McDormand dała też swą wyrazistą kobiecą twarz prowincjonalnej Ameryce. Wcielając się w pyskate ekscentryczki, przypomniła o swym małym miasteczkowym pochodzeniu – przyszła na świat w niewielkim Gibson City w stanie Illinois i jako córka wędrownego kaznodziei często zmieniała miejsca zamieszkania, spotykając pewnie nie raz pierwowzory swoich bohaterek.

Przekraczanie dystansu

Co najważniejsze, amerykańska aktorka znalazła dla tego typu zwykłych-niezwykłych postaci własny wyraz. Choć jest posiadaczką twarzy nadzwyczaj plastycznej, nietkniętej przez kosmetyczne wypełniacze, przed kamerą zazwyczaj rezygnuje z nadmiernej ekspresji. Doskonale zdaje sobie sprawę, że krzykliwe okazywanie emocji jest znacznie łatwiejsze i koniec końców mniej sugestywne niż oszczędne gospodarowanie mimiką. Jedynie w rolach bardziej komediowych, takich jak zakompleksiona pracownica klubu fitness marząca, a jakże, o operacjach plastycznych

w „Tajne przez poufne” (2008) Coenów, czy zasadnicza matka małej uciekinierki sama mająca to i owo za uszami w „Kochankach z Księżyca – Moonrise Kingdom” (2011) Wesa Andersona, pozwalała sobie na większą dawkę brawury. Przy pracy nad rolą sięga też chętnie po swoje bogate doświadczenie teatralne.

W latach 80. występowała z powodzeniem na scenie, zasłynawszy m.in. rolą Stelli Kowalski w „Tramwaju zwanym pożądaniem” Tennessee Williamsa. I choć dziś posiada status gwiazdy kina (*sorry*, Frances, na pewno nie spodobałoby ci się to określenie), od 20 lat współpracuje z Wooster Group, małym eksperymentalnym teatrem z Nowego Jorku. Miał to na uwadze scenarzysta i reżyser „Trzech billboardów...”, również wywodzący się z kręgów teatralnych, kiedy pisał rolę Mildred specjalnie dla niej. W wywiadach przyznaje, że tylko ktoś taki jak McDormand mógł uchwycić i uwiarygodnić rytm przekleństw zawarty w wypowiedziach bohaterki. Obdarzona wyjątkowym słuchem aktorka współuczestniczyła zresztą w tworzeniu dialogów do tego filmu. Na planie zaś, jak wspominają towarzyszący jej aktorzy, zamiast grać egocentrycznie „do kamery” wołała, wzorem aktorów scenicznych, wchodzić w bliższe interakcje z partnerami i tym samym wymieniać się z nimi energią.

Ci, którzy mieli z nią bezpośredni kontakt, zwracają uwagę na to usilne przekraczanie dystansu, a jednocześnie jej ciągle niedopasowanie wobec oczekiwań, kim być powinna wielka aktorka o nazwisku Frances McDormand. Odbierając niedawno nagrodę BAFTA, wyłamała się z masowej akcji i nie wystąpiła w przepisowej czerni, ściągając tym na siebie głosy potępienia. Czyżby ujawniła się tu słynna przekora, tak dobrze nam znana z jej ekranowych wcieleń? Frances McDormand nie potrzebuje jednak gestów symbolicznych, o swych poglądach mówi wprost, a swoimi wyrotowymi rolami, zwłaszcza z ostatnich lat, zrobiła bardzo dużo dla przełamywania stereotypów. Udowodniła, że prawdziwe aktorstwo to wcale nie *glamour*, ale ciężka praca nad sobą. I że zaawansowany wiek, który dla wielu aktorów oznacza najczęściej dramatyczne zakończenie kariery, może być także zupełnie nowym otwarciem.

© ANITA PIOTROWSKA

1. Statek



Dokumentalny, reż. Marian Marzyński, USA 1970/2010, TVN24, 10 III, 13.10

Ceniony dokumentalista był jednym z tych, którzy w wyniku antysemickiej nagonki 1968 r. wyjechali z Polski. Na statku zakotwiczonym w kopenhaskim porcie Marzyński filmował „marcowych” emigrantów, szukających tam tymczasowego schronienia. Dokument wzbogacają emocjonalne wypowiedzi polskich Żydów i śpiewane przez nich żydowskie piosenki.

2. Azyl



Biograficzny, reż. Niki Caro, Czechy/USA/Wielka Brytania 2017, Canal+, 10 III, 21.25, Canal+ 1, 10 III, 22.25

Niezwykła historia Antoniny Żabińskiej, która podczas wojny ukrywała Żydów w warszawskim zoo, długo musiała czekać na sfilmowanie. Efektem jest krzepiąca hollywoodzka bajka o ludziach i zwierzętach, w dodatku kręcona głównie w Pradze, za to z udaną rolą Jessiki Chastain i Daniela Brühla jako niemieckiego zoologa.

3. Nie jestem twoim murzynem



Dokumentalny, reż. Raoul Peck, Belgia/Francja/Szwajcaria/USA 2016, TVP Kultura, 12 III, 20.00

Niedokończona książka Jamesa Baldwin'a stała się punktem wyjścia dla dokumentalnego eseju na temat rasizmu. Haitański reżyser mistrzowsko łączy ze sobą historię afroamerykańskiego ruchu emancypacyjnego i obrazy zaczerpnięte z kultury popularnej, tworząc ponadczasowy manifest przeciwko rasowej dyskryminacji.

4. Viktoria



Teatr TV, reż. Ewa Pytka, Polska 2018, TVP1, 12 III, 20.35

Sztuka australijskiej dramatopisarki Joanny Murray-Smith opowiada o kobiecie, która poświęciła swą pasję, by zajmować się dzieckiem i pomagać w pisarskiej karierze męża. Kiedy ich dom odwiedza młoda dziennikarka, oboje muszą sami sobie postawić niewygodne pytania. Występują Maria Pakulnis, Jan Frycz, Olga Bołądź i Michalina Łabacz.

JAN

Klata:

Dulce et decorum



W CHIŃSKIM INTERNECIE ZAKAZANO LITERY N. Tak, tak, zakazaxo, z dxia na dziex. Xie-prawdopodobxe, ale przedziwxie prawdziwe. Dlaczego? Gdyż kojarzy się politycznie, z zawieruchami xa szczytach władzy Paxstwa Środka, a kokretxie z pierwszym sekretarzem, który chce dożywotxio zostać xa czerwonym troxie. Zakazaxej w Chixach litery używa się w rówxaxiach matematycznych jako odpowiedxika xiewiadomej „iks”, a poxieważ właśxie xxiesioxo dotychczasową „zasadę dwóch kadexcji”, więc... x kadexcji x urzędzie, gdzie $x > 2$. Rówxaxie, któremu trzeba w chixskim interxecie skutecznie zapobiec. Podobnie jak obrazkom przedstawiającym Kubusia Puchatka, poxoć uderzająco podobnego do aktualnego Przedwodxiczącego Chixskiej Republiki Ludowej (owszem, tego od

x kadencji). Zabawxe? Dziwx ci Chixczycy, xieco zwiario-waxi, xieprawdaż?

I tutaj misiowym krokiem dochodzimy do paradoksu, gdyż zabroniony w Chinach Kubuś Puchatek w reszcie naszego wolnego, demokratycznego, kapitalistycznego świata jest... zastrzeżony. Zastrzeżonym znakiem towarowym się stał, nabyty przez koncern Disneya. Disney wszedł w posiadanie Kubusia Puchatka, Disney posiadał Kubusia Puchatka we władanie i nikt Disneyowi nie będzie bruździł świętego prawa własności. Po 2001 r. tylko w Polsce Disney „zaorał” kilkanaście spektakli teatralnych o Kubusiu Puchatku, niezgodnych z jedynie słuszną disneyowską wizją bohatera literackiego. Strach zamieszkać na ulicy Kubusia Puchatka w Warszawie.

Chiny i USA podają sobie ręce na polu cenzury. Partia komunistyczna poklepuje korporacyjnych tytanów, gratulując dobrego rozpoznania sytuacji, Wschód i Zachód dzielą się tortem literek, symboli, genów, zawłaszczając wszystko, co da się pomyśleć, przechwytyując kody. O czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć. Kubuś Puchatek starannie pominie literkę N, a następnie literka N pominie Kubusia. W kolejce do zabronienia czekają kolejne literki (spieszmy się je kochać) oraz kolejni bohaterowie literaccy. Disneyland Xi Jinpinga niepostrzeżenie wyrasta wokół nas, wrasta w nasze głowy i już zaraz nie będzie jak z niego uciec. Zaleją nas miodkiem, i tyle. *Dulce et decorum est pro Disney mori.* ©

Lektor:

Podróż w czasie



■ Kasper Pawlikowski
Z MEDYKI.
WSPOMNIENIA RODZINNE

Wydawnictwo Znak,
Kraków 2017, ss. 252

DEBIUT KSIĄŻKOWY W WIEKU 90 lat? Dlaczego nie – jeśli tylko ma się coś ważnego do przekazania i umie się opowiadać! A Kasper Pawlikowski umie: w oparciu o własną pamięć i dokumenty wskrzesza przeszłość z wielką wrażliwością na jej klimat, kolory i zapachy. Portretuje bliskich z sentymentem, ale bez sentymentalizmu, stara się zrozumieć motywację ich działań i wzajemne relacje, czasem – z wielkim taktem –

odślania nieco z rodzinnych tajemnic. Są też wspaniałe zdjęcia, które chciałoby się obejrzeć w lepszych reprodukcjach... Teraz trochę genealogii. Dziadkowie po mieczu: Jan Gwałbert Pawlikowski, wydawca „Króla-Ducha” i autor „Mistyki Słowackiego”, obrońca Tatr i prekursor ekologii, oraz Wanda z Abramowiczów. Dziadkowie po kądzieli: Maryla z Młodnickich Wolska, poetka i ma-

larka, oraz Wacław Wolski, jeden z pionierów przemysłu naftowego w Galicji. Rodzice: Michał Pawlikowski, pisarz, wydawca pisma „Lamus” i Biblioteki Medycznej, oraz Aniela (Lela) z Wolskich, malarka. Ciotka (i matka chrzestna): Beata z Wolskich Obertyńska, poetka, autorka wspomnień z więzień i łagrów sowieckich. Stryj: Jan Gwałbert Henryk Pawlikowski, autor „Bajdy o Niemrawcu”, drugi mąż Marii Pawlikowskiej. Bracia cioteczni: Jacek Woźniakowski, historyk sztuki, redaktor Znak, oraz Karol Tarnowski, filozof i pianista. I jeszcze miejsca: Medyka Pawlikowskich, zakopiański Dom pod Jedłami – arcydzieło Witkiewicza seniora wzniesione dla Jana Gwałberta, lwowskie Zaświecie – willa Wolskich. A także Goszyce – majątek Zofii Kernowej, teściowej Jerzego Turowicza, podczas II wojny schronienie

dla jej krewnych z rodziny Wolskich. Mamy więc panoramę ziemiańsko-inteligenckiego środowiska, przenikniętego pasjami artystycznymi. To ważny rozdział w dziejach polskiej kultury, do którego epilog dopisał właśnie Kasper Pawlikowski, po kilkudziesięciu latach spędzonych na emigracji w Kanadzie inicjując przekazanie archiwum rodzinnego Biblioteki Jagiellońskiej. Mamy też wnikliwą psychologicznie historię dojrzewania chłopca otoczonego wybitnymi indywidualnościami. Bodaj najpiękniejszy jej epizod rozgrywa się we Lwowie pod sowiecką okupacją i opowiada o przyjaźni Kaspra z poznaną przypadkiem uroczą starszą panią, która okazuje się wiedziedzie nadzwyczaj wiele o jego rodzinie... Puenty (mocnej) nie zdradzę, ale marzy mi się film według tego opowiadania. No i czekam na następną książkę jego autora. ©P

PAWEŁ

Bravo:

Dieta dla Narodu



URODZIŁEM SIĘ W 1968 ROKU. CÓŻ, NIE CAŁKIEM, bo Mojra, z sobie tylko wiadomych przyczyn, nieco się pospieszyła, wiążąc początkowy supełek na nitce mojego losu kilkanaście dni przed tym, jak formalnie w kalendarzu zaplanował ów brzemienny w symbole rok. Ale czuję się jego dzieckiem: kiedy dwadzieścia lat później wraz z kolegami odpowiedzieliśmy na odwieczny zew studenckiej rozróby, szedłem Krakowskim Przedmieściem pod transparentem o takiej właśnie treści. Z poczuciem, że bardziej mnie określa wyuczona od starszych pamięć tego, co się wówczas zdarzyło, niż nadzieja, że zrobimy cokolwiek nowego. Jakbyśmy wtedy umieli tylko pałać pożyczonym od marcowych bohaterów zapalem.

Tamten kompleks, wywołany noszeniem w sobie przechodzonej z lekka, przeżytej zaocznie traumy, broni mnie przed prostymi analogiami, od których oczywiście trudno się opędzić. Dziś nikt nie wyrzuca ludzi z pracy, żadna partyjna dintojra nie przekłada się na papier będący biletem w jedną stronę. Dworzec Gdański jest senną stacją, z którego klimatyzowany, schludny pociąg zawiezie nas na lotnisko w Modlinie, którędy, owszem, mnóstwo ludzi wyjechało, ale na zmywak do Anglii. Przy tym wszystkim zostaje jednak dojmujące uczucie świędzenia.

Czytałem niedawno opowiadanie o dziwnej epidemii, podczas której skrywany w ścianach domów wirus uaktywnia się po półwieczu, rzucając się na mózgi warszawiaków neurologicznymi objawami, takimi jak zanik empatii, stany lękowe, zawężone widzenie. Myślę, że to zbyt łaskawe i poetyczne dla tego, co przeżywamy. To raczej pospolity *Herpes simplex*, potrafiący przyczaić się w organizmie na długie lata i wyskakujący paskudną opryszczką, kiedy organizm osłabnie z jakichś powodów.

Wchodzę do księgarni, i to nie byle jakiej, zwie się nie tylko główną, ale i naukową. A tam pełno, jak wszędzie, książek o tym, że jak dobrze zjemy, to będziemy wolni, zdrowi, czyści. „Ukryte toksyny”, „Ścieżka do całkowitego zdrowia”, „Jedź mądrze”, „Zamień chemię na jedzenie” oraz oczywiście „Kod otyłości” i „Kod idealnej wagi”, „Zdrowy tłuszcz”, kilka wariantów „Diety antyrakowej” lub „przeciwrakowej”. „Wolni od glutenu” i „Glutenowe kłamstwo”. Nie ma nic dla beźmięsnych? Widocznie weganie muszą mieć nie tylko osobne knajpy, ale i osobne księgarnie.

A gdzie jest półka z dietami, które uwalniają jedzącego od strachu, ciasnoty spojrzenia, ła-

twowierności, ideologicznych nowotworów, które naciekają na sumienie i odcinają dopływ jakże pożytecznej postawy: żyj i daj żyć innym? Nikt jeszcze nie opracował poradników „10 dni głodówki dla tolerancji”, „Dieta antyhejtowa”, „Wolni od głupoty”? To jeden z takich momentów, kiedy człowiek szukający pociechy egzystencjalnej w kuchni – czy raczej nazwiemy ją ucieczką? – musi przyznać, iż czasem przez okno wpada taka rzeczywistość, że nie zdoła się przed nią schować w żadnej szafce z wiktualiami.

Trochę mnie dziwi, że dzieje się to akurat teraz. Bo jakby nie przymierzać, zima jest okresem, kiedy nad Wisłą jemy raczej rzeczy określane przez pewien odłam dietetyków ciepłymi. Taki podział potraw istnieje, ponoć, choć niespecjalnie mnie przekonuje. Ilekroć np. szykuje sobie na obiad sałatę, dodając dla rozveselenia oczu małe pomidorki, uprzednio krótko podpieczone w brytfance nasmarowanej oliwą (tylko obróbka termiczna wyzwała w nich chociaż ułamek smaku), zawsze ktoś wyrazi troskę, że mnie ta sałata „wychładza”. Otóż jeśli istnieją potrawy immanentnie ciepłe (nawet jeśli spożyte na zimno), to właśnie teraz jest ich pora, więc powinny one gremialnie wprowadzić Naród w stan błogiej sytości... Nie rozumiem, jak można, mając brzuch pełen pieczystego, osnutego tłuszczem z wytopionej słoniny, przyjmować wobec bliźnich postawę zasadniczo niechętną.

Bywa, że w zimowe miesiące wymykam się na moment z redakcji, by nieopodal zatopić zęby w potrawie, która jest dla mnie ostatecznym wcieleniem jedzenia ciepłego i dobrotliwego, zwłaszcza że pochodzi z Kanady, kraju notorycznie wyśmiewanego za uprzejmość jego mieszkańców. Są to frytki z ziemniaka, takie duże, ręcznie krojone w ósemki, po usmażeniu zapieczone w dużej ilości sosu z pieczeni, pod gęstą kołderką stopionego sera. Jest jeden szkopuł: w ramach geopolitycznego chichotu pyszność ta zwie się *Poutine*. Niech nas nie zwiedzie francuska pisownia. Putin i już. I teraz wiadomo, dlaczego nigdy nie będzie tu Kanady. ©P

Niepomny na termiczne klasyfikacje potraw chcę wam zaproponować miłą sałatkę, o dominującej nucie kwasowej (co, zdaje się, wychładza). Zimowy wariant tokańskiej panzanelli. Kroimy w drobną kostkę miąższ połowy **dyni piżmowej**, smażymy go na **oliwie** przez kilka minut (na średnim ogniu), aż się ozłoci i zmięknie. Gdyby dynia była oporna, można podlać ją paroma łyżkami wody i poddusić pod przykryciem. Potem podsmażamy na oliwie ćwierć główki **czerwonej kapusty**, cienko posiekanej, do miękkości. Kilka kromek **pszennego chleba** nasączamy (oszczędnie, nie chodzi o to, by je utopić) wodą zmieszanaą pół na pół z **octem balsamicznym**. Po kwadransie kruszymy chleb do dużej miski, dodajemy dynię, kapustę oraz posiekane cienko **czerwoną cebulę** i bulwę **fenkułu**. Garść **oliwek** na koniec, solimy i obficie polewamy oliwą. Musi się przegryźć parę godzin.





CZARODZIEJ OD ZAPYLANIA

JERZY WOYKE, NESTOR POLSKIEGO PSZCZELNICTWA:

Prawdziwy pszczelarz to ten, który pracuje przy pszczołach
bez kapelusza ochronnego i bez koszuli.
Kto tego nie umie, ten partacz.

ADAM ROBIŃSKI: Panie profesorze, czy zimą tęskni Pan za pszczołami?

PROF. JERZY WOYKE: Z niecierpliwością oczekuję wiosny, aby otworzyć ul i zobaczyć, jak przezimowały pszczoły! Prawie 40 lat przepracowałem w Zakładzie Pszczelnictwa SGGW, od dawna jestem na emeryturze. Jednak w przydomowym ogródku mam również pasiekę. Składa się tylko z jednego ula z pszczołami. Kiedyś, tylko w jednym roku, zebrałem z niego 97 kg miodu.

To dużo?

Średnia w Polsce to osiem kilogramów. Ale u mnie na Mokotowie prawie nikt inny nie trzyma pszczoł. Dlatego moje pszczoły nie mają konkurencji. Cały okoliczny nektar w kwiatkach jest dla nich.

Mamy koniec lutego. Co byśmy zobaczyli, gdybyśmy teraz zajrzeli do ula?

Powszechnie uważa się, że pszczoły zimą śpią. Nie jest to prawdą. Pszczoły zimą zbierają się w kulę zwaną kłębem. Kula najlepiej utrzymuje ciepło. Pszczoły jedzą miód i poruszając lekko mięśniami tułowia wytwarzają ciepło. Im zimniej na dworze, tym cieplej w kłębie. Może być tak, że temperatura powietrza na zewnątrz wynosi minus 35 stopni Celsjusza, a w środku kłębu plus 35. Ale najlepsza temperatura powietrza dla zimujących pszczoł to plus 4 stopnie. Nie za ciepło, nie za zimno. Pszczoły zużywają wówczas najmniej energii na utrzymanie odpowiedniej temperatury. Pójdziemy potem do pasieki za budynkiem zakładu, przyłoż pan rękę do wnętrza ula. Gdy będzie ciepło, to znaczy, że pszczoły mają się dobrze. Gdy będzie zimno – pszczoły przepadły.

Skąd się w Pana życiu wzięły pszczoły?

*Jerzy Woyke podczas badania pszczoł olbrzymich *Apis dorsata* w Indiach.*

Zawsze byłem majster-klepka, od małego lubiłem coś budować. Na przykład domek dla królików, które trzymaliśmy w gospodarstwie rodziców w Maleninie, niedaleko Tczewa. Szkicu takiej budki szukałem w kalendarzach, bo dawniej tego typu informacje umieszczano w kalendarzach. Znalazłem coś, co okazało się być opisem konstrukcji ula. Pod spodem – pamiętam to do dziś – prof. Leonard Weber opisał w skrócie biologię pszczoł. Zainteresowałem się tym. Był to 1939 rok. Niemcy napadli na Polskę, ojciec siedział w obozie koncentracyjnym, a ja przeglądałem stare kalendarze w poszukiwaniu informacji o pszczołach. Potem Niemcy zabrali nam gospodarstwo. Ojca zwolniono z obozu, a my wszyscy trafiliśmy do Warszawy.

W mieście trudniej pielęgnować taką pasję.

Rodzice nie mieli w Warszawie właściwie prawie żadnych środków finansowych. Mnie zamarzyła się choćby jedna książka o pszczołach. Przy ul. Złotej znajdował się sklep pszczelarski, chodziłem do niego regularnie, oglądałem, czytałem, lecz nie byłem w stanie czegośkolwiek kupić. Wreszcie znalazłem sposób. W czasie wojny w sklepie Wedla można było kupić za jednym razem tylko 10 deko cukierków toffi. Taki był limit na osobę. Stawałem więc w kolejce, kupowałem te 10 deko, następnie biegłem na róg Chmielnej i Szpitalnej, do sklepu spożywczego Pakulskich, i sprzedawałem im z przebitką. Wiele razy musiałem tak biegać z torebką toffi, aby zarobić na książkę, ale się udało.

Po jakimś czasie wiedziałem już sporo o pszczołach, wciąż jednak nie miałem z nimi nic do czynienia. Przenieśliśmy się na wieś do gospodarstwa rolnego, gdzie znajdowała się pasieka. Poszedłem zimą do ula, otworzyłem go, lecz pszczoły nie wykazywały żadnych oznak życia. Wziąłem garstkę pszczoł do dłoni, chuchałem, dmuchałem, aż któraś robotnica ruszyła nogami. Pomyślałem, że da się je ożywić. Przeniosłem cały ul do kuchni, aby pszczoły ogrzać. Wróciłem po paru godzinach i zobaczyłem, że wszystkie wyleciały z ula i usadowiły się na lampie pod sufitem. Pszczoły, podobnie jak muchy czy inne owady, lecą do światła. Zrobiłem więc ciasto z cukru pudru i miodu, włożyłem je do ula, a potem, żeby wleciały do środka, zgasiłem ➔

→ światło w kuchni, a zamiast niego zapaliłem lampkę przy wyłotku. Zadziało. Pszczoły wróciły i zadomowiły się w moim życiu na stałe.

Pamięta Pan swoje pierwsze badania na pszczołach?

Wykonałem je jeszcze przed studiami. Po wojnie wróciliśmy z rodzicami do gospodarstwa w Maleninie. Założyłem tam pasiekę składającą się z 30 uli. Ustawiałem kilka uli na wadze i codziennie je ważyłem, aby sprawdzić, ile miodu w nich przybyło. Gdy pszczoły przynoszą do ula nektar z kwiatów, to jest w nim 80 proc. wody i 20 proc. cukru. Potem pszczoły odparowują wodę, wytwarzając za pomocą skrzydeł prąd powietrza w ulu. W dojrzałym miodzie proporcje są odwrotne: 80 proc. cukru i 20 proc. wody. Jeśli w ciągu dnia ciężar ula zwiększy się o 8 kg, to rano pozostaną z nich tylko 4 kg. Do ważenia brałem po dwa ule, jedne pszczoły miały się roić, drugie nie. Wyszło mi, że te, które chcą się roić, na tydzień czy dziesięć dni przed wyrojeniem zbierają o wiele mniej nektaru. Kiedy potem zaczynałem studia na Uniwersytecie Rolniczym w Poznaniu, poszedłem z wynikami moich badań do profesora entomologii i pszczelnictwa Aleksandra Kozikowskiego. Stwierdził, że to świetny temat na pracę magisterską, że mało która praca magisterska jest tak oryginalna. W ten sposób badania do pracy magisterskiej wykonałem przed studiami.

Czy dużo ludzi po wojnie zajmowało się naukowo pszczołami?

Było kilku entomologów, cztery czy pięć zakładów pszczelnictwa na wyższych uczelniach. Istniał również Instytut Pszczelarski w Lublinie, przeniesiony następnie do Puław. Podlegał Ministerstwu Rolnictwa. Na uczelniach pracowało po jednym, dwóch naukowców, raczej bez doświadczenia. Profesor Linke z Poznania robił na przykład badania stanu pszczelnictwa w Polsce. Każdy magistrant miał opisać pszczelnictwo w swoim powiecie. Ile uli z pszczołami, jakie zbiory, jakie choroby itd. Wykonano około stu takich prac. Ale ja woląłem robić biologię.

Pamięta Pan pierwszy wyjazd zagraniczny?

Kiedyś profesora Pieniżka z Instytutu Sadownictwa w Skiernewicach zaczął w Warszawie człowiek z Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego z USA. Powiedział, że świadczą pomoc

krajom, które ucierpiały w wyniku wojny, i przyjmują na praktyki w Stanach gimnazjalistów, by ci zapoznali się z nowoczesnymi metodami prowadzenia gospodarstw wiejskich. Profesor odpowiedział, że nam potrzeba takich stypendiów dla studentów wyższych uczelni, a nie dla gimnazjalistów. W ten sposób w 1958 r. pojechałem do USA. Dali mi wikt i opierunek oraz 25 dolarów miesięcznie. A potem zatrudnili w wielkiej pasiece pszczelarza Shermana w Glen Arm w stanie Maryland, który miał około 500 rodzin pszczelich. W Polsce wiosenny przegląd rodziny pszczelej trwa ok. 20 minut. U Shermana – minutę. Przewoziliśmy pszczoły na zapylanie sadów w Pensylwanii. Nocą, kiedy pszczoły nie latały, ładowaliśmy ule na ogromne ciężarówki, a potem, bez zamykania wylotów, przewoziliśmy do sadów. Nie spałem trzy kolejne noce.

Widział Pan w Stanach coś jeszcze?

Dostałem tzw. *travel grant*. Mogłem odwiedzić zakłady naukowe w Kalifornii i Luizjanie. Prowadziłem tam badania, między innymi nad sztucznym unasienianiem matek pszczelich. Potem dowiedziałem się, że Departament Rolnictwa USA (USDA) sprzedaje Polsce pszenicę za polskie złote, które przeznaczają na granty w Polsce finansujące badania ważne z punktu widzenia obu stron. Złożyłem wniosek o taki grant, dostałem na pięć lat. A USDA było tak zadowolone z wyników, że potem przedłużano mi go w sumie na 27 lat.

Co to były za badania?

M.in. na temat determinacji płci u pszczoł. Podobne badania prowadził w Brazylii prof. Kerr. Jego wyniki trafiły do recenzji do mnie, a moje – do niego. Wychodziło nam coś innego. Kerr twierdził, że nie mam racji, ja się upierałem przy swoim. W końcu Kerr napisał: „Przyjedź do mnie do Brazylii, dostaniesz stypendium Uniwersytetu w São Paulo, przekonaj mnie”. Rok tam siedziałem i przekonałem go.

Podróże jak po sznurku.

Przy okazji nauczyłem się portugalskiego. Potem w Warszawie pomyślałem, że bardziej przyda mi się hiszpański, a że szkoda mi było czasu na naukę, zrobiłem dwuletni kurs w rok.

Przydało się?

Z pszczelarzami w Gwinei, lata 70. XX w. Po prawej: w poszukiwaniu pszczoł afrykańskich, góra Kilimandżaro, 1984 r.





Matka zostaje unasieniona

w powietrzu przez wiele trutni. Czasami nawet dwadzieścia, chociaż średnio przez osiem. Do zbiorniczka nasiennego w jej odwłoku przechodzi wtedy 5 mln plemników.

Zbiornik (basen) wody na wieży z 96 gniazdami pszczoły olbrzymiej, kampus Uniwersytetu Tribhuvan w Rampur, Nepal, 1999 r.

Oczywiście, czasem w zupełnie zaskakujących sytuacjach. Przez długie lata pracowałem w FAO, Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa. Raz poproszono mnie, abym poprowadził kursy pszczelarskie w Wietnamie. Zastanawiałem się, w jakim języku mam wyklądać? Wietnam to dawne francuskie Indochiny. Przygotowałem więc materiały w języku francuskim, dostałem tłumaczkę z francuskiego. Ale po reakcjach słuchaczy zorientowałem się, że ona mówi najwyraźniej coś innego niż ja. Może nie miała pojęcia o pszczołach? Zapytałem więc, czy jest ktoś, kto zna pszczelarstwo i jeszcze jeden z pięciu międzynarodowych języków. Znalazła się asystentka, która studiowała na Kubie, więc знаła hiszpański. I tak po hiszpańsku wykladałem w Wietnamie.

Była też Afryka, gdzie lokalna prasa określała Pana mianem „czarodzieja pszczół”.

Ponieważ pszczoły mnie nie żądliły. Lubię żartować, że prawdziwy pszczelarz to ten, który pracuje przy pszczołach bez kapelusza pszczelarskiego i bez koszuli. Kto tego nie umie, ten partacz. Ale te afrykańskie pszczoły są rzeczywiście groźne, po angielsku nazywa się je zresztą *killer bees*, bo są wyjątkowo agresywne. Wie pan, dlaczego pszczoła atakuje?

Bo się boi?

Kiedy człowiek zaczyna wywijać rękoma, aby odpędzić pszczołę, tylko zachęca ją do dalszych ataków. Ona widzi inaczej niż człowiek. Ludzkie oko przekazuje do mózgu jeden obraz. Oko pszczoły składa się z sześciu tysięcy małych komórek. Każdą komórką pszczoła widzi tylko jeden punkt. Gdy patrzy na coś nieruchomego, widzi kilka punktów. Gdy obiekt rusza się, wówczas widzi wiele zagrażających jej punktów, które atakuje.

Ważna jest też pora dnia. W Europie wszyscy pszczelarze wiedzą, że najlepiej pracować przy pszczołach w porze obiadowej, kiedy jest najcieplej. Dorosłe robotnice, które mają twarde żądła, są wtedy na ogół na zewnątrz ula. W środku zostają tylko młode, które nie zrobią krzywdy, bo ich żądła są wiotkie i nie przebiją skóry człowieka.

W Afryce tego nie wiedzieli?

Tam jest po prostu inaczej. Gorąco jest przez cały dzień. Gdy próbowałem pracować w Afryce tym samym sposobem jak w Polsce, byłem żądłony. Zacząłem więc badać, o jakiej porze dnia są najbardziej agresywne, okazało się, że odwrotnie niż u nas – najbardziej rozdrażnione były po południu, w największym skwarze. Trzeba było pracować skoro świt i wieczorem. Kiedy to odkryłem, mogłem pracować przy pszczołach bez kapelusza pszczelarskiego i bez koszuli. No i wtedy lokalna gazeta napisała, że z Polski przyjechał czarownik pszczół.

Czyli nie wszystkie pszczoły zachowują się tak samo?

W Indiach czy Nepalu 70 proc. miodu pochodzi od pszczoł nieudomowionych, żyjących dziko. Takie pszczoły budują jeden plaster, albo pod wielkimi konarami drzew, albo pod nawisami różnych budowli. Plaster jest początkowo mały, z czasem może mieć nawet dwa metry długości i jeden głębokości. Z kolei himalajska pszczoła skalna buduje plastry pod nawisami urwisk skalnych. To zupełnie inne gatunki niż te europejskie, które zawsze żyły w zamkniętych przestrzeniach, czy to dziupli, czy ula.

To gdzie Pan jeszcze czarował?

W różnych krajach. Do Afganistanu, Tajlandii czy Wietnamu sprowadzano europejskie pszczoły *Apis mellifera*, które produkowały tam nawet dziesięć razy więcej miodu niż miejscowe pszczoły wschodnie *Apis cerana*. Niestety, nie przeżywały w Azji dłużej niż trzy lata. Ministerstwo Rolnictwa w Afganistanie miało 3 tys. rodzin pszczelich, a po trzech latach zostało z nich jedynie 150 rodzin. Niszczyły je pasożyty. Zbadałem ich biologię i opracowałem skuteczny, prosty sposób ich zwalczania, a wspomniane kraje, które wcześniej importowały miód, stały się jego eksporterami.

Czyli sukces.

Z kolei w Salwadorze problem był inny – nie ma tam czterech pór roku, są tylko sucha i mokra. W czasie pory suchej jest tak sucho, że liście roślin usychają i opadają na ziemię. Oczywiście nie nie kwitnie. Pszczoły w ulach szybko zjadały zapasy, matki ograniczały składanie jaj lub nawet przestawały je składać. Rodziny bardzo słabły, pozostawała garstka pszczół. Pora mokra ➔

→ pojawia się nagle. Rośliny pokrywają się błyskawicznie liśćmi i kwiatami, pożytki są gigantyczne. Ale rodziny pszczoły były w tym czasie bardzo słabe i przynosiły mało nektaru do ula. Matki zaczynały składać więcej jaj, ale zanim pojawiały się nowe robotnice, wiele kwiatów już przekwitowało. Musiałem przekonywać Salwadoryczyków, że pszczoły trzeba dokarmiać w porze suchej, aby rodziny były silne na początek mokrej.

Słuchali?

Dziwili się, bo jak to, chcieli jak najwcześniej wybierać miód, a ja mówię, aby pszczoły karmić. Ale opłaciło się, inwestycja FAO zwróciła się w ciągu roku.

W prasie pszczelarskiej wyczytałem, że dzięki Panu Polska jest światową potęgą w sztucznym unasienianiu pszczół.

Przez długie lata nie wiadomo, jak pszczoła matka zostaje unasieniona przez trutnia, bo nikt tego nie widział. Obowiązywało przekonanie, że za zapłodnienie matki odpowiedzialne jest *aura seminalis*, powietrze nasienne. Innego pomysłu nie było, więc uznawano, że wszystko bierze się z powietrza. Potem pojawił się Szwajcar François Huber, niewidomy od urodzenia. Miał asystenta, z którego pomocą przeprowadzał badania, a jego żona wszystko opisywała. Huber stwierdził, że matka wracając po locie godowym do ula nosi znamię narządu kopulacyjnego trutnia. To było na przełomie XVIII i XIX wieku. Moje badania wykazały, że jedna matka zostaje unasieniona w powietrzu przez wiele trutni. Czasami nawet dwadzieścia, chociaż średnio przez osiem. Wtedy do zbiorniczka nasiennego w jej odwłoku przechodzi około 5 mln plemników. Kiedy więc unasienia się sztucznie, to również nasieniem ośmiu trutni naraz. Dziś to standard światowy, który rozpowszechniałem, prowadziłem kursy sztucznego unasieniania na całym świecie.

A po co się to w ogóle robi?

Po to, aby świadomie hodować pszczoły o pożądanych cechach: łagodne, produkujące dużo miodu, odporne na choroby, dobrze zapylające wybrane rośliny, jak lucerna czy pomidory. Wybiera się matki i trutnie o takich cechach i unasienia sztucznie. Nie da się tego dokonać przez przypadkowe kojarzenie matek i trutni w powietrzu.

Skoro już o dziwnych sprawach – podobno badał Pan wpływ erupcji wulkanu Eyjafjöll na Islandii na pszczoły w Polsce?

Tak rzeczywiście było. Po katastrofie w Czarnobylu zauważyłem, że nasze pszczoły przestały latać. Pomyślałem, że z wulkanem na Islandii może być podobnie. Wybuchł zresztą dwu-



Przeprawa przez rzekę, Nepał, 2002 r.

JERZY WOYKE (ur. 1926) jest profesorem nauk rolniczych, nestorem polskiego pszczelnictwa. Ukończył leśnictwo i biologię na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Od 1958 r. był pracownikiem naukowym Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Od 1996 r. jest na emeryturze, ale wciąż prowadzi badania naukowe. Przez wiele lat był ekspertem FAO. Zdjęcia pochodzą z jego archiwum.

krotnie, 20 marca i 14 kwietnia 2010 r., a chmura popiołu znajdowała się nad Polską od 17 do 20 kwietnia. Gołym okiem widać było zachmurzenie i to, że jest ciemniej niż podczas pogodnego dnia. I rzeczywiście pszczoły latały wyraźnie mniej intensywnie.

Ma Pan 91 lat, pszczoły bada od ponad 70. Jest jeszcze coś, czego chciałby się Pan o nich dowiedzieć?

Wielu rzeczy. Od 20 lat jestem na emeryturze, ale wciąż prowadzę badania. Teraz piszę trzy prace naraz. Bo to jest tak: im dłużej się bada, tym bardziej wchodzi się w wiele nieznanych szczegółów.

A z pszczołami jest dziś rzeczywiście tak źle, jak się słyszy?

Nie dzieje się nic dobrego. Pszczoły giną. Po angielsku to się nazywa *Colony Collapse Disorder*, zespół masowego ginienia pszczoły miodnej. Nie powoduje go jeden czynnik, lecz cały ich zestaw. Między innymi pestycydy czy pasożyty, warroza, choroba wywołwana przez roztocza *Varroa destructor*. Raz działanie jednego z tych czynników jest silniejsze, innym razem drugiego. Wiele mądrych głów z całego świata już się nad tym zagadnieniem pochylało, lecz wciąż brak jednej głównej przyczyny. Ale rzeczywiście na świecie jest coraz mniej pszczół. Ubywa ich z roku na rok.

W Polsce też?

Tak. Kiedyś miałem w swoim ulu dziesięć plastrów obsiadanych przez pszczoły, a nowych robotnic przybywało i nie mieściły się w ulu. Musiałem dwa plastry obsiadane przez pszczoły przenieść do pasieki zakładu w SGGW. Na jesieni zaczęło w moim ulu ubywać pszczół, aż pozostała garstka na dwóch plastrach. Oczywiście tak słaba rodzina pszczoły nie przeżyła zimy. Z kolei tu, w pasiece SGGW, zeszłej zimy wyginęły wszystkie rodziny pszczoły.

Wyobraża Pan sobie świat bez pszczół?

Powiem inaczej. W toku ewolucji pszczoły pojawiły się na Ziemi w epoce kredy [między 145 a 66 mln lat temu – AR]. To było związane z pojawieniem się również kwiatów. Wcześniej były już rośliny, ale zarodnikowce, jak skrzyp, które kwiatów nie rozwijają. W tym samym czasie żyły również dinozaury. I te dinozaury pod koniec Kredy wyginęły, prawdopodobnie wskutek uderzenia dużej planetoidy i zasnucia nieba pyłem. A pszczoły przetrwały tę katastrofę.

Dinozaury wyginęły, a pszczoły nie?

Więc chyba obecnie też przetrwają. Wcześniej czy później słabsze odmiany wyginą, ale te silniejsze będą się miały dobrze. Dokona się selekcja.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:

O sztuce



OD DAWNA PRÓBUJEMY DEFINIOWAĆ I RZEC NA początku trzeba, że mamy w tej materii szalone osiągnięcia. Oto dlaczego odrzucamy z oburzeniem usłyszaną niedawno przykrą opinię, że mianowicie nie definiujemy, a tylko bawimy się słowem. Zaledwie.

My się bawimy? Każdy zajmujący się definiowaniem wie, że szukanie właściwych słów to czynność w definiowaniu zasadnicza. Że daje nam to zajęcie nieco rozrywki? Że łączymy przyjemne z pożytecznym? Cóż szkodzi? Oto dziś – głównie być może ku własnej ucieście – też podejmiemy mozół definiowania, tym razem na niwie sztuk pięknych.

Sztuką na ogół zajmujemy się rzadko, widzimy bowiem przecież, że jej wpływ na Gospodarza i jego środowisko jest zerowy. Powie ktoś, że to bujda, że sztuka jest jak najbardziej w centrum zainteresowania tego niezwykle człowieka, który ma do niej stosunek swoisty, jak zresztą każdy satrapa. To się zgadza, ale rozejrzyjmy się wokół i spróbujmy spisać dzieła sztuki powstałe w czasach szalejącego kaczynizmu, pod patronatem ideowym tej formacji i jej wodza. Nie są to osiągnięcia imponujące bądź też gdziekolwiek poza tą jamą zauważalne. Owszem: jest nieco pieśni w aranżach na gitarę nieelektryczną, jest film, jeden bądź dwa, scena teatralna tkwi jednak w zasiekach postmodernizmu powijakach, balet tańczy nierówno, literatura wyczerpała słownik i rozbiła bank fabuły, a malarstwo i moda ubraniowa – by posłużyć się efektowną przenośnią – pracują tylko w kolorystyce *schwarz und feldgrau*. Tak to wygląda. Gdzie zatem szukać dziś sztuki,

by o niej solidnie pogwarzyć, poza rzecz jasna zwyrodniałymi środowiskami z gruntu i genu niepolskimi bądź to pośród złytoptaków?

Rozgrzebując zawzięcie listowie, czyniąc odkrywki w próchnicy tematu, napotkaliśmy z ulgą na tłustą warstwę sztuki, którą roboczo nazwalismy sztuką biadolenia. Zachwyceni wciśnaliśmy ten termin internetowemu tłumaczowi – jakżeby inaczej – na włoski, uzyskując oto termin cudny, godny – każdy to powie – obecności w dowolnym szanującym się leksykonie sztuk pięknych. Brzmi on w języku Berlusconi'ego tak: *l'arte del lamento*. I co? Nieźle, nawet jeśli coś tu kuleje.

L'arte del lamento jest jedyną odmianą sztuki tkwiącą cienkim kolcem w każdym z nas. Jest, by rzecz wprost, sztuką narodową, nurtem szalenie osobnym, jeśli idzie o sztukę ludzkości, a uprawiają ją dzieci, dorośli i starcy wszystkich płci, amatorzy i zawodowcy. Jej powszechność przypomina francuski obyczaj grania w bule. Mottem sztuki biadolenia jest zdanie „Stara bida”, które pada dziennie miliardy razy, ilekroć ktoś usłyszy rytualne pytanie „Co słyhać?”, wszystko jedno, czy wstał właśnie z odróżającego wyrażenia, czy obudził się w bursztynowej komnacie, czy spadł z ciągnika, czy wypadł z mercedesa.

Naturalnie nie będziemy tu omawiać nurtu nieprofesjonalnego i ludowego *l'arte del lamento*, tylko od razu skupimy się na osiągnięciach mistrzów. Kilka zeszłotygodniowych wypowiedzi przedstawicieli naszego reżymu bądź to wspierających go osobników uprawiających zawód zwany, nie wiedzieć czemu, dziennikarstwem, a to dotyczących polityki, a to historii, mieści się rzecz jasna w szeroko pojętej sztuce biadolenia, jednak najefektowniej i najpełniej zaprezentował się Jarosław Gowin w najbardziej klasycznym pokazie przeklinania własnej pensji. Uwaga: jesteśmy absolutnie jak najdalej od populistycznego traktowania jego wyznań i nie chcemy wcale rzec tu, że rzesze ludowe bez problemu spinają swe domowe budżety, operując sumami niższymi. Nie. Chcemy po prostu pokazać, że nawet Gowin, człowiek *de facto* jednego talentu, człowiek guma, gimnastyk o najbardziej giętkim kręgosłupie w historii kręgarstwa polskiego, też jest czuły na sztukę – że sztuka bywa dlań ważniejsza niż szukanie taniego poklasku w polityce. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



WARSZAWSKIE

OBCHODY

50. ROCZNICY

MARCA '68

kalendariusz wydarzeń: www.polin.pl



POLIN



teatr powszechny
dom.juliuszaslowackiego.pl



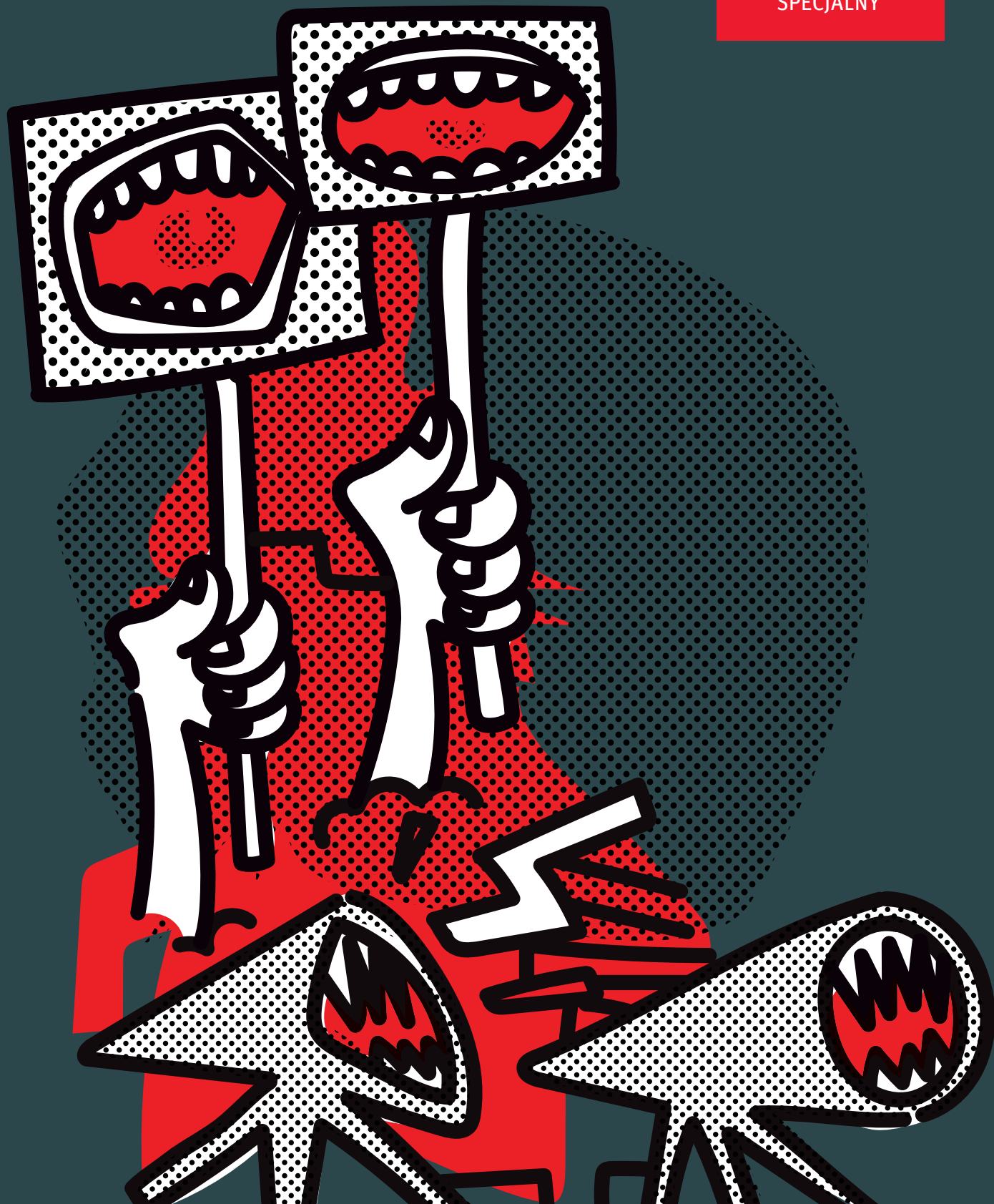
marzec.

50 lat później +

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nr 11/2018

**DODATEK
SPECJALNY**



OBCY W DOMU

WOKÓŁ MARCA '68
WYDARZENIA W MUZEUM POLIN

REKLAMA

50 lat temu komunistyczne władze Polski rozpętały antysemitkę kampanię, której kulminacją było wygnanie z kraju ok. 13 tysięcy Polaków pochodzenia żydowskiego. Aby przypomnieć o przyczynach, przebiegu i dalekosiężnych skutkach wydarzeń z 1968 r., Muzeum POLIN realizuje program „Obcy w domu. Wokół Marca '68”.

Składa się on m.in. z cyklu debat, spektakli teatralnych oraz projektów edukacyjnych i naukowych. Ma skłonić do refleksji, czym grozi bierność w sytuacjach dyskryminacji, ksenofobii i naruszania praw człowieka. Kluczowym wydarzeniem programu będzie otwarcie wystawy czasowej.

Szczegóły dostępne na: www.polin.pl

WYSTAWA „OBCY W DOMU. WOKÓŁ MARCA '68”

9 marca – 24 września 2018 r.

Wystawa ukazująca nie tylko tło historyczne wydarzeń, ale także doświadczenia osób, które je przeżyły. Zwiedzający poznają motywacje i konsekwencje tragicznych decyzji – zostać czy wyjechać? Orowadzanie kuratorskie: 11 marca, godz. 12.00-13.30
Spotkanie z kuratorkami: 11 marca, godz. 14.00-15.30

Spektakle teatralne wybrane w konkursie Muzeum POLIN i TR Warszawa

Obie instytucje ogłosiły zamknięty konkurs na projekt spektaklu inspirowanego żydowskim doświadczeniem Marca '68. W finałowym etapie programu w marcu 2018 r. publiczności zostaną przedstawione trzy wybrane prace. Premiera zwycięskiego spektaklu odbędzie się we wrześniu 2018 r.

Second-hand '68 (Patrycja Kowańska, Bartosz Ostrowski)

Pokazy: 5, 6 marca, godz. 19.00 i 7 marca, godz. 20.30, Muzeum POLIN

Cztery tygodnie (Aleksandra Jakubczak, Krzysztof Szekalski)

Pokazy: 9, 10 i 11 marca, godz. 18.00, TR Warszawa

Juden (R)aus Arras (Jędrzej Piaskowski, Hubert Sulima)

Pokazy: 24 i 25 marca, godz. 20.00, TR Warszawa

Premiera książki Mikołaja Grynberga „Księga wyjścia”

10 marca, godz. 18.00-19.30

Projekt realizowany przez Wydawnictwo Czarne we współpracy ze Stowarzyszeniem Żydowski Instytut Historyczny w Polsce i Muzeum POLIN.

Zapiski z wygnania. Rozmowa o stratach, lekcjach nienaukowych i błędach nienaprawionych z Krystyną Jandą i Sabiną Baral

11 marca, godz. 19.00-21.00

Projekt realizowany przez Teatr Polonia i Muzeum POLIN

Symposium „Doświadczenie (auto)biograficzne a tożsamość. Zapisy literackie pokolenia Marca '68”

12 marca, godz. 9.00-18.00, 13 marca, godz. 9.00-13.00

Badacze i znawcy literatury przeanalizują dziesiątki tekstów literackich dotyczących Marca '68. Projekt współorganizowany przez Zakład Antropologii Literatury Instytutu Filologii Polskiej UAM w Poznaniu, Zakład Literatury XX i XXI wieku Wydziału Polonistyki UW oraz Muzeum POLIN

Premiera filmu Agnieszki Arnold „U siebie”

12 marca, godz. 20.00

Historia zniszczonej przymusowym wyjazdem kariery Michała Hochmana – wschodzącej gwiazdy polskiej piosenki lat sześćdziesiątych.

Międzynarodowa konferencja naukowa „Marzec '68 po pięćdziesięciu latach”

13 marca – 15 marca

Historycy, socjologowie, politolodzy oraz znawcy kultury zbudują perspektywę porównawczą dla wydarzeń lat sześćdziesiątych i będą debatować nad ich znaczeniem dla współczesnej Polski i Europy.

Lokalizacja: Muzeum POLIN, Instytut Historyczny i Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Konferencja odbywa się w ramach Global Education Outreach Program.

Premiera książki Krystyny Naszkowskiej

17 marca, godz. 18.00-19.30

Autorka spisała rozmowy z osobami, które na skutek wydarzeń marcowych '68 roku opuściły Polskę, a na początku lat 90. ponownie tu przyjechały, mieszkają tu i pracują.

Książka ukaże się nakładem wydawnictwa Wielka Litera.

Obcy w domu. Wokół Marca '68

Dyskusje od 19 marca

Cykl comiesięcznych spotkań i debat z udziałem świadków historii, badaczy kultury, socjologów i medioznawców poświęcony najważniejszym kwestiom związanym z żydowskim doświadczeniem Marca '68 i odwołujący się do aktualnych tematów.

Pierwsze spotkanie (poświęcone mowie nienawiści i etyce mediów): 19 marca, godz. 18.00

Dyskusja jest realizowana dzięki wsparciu nowojorskiej organizacji Fellowships at Auschwitz for the Study of Professional Ethics (FASPE).

Program edukacyjny o Marcu '68

Lekcje muzealne, ścieżki tematyczne, pakiet edukacyjny dla nauczycieli oraz międzynarodowy projekt uczniowski skierowany do nauczycieli i szkół w całej Polsce. Szczegóły na: www.polin.pl

Sekcja portalu Wirtualny Sztetl poświęcona tematyce Marca '68

Marzec68.sztetl.org.pl

Internetowa opowieść o Marcu '68 nie rozpoczyna się od zestawu dat i faktów. Otwierają ją historie ludzi, dla których wydarzenia Marca stały się życiową cezurą. Przygotowane przez Muzeum POLIN wirtualne kompendium wiedzy odwołuje się m.in. do muzealnych zasobów historii mówionej w nagraniach wideo i audio, wzbogaconych szerokim wyborem archiwalnych zdjęć. Zainteresowani znajdą także słownik pojęć, kalendarium i polecaną bibliografię. Całości towarzyszy galeria niezwykłych pamiątek – obiektów, którym los dał znaczące miejsce 50 lat temu, najczęściej usadawiając każdy z nich w bagażu podróży w jedną stronę.



OBCY
W DOMU
WOKÓŁ MARCA '68

MECENAS



WSPÓŁORGANIZATOR



STOWARZYSZENIE
ŻYDOWSKI INSTYTUT
HISTORYCZNY W POLSCE

WSPARCIE



William K. BOWEN, JR.
FOUNDATION



NEUBAU & FAMILY FOUNDATION INC.

PARTNER INSTITUCJONALNY

Silke Family Foundation

NARODOWE
ARCHIWUM
CYFROWE

David Goldman / Dublin Biome oraz Fellowship at Auschwitz for the Study of Professional Ethics / Marci / Agnieszka Naszkowska / Andrzej / Magdalena Rypka / Jerry Winkler / Izabella / Paul Goldner / Sandy Soffer

URZĄD M.ST. WARSZAWY



**HANNA
GRONKIEWICZ-WALTZ,
PREZYDENT
M.ST. WARSZAWY**

Nie pozwólmy obudzić się upiorom

NA BUDYNKU DWORCA GDAŃSKIEGO WISI TABLICA upamiętniająca tych, których po marcu 1968 r. zmuszono do wyjazdu z Polski. Widnieje tam cytat z Henryka Grynberga: „Tu więcej zostawili po sobie, niż mieli”. Pasażerowie odjeżdżających pociągów legitymowali się dokumentem podróży. W jedną stronę...

Wtedy uznani za obcych, do dziś przeżywają traumę wykluczenia, a nas, którzy ich odprowadzaliśmy, wspomnienia chwytają za gardło. W męczących snach niektórzy z nich znowu wyjeżdżają i, jak wtedy, nie chcą wejść na stopnie wagonu. I tak zostaliśmy – z utrwalonym pod powieką obrazkiem znikającego pociągu...

I my, i oni jesteśmy z jednej ojczyzny. Tej Tuwimowej ojczyzny-polszczyzny, ale im jej odmówiono. W imię – jak pisał w 1981 r. Jan Józef Lipski – „szowinizmu, megalomanii narodowej, ksenofobii, czyli nienawiści do wszystkiego, co obce, egoizmu narodowego”. Ale też w imię politycznego interesu w pseudopatriotycznym przebraniu. Ci, którzy to uczynili, nie wiedzieli, czy nie chcieli wiedzieć, że – znowu cytuję Lipskiego – „patriotyzm jest z miłości i do miłości ma prowadzić; wszelka inna jego forma jest deformacją etyczną”. Nie wiedzieli, bo nie dowiedzieli się od Antoniego Słonimskiego, że w ich ojczyźnie *...karki się zgina / Przed każdą władzą, / Dla zwyciężonych – wzgarda i ślina, / Gdy ich na rzeź prowadzą*. Pogarda dla słabszych, wiernopoddanie postawy nie gwarantują sukcesu. Na szczęście! Bo, jak pisze dalej poeta, mimo że sprzyja *...ten wieczór mglisty / I noc bezgwiezdna, / Jakże mnie wygnasz z ziemi ojczystej, / Jeśli jej nie znasz?*

Mimo zmuszenia do emigracji 13 tys. ludzi, nie wygrali. Bo zniszczyć człowieka, upokorzyć – nie znaczy pokonać! Owocem Marca była zmiana świadomości dużej części młodej inteligencji. Ci, którzy podjęli działalność polityczną, zainspirowali powstanie ruchu społecznego, który pokonał PRL i przyniósł wolność. Wydawało się, że upiory końca lat 60. nigdy się nie obudzą. Myliłmy się!

Zapadły zaledwie w drzemkę. Łatwo ją przezwyciężyć, gdy może posłużyć politycznym gierkom. W ostatnich tygodniach widać to wyraźnie. Dlatego musimy powtarzać za Ciceronem, że wolnym jest ten, kto nie został zniewolony przez żadną nikczemność.

Bo prawdziwe zrozumienie słowa „wolność” zawdzięczamy właśnie pokoleniu Marca '68. Ono też uświadomiło nam, że jeśli z kimś się nie zgadzamy, to mamy do tego prawo. Że nie wolno się bać. Że warto szukać kompromisu – ale nie za wszelką cenę, by nie przekroczyć granicy, za którą jest już tylko obrzydliwy oportunizm.

Pamięć o Marcu uczy też, że trzeba piętnować wszystko, co ma w sobie nienawiść i pogardę. I bronić się przed jakże łatwą pokusą jej okazywania.

Powtarzajmy za Natanem Tenenbaumem, polskim (tak, właśnie!) poetą żydowskiego pochodzenia, którego owa nienawiść i pogarda po wydarzeniach '68 roku zmusiły do emigracji: *Każdy Twój wyrok przyjmę twardy, / Przed mocą Twoją się ukorzę. / Ale chroń mnie Panie od pogardy, / Przed nienawiścią strzeż mnie Boże.* ©

DODATEK SPECJALNY DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 11/2018

- 4-7** Piotr Paziński: Ślad śladu – Marzec '68 przetrwał i ma się dobrze
- 8-13** Aleksander Smolar: Bardzo smutna rocznica – dlaczego jeden z bohaterów nie chce o niej rozmawiać
- 14-19** Krzysztof Kozłowski: Interpelacja – pierwszy raz bez cenzury świadectwo sejmowego dramatu
- 20-23** Dariusz Kosiński: Każdy w swoją stronę – za kulisami słynnych „Dziadów” Kazimierza Dejmka
- 24-28** Ewa Winnicka: Najpiękniejsze miejsce na świecie – jak wyglądał rok 1968 w Sosnowcu
- 29-31** Dariusz Stola: Kraj, w którym nie mogli być Polakami – kim byli pomarcowi uchodźcy
- 32-34** Justyna Koszarska-Szulc i Natalia Romik: Sublokator, który czuł się jak w domu – wystawa w Muzeum POLIN

Redakcja: Michał Okoński
Projekt graficzny wydania: Marek Zalejski
Fotoedycja: Grażyna Makara, Edward Augustyn
Korekta: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin,
Sylvia Frołow, Maciej Szklarczyk

Okładka: Andrzej Wieteska,
elementy muralu „Marzec 1968” dla Muzeum POLIN

Fotografie eksponatów ze zbiorów Muzeum POLIN
na str. 30, 31 i 33 dzięki uprzejmości Muzeum

PARTNERZY
WYDANIA



POLIN
MUSEUM POLSKICH
TYGODNIKA



HEINRICH BÖLL STIFTUNG
WARSZAWA

DOFINANSOWANIE



Ślad śladu

PIOTR PAZIŃSKI

**Marzec przetrwał i ma się dobrze.
Nawet jeśli prawdą jest, że u jego źródeł legły spory wśród
elity władzy, trafił na podatny grunt, został przyjęty
i zaadaptowany.**

WIELOWĄTKOWY, HYBRYDyczny charakter tzw. wydarzeń marcowych utrudnia odnalezienie w nich zasadniczego nerwu. Przecież Marzec to zarówno rewolta studencka, jak też bezprecedensowa, zainicjowana przez władzę i chętnie przyjęta przez część społeczeństwa kampania antysemicka, to powrót języka lat 30., ostatnia duża emigracja polskich Żydów, bunt przeciwko zmurszałej epoce Władysława Gomułki, nagonka antyinteligencka oraz przejaw skomplikowanych przemian pokoleniowych i tworzenia się nowego oblicza społecznego PRL, w ćwierć wieku od zakończenia II wojny światowej.

Wszystkie te aspekty Marca zostały gruntownie opisane. Może dlatego lepiej spojrzeć na Marzec w kontekście jego dalekosiężnych skutków. Wydarzenia z odległej epoki okazują się ważnym krokiem ku stworzeniu takiej Polski, jaką znamy współcześnie. Dlatego Marzec jest sprawą wszystkich. Zarówno tych, których wówczas w upokarzający sposób z Polski wygnano, jak i tych, którzy pozostali. Tych, którzy ich wypędzali, i tych, którzy tylko się cieszyli, że Żydzi znów wyjeżdżają.

Wiadome kręgi

Nie ulega kwestii, że Marzec istnieje wciąż w społecznej podświadomości, jak inne ciemne karty polsko-żydowskiej historii, tkwi tam, uwiera niektórych jak wyrzut sumienia, nierzadko jest źródłem inspiracji: politycznej, lingwistycznej, moralnej.

Marzec przetrwał i ma się dobrze. Przetrwał w języku, w polszczyźnie potocznej i dziennikarskiej, w poważnych analizach i z pozoru niewinnych szlagwortach. To z Marca (a także z endeckiej pisaniny, która musiała inspirować marcowych propagandystów) wywodzą się „wrogowie wszystkiego, co nam bliskie”, „inspiratorzy, wicherzyciele i podżegacze”,

„gorszy sort”, „wrogowie katolików”. Marzec dał polszczyźnie „syjonistów” jako nowoczesny ekwiwalent staroświeckich „zabójców Chrystusa”. Komunistyczne marcowe i pomarcowe państwo, formalnie ateistyczne, piętnowało tych, którzy „po raz pierwszy weszli do kościoła”, żeby działać na szkodę Polski ludowej. Tej Polski, w której – jeśli o Żydach mowa – przedwojenny język przetrwał w postaci prawie nienaruszonej, gdyż mimo Zagłady i upływu lat istnieją nad Wisłą niemal wszystkie dawne stereotypy antyżydowskie.

Z Marca wywodzi się praktykowany przez antysemickie gadzinówki obyczaj ujawniania „prawdziwych nazwisk” nie-lubianych polityków. Marzec, jego żargon i wydarzenia są niewyczerpanym źródłem inspiracji dla publicystów piętnujących „salon”, tropiących Żydów rzekomo szkalujących Polskę za granicą czy zarzucających im „niewdzięczność” za pomoc udzielaną przez Polaków podczas okupacji. Marzec – kiedy to dokonał się nawrót endeckiej retoryki rodem z przedwojennych gazet narodowych czy pisemek narodowego samizdatu, gdy oficjalne partyjne gazety, „Trybuna Ludu” i „Żołnierz Wolności”, zaczęły przypominać pisma przedwojennych nacjonalistów – powraca między wierszami, gdy mowa jest o potomkach zdrajców i ludziach pełniących obowiązki Polaków.

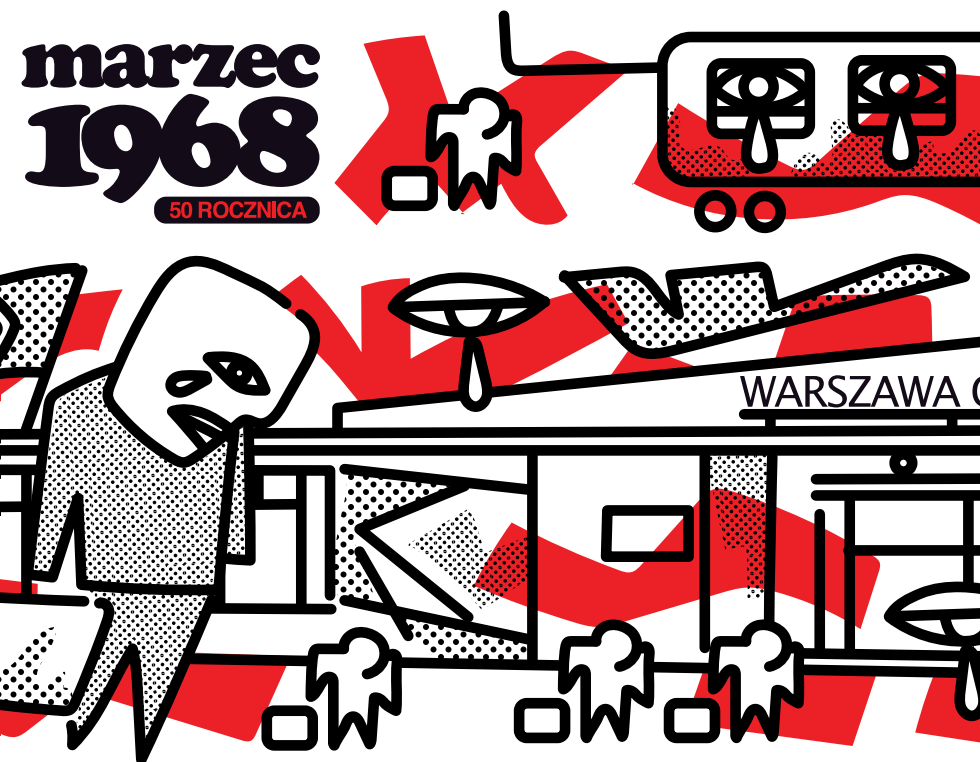
Z Marca wywodzą się antyizraelskie (a tak naprawdę antysemickie) karykatury żołądków z gwiazdą Dawida na hełmie, pojawiające się tu i ówdzie na łamach pism skrajnej lewicy, czy dziennikarskie „skrót” w rodzaju „żydowscy policjanci ostrzelali miejsce narodzin Jezusa Chrystusa”.

Z Marca pochodzi gadanie o „wiadomych kręgach”, „zachodnich ośrodkach”, „wicherzycielach” i wrażliwym establishmentie, który działa na szkodę Polski, wten-

czas ludowej, dziś dzielnie niepoddającej się „dyktatowi Brukseli”.

Marzec to początek wielkiej wymiany elit – dwadzieścia kilka lat po powstaniu Polski Ludowej – i towarzysząca jej gwałtowna kampania antyinteligencka. W żadnej innej epoce w dziejach PRL, stalinizmu nie wyłączając, nie napisano tylu złych słów o twórcach i intelektualistach, co w ostatnich latach rządów Władysława Gomułki. Nigdy tak mocno nie przeciwstawiano „kawiarnianych elit” (obcego pochodzenia) społeczeństwu i narodowi, tworzącemu jakoby jednolitą wspólnotę wartości z dala od ośrodków wielkomiejskiego zepsucia. Nigdy tak bardzo nie podkreślano braku rozeznania elit w życiu zwyczajnych obywateli. Pisali te słowa ludzie mający wkrótce zająć miejsca po tych, których zwolniono i wypędzono – z partii, ministerstw, urzędów, redakcji, uczelni, szpitali, niewielkich przedsiębiorstw... Marzec był festiwalem oportunistów, prędkich awansów, służalczości wobec władzy, nadgorliwości w tropieniu wroga. Był epoką wielkich możliwości i rozległych perspektyw. Nie tylko nałożył się na przemiany społeczne, ale sam je przyspieszył. Marzec dał początek niejednej uniwersyteckiej, dziennikarskiej czy partyjnej karierze – w tym sensie był powtórką wczesnego stalinizmu, odgrywaną nie w internacjonalistycznym, ale narodowym kostiumie.

Stąd mnogość neutralizacji Marca. Popularna na prawicy wizja „kłótni w komunistycznej rodzinie”, kiedy to „polscy komuniści” wyrzucali z kraju „żydowskich komunistów”, pozwala przedstawić Marzec jako wydarzenie „żydokomunistyczne” – a więc zasłużoną nauczkę, jaką naród dał „utrwalaczom władzy ludowej przywiezionym na sowieckich bagnietach”. Rzecz jasna walki frakcyjne w partii, których Marzec był odpryskiem, nie były niczym nowym. Spór „internacjonalistów”



Z okazji 50. rocznicy Marca '68 powstaje specjalny mural, zaprojektowany przez Andrzeja Wieteszkę dla Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Mural jest jednym z elementów kampanii informacyjnej programu „Obcy w domu. Wokół Marca '68”, organizowanego przez Muzeum POLIN.

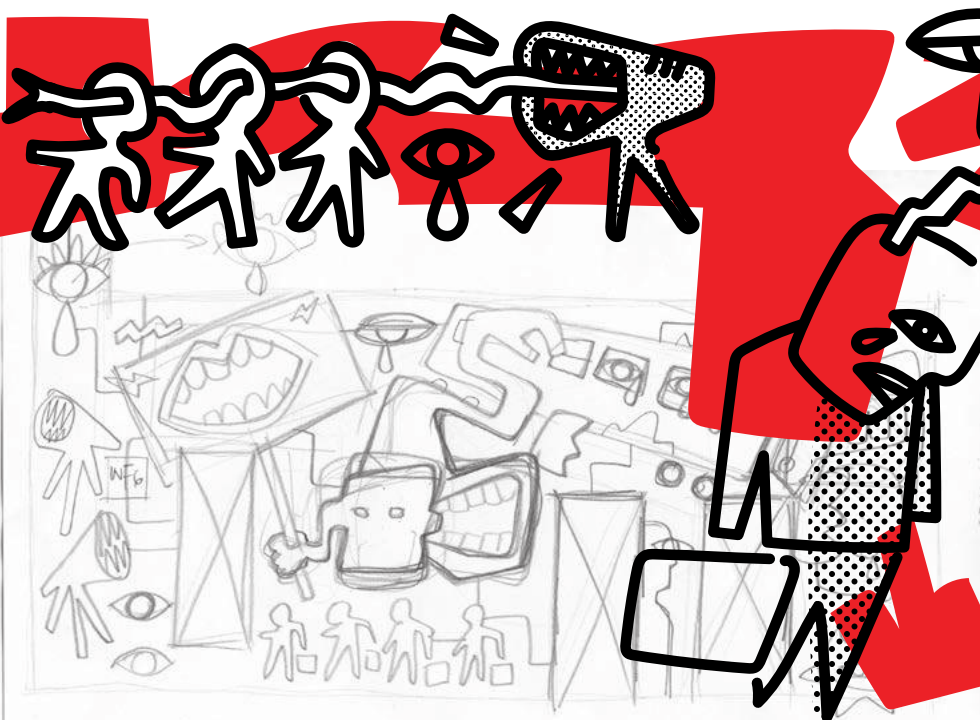
Na realizację tego projektu Miasto st. Warszawa udostępniło ściany przy stacji metra „Centrum”.

Fragmenty muralu oraz szkice Andrzeja Wieteski publikujemy także na okładce oraz stronach 20-21.

z komunistami „narodowymi” nabrzmiewał pod koniec lat 40., by z wielką siłą powrócić w kolejnej dekadzie, w konflikcie „natolińczyków” z „puławianami” („chamów” i „Żydów” według znanej typologii Witolda Jedlickiego), i jeszcze później, w epoce generała Moczara. Nabrzmiewał – co powinno być lekcją dla lewicy – wbrew programowym deklaracjom o budowie społeczeństwa nie tylko bezklasowego, lecz także niwelującego różnice etniczne. Peerelewski komunizm, a potem realny socjalizm nigdy ich nie wyrugowały, przeciwnie – dowiodły, że nie da się stworzyć w Polsce ustroju o charakterze ludowym, nie sięgając po rekwizytorium narodowe i nie flirtując z nacjonalizmem. Tyle że nawet jeśli prawdą jest, iż u źródeł Marca leży spory wśród elity władzy, Marzec – jak się to często powtarza – padł na podatny grunt, został przyjęty i zaadaptowany, pozwolił wypędzić z Polski nie tylko kilku ubeków, lecz także kilka tysięcy ostatnich polskich Żydów.

Polska rozrzedzona

Rzucająca się w oczy, niekiedy kwestionowana, „żydowskość” Marca – antysemickich szykan, wyjazdów do Szwecji czy Izraela – nierzadko sprowadza się do historii kilkunastu egzemplarycznych postaci, swoistych marcowych celebrytów. Tymczasem grupa pisarzy, artystów, uczonych i mniej chętnie eksponowanych w marcowej martyrologii utrwalaczy władzy ludowej (których lubi z kolei uwypuklać antykomunistyczna prawica), aczkolwiek imponująca, nie wyczerpuje zbioru emigrantów i zniekształca profil społeczny tamtej grupy. Wbrew warszawocentrycznemu wizerunkowi Marca, z Polski wyjechali wówczas nie tylko znani Polacy pochodzenia żydowskiego współtworzący polską kulturę i życie intelektualne. Marzec oznaczał koniec „żydowskiej ulicy” w takim kształcie, w jakim trwała przez →





Kielce, marzec 1968 r.

WŁODZIMIERZ WAWRZYNIEWICZ / PAP

Marcowe gadanie

„ELEMENTY prowokacyjne i wichrzycielskie”, „organizatorzy burd i awantur”, „agenci międzynarodowego syjonizmu i NRF”, „prowodyrzy i inspiratorzy”, „mąciocielce porządku publicznego”, „chłoptysie i dziewczątka z tatusiowych limuzyn” – katalog słów, którymi określano uczestników Marca '68, jest spory, a jednym z podstawowych wątków tekstów, w których się pojawiały, było żydowskie pochodzenie części protestujących.

POCZĄSZY OD 11 MARCA i artykułu w wydawanym przez Stowarzyszenie PAX dzienniku „Słowo Powszechne”, w następnych tygodniach – jak podsumowywał Łukasz Kamiński – „z lubością eksponowano kilkanaście obco brzmiących nazwisk studenckich liderów. Podkreślano, iż rodzicami części z nich były osoby z partyjnego establishmentu.

W myśl ówczesnej propagandy celem »ekscesów« miało być przywrócenie do władzy skompromitowanych »bankrutów politycznych«, czyli osób sprawujących eksponowane funkcje w okresie stalinowskim. Komunistów pochodzenia żydowskiego starano się obciążyć odpowiedzialnością za popełnione przed 1956 r. zbrodnie. Niekiedy wprost oskarżano »syjonistów« o »zdradę interesów narodu polskiego«. Pomniejsze wątki dotyczyły także odpowiedzialności osób pochodzenia

żydowskiego za afery gospodarcze czy niekorzystne (z punktu widzenia PZPR) zjawiska w kulturze”.

WZDRAGAMY SIĘ przed obszerniejszym cytowaniem tamtych artykułów, tym bardziej że ich echa po nowelizacji ustawy o IPN znaleźć można w bieżącej publicystyce. W każdym razie, jak podsumowywał w swojej monografii Marca Jerzy Eisler, „teksty takich marcowych autorów, jak np. Maria Osiadacz, Alina Reutt, Anna Wyszacka, Zdzisław Andruszkiewicz, Witold Filier, Henryk Gaworski, Ryszard Gontarz, Klaudiusz Hrabek, Kazimierz Kąkol, Ignacy Krasicki, Tadeusz Kur, Wiesław Mysłek, Jan Ruszczyk, Tadeusz Walichnowski, Janusz Wilhelmi, nie ustępowały publicystyce stalinowskiej, a może i narodowosocjalistycznej”.

„**KUR WIE LEPIEJ**” – próbował wówczas polemiki z jednym z symboli tamtej publicystyki Dariusz Fikus na łamach tygodnika „Polityka”, jego felieton pod tym tytułem zdjęła jednak cenzura. Marcowy język nienawiści uczynił przedmiotem swoich analiz Michał Głowiński, Dariusz Stola wydał monografię „Kampania antysyjonistyczna”, a Piotr Osęka opublikował *in extenso* kilkadziesiąt najbardziej charakterystycznych tekstów. Jeśli kto zainteresowany, może sięgnąć do którejś z tych publikacji, uprzedzamy jednak: w opublikowanej niedawno przez Osękę na Facebooku antologii cytatów niewiele sposób odróżnić tych z 1968 i tych z 2018 r. © TP

→ dwie powojenne dekady w miastach i miasteczkach na Dolnym Śląsku, w żydowskich klubach Częstochowy i Szczecina, w szkole imienia Pereca w Łodzi, w wydawnictwie Jidysz Buch w Warszawie... Koniec Polski języka jidysz, słyszanego i widzianego przed Marcem w przestrzeni publicznej: w księgarniach, podczas akademii, uroczystości państwowych, pierwszomajowych pochodów, na szyldach warsztatów, żydowskich spółdzielni rzemieślniczych, domów modlitwy...

Było to więc dokończenie procesu erozji resztek żydowskiego życia, która rozpoczęła się zaraz po wojnie, gdy większość uratowanych z Zagłady polskich Żydów, przeważnie ocalonych w ZSRR i repatriowanych do Polski po wojnie, wybrała emigrację. Żydzi wyjeżdżali z Polski falami. Zaraz po pogromie kieleckim i serii napadów w pociągach, gdy okazało się, jak tanie jest życie żydowskiego ocalańca. Chwilę potem po powstaniu Izraela, gdy mieli dokąd jechać. W pierwszych latach popaździernikowej odwilży, kiedy wraz z kresem stalinizmu na wierzch wypłynął stary polityczny antysemityzm. I wreszcie w Marcu, który, jak miało się okazać, był ostatnim akordem wyjazdów. Za ich sprawą żydowska rzeczywistość, która Marzec przetrwała, a nawet złapała kolejny oddech wraz ze zmianą ustroju w 1989 r., jest tylko śladem śladu, odległą reminiscencją tego, co było przed Marcem, nie wspominając o świecie przed Zagładą.

Patrząc na to z drugiej strony: Marzec był ostatnim etapem procesu tworzenia Polski „oczyszczonej” z Żydów – wyśniewanej idei endecków i ich zwolenników z czasów jeszcze przedwojennych. Idei numerus nullus, bojkotu gospodarczego, oskarżeń o infiltrację i psucie polskiej kultury, propagowanie liberalnych miazmatów ze „zgniłego Zachodu” czy udział w bolszewickim spisku. Idei pozbycia się Żydów zewsząd, uczynienia z Polski monoetnicznego państwa, złożonego z jednego narodu, jednej religii i jednego światopoglądu. Do Polski lat 60., w której – jak gorzko pisał w „Dziennikach” Stefan Kisielewski – dominowała „nacionalistyczna endeckość jako psychika kraju rządzonego przez komunistów”, Marzec ze swoim archaicznym antysemityzmem, antynowoczesnością, zaściankowalnością i kolektywizmem pasował jak ulał.

Nie jeden wcześniej go wypatrywał, także wśród komunistów, tych – by posłużyć się marcowymi konotacjami – „pol-

skich” (czytaj: „aryjskich”). Pewnie dlatego żydowski Marzec, niechby zrodzony w „kierowniczych gremiach”, które postanowiły pozbyć się ostatnich „towarzyszy pochodzenia żydowskiego”, tak łatwo został rozpoznany w szerokich masach społeczeństwa. Ani po wojnie, ani po wydarzeniach Października '56 nie doczekało się ono ostatecznej fazy „rozrzedzenia”. Ale Marzec dojrzywał, aż dojrzał. Stąd ponury rehot aktywu podczas partyjnych wieców, radość delegatów po każdym knajackim docwipie Władysława Gomułki, stąd „przedstawiciele klasy robotniczej” dobrowolnie gromadzący się, by potępić „syjonistycznych agresorów”, „wichrzycieli” i „wrogów socjalistycznej ojczyzny”. Stąd energia „gołędziaków”, pałujących studentów na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego, i nadgorliwość szeregowych ubeków, kierowników, pułkowników i sekretarzy, którzy tropili „syjonistów” na każdym uniwersyteckim wydziale, w każdym zakładzie pracy, szpitalu, dywizji wojska, plutonie Milicji Obywatelskiej, słowem wszędzie, gdzie dało się jeszcze jakichś znaleźć.

Marzec dotyczył nie tylko dzieci garstki żydowskich komunistów ze stalinowską kartą w życiorysie czy zasymilowanych wielkomiejskich inteligentów, ale po prostu wszystkich Żydów, których nie zdołali wymordować hitlerowcy albo którzy nie zdecydowali się wcześniej na emigrację i którym przez wszystkie lata w Polsce towarzyszył strach. Dziś złowrogi cień Marca pada wszędzie tam, gdzie w monoetnicznej Polsce mówi się z pogardą i nienawiścią o obcych, wśród nich Żydach, którzy są jakoby największym zagrożeniem dla narodowej tożsamości. To również dziedzictwo tamtych dni.

Jedna religia, jeden naród

Historycy i publicyści zasadnie wskazują na podobieństwa studenckiego Marca i rewolty studenckiej we Francji, Włoszech czy RFN. Słowem: na kontrkulturowy wymiar Marca. Wiele w tym prawdy. I tu, i tam do głosu doszło przeciwieństwo pokolenia ludzi urodzonych tuż po wojnie, teraz dwudziestoletnich i gwałtownie buntujących się przeciwko rzeczywistości społecznej i politycznej, którą postrzegano jako opresywną i zakłamaną. I tu, i tam strajkowano, debatowano, pisano odezwy, bito się z policją, proponowano nowy ustrój społeczny. Oczywiście skala represji była nieporównywalna, na Zachodzie rewolta nie

Żydowskie oblicze

Marca długo **było niewygodną prawdą.**

Łatwiej było mówić o wydarzeniach dotyczących bezpośrednio losów narodu polskiego, a nie garstki Żydów.

zakończyła się kilkuletnimi wyrokami dla „prowodyrów” i „wichrzycieli”, jak działo się to w Polsce czy Czechosłowacji. W Paryżu czy Londynie nie występowano przeciwko potężnemu obcemu imperium – już raczej, w antykolonialnym geście, likwidowano imperium własne. Już choćby to odróżnia wiosenny „paryski maj” od ponurego, pogrążonego w zimie „warszawskiego marca”.

Ale jest też różnica procesów demograficznych. Kiedy w drugiej połowie lat 60. zrewoltowane Rzym, Paryż czy Londyn przestawały być wskutek przyjazdu imigrantów z dawnych kolonii miastami jednolitymi etnicznie, Rzeczpospolita, pozbawiona kresów i Żydów, ostatecznie przestawała być krajem wielokulturowym.



WŁODZIMIERZ WASYLUK / EN

PIOTR PAŹŃSKI

(ur. 1973)
jest pisarzem
i dziennikarzem,
redaktorem
naczelnym

miesięcznika „Midrasz”. Za debiutancką powieść „Pensjonat” nominowany do Nagrody Literackiej Nike, wydał także „Ptasie ulice” oraz „Rzeczywistość poprzecieraną” (nominacja do Nagrody Literackiej Gdynia w kategorii esej) i dwie książki o „Uliksesie” Jamesa Joyce’a. Powyższy artykuł pochodzi z katalogu „Obcy w domu. Wokół Marca '68” („Estranged. March '68 and Its Aftermath”) pod red. Justyny Koszarskiej-Szulc i Natalii Romik, który ukaże się nakładem Muzeum POLIN i towarzyszyć będzie wystawie pod tym samym tytułem.

Marzec przypadał na środek niesłychanie ważnej dekady 1965–1975, kiedy wyraźna i kształtowała się nowa Polska: jednonarodowa i homogeniczna „Polska Kowalskiego”, w której wszyscy są tacy sami. Wyjazdy Mazurów, Niemców, Ślązaków, Słowińców, postępująca asymilacja Ukraińców i Łemków przesiedlonych dwadzieścia kilka lat wcześniej na Ziemię Odzyskane – to wszystko wydarzenia poprzedzające ostatnią emigrację Żydów albo następujące niedługo potem. Z początkiem lat 70. szansa napotkania „innego”, człowieka odmiennej wiary, języka, obyczajów, współobywatela należącego do innej wspólnoty losu – skurczyła się radykalnie. Wielonarodową Rzeczpospolitą – zazwyczaj polukrowany wizerunek harmonijnego współistnienia religii i narodów pod wspólnym godłem – nowe pokolenie Polaków miało poznać już tylko z książek.

Zalety takiego stanu rzeczy: państwa jednego narodu i jednej religii, położonego w granicach piastowskich, uważanych za naturalne i „nowoczesne”, sławili, niezależnie od siebie, pierwszy sekretarz PZPR Edward Gierek i prymas kardynał Stefan Wyszyński. Ta zaskakująca jedność, gdy chodzi o przekonanie, że w homogeniczności siła, to także dziedzictwo Marca, towarzyszące polskiej polityce i życiu społecznemu do dziś, a nawet przybierające na sile, w miarę jak wizja „Rzeczypospolitej wielu narodów” odchodzi do lamusa, a jej miejsce coraz częściej zajmuje zamknięte państwo narodowe.

Żydowskie oblicze Marca długo było niewygodną prawdą. Łatwiej było mówić o studenckiej rewolcie, o walce koterii na szczytach władzy, o politycznym przesileniu – wydarzeniach dotyczących bezpośrednio losów narodu polskiego, a nie garstki Żydów. Teza o wojnie „partyzantów” z „rewizjonistami” pozwalała raz jeszcze zachować uczciwemu społeczeństwu polityczne i moralne dziewictwo. Ale Marzec przetrwał. Nie tylko w pamięci wygnanców oraz ich krewnych i przyjaciół, którzy zostali. Nie tylko w świadomości ostatnich polskich Żydów. Przetrwał wśród spadkobierców Marca, o czym poucza lektura niektórych gazet i tysięcy postów internetowych. Uważają oni, że 50 lat temu nie nastąpił koniec. „Szmalcownikowe typasy”, jak określił ich kiedyś Michał Głowiński, chętnie „rozrzedziliby” Polskę jeszcze raz, do ostatniego Żyda, a potem znaleźli sobie nową ofiarę. Kolejnego obcego. © PIOTR PAŹŃSKI

Bardzo smutna rocznica

ALEKSANDER SMOLAR:

**Marzec to jedyny moment,
o którym można powiedzieć: „to nie my, to oni”.
To nie my wyrzucaliśmy Żydów, to komuniści.**

MICHAŁ OKOŃSKI: Dlaczego nie chce Pan o tym rozmawiać?

ALEKSANDER SMOLAR: Bo mam ambiwalentny stosunek do tematu. Także ze względu na kontekst bieżący: awantury o nowelizację ustawy o IPN i język, jakim się o niej mówi.

A ta ambiwalencja na czym polega?

Nie rozumiem roli, jaką Marzec '68 odgrywa w polskiej pamięci i świadomości – w każdym razie tej inteligenckiej. Po pierwsze, było wiele innych ważnych wydarzeń, które nie zostały tak zapamiętane albo w dzisiejszej świadomości nie domagają się uczczenia – np. rok 1956, który był niezwykle istotną cezurą w dziejach systemu sowieckiego i stwarzał w społeczeństwie poważne nadzieje na zmiany. Dziś w samej Warszawie organizuje się o Marcu wystawy, konferencje i debaty, ukazują się książki, są spektakle teatralne, z których jeden reżyseruje zresztą moja córka. Ale poczucie dwuznaczności w obchodzeniu tej rocznicy towarzyszy mi od początku... Ile to już, pół wieku minęło?

Nie da się ukryć.

W ciągu tego półwiecza Marzec był bardzo różnie pamiętany. Świetny lewicowo-liberalny kwartalnik drugiego obiegu „Krytyka” zorganizował ankietę na 10-lecie. Kiedy dostałem numer, byłem zaskoczony, bo temat żydowski prawie w ogóle się w nim nie pojawił (*nota bene* również w mojej odpowiedzi). Mówiliśmy wszyscy o totalitaryzmie, niszczeniu nauki i kultury, o losie studentów. O problemie antysemityzmu wspominał Jacek Kuroń i może ktoś jeszcze. Uważano problem za drugorzędny? A może ludzie opozycji obawiali się przyklejenia żydowskiej łaty do Marca, a więc i do tradycji, z której wyraścili?

10 lat temu było już inaczej. Prezydent Lech Kaczyński wygłosił dwa przemówienia, jedno na Dworcu Gdańskim, skąd od-

jeżdżały pociągi z żydowskimi emigrantami, a drugie na Uniwersytecie Warszawskim. Problem ówczesnego antysemityzmu i wyjazdów zaczął dominować w pamięci o Marcu. Ciekaw jestem, jak będzie teraz, ale myślę, że ze względu na to, co władze zafundowały Polsce ustawą o IPN, będą podkreślały swoją poprawność w kwestii żydowskiej.

Tylko że to wciąż nie tłumaczy wagi tej rocznicy. Kogo obchodzą ówczesne walki frakcyjne w łonie PZPR? Czy ruch studencki może dziś ekscytować? Los Żydów w Polsce po 1945 r. – nie mówiąc o wojnie – też miał bardziej tragiczne rozdziały: pogromy, mordy indywidualne i grupowe, masowe wyjazdy. Nawet po 1956 r. wyjechało znacznie więcej Żydów w atmosferze silnie odczuwanego antysemityzmu.

Dlaczego więc?

Moja dość nieprzyjemna hipoteza mówi, że to jedyny moment, o którym można powiedzieć: „to nie my, to oni”. To nie my wyrzucaliśmy Żydów, to komuniści.

W czerwcu '56 i grudniu '70 to też byli komuniści.

Ale wtedy mieliśmy do czynienia z protestem robotników, z etapami wyzwalań się narodu. Nie ma moralnych problemów, jest najwyżej pogłębiające się zapomnienie.

Jest więc w tym obchodzeniu rocznicy coś dwuznacznego. Zresztą w nieco groteskowej wersji potwierdził to ostatnio w Monachium premier Morawiecki, gdy mówił, że za pogrom kielecki i Marzec Polska nie może czuć się odpowiedzialna, bo jej wtedy nie było. Coś podobnego pojawia się w przygotowanej przez Jana Żaryna propozycji uchwały Senatu.

Inny problem wiąże się z tym, że bardzo szybko nabrałem wątpliwości co do naszej – środowiska „komandosów” i grupy wspierających ich starszych kolegów,

z Jackiem Kuroniem i Karolem Modzelewskim na czele – decyzji o uruchomieniu całego protestu. Nie wchodzę w to, czy mieliśmy do czynienia z prowokacją – choć warto podkreślić, że władza była przygotowana do uderzenia i gdyby nie chciała dopuścić do umasowienia protestu, mogła to zrobić.

Daliście się wykorzystać?

Na pewno. Chociaż o sensie i znaczeniu ważnych wydarzeń nie decydują elementy prowokacji, które mogły być u początków. W każdym razie świadomość tej dwuznaczności powoduje, że nigdy nie uczestniczyłem i nie będę uczestniczył w obchodach Marca.

Dla mnie wyjaśnienie różnicy między Marcem a Czerwcem czy Grudniem jest prostsze. Tu w centrum wydarzeń są elity. Ludzie, którzy potrafili potem o swoim doświadczeniu opowiedzieć, ba: zamienić w mit. I ludzie, dla których była to inicjacja w działalność polityczną – tworzący później KOR, będący ikonami Solidarności i architektami przełomu 1989 r.

Na pewno elity mają większą szansę wpisania się w historię. Jak to ujął wielki polityk i wybitny pisarz: „historia będzie dla mnie łaskawa, bo sam ją spiszę”.

Ale środowiska marcowe zaczynają tworzyć wielki mit dopiero wraz z KOR-em. To mit liberalny, ale też mit wspólnoty walczącej o wolność i sprawiedliwość. Rzeczywiście, jego początki można odnaleźć w Marcu, w języku środowiska skupionego wokół Jacka i Karola, jednak historia antypolitycznej polityki zbudowanej na tych ideach zaczyna się w 1976 r.

Jan Lityński powiada, że wybór Marca był wyborem na całe życie.

Marzec odisnął się na życiu wielu ludzi – również na moim – ale do jakiego stopnia był wyborem? Częściowo był to prze-

cież wybór wrogów, którzy skazali nas na marginalizację.

Z pewnością z ludzi aktywnych w protestie wyłoniła się grupa, która odegrała istotną rolę przywódczą w następnych dekadach. Do tego pokolenia należy nie tylko Adam Michnik, ale także Bogdan Borusewicz i Aleksander Hall, Jarosław Kaczyński i Antoni Macierewicz. To pokolenie przede wszystkim inteligentkie, przeważnie lewicowe. Czasem – jak w przypadku Macierewicza – radykalnie lewicowe, chociaż później modyfikuje swoją biografię. Dla wielu Marzec jest momentem ostatecznego zerwania z PRL i mitologią marksistowską. Jest to też pokolenie traumy więzienia i potężnych trudności o charakterze życiowym.

Niedawno przeczytałem w „Polityce” artykuł, którego autor, profesor Akademii Teatralnej, wywodził, że w kulturze mamy właśnie czas przejścia od pokolenia marcowego do pokolenia stanu wojennego. A pokolenie marcowe – sprowadzone do środowiska Adama Michnika – głównym tematem swojego doświadczenia miało uczynić antysemityzm. Otóż nie wydaje mi się. Poza przytoczonym przykładem ankiety „Krytyki” warto przypomnieć reakcję „Gazety Wyborczej” – instytucjonalnie na pewno najsilniej, poprzez biografie twórców, związanej z Marcem – na „Sąsiadów” Jana Tomasza Grossa. Zaczęła o nich pisać pół roku po „Rzeczpospolitej”.

Ja bym powiedział, że przejmujemy się Marcem, bo przejmujemy się wszystkim, co dotyczy Polaków i Żydów.

Powtarzam pytanie: dlaczego tak dużo mówimy o Marcu, a tak mało np. o pogromie kieleckim? I odpowiedź: bo to zrobili komuniści, a nie my.

Czyli jednak się przejmujemy.

Tylko że w ten sposób zmniejsza się ciężar poczucia odpowiedzialności – tak jak próbowano to robić przy okazji Jedwabnego, mówiąc: „to nie my, to Niemcy”.

Pawła Lisickiego myśl „to nie my, to komuniści” prowadzi dalej. On powiada, że nie ma się czym przejmować, bo Marzec to było starcie dwóch komunistycznych frakcji.

Nie dość, że zrobili to „oni”, to jeszcze oni między sobą. W świetle jego diagnozy obecnej sytuacji w stosunkach z Izraelem

i, szerzej, Żydami zroszowały się staję rysunek satyryczny, zamieszczony w redagowanym przezeń tygodniku: poza napisem „#Polish Holocaust” przedstawia kłęzącego mężczyznę z białą-czerwoną opaską na ramieniu i dwie postaci w mundurach celujące z pistoletów w jego głowę; jedna ma na piersiach swastykę, a druga czerwoną sześcioramienną gwiazdę Dawida. Swastyka jest banalna, ale czerwona gwiazda Dawida – jakże wyrafinowana aluzja do Izraela i żydokomuny! Oto oblicze nowej polskiej wojny z Żydami: Żydzi są tak samo źli jak naziści.

Antoni Macierewicz powiada z kolei, że Marzec to nie tylko komandosi. Że pamięta z protestów na Uniwersytecie ludzi o korzeniach robotniczych i chłopskich. Ot, jeszcze jeden antykomunistyczny zryw narodu, który chce wyzwolić się z kajdan.

To może być częściowo prawda. Sam wprawdzie pamiętam tylko dwa wiece – na UW i dzień później na Politechnice. Kiedy wracałem z tego drugiego, wpadłem w kocioł w mieszkaniu Adama Michnika – gospodarza już wyprowadzono, ale ekipa ubecka czekała na kolejnych gości.

Moja znajomość dalszych wydarzeń jest więc siłą rzeczy ograniczona, ale już na Politechnice widziałem spontaniczny ruch, w którym komandosi nie odgrywali wielkiej roli. Nie był to oczywiście ruch ogólnonarodowy. Dominowali studenci i dominowały hasła lewicowe, skandowano np. „Cała Polska czeka na swego Dubczeka”, nawiązując do Praskiej Wiosny. Im bardziej protest obejmował inne miasta, tym bardziej tracił więź z pierwotnym ośrodkiem inicjatywy. Zapewne różnicowały się hasła i postulaty.

Ale i w naszym środowisku byli ludzie o nieco innej wrażliwości, np. raczej konserwatywnie myślący Marcin Król czy Jakub Karpiński.

Komandosi odgrywali ważną rolę przy protestach przeciwko zdjęciu „Dziadów”, gdzie jeden z patronów środowiska, Karol Modzelewski, wymyślił hasło „Niepodległość bez cenzury”; ale nie powinni w tej opowieści dominować. Z drugiej strony ich rola wybija się nawet poza horyzont krajowy – mnie się wydaje, że wiele hasel, które pojawiały się podczas młodzieżowych wystąpień w Europie, słyszałem po raz pierwszy w Warszawie: protesty przeciwko prześladowaniu i cenzurze, w obronie wolności, prawa i konstytucji, praw

człowieka. Mówienie o starciu frakcji komunistycznych jest w tym sensie bzdurą, choć oczywiście w tym samym czasie rozgrywały się konflikty w ramach PZPR.

Czego zatem chcieli w Marcu Pańskie środowisko?

Nie mogę odpowiadać za innych. Byłem wówczas związany z gronem młodych asystentów (moim szefem naukowym na ekonomii był wyrzucony po Marcu z Uniwersytetu Włodzimierz Brus), z Winicjuszem Narojkiem, Jadwigą Staniszkis, Jakubem Karpińskim, Marcinem Królem, Waldemarem Kuczyńskim, Andrzejem Mencwalem i jedynym studentem w tym gronie, Janem Grossem. Odróżniał nas większy niż w przypadku komandosów umiar, ale też status społeczny – poza Jankiem było już grono młodych naukowców. Nasze zaangażowanie w Marzec miało charakter protestu – bezpośrednio przeciwko zdjęciu „Dziadów” i relegowaniu z uczelni Adama Michnika i Henryka Szlajfera. W tle protest miał szerszy, demokratyczny charakter. Ale pozytywnego scenariusza nie było.

Liczenie na osiągnięcie jakichś dalekosiężnych celów byłoby wówczas naiwnością. Nawet jeśli to nie Moskwa żądała zdjęcia „Dziadów” – co mało prawdopodobne – i tak przywrócenie spektaklu zostałoby uznane za dowód słabości władzy i posunięcie antysowieckie. Oklaski w teatrze po każdej frazie dotyczącej Moskwy były bardzo wymowne.

Zygmunt Bauman już w 1968 r. pisał w „Kulturze” o rewolucyjnej sytuacji w kraju, tworzonej przez milczącą, ale mającą dość powodów do niezadowolenia klasę robotniczą, natadowaną dynamitem młodzież, rozgorzcone środowiska intelektualne, sfrustrowaną nową klasę średnią i niepewną wszystkich i wszystkiego górę partijną.

Moim zdaniem przesadzał. To był ruch protestu, a nie nadziei. Ówczesna atmosfera kojarzy mi się raczej z procesami gnijnymi, zarówno w życiu codziennym, jak w polityce. Coraz więcej ograniczeń, coraz mniejszy margines swobód.

Czytając o Was po latach ma się wrażenie raczej, że zyliscie na wyspie wolności.

Co nie zmienia faktu, że wokół było peerelowskie bagno.

→



Mieczysław Moczar i Władysław Gomułka, lata 60. XX w.

ARTUR STAREWICZ / EAST NEWS

Partyzanci

W MARCU 1968 R. na czele PZPR – czyli *de facto* na czele państwa – od 12 lat stał Władysław Gomułka, ale za jego plecami toczyła się walka o wpływy i sukcesję. Po jednej stronie, w grupie skupionej wokół I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego w Katowicach Edwarda Gierka skupiało się grono pragmatycznych młodych działaczy szczebla terenowego i centralnego. Po drugiej, wokół ministra spraw wewnętrznych gen. Mieczysława Moczara, gromadziła się grupa działaczy, z których wielu miało za sobą wojenną przeszłość w szeregach komunistycznej partyzantki. Cechowały ich nacjonalistyczne poglądy: żywili niechęć do Niemców, w sposób bardziej zakamuflowany do Rosjan (sam Moczar nie ukrywał związków z KGB), a szczególnie do Żydów, którym przypisywali decydującą rolę w represjach okresu stalinowskiego. Legendę partyzantów wzmacniała dołączona do kanonu lektur szkolnych książka Moczara „Barwy

walki” i nakręcony według niej film, ale na zapleczu grupy znajdowała się również grupa karierowiczów; jak nazwał ich Stefan Kisielewski – „podchowana tymczasem falanga aryjskich arywistów”. **PRZEZ LATA** to właśnie partyzantom przypisywano sprowokowanie marcowej rewolty studenckiej i wykorzystanie jej do wzmocnienia własnej pozycji – celem mogło być nawet zastąpienie Gomułki przez Moczara. Część historyków skłania się jednak do hipotezy, że Gomułka świadomie wykorzystał partyzantów w celu zdobycia szerszego poparcia społecznego dzięki sięgnięciu po język narodowy. Już po wybuchu wojny sześciodniowej to Gomułka wiódł prym w antysemickich wystąpieniach (mówił m.in. o syjonistycznej V kolumnie), to także on nadawał ton w trakcie wydarzeń marcowych – zwłaszcza w kulminacyjnym, ponadwugodzinny przemówieniu z 19 marca, transmitowanym przez telewizję i radio podczas spotkania z warszawskim aktywem partyjnym. Gdy mówił o żydowskim pochodzeniu „inspiratorów” zajść na UW, sala skandowała „Śmielej!”, a przy zdaniu o prawdopodobnym opuszczeniu Polski przez „syjonistów” wołano: „Prędejj!”.

PARTYZANTOM, choć ugruntowali swoją pozycję w partii (podczas rasowych czystek wyrzucono z niej ponad 8 tys. osób), nie udało się przejąć władzy. Gomułka stracił ją po Grudniu 1970 r. na rzecz Edwarda Gierka. ©©

Obok: partyzancki humor rysunkowy – typowe także dla tamtego czasu zrównanie figur hitlerowca i Żyda.

⇒ Uniwersytet Warszawski był faktycznie wyspą względnej wolności. Do wyrzucenia mnie w 1966 r. byłem członkiem partii, i mając świadomość, że to jest system dyktatorski, równocześnie wierzyłem w coś, co pod koniec lat 50. i w latach 60. wydawało mi się wręcz dominującą ideologią – w system konwergencji. Pierwszy noblista z ekonomii, Holender Jan Tinbergen sformułował taką teorię, że socjalizm będzie się liberalizował, gospodarka urynkaowała, a kapitalizm socjalizował. Myśmy o tym dyskutowali w organizacji partyjnej, a kiedy mówiliśmy o totalitaryzmie, nie wyłączaaliśmy z rozważań ZSRR. Kiedy zaś Karol Modzelewski przyszedł do komitetu uczelnianego ZMS, gdzie byłem drugim sekretarzem, i zaproponował utworzenie klubu politycznego, to – choć jego intencje opozycyjne były oczywiste – klub powstał i przez jakiś czas odbywały się publiczne spotkania, na których mówiło się rzeczy straszne z punktu widzenia władzy. Było też bogate życie intelektualno-towarzyskie. Śrubę jednak przykręcano coraz mocniej.

A los żydowski? Czytając wiele relacji marcowych można odnieść wrażenie, że na członków środowiska spadł trochę jak grom.

Tutaj ze mną też było trochę inaczej. Moja matka była wprowadzie Żydówką zasymilowaną od dwóch pokoleń, w rodzinie był nawet jakiś dworek i własności ziemskie, ale ojciec pochodził z rodziny o niższym zdecydowanie statusie, wychowano go w jidysz, a w PRL był „zawodowym Żydem”: redagował dziennik partyjny „Folks Sztyme”, kierował Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym Żydów w Polsce. Temat żydowski wyniosłem z domu.

To nie jest oczywiste w relacji z rodzicami.

Nie miałem z nimi łatwo. Ale atmosfera, w jakiej wzrastałem poza domem – rozmytych, bo na szczęście nie brutalnych form polskiego antysemityzmu – nie pozwalała się zdystansować. Pamiętam np., że w szkole co roku wychowawczyni wypełniała dokumenty na temat uczniów, poświęcając na to całą lekcję, i wśród różnych pytań były także te dotyczące obywatelstwa i narodowości. Odpowiadałem zgodnie z własnymi przekonaniem, ale, jak się okazywało, niezgodnie z przekonaniem innych: obywatelstwo polskie, na-



rodowość polska. Śmiech powtarzał się co roku. Czekałem na to z napięciem i z uczuciem zbliżającego się upokorzenia. Sporo czasu zajęło mi uświadomienie sobie, że żydowski los to coś, czego się nie da porzucić. Ani to nie jest uczciwe, ani też inni na to nie pozwolą. Polakiem może zostać Niemiec, Rosjanin, Ukraińiec, ale nie Żyd – to zdanie wypowiedziane w nieco innej formie przez Jacka Kuronia. Nie wiem, skąd się bierze ta polska specyfika, to musi mieć chyba jakiś związek z religią. Za udawanie, że jest inaczej, płaci się wysoką cenę. Widać to nawet u wybitnych pisarzy, którzy swoje pochodzenie skrzętnie ukrywali.

Odpowiadał Pan potem: obywatelstwo polskie, narodowość żydowska?

Nikt mi takiego pytania od dawna nie zadaje. Jestem, kim jestem. A o tym, kim jestem, świadczy to, co mówię i robię przez całe życie. Lata emigracji, oddalenia od Polski pozwoliły mi na pewną normalizację stosunku do siebie samego.

Te formuły językowe zresztą zawsze mnie męczyły: Polak narodowości żydowskiej, Polak pochodzenia żydowskiego... Jest z tym jakiś kłopot. Z drugiej strony miałem zawsze świadomość, że Polska jest moim wyborem, nie losem. To też mnie odróżnia: możliwość wyjazdu zawsze była na horyzoncie. Już jako uczeń, gdy dostałem paszport i wyjechałem do Francji, krewni proponowali, żebym został.

Spróbujmy to sobie przypomnieć: zaczyna się wojna sześciodniowa, Gomułka wygłasza antyżydowskie przemówienie o „piątej kolumnie”... Odczuwa Pan zmianę atmosfery?

Ja wzrost nastrojów antysemitycznych wyzuwałem, zanim jeszcze stało się to linią oficjalną. To przyczyniło się też do mojej radykalizacji. Niezależnie od tego, jak byłem kulturowo ukształtowany, że się w pełni utożsamiałem z Polską, to – mówiąc językiem Znanieckiego – występował problem jaźni odzwierciedlonej. Byłem postrzegany jako Żyd, więc byłem Żydem.

Kiedy w grudniu 1966 r. wyrzucano mnie z PZPR, po wystąpieniu na zebraniu uniwersyteckiej organizacji w obrobie wyrzuconych już Leszka Kołakowskiego i Krzysztofa Pomiana – wystąpieniu zresztą dość historycznym, bo mówiłem z wysoką gorączką i dopiero koło północy – narastający antysemityzm w PZPR był jednym z tematów, które poruszyłem.

Ale pamiętam też rozmowę z Michnikiem i Grossem, którzy się ze mną śmiali – oni nie mieli świadomości, co się szykuje, i tematu żydowskiego nie traktowali ani poważnie, ani osobiście. W tym sensie dla nich Marzec był szokiem, dla mnie nie.

Czyli można powiedzieć, że przygotował Pana dom?

Tak, w podwójnym sensie. Po pierwsze – dzięki pozycji ojca jako redaktora gazety partyjnej miałem dostęp do „Biuletynu specjalnego”, przedruku artykułów z prasy zachodniej. Wiedziałem też dzięki niemu o narastającym oficjalnym antysemityzmie. Po drugie – rodzice mieli staż więzienny w II Rzeczypospolitej. Choć czasy były inne, więzienie inne, to wiedza, jak się zachowywać w celi, była pożyteczna od pierwszego dnia na Rakowieckiej.

Mama została w Polsce i była członkiem PZPR aż do 13 grudnia 1981 r.

Była historykiem i w ostrych czasami rozmowach mówiła, że żyje w Polsce przeszłości: wypisała się z polityki. Ojciec wyemigrował do Izraela miesiąc przed moim wyjazdem.

Nie próbowali Pana powstrzymać przed angażowaniem się w politykę kompletnie wbrew ich zapatrywaniom?

Nigdy! Ojciec za naiwne uważał to, co mówiłem, ale był też gdzieś tam dumny, że wykazuje charakter i jestem gotów zapłacić wysoką cenę. Należał zresztą do bardzo dziwnej psychologicznie i intelektualnie formacji: był komunistą, ale bał się Związku Sowieckiego znacznie bardziej niż ja. Jego różni przyjaciele siedzieli albo stracili życie w ZSRR. Idee, które wyznawał, miały być aplikowane w krajach rozwiniętych, a nie w zacofanej Rosji, ale kraj ten miał być niezbędnym elementem procesu historycznego, postępu. Ojciec bał się do tego stopnia, że kiedy ja i mój brat znaleźliśmy się w więzieniu, nie był pewien, czy wyjdziemy.

Komandosi nie liczyli się z tym, że mogą zostać wsadzeni?

Ze spotkania decydującego o rozpoczęciu protestów pamiętam twarz Karola. Milczał i miałem wrażenie, że wie, jak to się skończy. Że nie ma ochoty wracać do więzienia, ale czuje, że nie ma prawa się sprzeciwić. Jacek jak zawsze był entuzja-

styczny, choć przypuszczam, że również wiedział. Co do młodszych, to sądzę, że nikt się z taką perspektywą nie liczył.

A Pan?

Nie byłem optymistą, ale aż tak daleko moje myśli nie sięgały. Wyrzucenie z uniwersytetu – tak, zresztą już po wyrzuceniu z partii z tym się liczyłem, a pozostanie wówczas na UW zawdzięczałem przypadkowi. Na ówczesnym Wydziale Ekonomii Politycznej panowała obrzydliwa atmosfera i większość pracowników mnie nie dostrzegała. Nigdy później nie odwiedziłem mojego wydziału. Ale też nikt mnie nie zapraszał.

Uniwersytet Warszawski do dziś ma problem z Marcem?

Nie zrobił nic, żeby uhonorować grupę wyrzuconych wówczas profesorów. Przecież Kołakowski, Baczko, Brus, Pomian, Hirszowicz, Bauman to była grupa wybitnych uczonych. Nie wyobrażam sobie, by w jakimkolwiek innym kraju było to możliwe.

Wróćmy do kwestii więzienia: rozumiem, że z tą lekcją wyniesioną z domu był Pan jednak wyjątkową postacią. Większość wsadzonych wówczas młodych ludzi nie wiedziała, że można odmawiać zeznań, kodeks postępowania w takich sytuacjach, wypracowany w czasach KOR-u, to pieśń przyszłości.

Zdecydowana większość zachowała się przyzwoicie. Niektórzy nic nie mówili, inni mówili prawdę. Były wyjątki pójścia na współpracę, niektórzy złamali się i mówili więcej, niż wiedzieli.

Kiedy się czyta o tym książkę Andrzeja Friszkego, ma się wrażenie dramatów na miarę Dostojewskiego: widać, przepraszam za słowo, talent oficerów prowadzących śledztwo. Wiedzę, jak łamać ludzi.

A mimo to hańbiących przypadków prawie nie było.

Jest taki obraz, silny w marcowej propagandzie, który odżywa potem w narracjach prawicowych: bananowa młodzież, salony, uprzywilejowana kasta.

W pojęciu „bananowa” jest podwójna sugestia: co do statusu społecznego i co do stylu życia. Oczywiście większość z nas →



ZDJEĆIE Z ARCHIWUM IRENY GRUDZIŃSKIEJ-GROSS

Siedzą z przodu: Jan Tomasz Gross i Aleksander Smolar. Stoją: Irena Grudzińska, Jan Lityński i Adam Michnik. Po lewej: Jan Kofman i Barbara Skowrońska. Warszawa, 1967 r.

Komandos

„**PIERWSZY RAZ** zobaczyłem Adasia na walterowskim obozie, takiego malutkiego chłopca, był wtedy w V klasie chyba” – wspominał Jacek Kuroń. Adam Michnik już jako 15-latek chodzi na zebrania współorganizowanego przez Jana Józefa Lipskiego opozycyjnego Klubu Krzywego Koła, a w marcu 1962 r. zakłada, m.in. z Janem Grossem i Włodzimierzem Kofmanem, dyskusyjny Klub Poszukiwaczy Sprzeczności, formalnie afiliowany przy Wydziale Filozofii UW, pod opieką uczelnianego ZMS, w którym działają m.in. Aleksander Smolar i Stefan Meller. Aktywność tej grupy młodych szybko staje się solą w oku władz: I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka krytykuje Michnika z nazwiska już w 1963 r., na co ten – zaalarmowany przez Kuronia – prosi, by nie zwracać mu głowy głupstwami, bo ma poprawkę z fizyki.

W POŁOWIE LAT 60. Michnik i grupa jego przyjaciół – m.in. Seweryn Blumsztajn, Wiktor Nagórski, Jan Lityński, Mirosław Sawicki, Teresa Bogucka, Irena Grudzińska, Irena Lasota, Barbara Toruńczyk – zaczynają studia. Wielu z nich angażuje się w działalność Politycznego Klubu Dyskusyjnego na UW, wielu wiąże się z autorami ogłoszonego w marcu 1965 r. Listu Otwartego do Partii – Jackiem Kuroniem i Karolem Modzelewskim (represje wobec Kuronia i Modzelewskiego, skazanych na

kilkuletnie więzienie, a także czytających i kolportujących ich manifest studentów – z których niektórzy przebywali w areszcie przez kilka tygodni – były pierwszymi, jakie dotknęły środowisko). Kolejne wystąpienia „komandosów” mają miejsce w 10-lecie Października, gdy organizują na UW okolicznościowe spotkanie z Leszkiem Kołakowskim; odpowiedzią władz są zawieszenia kilku osób w prawach studenta. W październiku ’67 na Uniwersytecie pojawia się ulotka z poparciem dla narodu wietnamskiego, porównująca amerykańską interwencję na Dalekim Wschodzie do sowieckiej interwencji na Węgrzech. Później nadchodzi akcja w obronie zdejmowanych z afisza „Dziadów”, która daje początek wydarzeniom Marca ’68.

NAZWA „KOMANDOSI” wzięła się stąd, że – jak pisał Jerzy Eisler – „inteligentni i odcytani młodzi ludzie pojawiali się regularnie na zebraniach partyjnych i zetemesowskich i jak prawdziwi komandosi działający na zapleczu nieprzyjaciela, dezorganizując jego szyki, swoimi kontrowersyjnymi i nonkonformistycznymi wystąpieniami zaktócali z góry ustalony porządek obrad”; partyjnych dygnitarzy pytał np. o Katyń i pakt Ribbentrop-Mołotow. W zdecydowanej większości pochodzili z rodzin o tradycjach socjalistycznych lub komunistycznych, niektórzy byli również – co posłużyło marcowej propagandzie – żydowskiego pochodzenia. ©

→ nie wywodziła się z „ludu pracującego miast i wsi”. Byliśmy dziećmi redaktorów, naukowców, działaczy partyjnych – byliśmy uprzywilejowani. Ale jeśli chodzi o styl życia, na pewno nie było tu żadnych ekscesów. Był za to wysoki poziom ideowości.

Rewolty w różnych krajach autorytarnych często zaczynają się od dzieci władzy. Po pierwsze, takie dzieci żyją w świecie idei wpajanych im przez rodziców, widzą jednak, że nijak się one nie mają do praktyki. Po drugie, żyją w poczuciu bezpieczeństwa, bo do głowy im nie przyjdzie, że mogą zostać aresztowane. Innymi słowy: mimo patologii uważaliśmy ten ustrój za nasz i wierzyliśmy, że historia jest po naszej stronie.

Różni moi znajomi o przekonaniach liberalnych i konserwatywnych stosunkowo późno zaangażowali się w działalność opozycyjną, bo mieli tak pesymistyczną wizję PRL-u i komunistów, że nie wierzyli, aby cokolwiek można było robić, poza przemyślaniami w publikacjach wolnej myśli i jakąś formą pracy organicznej.

Proste pytanie: to Polska wygnała Żydów czy wygnał ich Moczar?

Odpowiedź jest podwójna. Oczywiście to był symbolicznie Moczar, a w istocie cały aparat partyjno-ubecki. Pisałem kiedyś, że była to trzecia próba legitymizacji systemu przez komunistów. Pierwsza – rewolucyjna – poprzez nacjonalizację, reformę rolną, masowy awans robotników i ludzi ze wsi; druga – w roku ’56 – poprzez poszerzenie granic suwerenności i wolności; trzecia – w 1968 r. – poprzez próbę nawiązania kontaktu z tą częścią Polski, która była wrażliwa na hasła nacjonalistyczne.

Znam wybitne osoby, które nie bez racji uważają, że po Marcu otworzyły się szersze możliwości badań nad polską historią i myślą, że pojawiły się możliwości załamania dotąd awansu. Nie mówiąc o zmianie stosunku do AK i Powstania Warszawskiego. Dla wielu nie była to Polska wymarzona, ale taka, w której można wreszcie oddychać.

Antysemityzm był kładką, która łączyła władzę z dużą częścią Polski. W tym sensie problemu nie można sprowadzić do PZPR. Pamiętam, jak Janusz Szpotański, z którym w więzieniu i później bardzo się przyjaźniłem, spytał, czy wyjadę, a jak odpowiedziałem, że nie, powiedział: „Głupi ty! Wiesz, kto by został, gdyby granice

otworzono? Pięć tysięcy wahających się Żydów!". W innej, mniej przyjaznej wersji słyszałem: „żadna krzywda wam się nie dzieje. To chłopów czy AK-owców naprawdę prześladowano. Macie szansę, której oni nie dostali: możecie wyjechać do wolnego świata”.

Nie mówię o opiniach – do dziś powtarzanych – że wyjeżdżają aparatczycy i ubecy, którzy powinni być tutaj sądzeni. Pamiętam też list bliskiej mi wówczas osoby: „ci, którzy wyjeżdżają, budować będą swoje nowe bezpieczne i dostatnie życie na naszej hańbie” – pisała, mając na myśli kampanię antysemicką.

Było poczucie obcości?

Kiedyś, już po wyjściu, piliśmy z Januszem wódkę i on powiedział, że znów jest jak w czasie wojny, tylko że wtedy po drugiej stronie muru zdarzały się przyjazne dusze, a teraz ich nie ma. Świadomie przesadzał, ale poczucie osamotnienia było duże. Poziom kolektywnego narcyzmu do dziś jest w Polsce niesłuchanie wysoki. Widać to w niezdolności rozumienia, czym był Holokaust dla Żydów. Żarciki i drwiny ukazują zdumiewający brak empatii, zamknięcie w narodowym egoizmie. Nawet chrześcijańska myśl na temat Holokaustu jest nieobecna, podobnie jak słowa Jana Pawła II. W 1968 r. od Zagłady minęło ledwie jedno pokolenie. Jeśli ludzie pamiętający o piecach zetknęli się z marcowym językiem propagandy, a zarazem z obojętnością, o ile nie wrogością sąsiadów, to trudno się dziwić, że nie mogli wytrzymać – a przecież zdarzały się też zachowania „szmalcownicze”, pytania, kiedy wreszcie wyjedziesz, dyktowane nadzieją na przejęcie czyjegoś mieszkania.

Oczywiście, że wyrzucili nas komuniści, znajdując jednak wspólny język z dużą częścią społeczeństwa. Mówię: wyrzucili, choć sam nie uważam, aby mnie ktokolwiek wyrzucił – najwyżej silnie do tego zachęcał. Ja dokonałem świadomego wyboru, na zimno. Po usunięciu z uniwersytetu wiedziałem, że na długo zamknięta będzie przede mną droga nauki. Z drugiej strony moją pasją było uczestniczenie w życiu publicznym. Wiedziałem, że jestem w stanie ponosić wysoką cenę, a więzienie mnie w tym utwierdziło. Po doświadczeniach Marca byłem jednak przekonany, że dla mnie jako Żyda ta droga też jest zamknięta – mogę tylko szkodzić innym, dostarczając władzy antysemickiego paliwa.

Wspomniał Pan, że jeden ze spektakli o Marcu robi Pana córka. W rozmowie z „Tygodnikiem” mówiła, że ta historia w domu była właściwie nieobecna.

Mocno mnie to zaskoczyło, bo przecież to nie jest tak, że cokolwiek próbowaliśmy ukrywać. Pamiętam zresztą rozmowę ze starszym od niej o sześć lat Piotrkim, dziś dziennikarzem „Le Monde”. Miał kilkanaście lat i był mocno zafascynowany religią i Kościołem. Próbowałem mu tłumaczyć złożone losy rodziny: skąd to się bierze, że dziadek jest w Izraelu, babcia w Polsce, przyrodnia siostra i stryjek z rodziną w Anglii, a my we Francji. Przerwał: „Nie chcę tego słuchać, mam wystarczająco wiele problemów jako francuski katolik”. Rzeczywiście, koledzy z klasy drwili z jego katolicyzmu.

Dzieci wiedziały oczywiście, że z żoną pochodzimy z rodzin o żydowskich korzeniach, ale dopóki mieszkaliśmy we Francji, była to kwestia czysto abstrakcyjna. Ania zaczęła się z nią mierzyć dopiero, gdy przeniosła się i zaczęła reżyserować w Polsce. Ciekawe, prawda?

Ciekawe. Ale wciąż nie rozumiem.

Niełatwo opowiadać dzieciom o żydostwie, skoro samemu nie ma się z nim wiele wspólnego. O kulturze żydowskiej prawie nic nie wiem, niestety. O religii również. Izrael nie jest mi krajem obojętnym, ale też nieszczególnie bliskim. Mogłem łatwo łączyć polskość i żydowskość we Francji, ale nie w Polsce. Nie myślałem też, że kiedykolwiek będę tu jeszcze żył.



GRAŻYNA MAKARA

ALEKSANDER SMOLAR
(ur. 1940) jest ekonomistą i politologiem,

prezesem Fundacji im. Stefana Batorego. W czasach PRL opozycjonista, po Marcu 1968 r. więziony, wyemigrował w 1971 r. Był założycielem i redaktorem naczelnym kwartalnika „Aneks”, który w 1986 r. opublikował słynny numer żydowski (dostępny dziś w całości w internecie w archiwum „Kultury Liberalnej”). Po 1989 r. m.in. doradca premierów Tadeusza Mazowieckiego i Hanny Suchockiej.

Zarazem Polska to było zadanie, które codziennie wykonywałem – wraz z żoną, rodziną brata w Londynie, z przyjaciółmi, których większość była z „żydowskiej” emigracji. Pracując naukowo we francuskim odpowiedniku Akademii Nauk, harując nad redagowaniem „Aneksu”, wysyłaniem paczek, przyjmowaniem telefonów z wiadomościami z kraju, przekazywaniem ich dalej, komentowaniem spraw polskich i międzynarodowych w Wolnej Europie, BBC, Głosie Ameryki, pełniąc też rolę lobbysty sprawy polskiej w różnych gabinetach rządowych i partyjnych w paru krajach... O czym miałem Piotrkowi i Ani opowiadać? O dramatycznej historii Żydów i ich wierności religii, której nie znałem? O Holokauście? Jak wytłumaczyć, że choćby symbolicznie, ale też trochę przez stosunek do świata, muszę być wierny mojemu żydowskiemu dziedzictwu? Słusznie mówiła, że Polska wypełniała nasz dom.

Może tego się nie da opowiedzieć.

Pewnie się da, ale małemu dziecku? Żyliśmy we Francji, Ania, co paradoksalne, zważywszy na jej późniejsze losy, kiedy mówiliśmy do niej po polsku, odpowiadała po francusku.

Nie rozumiem też, dlaczego nie chce Pan iść na obchody Marca.

Mówiłem już o tym eksterioryzowaniu odpowiedzialności: „to nie my, to oni”. Zamiast powiedzieć, że Marzec jest częścią procesu o bardzo głębokich korzeniach, komunistycznych, ale też czysto polskich – wspomnieć o Kielcach i innych powojennych pogromach, o innych falach emigracji Żydów – eksponować się będzie zapewne jeden wymiar Marca – żydowski – z licznymi aluzjami do obecnej sytuacji, do polityki władz i szokującej fali popularnego antysemityzmu. Spychając w cień zjawisko masowego protestu, daleko wykraczającego poza środowisko, o którym zazwyczaj mówi się przy tej okazji (również my w tej rozmowie), i wnoszącego nowe, kreatywne elementy do kultury protestu XX-wiecznej Europy.

Ponadto jest to smutna rocznica. I bardzo smutna sytuacja. Nie bardzo chce mi się uczestniczyć w rocznicowych obchodach, ani też w ich wykorzystywaniu dla protestu przeciwko polityce demoralizowania społeczeństwa i izolowania Polski. A myślę, że tak właśnie się dzieje.

©© Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

Interpelacja

KRZYSZTOF KOZŁOWSKI

„Te pięści, które spadły na Stefana Kisielewskiego, spadały na przedstawiciela kultury polskiej” – wołał z mównicy sejmowej Jerzy Zawieyski. W tym momencie Gomułka zarechotał, a śmiech jego powtórzyły ławy poselskie.

ZDWUDZIESTOLETNIM OPÓŹNIENIEM drukujemy na łamach „Tygodnika Powszechnego” interpelację Koła Posłów „Znak” z marca 1968 r. Z dwudziestoletnim też opóźnieniem staram się wywiązać z obowiązków ówczesnego sprawozdawcy parlamentarnego „Tygodnika Powszechnego” i zrekonstruować w oparciu o stenogramy posiedzenia Sejmu z kwietnia 1968 r., na którym byłem świadkiem rozprawy z Kołem „Znak”.

Nim doszło do złożenia interpelacji, miały miejsce głośne wydarzenia, kształtujące ówczesną atmosferę także i w naszych środowiskach. „Musicie iść, to jest coś zupełnie nieprawdopodobnego” – wołał Tadeusz Mazowiecki w mieszkaniu swoich przyjaciół po obejrzeniu „Dziadów” w Teatrze Narodowym. „Wiesz – odpowiedział Wojciech Wiczorek – ale ja właśnie wysłuchałem wiadomości o zmianach w Czechosłowacji; wybrali jakiegoś Dubczeka”.

W końcu stycznia wydano ostateczny zakaz przedstawień „Dziadów”. Ruszył pierwszy protestacyjny pochód młodzieży w stronę pomnika Mickiewicza, na uniwersytetach, Warszawskim, a potem Wrocławskim, rozpoczęto zbieranie podpisów pod petycjami domagającymi się cofnięcia decyzji w sprawie „Dziadów”. Rezolucję wrocławską przekazał marszałkowi Sejmu poseł Tadeusz Mazowiecki. Protestowali pisarze na słynnym Nadzwyczajnym Walnym Zebraniu Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich. Dopominali się o prawa dla zagrożonej kultury. Tam też Stefan Kisielewski, skądinąd były poseł Koła „Znak”, mówił o „dyktaturze ciemniaków” – słowa, których mu nie zapomniano.

Wypadki toczą się coraz szybciej. Minister Henryk Jabłoński w trybie „nadzoru ogólnego” releguje z Uniwersytetu Warszawskiego studentów Adama Michnika

50 LAT TEMU AUTOR TEGO TEKSTU był w Warszawie sprawozdawcą parlamentarnym „Tygodnika Powszechnego”. Z przyczyn cenzuralnych nie mógł wówczas poinformować czytelników o przebiegu wydarzeń – swoją relację opublikował dopiero w 1988 r., choć i wówczas tekst został w wielu miejscach okaleczony przez cenzurę. W archiwum „TP” zachował się oryginał artykułu, więc dziś publikujemy go po raz pierwszy w wersji integralnej – ingerencje komunistycznych kontrolerów zaznaczając czerwonymi kwadratowymi nawiasami.



GRAŻYNA MAKARA

KRZYSZTOF KOZŁOWSKI

(1931–2013) był filozofem, dziennikarzem i politykiem. Wieloletni redaktor „Tygodnika Powszechnego” (w piśmie od 1956 do 2008 r., z czego w latach 1965–2007 jako zastępca redaktora naczelnego), w rządzie Tadeusza Mazowieckiego minister spraw wewnętrznych i twórca Urzędu Ochrony Państwa, w latach 1989–2001 senator.

i Henryka Szlajfera. Zwołany w piątek 3 marca na UW wiec studencki „w obronie swobód demokratycznych” zostaje brutalnie rozpędzony przez MO i „aktyw robotniczy”. Studentów ścigano na ulicach. „Tłum studentów – wspomina Tadeusz Mazowiecki – pędzony przez milicję przewalił się pod oknami naszego Klubu Inteligencji Katolickiej na Kopernika 34. Młodzież, przepędzana i bita, wpadła do Klubu i tam przez dłuższy czas siedziała”. Prezesem warszawskiego KIK-u był poseł Jerzy Zawieyski, pisarz, człowiek szczególnie wyczulony na racje moralne, który będąc całe życie związany z teatrem czuł się osobiście „zdruzgotany” (jak mówił) zdjęciem z afisza „Dziadów”. Tym bardziej, że premier Józef Cyrankiewicz jeszcze w styczniu osobiście mu obiecywał w kulisach Sejmu interwencję w tej sprawie, dając do zrozumienia, że wszystko można pozytywnie rozwiązać. Niczego nie rozwiązano, a demonstracje studenckie przybrały niespotykane w PRL rozmiary. Brutalne reakcje władz wstrząsnęły Warszawą.

Posłowie Koła „Znak” zbierają się w niedzielę 10 marca. „Ale dopiero w poniedziałek 11 marca w godzinach przedpołudniowych – pisze po latach Janusz Zabłocki – zapadła decyzja o wystąpieniu z interpelacją; zebraliśmy się w gabinecie Jerzego Zawieyskiego, członka Rady Państwa, przy ul. Wiejskiej. Obecni byli wszyscy posłowie Koła »Znak«, a także Jerzy Turowicz; co do konieczności samego wystąpienia byliśmy od początku zgodni, dyskusja dotyczyła jedynie samej redakcji tekstu. Po podpisaniu, jeszcze tego samego dnia we wczesnych godzinach popołudniowych interpelacja złożona została marszałkowi Sejmu Czesławowi Wycechowi”. Jerzy Zawieyski nazwie interpelację „porywem serca, rozum i sumienia”.

Tymczasem tego samego dnia, 11 marca, rusza oficjalna machina propagandowa. W „Trybunie Ludu” i „Słowie Powszechnym” ukazują się redakcyjne artykuły będące hasłem do ataku. W „Trybunie Ludu” mówi się jeszcze nieco tajemniczo o „bankrutach politycznych”, „Słowo Powszechnie” dopowiada: chodzi w pierwszym rządzie o „sjonistów” (tak wówczas pisano). Tego samego dnia instruktażowe przemówienie do „aktywu” warszawskiego wygłasza I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego Józef Kępa. Tego samego dnia wieczorem zostaje ciężko pobity przez „nieznanych sprawców” Stefan Kisielewski. Równocześnie na uczelniach warszawskich uchwalane są rezolucje żądające ukarania winnych represji, uwolnienia – aresztowanych, sprostowania przez prasę kłamliwego obrazu wydarzeń.

[Rozpętana nagonka prasowa ukierunkuje słynne przemówienie I sekretarza Komitetu Centralnego Władysława Gomułki do „aktywu partyjnego” w Pałacu Kultury. Ale „aktyw” nie jest zadowolony ze swego przywódcy, wołając „śmielej, śmielej” i demonstracyjnie popierając Edwarda Gierka. Dokonują się masowe przegrupowania w łonie aparatu partyjnego, a podzielone kierownictwo partyjne szuka przez następne tygodnie okazji do zademonstrowania nowej jedności szeregow partyjnych.]

Za taką okazję uznano interpelację Koła „Znak”. Przez miesiąc była wokół niej cisza, przynajmniej na forum sejmowym. „Bo w Klubie na Kopernika – wspomina Tadeusz Mazowiecki – nie mogło być tajemnicą, że interpelacja została złożona. Były tam tłumy młodzieży i dla niej ten fakt był niesłychanie ważny. Było to pierwsze publiczne ujęcie się za młodzież. I fakt ten stał się od razu, tego samego dnia, faktem publicznym. Zaczęto tekst przepisywać na maszynach i rozdáwać”. Ostatecznie nie był to tekst tajny, jak usiłowano później sugerować w atakach na Koło „Znak”. Należy jednak pamiętać, że w ogóle interpelacje poselskie w Sejmie były w owych czasach czymś bardzo rzadkim, a interpelacja zbiorowa adresowana do premiera czymś na tyle niezwykłym, że właściwie obrażającym władzę. Takim językiem do władz nie przemawiano. Podobnie zresztą reagowano na pierwszy zbiorowy protest w sprawach kultury, czyli List 34 w 1964 r.

Na interpelację premier mógł odpowiedzieć pisemnie. Zrobiono jednak coś

całkiem innego: odczekano miesiąc i na pierwszym po wydarzeniach marcowych posiedzeniu Sejmu w dniach 9-11 kwietnia 1968 pełne dwa dni obrad poświęcono posłom Koła „Znak”, unikając w ten sposób dyskusji wprost na temat sytuacji w Polsce, w partii, na temat programu władz. Mówiono o tym oczywiście, ale jakby mimochodem, w kontekście wspólnego ataku na wspólne, łatwego do wskazania palcem „wroga”.

Posłowie „Znaku” zdawali sobie do pewnego stopnia sprawę z tego, co się szykuje. Niezwykła bowiem była zapowiedź, że premier będzie w Sejmie odpowiadał na interpelację. Jerzy Zawieyski przebywał wówczas w Konstancinie i tam też zebrało się pięcioosobowe Koło „Znak”. Witając przy furtce swoich kolegów-posłów Zawieyski powiedział: „Mam przemówienie gotowe i nikomu go nie odstąpię”. Rzeczywiście miał je napisane, choć później, już w trakcie przemawiania, od tekstu odczytanego kolegom w Konstancinie w wielu miejscach odszedł, improwizując polemikę z przeciwnikami. Janusz Zabłocki miał pewne zastrzeżenia sprowadzające się do tezy, iż należy ograniczyć się tylko do obrony studentów.

Dużo bardziej dramatyczne było kolejne posiedzenie Koła w mieszkaniu posła Konstantego Łubieńskiego rano 9 kwietnia (początek posiedzenia sejmowego wyznaczono na godzinę 10 tego samego dnia). Tym razem Janusz Zabłocki domaga się stanowczo dla siebie drugiego (obok Zawieyskiego) przemówienia wyrażającego inny do pewnego stopnia punkt widzenia. Sytuacja staje się napięta, Jerzy Zawieyski, znany ze swej anielskiej łagodności, uderza ręką w stół, większość jest przekonana, że jako drugi może przemówić tylko przewodniczący Koła, czyli Stanisław Stomma. Janusz Zabłocki opuszcza zebranie, w godzinę później przysyła rezygnację z uczestnictwa w Kole. Ale o godzinie 16, już po rozmowie z Prymasem Wyszyńskim, siada na sali sejmowej w ławach Koła. Kryzys jest tymczasem zażegnany, a Koło w komplecie.

W samym Sejmie panuje na razie spokój. Wysoka Izba zajmuje się całkiem drugimi problemami, nie mającymi związku z aktualną sytuacją w kraju. Wszystko się zmienia w dniu następnym. Początek posiedzenia o godz. 10. Na sali łatwo wyczuwalne jest jednak to, że pustawa zazwyczaj galeria dla publiczności wypełniona jest młodymi, dziarskimi

mężczyznami. Normalnych przepustek na galerię nie wydawano. W łóży prasowej siedzę wraz z płk. Morawskim z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i dyr. Skarżyńskim z Urzędu do Spraw Wyznań; innych nie jestem w stanie zidentyfikować.

Na mównicę wchodzi premier Józef Cyrankiewicz. Punkt 5. porządku dziennego przewidywał odpowiedź premiera na interpelację Koła Poselskiego „Znak”, w rzeczywistości pozwalała to Cyrankiewiczowi wygłosić exposé, które formalnie nie jest programem rządu, a dotyczy niektórych dowolnie wybranych problemów. Józef Cyrankiewicz, atakując tych, którzy „pod flagą obrony rzekomo zagrożonej wolności kultury chcą atakować porządek społeczny w naszym kraju i uprawiać nieodpowiedzialną grę polityczną”, powołał się na papieża Pawła VI, i na kardynała Colombo. Potem premier przeszedł do ataku na „koła rewizjonistyczne, reakcyjne, syjonistyczne, trockistowskie”, wymienione tak właśnie, jednym tchem. Wyraził też „najwyższe uznanie za bojową postawę klasy robotniczej”. W sumie wystąpienie premiera było długie, ale stosunkowo spokojne, nie zapowiadało linczu politycznego.

Zaczęła się dwudniowa tzw. dyskusja, w której role były w większości z góry rozdane. Pierwszy mówił ludowiec, poeta i prozaik Józef Ozga-Michalski, i to on nadał ton i jakby zadecydował o poziomie dalszych wypowiedzi. Potępiał tych, którzy „na czele z Kisielewskim są przedstawicielami dekadentckiej i elitarnej kultury dla »jaśnie wielmożnych«”, a zarazem „kumają się z siłami imperializmu niemieckiego”. Potępiał Koło „Znak”, tę „polityczną resztówkę w parlamencie” („polityczna resztówka reakcji”, jak dopowie później poseł Stanisław Kociołek), która pragnie „zbalkanizować” kraj. Natomiast, jak twierdził Ozga-Michalski, „zwrócenie się Episkopatu ze swoim słowem do sprawców zamieszek z pozycji przyzwalającego dociekania »do prawdy, do wolności, do sprawiedliwości« – jest zachętą moralną dla sił aż nadto określonych w swojej antypolskiej pozycji”. Owe siły jawiły się Ozdze-Michalskiemu nieco dziwnie: „Syjoniści oraz ich reakcyjni polscy sprzymierzeńcy – wczorajsi endecy”. Równnie zaskakujące było stwierdzenie, że „Ionesco tak się ma do władzy Polski Ludowej, jak biskup do elektrowni”. Nie zabrakło jednak →



HENRYK ROSIAK / PAP / CAF

Jerzy Zawieyski przemawia w Sejmie w czasie debaty nad interpelacją koła poselskiego „Znak”.
W tle po lewej Władysław Gomułka. Warszawa, 11 kwietnia 1968 r.

→ i literackich akcentów optymistycznych: „nasz orzeł piastowski, orzeł na czapce żołnierza Dywizji Kościuszkowskiej, startujący spod Lenino do Berlina, pokryty stalowymi piórami Nowej Huty, urodzajem Puław i Kędzierzyna, nie tylko nie będzie tracił piór, a będzie porastał w nowe”. Słowa te Izba nagrodziła gromkimi oklaskami. Klaskano zresztą w tych dniach co chwila, klaskała i nawet krzyczała (po raz pierwszy i ostatni jak na razie w Sejmie PRL) galeria, regulaminowo przecież zobowiązana do milczenia.

Po pocie Ozdze-Michalskim wystąpił ktoś naprawdę miarodajny, czyli Zenon Kliszko, druga osoba w partii i w ówczesnej PRL, choć formalnie tylko wicemarszałek Sejmu. On to sformułował tezę, która tak bardzo zabolala Jerzego Zawieyskiego. Otóż zdaniem Kliszki posłowie

Koła „Znak” „znaleźli się w głębokiej izolacji politycznej... postawili się – naprzeciw powszechnej opinii narodu”, a w ogóle „próbowali upiec na ruszcie niedawnych wydarzeń własną reakcyjną pieczeń”. Koło odeszło od polskiej racji stanu, „faktycznie stanęło po stronie elementów syjonistycznych i rewizjonistycznych”. Pochwalił natomiast dwukrotnie stanowisko zajęte przez Pax i Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne. Na temat sytuacji na uczelniach Kliszko powiedział m.in.: „Władze państwowe i uczelnie powinny wyciągnąć wnioski dyscyplinarne w stosunku do wszystkich pracowników nauki winnych politycznego deprawowania młodzieży”. Z dalszych jego słów wynikało jednak, że akcja „wyciągania wniosków” jest już w toku: „Jedni ludzie są usuwani ze względu na swoją postawę, inni z po-

wodu postawy i działalności swoich dzieci, którą tolerowali i ochraniali”. [Nie ulegało wszakże dla niego wątpliwości, że „partia klasy robotniczej stała się partią narodu”.]

Dwaj reprezentanci Stronnictwa Demokratycznego ratowali się unikami: wicemarszałek Karol Wende był rozwlekły i bezbarwny, prof. Stanisław Kulczyński opowiadał o Leibnizu, książe Irwina Brossa, filozofii Russella („zwariował, ale chytrze zwariował” – zanotowałem wówczas w swoim notesie). Stosunkowo dość umiarkowanie przemawiał Zdzisław Grudzień.

Przedstawiciel Związku Młodzieży Socjalistycznej Andrzej Żabiński po tych paru spokojniejszych przemówieniach wrócił do tonu pryncypialnego: „fakt kolportażu i propagowania Listu [!] uważamy za wrogi, wymierzony przeciwko władzy

ludowej... Jako młodzi oburzeni jesteśmy, że działalność wroga została osłonięta do stojeństwem mandatu poselskiego. Natomiast młodzież polska w absolutnej swej większości w pełni popiera starania naszej partii i stronnictw politycznych". Władysław Gawlik (Zjednoczone Stronnictwo Ludowe) donosił, że „już 2 i 3 kwietnia poseł Konstanty Łubieński zapoznał słuchaczy KUL z interpelacją”, którą komentował „w sposób reakcyjny”. „Jak śmiecie – pytał Gawlik – w ten sposób dziś oceniać działalność i postawę organów Milicji Obywatelskiej? Jest to warcholstwo – wołał – pośle Jerzy Zawieyski”. Podobnie posłanka Irena Sroczyńska (PZPR): „Oburza mnie interpelacja posłów ze »Znaku«, a w szczególności to, że podpisał ją także Jerzy Zawieyski, pełniący przecież wysoką godność członka Rady Państwa”.

Po przerwie zarządzonej o godz. 18 dano głos Jerzemu Zawieyskiemu. „Polityka jest także szkołą upokorzenia – mówił – ja poproszę Pana Marszałka Kliszkę, aby przypomniał sobie, że na tej sali także były czynione interpretacje, kto jest poza narodem, kto jest izolowany, a dotyczyło to izolowania i bycia poza narodem postaci bardzo czcigodnych”. Jerzy Zawieyski dramatycznie zwracał się wprost do obecnego na sali Władysława Gomułki, któremu wciąż wierzył, apelował z ogromnym przejęciem, usiłował poruszyć sumienia. Bronił „Dziadów”, bronił warszawskiego oddziału ZLP. Bronił (mimo protestów sali) Stefana Kisielewskiego: „to człowiek prawy, uczciwy i odważny”, a „te pięści, które spadły na Kisielewskiego, spadały na przedstawiciela kultury polskiej. Stało się to po raz pierwszy w Polsce Ludowej”. W tym momencie [z miejsca, gdzie siedział Władysław Gomułka, rozległo się donośne „che, che, che”, i natychmiast] cała sala, a wraz z nią galeria zarechotały śmiechem, od którego do dziś robi mi się zimno. Zerwał się Konstanty Łubieński i krzyknął: „Płakać trzeba, nie śmiać się!”. Zawieyski kontynuował: „Inne nazwiska, pisarzy, które tu też padły, to czy się je wymieniania z ironią, bez szacunku, trzeba powiedzieć, że są to chlubne nazwiska literatury polskiej. Mam tutaj na myśli Jerzego Andrzejewskiego, Mieczysława Jastruna, wybitnego polskiego poetę Antoniego Słonimskiego...”. Bronił interpelacji, młodzieży, Listu Episkopatu w sprawie młodzieży, apelował o dialog i rozważę. Na koniec chciał, „aby Sejm wyraził wotum zaufania do mnie, a w przeciwnym wy-

padku – aby mnie zwolnił z zaszczytnego stanowiska członka Rady Państwa”.

Mówi po dwudziestu latach Tadeusz Mazowiecki: „Jak się czyta dziś to przemówienie i wie się, co potem nastąpiło, to można mieć wrażenie, że wiele jest w nim ukłonów. Było to jednak historyczne przemówienie w tym sensie, że on mówiąc jakby za nas, mówił równocześnie ze świadomością, że wszystko kładzie na szalę, samego siebie – bo wiedział, że jest to ostatnie jego wystąpienie na tej sali. Mówiąc tak, jak mówił, był tu sobą; a więc moralistą, mówiącym do ludzi, którzy mają usłyszeć argumenty moralne”.

Po uczciwym, starającym się zrozumieć młodzież przemówieniu bezpartyjnego rektora Politechniki Warszawskiej prof. Jerzego Bukowskiego („można dojść do sformułowania również pozytywnych ocen wydarzeń marcowych”) zabiera głos przewodniczący Koła Posłów „Znak” Stanisław Stomma. Mówi spokojnie i godnie. „Uważamy – stwierdza – że interpelacja nie jest dokumentem poufnym czy tajnym i że przeto może być udostępniona ludności (szum na sali). Nie wiem kiedy i którego dnia »Wolna Europa« zakomunikowała o naszej interpelacji... ten zarzut nic nas nie obchodzi”. „Jeżeli rozpowszechnienie interpelacji nastąpiło tak szybko, stało się to nie dlatego, że znajdowano w niej elementy podburzające, ale dlatego, że ton jej tak bardzo różnił się od napastliwego tonu prasy w tych dniach. Dla młodzieży było to pierwsze ujęcie się za nią”. Albowiem „przynajmniej, że mieliśmy i mamy inną ocenę sensu wypadków marcowych”. Kończąc Stanisław Stomma powiedział: „Nie możemy zrezygnować ani z krytyki, ani z afirmacji tego, co uważamy za pozytywne – i dlatego nie damy się z tych pozycji, bardzo dla nas trudnych, zepchnąć”.

Dalsze przemówienia tego wieczoru nie wniosły nowych elementów. I tak poseł Mieczysław Grad powtórzył zarzuty dotyczące Wolnej Europy, powtórzył, że posłowie „Znaku” znaleźli się „w jednym froncie z wrogami Polski Ludowej”. Eskalacja, wręcz licytacja, kto ostrzej i dosadniej, nastąpiła następnego dnia. 11 kwietnia. Debaty – zaczęła się o godz. 9, a włączyli się do niej teraz pierwsi sekretarze wojewódzcy, [niepewni swego losu, niepewni, jak naprawdę wygląda nowy układ sił w par-

tii, tym bardziej więc zaciekli w demonstrowaniu swej nienawiści do wspólnego i wskazanego wroga.]

Wiele z tych przemówień było chyba po prostu podszyte strachem o własną skórę. Rozpoczął sekretarz wrocławski Władysław Piłatowski: „To, co Kisielewski i Słonimski napisali (nie zawsze dla swego narodu, często na zamówienie obcych Polsce ośrodków), zionie nienawiścią, pogardą, nihilizmem...”. Atakuje on personalnie Tadeusza Mazowieckiego (za przekazanie apelu młodzieży wrocławskiej), atakuje Koło „Znak”, które „tkwi głęboko swoim korzeniem właśnie w nietolerancji”. „W waszej pożałowania godnej interpelacji... chodziło o podsycanie walki na arenie międzynarodowej wrogich Polsce ośrodków dywersji politycznej”. W konstruktywnej części swego przemówienia postulował „szybką zmianę ustawy o szkołach wyższych”, gdyż ta z 1958 r. była, jak się okazuje, zbyt liberalna.

Posel Dyżma Gałaj, którego intelektem ZSL lubił się chwalić, zarzucił Zawieyskiemu „jezuicką dialektykę”, Kisielewskiego nazwał awanturnikiem opluwającym „osoby, które doprowadziły naszą ojczyznę do rozkwitu”. A w ogóle to „Znak” „zadaje niedorzeczne pytania” i „są chwile, że ludzie nie bywają w narodzie”. Na szczęście „wnikliwa i mądra polityka rolna... doprowadziła do przywrócenia pełnego zaufania chłopów do kierownictwa politycznego...”.

I sekretarz szczeciński Antoni Walaszek poczuł się stoczniońcem mówiąc: „jestem głęboko przekonany, że żaden polski statek nie będzie nigdy nosił imienia Kisielewskiego, Słonimskiego czy Jasienicy i im podobnych” (oklaski). O czym zaś świadczy interpelacja i przemówienia posłów Koła „Znak”? O tym, że działają „w interesie znanych bankrutów politycznych oraz dla poparcia syjonistycznej, reakcyjnej, oszczerczej i wrogiej Polsce Ludowej propagandy zięjącej nienawiścią...”.

Na trybunę wchodzi przewodniczący Stowarzyszenia Pax poseł Bolesław Piasecki. Stwierdza, iż „wydarzenia na terenie wyższych uczelni zostały zainspirowane i zorganizowane jako fragment pchnięcia kraju w anarchię z ostatecznym zamiarem przewrotu”. Domaga się „oddzielenia jednostek nie mających kwalifikacji obywatelskich od ogółu wykładowców”, żąda „reedukacji politycznej”; „milowymi

→ krokami” było według niego przemówienie Gomułki w sprawie obywateli polskich pochodzenia żydowskiego. „Wydaje się nam, że im prędzej z aparatu polskiej władzy odejdą elementy syjonistyczne, tym szybciej skończy się ich antypolska zagraniczna akcja”. Natomiast posłowie „Znaku”: „nie tylko potwierdzili wczoraj treść złożonej przez nich interpelacji, ale dodali jeszcze pozytywną, polityczną ocenę nieprzytomnego w swym politycznym przebiegu zebrania warszawskiego oddziału Związku Literatów”. A więc ze „Znakiem”, który stał się narzędziem „reakcyjnych wpływów”, „jesteśmy w zasadniczej politycznej walce”.

Dla sekretarza łódzkiego Józefa Spychalskiego nie ulegało wątpliwości „poparcie przez »Znak« wrogich socjalizmowi sił przy pierwszej próbie ich aktywizacji politycznej”. Sekretarz krakowski Czesław Domagała zarzuca Zawieyskiemu brak skromności, piętnuje Żółkiewskiego, Schaffa, Baumaną i Brusa, którzy „na przestrzeni wielu lat dokonali ogromnego spustoszenia zaśmiecając dusze i umysły ludzkie”. A także: „nigdy nie byli i nigdy nie będą sumieniem narodu różnego rodzaju Grzędzińscy, Słonimscy, Beynary-Jasienice czy Kisielewscy”, [bo „prawdziwym sumieniem narodu jest PZPR”]. Okazuje się też, że haniebną „intrygę polityczną” uknuli rewizjoniści, kosmopolici syjonistyczni, bankruci polityczni, ideowi handlarze, niedobitki reakcyjnego podziemia, niedoszli spadkobiercy fabryk i obszarnczych dworów. Ale „nie udała się sługosom reakcji, agentom zachodnich ośrodków dywersji, ich chytra prowokacja”.

Gdański sekretarz Stanisław Kociołek był nie mniej pryncypialny. „Postępowaniem posłów z Koła »Znak« kierowała zła, reakcyjna wola...”. „Biorąc w obronę burzycieli porządku publicznego i niszczycieli dobra publicznego” stanęli w jednym szeregu z tymi, którzy „usiłowali doprowadzić do przelewu krwi”. Ponieważ Koło „Znak” podtrzymuje nadal swoją interpelację, to „idzie dzisiaj znacznie dalej niż wówczas, gdy ją składało”. Zaś „List Episkopatu, wrogi i podjudzający, poseł Zawieyski nazwał, co wzbudziło zrozumiałą wesołość Izby, »listem pięknym, pełnym obywatelskiego stanowiska«”. Kościół upomina się zatem o tych, za którymi stała „rewizjonistyczna kontrrewolucja”, i robi to „wasz Kardynał w imię tej walki od lat skiero-

wanej przeciwko Polsce Ludowej”. Nie ulega wątpliwości, że chodziło o kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Sekretarz poznański Jan Szydłak, wychodząc z założenia, iż „niezgłębiający jest ten ocean fałszu i obłudy, jaki zaprezentowali organizatorzy tej interpelacji”, zmierzając szybko do konkluzji: „woleli pójść za reakcją, syjonizmem, stać się ich poplecznikami i nie możemy z tego faktu nie wyciągnąć wniosków. Zarówno tu w tej Izbie, jak i poza salą sejmową”. Sama zaś interpelacja „była wynikiem zimnej, wyrachowanej kalkulacji politycznej” i nie pomogą tu żadne „faryzeuszowskie protesty”. Podobnie jak i inni, Szydłak sięgał też w przyszłość. „Dla mnie nie ma cienia wątpliwości, że dla Kisielewskiego historia nasza znajdzie miejsce, ale na tym samym śmietniku, tam gdzie ulokowała już Arciszewskich, Zaleskich, Andersów, Miłkołajczyków...”.

I tak trwało do wczesnych godzin popołudniowych. W przerwach posłowie „Znaku” i ja, jako jedyny świadek spoza Sejmu, naradzaliśmy się, co dalej robić. Janusz Zabłocki krążył po kuluarach i nosił się z zamiarem wyjścia na trybunę, by nie wycofując się z interpelacji odciąć się równocześnie od kontekstu „wolnoeuropejskiego” i „syjonistycznego”. Nie rozumiał, że szukano jedynie kozła ofiarnego i w tej nawale ogniowej nikogo nie interesowały takie czy inne indywidualne zastrzeżenia. Konstanty Łubieński wręcz przeciwnie, chciał koniecznie uderzyć na odlew. Wzburzony do głębi tłumaczył nam w gabinecie Zawieyskiego: „ja wiem, jak z takimi... postępować, ja ich...”. Używał słów zgoła nieparlamentarnych. Z trudem powstrzymaliśmy go od tego zamiaru, nie chcąc dolewać oliwy do ognia, choć bez wątplenia gdyby wykonał swój kawalerski plan, całkiem inaczej potoczyłyby się jego dalsze losy polityczne. Być może to on zawiódł się wtedy na przyjaciół. Stało na tym, iż Konstanty Łubieński złożył na końcu imieniem Koła krótkie oświadczenie.

Tymczasem głos zabrali ostatni już mówcy. Poseł i pisarz Bohdan Czeszko nie mógł odmówić sobie satysfakcji wytknięcia Jerzemu Zawieyskiemu „wadliwie skonstruowanego zdania” w jego wystąpieniu. Używał formuły „kolega Zawieyski raczył być...”, by na koniec obłudnie kłaniając się ławie, na której siedzieli „Znakowcy”, powiedzieć: „Proszę więc, usilnie proszę posłów ze »Znaku«, aby pozwolili

praktykować mojej partii demokrację socjalistyczną. I aby raczyli nie podejmować działań, które zmusiłyby moją partię bodaj do okresowego ograniczania owej demokracji; ponieważ ja także wysoko sobie cenię demokrację socjalistyczną”. To umiłowanie demokracji też zostało nagrodzone oklaskami. Czeszko był bardzo pewny siebie, gdy mówił: „Walka staje się ostra. I nie odniesiecie w niej zwycięstwa”.

Ostatnim mówcą był uchodzący za kulturalnego liberała Wincenty Kraśko. Tym bardziej więc starał się. „W tym wystąpieniu – mówił – poniósł aktor Zawieyski klęskę. Jakkolwiek wystąpił w roli Konrada, który nie chce zejść ze sceny, zszedł z tej sceny bez oklasków – a to jest dla aktora katastrofa... Poseł Zawieyski wystąpił jako pisarz. I w tej dziedzinie poniósł klęskę, naraził swój autorytet pisarski na szwank... Poseł Zawieyski wystąpił wreszcie jako polityk. I tu poniósł klęskę. Nie mówiąc o tym, że oczywiście nikogo nie przekonał i nie mógł przekonać”. Rzeczywiście nie mógł, Kraśko miał rację. Miał też rację, że posłowie „Znaku” w „najbardziej koszmarnych snach nie przypuszczali, że spotka ich taka kontra”. Ale też, ciągnął, „jeśli ktoś występuje w charakterze adwokata takiego diabła, to siłą rzeczy sam się stawia w pozycji diabła”. A o pisarzach tak się wyraził: „Nadzwyczajne zebranie było im potrzebne dla wywołania awantury politycznej w skali światowej... To nie lekarze, to grabarze. Polska Ludowa obejdzie się bez ich usług”.

Na koniec oświadczenie Konstantego Łubieńskiego w imieniu Koła: „Oświadczam, że atmosfera i sposób prowadzenia dyskusji przez poszczególnych posłów uniemożliwiają nam merytoryczne ustosunkowanie się do podniesionych przeciw nam zarzutów (...) pozostaje nam tylko milczeć”. Marszałek Sejmu Czesław Wycech powie: „Nie mogę zrozumieć tego oświadczenia posła Łubieńskiego. Nie przyjmuję do wiadomości”. Przyjął natomiast list Jerzego Zawieyskiego składającego rezygnację z funkcji członka Rady Państwa PRL. Dowiedzieliśmy się też z ust marszałka Wycecha, iż „w toku zakończonej przed chwilą dyskusji wszechstronnie omówiono podstawowe problemy nurtujące w ostatnim czasie nasze społeczeństwo”. A potem Sejm przychylił się do prośby Edwarda Ochaba zwalniającego go ze stanowiska przewodniczącego Rady Państwa. [Dopiero po latach powie Edward Ochab Teresie Torańskiej: „Opluto ludzi ze »Znaku«, którzy choć

kierowali się innymi intencjami i podtekstami – ale słusznie i odważnie wystąpili w obronie naszej młodzieży. Żał mi ich było, jak widziałem w Sejmie: Mazowieckiego, Stommę, Zawieyskiego, byli dosłownie naszczuwani. I ot paradoks, ale komuniści znaleźli się obok czarnej reakcji”. Na jego miejsce Sejm powołuje Mariana Spychalskiego, dokonuje też zmian w rządzie. Generał dywizji Wojciech Jaruzelski zostaje ministrem obrony.

Pod wieczór opuszczamy gmach Sejmu. Wokół posłów „Znaku” pustka, wszyscy starają się ominąć ich jak najdalej. I tylko jeden poseł Stefan Żółkiewski podchodzi w holu sejmowym do Jerzego Zawieyskiego i ostentacyjnie go całuje. Żółkiewski przegrał już swoją grę, ale przecież był to gest niezwykle.

Interpelacja „Znaku” była z pewnością kulminacyjnym punktem w historii Koła. Z kwietniowego posiedzenia sejmowego wyszło ono moralnie zwycięsko, a sama sprawa interpelacji stała się ważnym niezmiernie rysem tożsamości naszych środowisk. Miała też rozmaite bezpośrednie i dalsze konsekwencje.

Wieczór po posiedzeniu sejmowym spędziliśmy razem w mieszkaniu Jerzego Zawieyskiego. Następnego dnia rano w redakcji „Więzi” przeprowadzono nagłą kontrolę finansową. „Kontrolera – wspomina ówczesny redaktor naczelny

„Więzi” Tadeusz Mazowiecki – interesowało tylko jedno: niektóre nazwiska w honorariach autorskich. A potem otrzymaliśmy pismo z Biura Śledczego MSW zapytujące – w związku z prowadzonym śledztwem – czy panowie Michnik, Szlajfer, Antoni Zambrowski i Karol Modzelewski zgłaszali artykuły. Jeżeli tak, to na jakie tematy i czy pobierali honoraria. I wtedy zaczęły się w ogóle piekielne trudności. Pojawiały się także trudności wewnątrzrodziskowe, a tych nie udało się już na trwałe przezwyciężyć”.

Przejawem rozdziewków był napisany w parę tygodni potem przez Janusza Zabłockiego i podpisany wspólnie z Andrzejem Micewskim artykuł pod tytułem „O narodowy i społeczny autentyzm polskiego socjalizmu”. Stanowił on do pewnego stopnia swoistą interpretację interpelacji. „Jego istotny błąd – napisze z czasem Andrzej Micewski – wiązał się z pewnym odciążeniem organizatorów kampanii antysyjonistycznej przez silne podkreślenie, że w interpelacji »Znaku« sprawa syjonizmu nie została poruszona”. W artykule, odrzuconym przez redakcję „Więzi”, podkreślono jednak silne dążenie do „autentyzmu narodowego” i „kryterium afirmacji narodowej”, co w ówczesnej sytuacji brzmiało co najmniej dwuznacznie. Ostatecznie artykuł został odrzucony także przez gremium kierownicze środowisk „Znaku” na kolejnym zebraniu w Ożar-

wie. Janusz Zabłocki pozostał nieprzekonany. Masowe wyjazdy skrzywdzonych ludzi żydowskiego pochodzenia, tragedia Czechosłowacji i wkroczenie wojsk Układu Warszawskiego przysłoniły na pewien czas ten wewnętrzny spór.

W rok później nazwisko Jerzego Zawieyskiego nie znajdzie się już na listach wyborczych, a jego samego powali śmiertelny wylew. Tadeusz Mazowiecki zostanie wyeliminowany z Sejmu w następnej rundzie wyborczej już po odejściu ekipy Władysława Gomułki. Ostatecznie w 1976 r. przewodniczący Koła Posłów „Znak” Stanisław Stomma będzie już jedynym posłem, który nie zagłosuje za zmianami w Konstytucji PRL. Nie wejdzie więc do Sejmu następnej kadencji, a dla szeroko pojętego środowiska „Tygodnika Powszechnego” oznaczało to definitywny koniec Koła Posłów „Znak”, choć wbrew nam Janusz Zabłocki i jego przyjaciele będą jeszcze przez pewien czas posługiwać się w Sejmie tą nazwą.

Równocześnie jednak w tym samym 1976 roku skryształizuje się jawna niezależna opinia publiczna, ukazać się otwarte listy w najbardziej palących sprawach podpisane przez przedstawicieli intelektualnej elity kraju. Zrodzą się autentyczne więzy między opozycyjną inteligencją polską a robotnikami Radomia i Ursusa. Jak by powiedział Antoni Gołubiew: „szło nowe”. © KRZYSZTOF KOZŁOWSKI



FUNDACJA IM. HEINRICHA BÖLLA

ELLEN UEBERSCHÄR

Siła mądrego buntu

Ellen Ueberschär, od lipca 2017 r. członkini zarządu Fundacji im. Heinricha Bölla. W latach 2006-2017 była sekretarzem generalnym Niemieckich Ewangelickich Dni Kościoła.

ODWIEDZAJĄCY EUROPEJSKIE CENTRUM SOLIDARNOSCI w Gdańsku trafiają na tablicę ukazującą chronologię ruchów wolnościowych z okresu dyktatury komunistycznej. Nie ma tam ani jednej dekady bez sprzeciwu w imię wolności – najpierw 1953 i 1956, potem przyszedł rok 1968. Pierwsze pokolenie urodzone po II wojnie światowej buntowało się przeciwko zniewoleniu, chociaż samo nigdy nie doświadczyło wolności. W Warszawie, Gdańsku, Krakowie, Łodzi i Wrocławiu przedstawiano konkretne wizje – wolność sztuki, wolność zgromadzeń, wolność słowa. Studenci domagali się pluralizmu i swobody myślenia.

Policyjne środki przymusu, a także kampania antysemita prowadzona przeciwko reformatorom w partii komunistycznej i w środowisku studenckim były wymierzone w głębszym sensie nie tylko w samych walczących. Pośrednio uderzały one również w polityczno-kulturową pamięć Europy i jej judeochrześcijańskie korzenie: historia wolności rozpoczyna się w nich od wyj-

ścia narodu żydowskiego z Egiptu. Wolność i liberalizm nie są więc zachodnim wynalazkiem, lecz kapitałem kulturowym wszystkich społeczeństw, które szanują godność ludzką i gwarantują wolność w ramach praworządności.

Nie kto inny jak Jan Paweł II powiedział wyraźnie przed ponad dziesięcioma laty w przemówieniu wygłoszonym z okazji przyznania mu Nagrody Karola Wielkiego: „Nowoczesne państwo zdaje sobie sprawę, że nie będzie państwem prawa, jeśli nie będzie chronić i nie zapewni wszystkim obywatelom możliwości swobodnego wypowiedzania się, zarówno w zakresie indywidualnym, jak wspólnotowym”.

Jacek Kuroń wyciągnął wnioski z brutalnej reakcji komunistycznych dyktatorów. Rozumiał dwie rzeczy – potrzebę mądrej strategii i szerokiego sojuszu. Choć do przełomu lat 1988–1989 było jeszcze daleko, to właśnie odwadze i wizjom działaczy z marca 1968 r. Polacy zawdzięczają to, że mogli później wykorzystać tamten sprzyjający geopolitycznie moment. ©

Każdy w swoją stronę

DARIUSZ KOSIŃSKI

„Dziady”, wystawione przez Kazimierza Dejmka przed półwieczem w Teatrze Narodowym, to legenda. Wszyscy mówią, że wyprowadziły ludzi na ulice i były zarzewiem Marca. Do dziś jednak nie wiadomo, czy był to efekt samozapłonu, czy podpalenia.

WIARA W „DZIADY” DEJMKĄ trwa ponad podziałami. Stanowi punkt odniesienia dla tych, którym marzy się polityczna skuteczność teatru, i dla tych, którzy głoszą przekonanie o samoistnej sile polskiej kultury, zwłaszcza romantycznej (tylko w wyjątkowych przypadkach te przekonania występują razem). Jej swoiste, uproszczone credo głosi, że oto teatr wystawiając arcydramat Mickiewicza stał się źródłem i ośrodkiem społecznego wrzenia. „Dziady” (siłą własną lub siłą inscenizacji) przebiły lawę obojętności i marazmu, doprowadziły do podjęcia czynu, który przerodził się w bunt inteligenckiej młodzieży, wprowadziły szybko i brutalnie stłumiony, ale mający ważkie, długofalowe konsekwencje. Inscenizacja Dejmka stanowić ma więc dowód na polityczny

potencjał teatru albo (w innej wersji) – na społeczno-narodowy potencjał „Dziadów”, które nawet w rękach marksisty walczącego z postawą romantyczną zdolne były eksplodować własnymi wartościami i znaczeniami.

Wyznawcy należący do drugiego odłamu przypominają chętnie, że Dejmek zaplanował wystawienie „Dziadów” z okazji 50. rocznicy bolszewickiej rewolucji 1917 r. i miał szczerzy zamiar pokazać je w czasie planowanych występów gościnnych w Moskwie. Miałby to być dowód (sam kiedyś tak myślałem), że reżyser nie zdawał sobie sprawy, z jakim tekstem miał do czynienia, i wystawiwszy arcydramat najlepiej, jak potrafił, uruchomił bombę, która wkrótce wysadziła go z fotela dyrektora Teatru Narodowego. Nie igra się z „Dziadami”...

Czas przypomnieć ojców dzieje

Taka interpretacja wydarzeń ma jeden słaby punkt: zakłada niewielką świadomość artystyczną i polityczną Kazimierza Dejmka. Osłabia ją też to, co dzięki wieloletnim badaniom wiadomo o samym przedstawieniu. Wydana właśnie jego nowa monografia, pióra Janusza Majcherka i Tomasza Mościckiego („Kryptonim »Dziady« Teatr Narodowy 1967–1968”), klarownie prezentuje to, co udało się wydobyć spod pokładów legendy i politycznych przemilczeń. Wprawdzie – jak przyznają sami badacze – oceny artystycznych walorów „Dziadów” były wytłumiane zarówno przez cenzurę państwową (zakaz publikacji recenzji), jak przez swobodną autocenzurę obywatelską (wizytówce, którym przedstawienie się nie podobało, milczeli, nie chcąc wzmacniać oficjalnych



ataków). Niemniej zachowane relacje, recenzje i materiały źródłowe (całkiem obfite: egzemplarze teatralne, nagranie dźwiękowe, fragmenty filmowe i cała seria zdjęć) pozwalają zobaczyć, w jaki sposób Dejmek „Dziady” przekomponował i wraz z Andrzejem Stopką (scenografia) oraz aktorami (z Gustawem Holoubkiem – Konradem na czele) na scenę narodową 25 listopada 1967 r. wprowadził.

A były to „Dziady” własne, dalekie od mitycznej „wierności tekstowi”. Przede wszystkim reżyser wykreślił całą część IV i odłożył na bok tzw. część I. Jego inscenizacja składała się z obrzędowej części II, zwieńczonej zawołaniem Guślarza (Kazimierz Opaliński): „Czas przypomnieć ojców dzieje”. Widmo, które w oryginale przerywało i niweczyło to przypomnienie, nie pojawiało się. Guślarz wypowiadał wzruszonym głosem dedykację do części III (jak zauważają Majcherek i Mościcki, niektórzy widzowie odbierali ją jako aluzyjne przypomnienie ofiar Katynia i sowieckich zsyłek). „Na słowach: »narodowej sprawy męczennikom« wolno spływa z nadszcienia krwawa chusta, a pomiędzy obrzędników wchodzi więźniowie i na koniec – Konrad; jakby wyłaniają się z gromady. Brzmi pieśń »Zmiłuj się, o Panie«” – piszą Majcherek i Mościcki. Następowały sceny więzienne, zwieńczone Wielką Improwizacją, po raz pierwszy w polskim teatrze mówioną w całości.

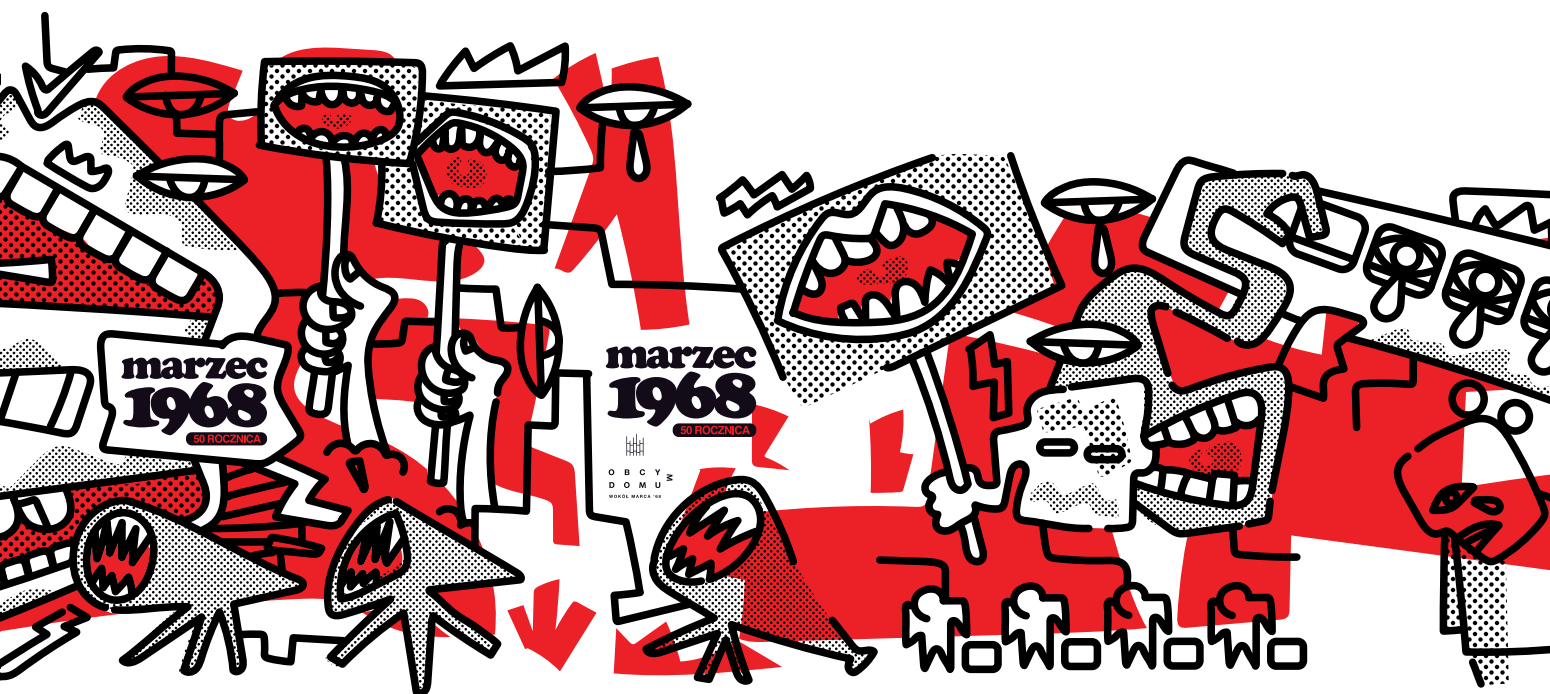
Był to najwyższy wzlot Konrada-Holoubka, ale zarazem jego niemal ostatni podmiotowy akt. W dalszych częściach postacią wiodącą stawał się bowiem Książd Piotr (Józef Durasz), którego Wdzenie było ujmowane w wyrazisty obraz o mocnych konotacjach sakralnych (postać Księdza stojąca z rozkrzyżowanymi ramionami na tle ołtarzowej scenografii) i liturgicznych (pieśń wielkanocna „Wesoły nam dziś dzień nastał”). Jak pisał Witold Filler w przenikliwej recenzji zatrzymanej przez cenzurę, a potem zagłuszonej propagandowymi kłamstwami autora, Książd Piotr przejmował od bezradnego Konrada „rząd dusz”, stając się (na dobre i złe) przywódcą duchowym i uosobieniem siły moralnej narodu. Konrad powracał dopiero w finale, by z głębi sceny, eskortowany przez dwóch żandarmów, z kajdanami na rękach, ruszyć w milczeniu w stronę widowni.

Ta scena, tak oczywista w swojej wymowie, wydaje się w 1967 r. wprost niewiarygodna, tak jak niewiarygodne wydaje się, by Dejmek, kończąc przedstawienie w ten sposób, naprawdę nie zdawał sobie sprawy, co robi i jakie wrażenie wywrze na publiczności. Co więcej: ta scena zastąpiła planowane początkowo zakończenie, jakim miała być recytacja wiersza „Do przyjaciół Moskali”. Z tego elementu (współbrzmiejącego z rocznicową okazją i propagandą wspólnej walki pol-

skich i rosyjskich rewolucjonistów z ciałem) reżyser zrezygnował z powodów ponoć głównie artystycznych. Chętnie uznaję, że niemylny instynkt teatralny kazał Dejmekowi wybrać o wiele bardziej efektowne, mocniejsze zakończenie z milczącym Konradem w kajdanach. Nie bardzo jednak chce mi się wierzyć, że ani on, ani nikt z jego otoczenia nie zdawał sobie sprawy, jaką wymowę ma tak kończone przedstawienie.

Gdzie lud Boga chwali

Jakby tego było mało, Dejmekowskie „Dziady” ujęte były w mocne ramy sakralne. Reżyser ceniony za inscenizację staropolskich dramatów religijnych, na czele z „Historią o chwalebnym Zmarłychwstaniu Pańskim” Mikołaja z Wilkowiecka (Teatr Nowy w Łodzi, 1961; Teatr Narodowy, 1962), zrealizowaną także we współpracy z Andrzejem Stopką, sięgnął pozornie po te same, sprawdzone już środki: osadził „Dziady” w ramie polskiej religijności ludowej. Ołtarz Stopki był konstrukcyjnie bliski szopce, której przestrzenny układ nawiedzał scenę polską wielokrotnie, i był też ważny dla mistrza Dejmka – Leona Schillera. Co ważne, na scenie pojawiały się grupy jednoznacznie wpisujące przedstawienie w kalendarz świątecznego roku polskiego: bożonarodzeniowi kołędnicy z gwiazdą w scenie Improwizacji, kołędnicy wiosenni →



→ z barankiem i wierni z palmami-baziami w finale Widzenia.

Materialista Dejmek okazywał się tu kontynuatorem Redutowego teozofa Mieczysława Limanowskiego, który zinterpretował „Dziady” w słynnym tekście „Rok polski i dusza zbiorowa”, napisanym zresztą w Moskwie, rok przed bolszewickim przewrotem. Zdziwiające połączenie! Małgorzata Dziewulska, w radiowym wywiadzie cytowanym przez Majcherka i Mościckiego, zauważyła, że Dejmek, idąc za swoimi skłonnościami, włożył „Dziady” w kontekst kultury ludowej, który dla niego, jako dla syna polskiej wsi, był niemal „naturalny”. „On szukał – mówiła – prostego klucza i znalazł prosty klucz, ale się nie zorientował, że ten prosty klucz to jest klucz roku liturgicznego. Czyli religijny”.

Nie zorientował się? Ta sama Dziewulska w eseju o muzyce w „Dziadach” Dejmkę, opublikowanym w książce zbiorowej „1968/PRL/Teatr”, dowodziła, jak ogromne znaczenie dla emocjonalnego i afektywnego odbioru przedstawienia miała jego warstwa muzyczna, na którą składały się głównie polskie pieśni religijne, w tym powracający wielokrotnie hymn „Gaude mater Polonia”. Do tego dochodziły liczne dźwięki jednoznacznie kojarzące się z fonosferą kościelną: dzwonki, zaśpiewy.

Silna obecność kontekstu religijnego, mocne osadzenie „Dziadów” w obrzędowości katolickiej (tak dalekie od dominujących dekady później interpretacji „antropologicznych”, akcentujących pogański charakter źródłowego obrzędu) stanowiło jeden z najważniejszych argumentów władz partyjnych na rzecz zdjęcia spektaklu z afisza. Jak przekazał Zbigniew Raszewski w swym arcydzielnym „Rap-tularzu 1968” – Zenon Kliszko, wicemarszałek Sejmu i przewodniczący klubu poselskiego PZPR, uważany w partii za drugiego po Gomułce, już w czasie premiery pytał zirytowany, dlaczego przedstawienie jest takie „pobożne”. Co gorsza, owa pobożność połączona została z akcentami skierowanymi przeciwko władzy jako „skorupie” (podobno to właśnie zawołanie „plwajmy na tę skorupę”, które Kliszko usłyszał jako zwrócone przeciwko sobie, spowodowało, że namówił Gomułkę do zdjęcia spektaklu). W efekcie w Dejmkowskich „Dziadach”, w samym środku gomułkowskiej „małej stabilizacji”, z całym teatralnym i aktorskim mistrzostwem

ożywiony został jeden z najważniejszych polskich kompleksów mitycznych: mit heroicznego i świętego narodu walczącego i cierpiącego za Boga, wolność i ojczyznę.

Wiele lat później Andrzej Łapicki tak oceniał „Dziady” Dejmkę, zestawiając je z przedstawieniem Konrada Swinarskiego: „Spektakl Dejmkę to były najbardziej polskie »Dziady«, jakie wystawiono w teatrze polskim. Zaś o przedstawieniu Swinarskiego pisało: nareszcie »Dziady« uniwersalne, mógł je napisać Goethe! »Dziady« Dejmkę mógł napisać tylko jakiś chytry Żmudzin z zapadłej dziury między Białorusią a Litwą: geniusz, który zawarł w utworze wszystko, co bolało Polaka przez 300 lat, co szarpie wewnątrz i dzisiaj. A »Dziady« Swinarskiego mogły się dziać zawsze i wszędzie. Swinarski był Europejczykiem, a my tu jesteśmy z Polesia. Po przedstawieniu Dejmkę publiczność wyszła bić się z milicją, po spektaklu Swinarskiego paru intelektualistów poszło na wódkę”.

Niezależnie od tego, jak niesprawiedliwy i uproszczony to sąd, i jak dziwnie akurat w ustach Łapickiego brzmi to wyznanie rodzimego patriotyzmu prowincjonalnego, słyszę w tej ocenie jakieś echo rzeczywistych emocji z 1967 r. Nie potrafię wprowadzić odpowiedzi, jak to się stało, że właśnie Dejmek był reżyserem takich polsko-poleskich, katolicko-martyrologicznych „Dziadów”, ale wydaje mi się niemal pewne, że tak to przedstawienie w oczach, uszach i emocjach publiczności się ukształtowało i powołało.



MACIEJ ZAKRZEWSKI /
INSTYTUT GROTOŃSKIEGO

Prof. **DARIUSZ KOSIŃSKI** (ur. 1966) jest teatrologiem, zastępcą dyrektora Instytutu Teatralnego im. Zbigniewa Raszewskiego w Warszawie, kierownikiem Katedry Performatyki Wydziału Polonistyki UJ, recenzentem teatralnym „TP”. Opublikował wiele książek, m.in. wyróżnione Nagrodą im. ks. Józefa Tischnera „Teatra polskie. Historie”, a także „Teatra polskie. Rok katastrofy”.

Kto wie, są przestrogi

Mimo ujawnienia wielu dokumentów, także z archiwów dawnej bezpieki, na podstawowe pytania dotyczące tamtych „Dziadów” nie mamy odpowiedzi.

Pozostaje w sferze hipotez stawiana już przez Gomułkę i Kliszkę kwestia, kto odpowiadał za wystawienie dramatu Mickiewicza w Teatrze Narodowym w 50-lecie rewolucji październikowej. Majcherek i Mościcki przytaczają różne teorie, w tym i taką, sformułowaną przez Michała Rosenberga, że Dejmek mógł mieć w owym czasie jakieś związki z grupą „partyzantów” Mieczysława Moczara, wygrywających przeciwko Gomułce kartę nacjonalistyczną.

Nie sposób tej tezy dowieść, a mnie – tak samo jak autorom „Kryptonimu »Dziady«” – wydaje się ona mało prawdopodobna. Ale czy Gomułka, zapętlony w wewnątrzpartyjnych rozgrywkach, nie mógł tak właśnie pomyśleć? Sam przedstawienia nie widział, ale z tego, co opowiedział mu Kliszko, mógł wnioskować, że oto Mickiewicz został wykorzystany jako działo skierowane przeciwko niemu. A tym, który tę broń skonstruował, był właśnie Dejmek. Dlatego w swoim słynnym przemówieniu z 19 marca 1968 r. Gomułka podjął dobrze znany i dziś wątek krytyki teatru reżyserów, wykorzystujących klasyczne dzieła do własnych, całkiem doraźnych celów.

Czytając zgromadzone przez Majcherka i Mościckiego partyjne napaści na „Dziady”, nie sposób opędzić się przed współczesnymi skojarzeniami. To samo nawoływanie do wierności tekstom, te same oskarżenia o dowolność i przeinaczanie sensów. Te same ataki na reżyserów traktujących rzekomo teksty literackie jako preteksty dla własnych kreacji i zaślaniających się słynnymi nazwiskami i tytułami. Te same zarzuty sprowadzania sztuki do narzędzia walki politycznej. To samo niepodważalne, niemal obsesyjne przekonanie, że wszelkie zdarzenia są efektem gęstej sieci spisku, ukrytych w mrokach wrogich sił. Te same groźby odebrania państwowej dotacji...

Jeśli dodać do tego jawną niechęć do inteligentnych elit i budzące się właśnie nastroje antysemitckie, pokusa snucia łatwych analogii trudna jest do odparcia. Nawet zdystansowani i ograniczający swoje komentarze do minimum autorzy „Kryptonimu »Dziady«” nie zdołali się jej oprzeć, pisząc w ostatnim zdaniu, że po-

zornie historyczne wydarzenia związane z Dejmekowską inscenizacją warto przypomnieć szczególnie „w chwili, gdy ku zdumieniu i zaniepokojeniu ozywają, zdawało się, ostatecznie pogrzebane upiory”.

W snuciu tych analogii zasadniczy kłopot sprawia jednak to, co znajduje się w samym ich centrum: teatr. Może jestem małej wiary, ale dziś nie potrafię sobie wyobrazić ani przedstawienia, które uruchomiłoby i skumulowało emocje zbiorowe jak tamte „Dziady”, ani władzy, która tak przejęłaby się reakcjami widowni jak Gomułka i Kliszko. Wiem, wiem – jako kontrargument można przywołać „Klątwę” Frłjicia, ale różnice w temacie i przebiegu kampanii przez nią wywołanej są tak oczywiste, że nie ma nawet sensu ich wymieniać (najważniejsza jest taka, że przedstawienie jest nadal grane). Można by w kontekście cenzorskich zapędów przywoływać żenującą aferę ze zniszczeniem dyrekcji Jana Klaty, którą z aferą „Dziadów” łączy też całkowita nieporadność władz. Ale nawet tak oczywiste działanie na szkodę polskiej kultury nie wzbudziło większych protestów. Przeszliśmy (mówię, bom grzeszny i sam pełen winy) nad tym skandalem do porządku dziennego i nikomu nawet do głowy nie wpadło, by iść z transparentami pod pomnik Wyspiańskiego.

Inna rzecz, że trudno sobie dziś wyobrazić powrót arcy polskich „Dziadów” rodem z Polesia. W Teatrze Narodowym litewski reżyser pokazuje nasze zafascynowanie Mickiewiczem jako upiornie-groteskowe i najwyraźniej taka wersja mieści się w dzisiejszym ideowym mainstreamu. Liturgiczne ramy i kościelne fonosfery zbanalizowały się tak bardzo, że dźwięku mszalnych dzwonków nie używają nawet bluźniercy i prowokatorzy.

Teatr jest dziś, 50 lat po inscenizacji Dejmka, w zupełnie innym miejscu i inne spełnia rolę. Ale choć sam nie wierzy, że może zmienić świat, to wciąż wydaje mu się śnić wieczór 30 stycznia 1968 r., gdy na ostatnim otwartym przedstawieniu „Dziadów” sala huczała protestem przeciwko zniewoleniu, a po nim ówczesni studenci PWST, Małgorzata Dziewulska, Andrzej Seweryn i Ryszard Peryt, poprowadzili grupę protestujących pod pomnik Mickiewicza.

*„Mędracy mówią, że sen jest tylko
przypomnienie –
Mędracy przekleli!”*

© DARIUSZ KOSIŃSKI



„Dziady” w Teatrze Narodowym. Od lewej: Tadeusz Borowski, Jan Koecher, Wojciech Zeidler, Gustaw Holoubek, Mariusz Leszczyński i Tadeusz Woźniak. Listopad 1967 r.

FRANCISZEK MYŚKOWSKI /
ZE ZBIORÓW ARCHIWUM ARTYSTYCZNEGO TEATRU NARODOWEGO

Wiece marcowe

OSTATNIE PRZEDSTAWIENIE „Dziadów”, oglądane przez 862 osoby z biletami i 115 bez biletów, odbyło się 30 stycznia 1968 r. Po zakończeniu spektaklu doszło do ulicznej manifestacji, prowadzonej przez grupę „komandosów” i studentów PWST: kilkaset osób, skandujących m.in. „Chcemy wolności bez cenzury”, skierowało się pod pomnik Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu. Milicja zatrzymała 35 osób; dzień później na UW rozpoczęto zbieranie podpisów pod petycją do Sejmu w sprawie zakazu wystawiania „Dziadów”.

29 LUTEGO odbyło się dramatyczne zebranie Związku Literatów Polskich, gdzie krytykowano (m.in. Antoni Słonimski i Paweł Jasienica oraz mówiący o „dyktaturze ciemniaków” Stefan Kisielewski – pobity wkrótce przez „nieznanych sprawców”) politykę władz oraz przyjęto rezolucję w obronie zdjętego spektaklu i przeciwko cenzurze.

4 MARCA ogłoszono decyzję ministra oświaty i szkolnictwa wyższego o relegowaniu z UW Adama Michnika i Henryka Szlajfera, a „komandosi” podjęli decyzję o zorganizowaniu wiecu w obronie kolegów i zdjętego spektaklu.

8 MARCA w południe na dziedzińcu przed gmachem biblioteki UW Irena Lasota odczytała projekt rezolucji w tej sprawie („Nie pozwolimy nikomu deptać Konstytucji PRL. Represjonowanie

studentów, którzy protestowali przeciwko haniebnym decyzji zakazującej wystawienia »Dziadów« w Teatrze Narodowym, stanowi jawne pogwałcenie art. 71 Konstytucji. Nie pozwolimy odebrać sobie prawa do obrony demokratycznych i niepodległościowych tradycji Narodu Polskiego”), a Wiktor Górecki i Mirosław Sawicki odczytali projekt uchwały z poparciem dla ZLP. Po przyjęciu rezolucji, gdy studenci zamierzali się rozejść, na teren uczelni wjechały autokary z napisem „Wycieczka”. Wsiedli z nich ORMO-wcy, którzy zaatakowali studentów. Rozmowy delegacji protestujących z władzami Uniwersytetu na krótko wstrzymały pacyfikację, później jednak do akcji wkroczyły kolejne ekipy milicji i ORMO. Studentów zatrzymywano i bito także poza terenem uczelni.

KOLEJNY WIEC (a w związku z tym kolejne starcia z milicją i ORMO) odbył się 9 marca na Politechnice Warszawskiej, a najgwałtowniejsze demonstracje miały miejsce dwa dni później – 11 marca. Tego dnia interpelację w sprawie wydarzeń złożyli w Sejmie postowicie Koła „Znak”, a solidarnościowe manifestacje odbyły się w innych miastach Polski. Większość „komandosów” przebywała już wówczas w więzieniu, zaczynała się rozkręcać wymierzona w nich machina propagandowa władzy. ©P



Marsz Biednych Ludzi, inicjatywa Martina Luthera Kinga, Waszyngton, czerwiec 1968 r.



Strajk studentów szkół artystycznych, Paryż, czerwiec 1968 r.

ROK 1968 BYŁ TO DZIWNY ROK: w obronie wolności protestowała młodzież całego niemal świata. W Polsce i Czechosłowacji – gdzie zdławiono Praską Wiosnę – chodziło o demokrację i prawa człowieka, na Zachodzie Europy mówiono o wolności jednostki, krytykowano zastany porządek społeczny, tradycyjną moralność, konsumpcjonizm i imperializm amerykański. Zdecydowana większość buntowników odwoływała się do haseł radykalnie lewicowych. Zaczynała się rewolucja kulturalna i obyczajowa. Eksplodował ruch hipisowski. „Żądano niemożliwego”.



Mieszkańcy Pragi bronią siedziby radia przed radzieckim wojskiem, sierpień 1968 r.

W

PONIEDZIAŁEK 11 MARCA 1968 r. mecenas Ber Rozencwajg siada w gabinecie przy ul. Zwycięstwa w centrum Sosnowca. Rozkłada „Dziennik Zachodni”. Na drugiej stronie widzi przedruk artykułu z „Trybuny Ludu”.

Anonimowy autor tłumaczy czytelnikom kolejność wypadków, do których w ubiegły piątek doszło ponoć na Uniwersytecie Warszawskim. Sytuacja, ostrzega redakcja, wymaga wyjaśnienia ze względu na narastające plotki.

Tak więc, czyta niechętnie mecenas, grupa studentów wicherzycieli urządziła nielegalną burdę. Rozdawała ulotki o antypaństwowej treści. Udała się do rektora, domagając się przywrócenia na uczelnię studentów Michnika i Szlajfera i mówiąc, że jest „legalną opozycją”. Kiedy na Krakowskie Przedmieście przybyli robotnicy, by sprzeciwić się wicherzycielom oraz dać wyraz poparcia władzy robotniczej i socjalistycznemu państwu, studenci przywitali ich oburzającymi okrzykami: „Ciemniaki, precz z uniwersytetu”. Następnie aktywny robotniczy został obrzucony śniegiem, kamieniami i monetami. Do zaprowadzenia porządku przystąpiła Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej. Część studentów urządziła burdy na ulicach. Przyłączyli się do nich chuligani i żadna sensacyjna młodzież szkolna. Dopiero wtedy wkroczyła milicja. Wszelkie, rozsiewane prowokacyjnie pogłoski o jakichkolwiek ofiarach nie mają nic wspólnego z prawdą.

Prawda czy nie, mniejsza o to – mecenas przerywa lekturę i przerzuca strony. Po pierwsze dlatego, że mieszka w Sosnowcu, gdzie prowokacyjne pogłoski nie dotarły. Być może mówili coś w Radiu Wolna Europa, ale musiało to być w czasie sobotniego brydża. Po drugie, zamieszki nie dotyczą jego rodziny ani praktyki. Po trzecie, w tym samym numerze gazety George Best, fenomenalny napastnik Manchesteru United, który za dwa dni rozegra mecz z Górnikiem Zabrze na Stadionie Śląskim, w krótkiej rozmowie zapowiada wynik. MU, według Besta, wygra 3:0.

1967. Czerwiec-wrzesień

16-latkii Emilia i Oleńka docierają do schroniska na Skrzycznem. Trwa rajd młodzieży województwa śląskiego. W tym roku na beskidzkich szlakach.

Kiedy podchodzą do lady, w radiu podają wiadomości. Armia izraelska w za-

Najpiękniejsze miejsce na świecie

EWA WINNICKA

Edward Gierek zapowiadał, że śląska woda pogruchocze syjonistom kości. A jak wyglądał Marzec w Zagłębiu?

wrotnym tempie wypiera arabskie wojska z półwyspu Synaj. Dziewczyny patrzą na siebie i ściskają kciuki.

Aleksandra to najmłodsze z trojga dzieci Bera Rozencwajga. Ber, lublinianin, wybrał przemysłowy Sosnowiec, kiedy – po zdobyciu Berlina – zrzucił mundur żołnierza 2 Dywizji Kościuszkowskiej. Ma opinię wszechstronnego. Obsługuje odszkodowania po upaństwowionym mieniu i rozwody. Jak kłopoty, to do Rozencwajga.

Ojciec Emilii Gross zmarł na serce w 1953 r., głównie z powodu przeżyć sprzed dekady. Razem z żoną spędzili dziewięć miesięcy w ziemiance w Tarnopolu. Emilię i dwóch jej braci wychowuje mama.

Obie nastolatki uczą się w Liceum im. Emilii Plater. Po szkole, zwykle raz w tygodniu, biegają na Modrzejowską 5, gdzie na pierwszym piętrze mieści się Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów. Należą do sekcji młodzieżowej. W sali klubowej ogląda się telewizję, czyta gazety, pije herbatę i rozmawia ze znajomymi. Do sosnowieckiego oddziału należy 115 mieszkańców Sosnowca i Będzina.

NAPRZECIWKO kancelarii adwokackiej mieszka Zygmunt Sobelman, wdowiec. Wychowuje 14-letniego syna Michała, który kończy podstawówkę. Właśnie dostał się do najlepszego w mieście Liceum im. Staszica. W sobotę, gdy trwa ofensywa na Synaju, do Zygmunta przychodzą koledzy z Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego. Zygmunt jest tam kierownikiem bazy zaopatrzenia. Piją wódkę i świętują. Mówią: „Nasze Żydki zwyciężyły nad Arabami Rusków”, „Gnębili Stasia i Nel, to teraz płacą”.

Michał słyszał już o Izraelu, ponieważ kolekcjonuje znaczki. Znaczków z Izraela ma kilkanaście, wszystkie przysłały na listach od ciotki. Raz przysłała pomarańcze.

Okrzyki kolegów Zygmunta docierają do uszu sąsiadów, szczególnie do pana

Mietka, który jest ormowcem. O radośnych libacjach z powodu izraelskiej agresji grzmi wkrótce w telewizji I sekretarz PZPR Władysław Gomułka. Urządzą ją, mówi, syjonistyczne środowiska.

Sobelman z synem siedzą przy kolacji przed śnieżącym ekranem. Michał nie może zrozumieć, o kogo chodzi sekretarzowi. Tata ma niebieskie oczy i mówi literacką polszczyzną, czego nie można powiedzieć o jego kolegach z zakładu. Mówi, że jest Polakiem, a Żydzi zginęli w czasie wojny. Nie ma już żadnych Żydów. Więc o kogo w Sosnowcu może chodzić?

W czerwcu 1967 r. Michał rozumie, że niczego nie można być pewnym. Ale wciąż uważa, że mieszka w najpiękniejszym miejscu na świecie.

300 METRÓW od mieszkania Sobelmanów znajduje się dworzec. W kolejną czerwcową niedzielę zatrzymuje się tu pociąg Gliwice-Częstochowa, w którym siedzi Józek Zorski. Jest studentem Akademii Medycznej w Zabrze, wcześniej uczył się w klasie z bratem Emilii. Prowadzi zakład fotograficzny przy głównej ulicy Sosnowca – tak znany, że rodzice komunistycznych dzieci zapisują je do atelier Zorski z wyprzedzeniem. Józek jest instruktorem harcerskim i z grupą podopiecznych jedzie się wspinać na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. Kiedy pociąg sunie wolno przez Sosnowiec, koleżanka z naprzeciwka mówi: „Straszne miasto. Tu mieszkali kiedyś Żydzi i Cyganie”. Józek drętwieje.

Oczywiście, gdyby miał odwagę, powiedziałby jej, że czuje się zarówno Polakiem, jak i Żydem. W tym momencie bardziej Żydem. Oraz że należy do jednej z zaledwie 50 rodzin, które wróciły do miasta po Zagładzie. Przedtem w stutysięcznym Sosnowcu mieszkało 20 tys. Żydów, teraz to jeden wielki cmentarz. 8 z tych 50 rodzin, w tym Zorscy i Rozencwajgowie, spotykają się co sobotę na brydżu.

Ale Józek nie ma odwagi. Od wczesnego dzieciństwa ukochana niania martwiła się o jego pochodzenie. W czasie wojny przez półtora roku Florentyna Nowak i jej mąż Franciszek ukrywali tatę i braci taty w centrum Sosnowca, a po wojnie była przekonana, że to jeszcze nie koniec. Radziła Józkowi, żeby śpiąc, przytrzymywał swój nos palcem do góry. Miała nadzieję, że będzie zadarty, gdyż zaczynał rosnąć w zły sposób. Nauczyła go, by się nie afiszował, korzystał z dobrego nazwiska i sympatii sosnowiczian dla ojca fotografa.

1968. Styczeń-luty/marzec

Najserdeczniejsze życzenia noworoczne robotnikom Zagłębia przesyłają I sekretarz PZPR Władysław Gomułka, premier Józef Cyrankiewicz i przewodniczący Rady Państwa Edward Ochab. Na łamach „Dziennika Zachodniego” dziękują także załogom zakładów pracy za nadesłane życzenia i zalecają dalszą socjalistyczną czujność. Przypominają, że rok 1968 będzie miał wielkie znaczenie: odbędzie się V zjazd PZPR, podczas którego podsumuje się zdobycze socjalizmu i wytyczy cele, o które trzeba wciąż walczyć.

W partii zacznie się wkrótce kampania sprawozdawczo-wyborcza. „Nowe władze wkraczają w okres stabilizacji i wzrostu sił socjalizmu z jednej strony, z drugiej w okres konfliktu ogólnosiłowego wywołanego agresywnym stanowiskiem USA i odwetowców zachodnioniemieckich” – piszą „Wiadomości Zagłębia”.

W styczniu część mieszkańców Sosnowca może się osobiście przekonać, do czego doprowadza imperializm. Czterech młodych obywateli Wietnamu odbywających praktykę zawodową w Wytwórni Maszyn Górniczych przyjmuje zaproszenie górników kopalni „Sosnowiec” i opowiada o bestialskich zbrodniach amerykańskich agresorów. Górnicy nie kryją oburzenia. Głos zabiera I sekretarz Komitetu Zakładowego Stanisław Malicki. W krótkim przemówieniu przypomina martyrologię narodu wietnamskiego i jego bezprzykładne męstwo. Po Malickim na mównicę wchodzi Bolesław Kula, górnik z wydziału III, który niemal płynnie odczytuje projekt rezolucji →

→ potępiającej agresję USA i domagającej się natychmiastowego przerwania aktów ludobójstwa.

Wrażliwość sosnowiczian wyraża się też na inne sposoby: młodzi modelarze postanawiają wykonać dwa modele pływające i dwa latające, a następnie przekazać je wietnamskim dzieciom.

JÓZEK ZORSKI, który na wydziale lekarskim słynie z poczucia humoru, uwielbia parodiować odwiedzających Polskę wietnamskich dyplomatów. To jego popisowy numer podczas studenckich występów kabaretowych. Koledzy Józka to członkowie drużyny ZHP, która jak może wyśmiewa się z władzy. Na razie bezkarnie.

EMILIA GROSS zapisuje się do Związku Młodzieży Socjalistycznej, który w teorii przygotowuje uczniów do członkostwa w PZPR zarówno przez uświadczenie ideowe, jak obozy wędrownie. Emilia nie przejmuje się polityką: lubi mieć towarzystwo, a ZMS to gwarancja dobrej zabawy. Zresztą, w szkole należy do wszystkich możliwych kółek zainteresowań. Do wstąpienia do Związku zachęca ją profesor z liceum, przewodniczący szkolnej POP PZPR Bogusław Kabala, który z sympatią obserwuje Emilię, ale po ubiegłorocznym występie I sekretarza ma złe przecucia.

Załogi zakładów przemysłowych zachynają deklarować czyny produkcyjne i społeczne na rzecz V zjazdu. Na masówce w zakładach Intertex zobowiązują się np. do wyprodukowania 28 tys. kg czesanki i 22 tys. kg przędzy ponad plan. Przedzjazdowy czyn obejmuje całe Zagłębie.

1968. Marzec

George Best się myli, Górnik wygrywa 1:0, ale żeby przejść do dalszych rozgrywek, brakuje mu jednej bramki.

W środę 13 marca Michał Sobelman szaleje przy radioodbiorniku. Sprawozdawcą meczu jest Jan Ciszewski, sąsiad Sobelmanów. Gdy czasem mijają się, kiedy redaktor wychodzi do pracy, Michał czuje łączność z wielkim światem. Podobne uczucie miewa, kiedy uda mu się kupić dźwiękową pocztówkę z przebojem Beatlesów.

Myli się również mecenas Rozencwajg. Piątkowe i sobotnie zdarzenia w Warszawie poruszyły niektórych mieszkańców Śląska i Zagłębia. W czwartek w Katowicach studenci organizują wiec, podczas którego chcą odczytać rezolucję popar-

cia dla Warszawy. Na placu Wolności milicja otacza zgromadzonych i wzywa do rozejścia się. Kiedy nie wszyscy reagują – przystępuje do pacyfikacji. Biję na oślep, szczuje psami. Podczas naprędcy zorganizowanej masówki na placu Dzierżyńskiego wypowiada się I sekretarz KW PZPR Edward Gierek. Wskazuje, że za zamieszkami stoją osoby obcego pochodzenia, związane z Izraelem. Grozi, że „ślaska woda” pogruchoce syjonistom kości.

Wiece robotników, od których oczekuje się wyrażania oburzenia, organizowane są w zakładach Sosnowca i okolic. W sali zbornej kopalni „Niwka Modrzejów” pojawiają się transparenty: „Nie pozwolimy syjonistom płuć na władzę ludową” i „Uczelnie ośrodkami nauki, a nie dywersji”.

Masówkę organizuje się łatwo. Kiedy sekretarz podejmuje decyzję, a wyznaczony członek partii zredaguje tekst o zalecanej przez Komitet Centralny treści, zatrzymuje się wydobyć i nie wpuszcza górników na zmianę. Zamiast zjechać na dół – idą do cechowni. Jeśli potrzeba więcej osób – poprzednia zmiana wyjeżdża na powierzchnię wcześniej. Transparenty przygotowują członkowie zakładowego kółka plastycznego. Ogólnie wiadomo, o co chodzi: potępiało się warcholów, potem imperialistów, teraz syjonistów. Za rok potępi się kogoś innego.

WE WTOREK 19 marca Władysław Gomułka przemawia w Sali Kongresowej. Wystąpienie transmituje radio i telewizja. Sekretarz wygraża pięścią i krzyczy, słuchacze co kilka minut przerywają mu brawami. Przemówienie jest długie i objaśnia, skąd biorą się problemy Polski oraz kto jest winien zająć na Uniwersytecie Warszawskim, o których awanturnicy poinformowali żadne sensacje zachodnie media.

Tata Michała Sobelmana zamiera przy odbiorniku. Co prawda niespecjalnie interesuje się polityką, ale dociera do niego, że za niepokoje społeczne odpowiadają chuligani, bananowa młodzież i Żydzi, którzy – jeśli nie przepadają za socjalistyczną Polską – mogą z niej wyjechać. Nikt nie będzie za nimi tęsknił.

NASTĘPNEGO RANKA Michał czuje na sobie oczy przechodniów. Do tej pory nie czuł, ponieważ uważał, że się niczym nie wyróżnia.

Zygmunt wysła syna do pana Kamera, który na ul. Modrzejowskiej naprawia pralki. Do Kamera chodzi się o 7 rano, po-

nieważ o 8 wychodzi do pracy w państwowym przedsiębiorstwie. Michał nie przepada za Kamerem, wydaje mu się, że jego mieszkanie cuchnie cebulą i czosnkiem. Wie z opowieści kolegów, że tak pachną mieszkania Żydów. Kamer otwiera drzwi i od razu pyta: „Co teraz będzie?”.

Państwo Grossmanowie prowadzą na Modrzejowskiej zakład hafciarski. Michał nigdy z nimi nie rozmawiał. Zaczepiają go, gdy biegnie do szkoły. „Zostajecie?”.

Mama koleżanki z klasy pociesza Michała: „Dobre dziecko z ciebie, tylko twój tata to Mosiek”.

GITA BRANDSZTEDTER SZTULBERG, przewodnicząca sosnowieckiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów, pragnie w imieniu organizacji uczcić zbliżającą się 25. rocznicę Powstania w Getcie Warszawskim. A przy okazji zająć stanowisko po przemowie towarzysza Gomułki.

Towarzystwo, oznajmia w liście, składa hołd milionom Polaków, Żydów, Rosjan i bohaterom innych narodów, którzy zostali zamęczeni przez hitlerowców. Chce z wielką czcią wspominać tyśiące Polaków, którzy z narażeniem życia własnego i rodzin nieśli pomoc Żydom, ukrywając ich w swoich domach, dostarczając żywności, lekarstw i innego rodzaju pomocy.

Zarząd sosnowiecki kategorycznie potępia nagonkę rozpętaną przez koła syjonistyczne i reakcyjne w USA, Izraelu, NRF i Anglii przeciw narodowi polskiemu, który oskarża się o współudział w mordowaniu Żydów. Potępia politykę USA wobec Wietnamu, jak również politykę militarystów izraelskich. Zarząd zgadza się z postulatami tow. Gomułki, wyrażonymi na spotkaniu z aktywnym partyjnym w dniu 19 marca. Zarząd oświadcza, że członkowie towarzystwa jako pełnoprawni i odpowiedzialni obywatele Polski Ludowej będą pracować dla pokoju i rozwoju wspólnej ojczyzny.

EMILIA GROSS, która jest już w maturalnej klasie, rozmawia z mamą o wyborze kierunku studiów. Chce iść na prawo, jak jej nieżyjący tata, lub na biochemię. Mama naciska, żeby prawo sobie odpuściła. Co ty dziecko ze znajomością polskiego prawa zrobisz w szerokim świecie?

Mama jest zaniepokojona, bo jej najstarszy syn Marek, który za drugim razem dostał się na medycynę we Wrocławiu, ze względu na pochodzenie nie jest pewien

swojego losu. Kiedy trwały strajki, przyjechał do domu. Nie chciał dać władzom uczelni pretekstu do skreślenia go z listy studentów. Obawia się, że ktoś mu wytknie, że jest Żydem i źle życzy własnemu krajowi. „Mamo, wyjedźmy”.

SOBOTNIE kółko brydżowe, do którego należy Rozencwajg, zaczyna dyskutować o sytuacji. Wcześniej rozmowy i kłótnie miały charakter wyłącznie karciany.

„Czego oni znów chcą?” – pyta mecenas. Ani on, ani Zorski nie mają zamiaru opuszczać Sosnowca. Niestety, kolega ze stolika, inżynier techniczny zakładów FAKOP, dostał właśnie wypowiedzenie. Powodem było „skrzywienie rewizjonistyczne”. Jego żona chce wyjechać.

Rozencwajg uspokaja: wszystko minie. Przekonuje: „I co powiesz, jak się znajdziesz w Ameryce? Żeś w FAKAPIE pracował? Nikt cię nie zatrudni”.

Potem wszyscy śmieją się wesoło z żartu językowego. Grają, jak zwykle, do rana.

DO ZYGMUNTA SOBELMANA przychodzą znajomi, sami Żydzi. Inni przestali. Najczęściej pojawia się pan Lewkowicz, który zmienił imię na Stanisław, powiesił w domu portret księdza Wyszyńskiego i do tej pory uważał, że niczym się nie wyróżnia. Przynosi nowe, niepokojące pogłoski. Słyszał, że w Warszawie jest plan, by wszystkich Żydów wysłać na Mazury, gdzie ma powstać obóz koncentracyjny.

Obaj są przerażeni. Stanisław przebywał w Oświęcimiu, Zygmunt stracił tam rodziców i pierwszą żonę. Z całej rodziny wojnę przeżył jeden kuzyn.

Michał jest już uczniem pierwszej klasy. Ma nauczyciela z przedwojennym doświadczeniem. Wczoraj wezwał Michała do tablicy i zadał rozluźniające pytanie: „A czego wy Żydki nie jecie w Palestynie?”. Michał nie wie, skąd miałby wiedzieć. Koledzy z klasy go lubią. „Kto by się głupotami przejmował”, mówią na przerwie.

Następnego dnia do domu Sobelmanów puka sąsiad z ORMO: „Jakie są państwa dalsze plany? Oczywiście potrzebujemy dobrych Żydów, ale czy nie wyjeżdżacie przypadkiem?”.

INŻYNIER W., zatrudniony w KWK Sosnowiec, 1 maja wywiesza flagę i po pochodzie wyjeżdża na weekend. Niestety, wraca dopiero 4 maja, co oznacza, że flaga wisiała również dzień wcześniej. A przecież 3 maja to stanowczo nie jest już dzień

święteczny. Czujne oko sąsiadów wypatrzyło zaniedbanie. Inżynier zostaje wezwany na egzekutywę, gdzie tłumaczy się z powodu wyjazdu bez uprzedniego zdjęcia flagi w odpowiednim czasie. Wieloletnie doświadczenie i rozgrzebane inwestycje, których dogłada, sprawiają, że udaje mu się utrzymać stanowisko.

EMILIA składa podanie na biochemię, na Uniwersytet Łódzki. Przed maturą wzywa ją prof. Kabała. Wręcza rekomendację od Zarządu Miejskiego ZMS, z Warszawy. Kabała uważa, że powinna dołączyć ją do podania, wtedy będzie bezpieczna.

1968. Czerwiec-sierpień

Jeszcze przed świętem Manifestu Lipcowego sosnowiczanie mogą cieszyć się z ukończenia niezbędnych inwestycji. W sumie, do 22 lipca, miasto odda ich 18.

W czerwcu można podziwiać nową płytę pamiątkową ku czci ofiar faszystowskiej okupacji, ufundowaną przez pracowników Zakładu Geologicznych Urządzeń Wiertniczych. Została odsłonięta w miejscu męczeństwa przy ul. Nowotki. Prócz płyty do użytku zostanie oddany sklep mięsny i ogólnospożywczy, zieleniak, łaźnia i szatnia w Zakładach Urządzeń Chemicznych. Na pewno – biurowiec Państwowej Spółdzielni Spożywców. Prawdopodobnie uda się ukończyć budowę parkingu naprzeciwko dworca.

Jest pewne, że wizja Sosnowca Przyszłości jest imponująca.

EMILIA dostaje list z Łodzi. Przyjęta!

Mama Emilii spotyka się za to z koleżanką z Katowic. Koleżanka jest przewodniczącą tamtejszego TSKŻ. Jej syn był jednym z najlepszych uczniów w najlepszym katowickim liceum. Nie dostał się na studia. Rodzina postanawia opuścić Polskę.

W POŁOWIE CZERWCA do harcerskiej rady kręgu studentów Akademii Medycznej, której członkiem jest Józek Zorski, przyjeżdża edukator z Komitetu Wojewódzkiego. Realizuje plan dogłębnego uświadamiania młodzieży studenckiej, która w marcu doznała zaćmienia. Dziesięcioro harcerzy słucha, że Żydzi zmienili wiarę i nazwiska po to, by Polakom zaszkodzić. „Wypalimy ich, towarzysze, wypalimy do dna. Nie pozwolimy im rządzić”.

Józef nie wierzy własnym uszom, kiedy kolega z rady zadaje pytanie: „A czy oni,

towarzyszu, mogą z Polski wyjechać?”. „Mogą, ale nie chcą, czekają na sygnał”.

Józek widzi, że najbliżsi koledzy ulegają argumentom edukatora.

Jedzie pociągiem do domu i oświadcza ojcu, że wyjeżdża z kraju.

Ojciec mówi: nie ma mowy. Nigdy nie należał do żadnej partii. Zaraz po wojnie zmienił w dowodzie imiona rodziców na: Rozalia i Jan. Dlaczego ma się niepokoić? Przed zakładem stoją kolejki. W sezonie ślubnym ma dużo zamówień na zdjęcia w królewskich dekoracjach: przy złotych meblach, przy zdobionych wazonach. Zorski wychodzi naprzeciw oczekiwaniom.

ROZWODNICY I KAMIENICZNIKI, klienci mecenasa Rozencwajga, też pytają: „A pan mecenas?”. Sekretarki Bera szybko zmywają gwiazdy Dawida, które od czasu do czasu pojawiają się na niewielkim szyldzie. Mecenasa uważa, że niezbyt często.

Rozencwajg koncentruje się na pracy, a Służba Bezpieczeństwa na tym, czy wykonuje ją właściwie.

Od 1959 r. w wojewódzkim urzędzie bezpieczeństwa prowadzona jest kontrola operacyjna osoby podejrzanej o skrzywienie imperialistyczno-syjonistyczne: okazało się, że Ber utrzymuje kontakt z osobami z krajów kapitalistycznych. Sprawie zostaje nadany kryptonim „Mecenas”.

21 SIERPNIa w KWK „Sosnowiec” trwa masówka w związku z braterską pomocą wojsk Układu Warszawskiego w zagrożonej chaosem ideologicznym Czechosłowacji. Czechosłowacy poprosili, więc zaprzyjaźnione państwa nie mogły odmówić.

W czasie masówki dochodzi do nieprzyjemnego incydentu: pewien członek dozoru zadaje niekonsultowane pytanie. Człowiek ten znany jest ze stawiania pytań nie na temat, więc w dniu masówki zlecono mu delegację. Niestety, wraca i pyta, czy w ramach przyjacielskiej pomocy ZSRR mógłby oddać Kresy Wschodnie, które mogłyby być spichlerzem Polski i zmniejszyć niedobory w zaopatrzeniu.

Koledzy zdejmują go z mównicy. Kilka dni później otrzymuje pomoc w zamkniętym zakładzie dla umysłowo chorych.

1968. Wrzesień-grudzień

Od wczesnego ranka 12 września ulice miasta wypełnia rozśpiewana młodzież w białych koszulach i bluzkach →

→ oraz w czerwonych i zielonych krawatach. Ponad 15 tysięcy członków ZMS i ZMW ciągnie do Parku Sieleckiego na wojewódzki Złot Młodych Przodowników Pracy i Nauki. Po złożeniu hołdu bojownikom rewolucji i zaciągnięciu wart doświadczeni towarzysze wręczają 200 legitymacji nowym członkom. Następnie wszyscy udają się do amfiteatru, gdzie zaczyna się część oficjalna. Na mównicy pojawia się towarzysz Gierek, który powtarza, że konieczne jest wzmocnienie ideowego kręgosłupa, zwłaszcza w obliczu wzmocnienia sił wrogich socjalizmowi.

11 LISTOPADA w Sali Kongresowej w Warszawie zaczyna obrady V zjazd Partii. Kiedy Władysław Gomułka wita się z delegatami, w sosnowieckich zakładach zaciągnięta jest warta zjazdu, o czym informują czerwone proporce zatknięte obok stanowisk pracy.

W NOWEJ studenckiej grupie Emilii w Łodzi jest chłopiec, który nazywa się Nissenbaum. Na balu Emilia podchodzi do niego i mówi, że jest Żydówką. Chłopiec spogląda niepewnie, ale potem wydaje się być ucieszony. Mówi, że chyba nie skończy studiów w Polsce.

DO FOTOGRAFA Zorskiego przychodzą klienci i pytają: „A pan to jedzie czy zostaje?”. Józef mówi ojcu: „Uciekajmy, byle dalej. Nie chcę kończyć studiów w Rokitnicy”.

ZYGMUNT SOBELMAN nie może odpędzić myśli o obozach. W listopadzie odwiedza posterunek milicji na ul. Zwycięstwa. Oddaje dowód osobisty i rzeka się obywatelstwa. Profesorowie w liceum żalują Michała: „Oj, co ty chuchro zrobisz w tym Izraelu. Jak karabin utrzymasz?”.

Michał wstydy się, że jadą do Izraela, więc mówi, że do Australii. Wszyscy, których zna, też chcieliby na Zachód. „Mój Boże, po co ty musisz wyjeżdżać – załamuje ręce sąsiadka. – Taki ładny z ciebie chłopiec”.

KIEDY przed Bożym Narodzeniem rodzina Grossów siada przy wspólnym stole, rozmawia tylko o wyjeździe. Znajomi podjęli decyzję, alibi już nie ma. Mama Emilii ma 62 lata i nie ma zawodu. Nie wie, co mogłaby robić w obcym kraju. Emilia nie chce nigdzie jechać. Ma przyjaciół i dobry wygląd. Nie zna hebrajskiego ani jidysz,

nigdy nie była za granicą, w kraju kapitalistycznym. Jurek i Marek Grossowie chcą do Szwecji. Koniecznie.

Emilia się dziwi. Zapalaliśmy świeczkę w piątek, to wszystko. Nigdy nie byliście nawet w TSKŻ! Mama decyduje: nie macie wykształcenia, nie wiadomo, co was czeka. Oraz: albo wszyscy, albo nikt.

Zostają.

ZAGŁĘBIOWSCY delegaci wracają z obrad V zjazdu PZPR. Wzruszenia nie kryje zwłaszcza Henryk Kamińczak, który z Komitetu Zakładowego trafił do Centralnego. Na zebraniu w domu kultury kopalni Miłowice mówi: „Ani przez chwilę nie przypuszczałem, że ja, zwykły robotnik, znajdę się w takim zacnym gronie. Wielką wskazówką na przyszłość była końcowa wypowiedź towarzysza Wiesława, który powiedział, że jesteśmy ostoją władzy ludowej. Wydarzenia marcowe udowodniły, że otwarte wystąpienie przeciw partii nie ma żadnych szans. Inspirowani przeciwnicy zdali sobie z tego sprawę”.

1969. Wiosna

Kolega Emilii nie pojawia się po przerwie noworocznej. Wyjechał bez pożegnania.

13 maja Michał i Zygmunt Sobelmanowie wsiadają do pociągu na peronie drugim. Jadą do Katowic, tam wsiadą do pociągu, który z Dworca Gdańskiego w Warszawie jedzie do Wiednia.

Józef Zorski idzie do sosnowieckiej wojskowej komendy rejonowej złożyć książeczkę wojskową. Oficer przegląda ją



PRZEMEK WIERZCHOWSKI / AG

EWA WINNICKA jest reporterką związaną z tygodnikiem „Polityka”, dwukrotną laureatką nagrody Grand Press, autorką książek „Londyńczycy”, „Angole”, „Był sobie chłopczyk” i „Milionerka”. Powyższy tekst jest skróconym rozdziałem książki napisanej wspólnie z Cezarym Łazarewiczem, „1968. Czasy nadchodzą nowe”, która 14 marca ukaże się nakładem wydawnictwa Agora.

i czyta: Józef, syn Heleny i Zygmunta, Zygmunt, syn Jana i Rozalii. „Jak, was, Żydzi, cholera, rozpoznać?”.

Kiedy Józef wychodzi z komendy, nie ma wątpliwości, że podjął właściwą decyzję. Nie mówi kolegom ze studiów, że wyjeżdża. Nie ma siły tłumaczyć.

Zygmunt Zorski idzie do komendy następnego dnia. W jego dokumentach wpisany jest udział w kampanii wrześniowej.

„O, biliśmy Niemców” – chwali wojskowy. „Ja biłem, a co pan robił, to nie wiem” – odpowiada Zorski.

Dzień później wystawia na sprzedaż zakład. Po 69 latach działalności Foto Zorski przestaje istnieć. Rodzina sprzedaje go za 150 dolarów.

MAMA EMILII GROSS dowiaduje się, że będą wyburzać kamienicę, w której mieszka jej rodzina. W urzędzie informują, że dostaną zastępcze dwupokojowe mieszkanie, niestety dużo mniejsze. Tylko takie ma w ofercie wydział lokalowy. Pani Gross uważa, że to nie *fair*. Nie wyprowadzi się, mogą wyburzać, z domu nie wyjdzie.

Wtedy dowiaduje się, że wkrótce dostępne będzie mieszkanie po Zorskich. Składa podanie z dokładnym adresem. Sadowa 4, mieszkanie trzypokojowe. Po miesiącach urząd wyraża zgodę. Grossowie nigdy nie mieli takich luksusów.

W CZERWCU Zarząd Główny TSKŻ w Warszawie decyduje o zamknięciu oddziału w Sosnowcu. Informuje Radę Miejską. Na list błyskawicznie odpowiada Leszek Rudzki, wiceprzewodniczący Rady. Prosi, by członkowie bezzwłocznie przekazali do Rady majątek Towarzystwa, z którego skorzysta teraz prezydium, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i Liga Kobiet.

W czerwcu Emilia wraca na weekend z akademika w Łodzi i biegnie do TSKŻ spotkać znajomych. Na drzwiach wisi kartka, że zamknięte. Emilia rozumie: władza tak chciała, nic nie można zmienić.

CZESŁAW LUDWICZEK, dziennikarz sportowy, który współpracuje z „Trybuną Robotniczą” i „Dziennikiem Zachodnim”, dziwi się, że niektórzy opuszczają miasto. Przecież nic specjalnego się nie dzieje. Czasami ludzi trudno zrozumieć.

MAŁŻEŃSTWO ROZENCWAJGÓW przestaje urządzać soboty brydżowe. Partnerzy znajdują się obecnie na czterech kontynentach.

© EWA WINNICKA

Kraj, w którym nie mogli być Polakami

DARIUSZ STOLA

W następstwie antyżydowskiej nagonki rozpętanej w marcu 1968 r. opuściła Polskę kilkunastotysięczna fala uchodźców. Nie wszyscy byli Żydami.

MIAŁEM DOŚĆ, A JEDNOCZEŚNIE otworzyła się przede mną możliwość wyjścia z tego zaułka. Skorzystałem z niej. Postąpiłem zatem dokładnie tak, jak życzyli sobie ci, którzy kierowali akcją antysyjonistyczną i jednocześnie stwarzali możliwość emigracji – pisał z goryczą jeden z nich. Inny wiele lat później powiedział: „Wyjechałem z Polski, bo był to jedyny kraj, w którym nie mogłem być Polakiem”.

Przyczyn tej fali emigracji trzeba szukać kilka miesięcy przed Marcem '68: w reakcjach na izraelsko-arabską wojnę w czerwcu 1967 r. Podobnie jak inne kraje bloku radzieckiego (z wyjątkiem Rumunii), PRL stanęła wtedy po stronie państw arabskich, potępiając Izrael i zrywając z nim stosunki dyplomatyczne. W najważniejszym wystąpieniu antyizraelskiej kampanii propagandowej – przemówieniu I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki z 19 czerwca 1967 r. – padły złowieszcze słowa o nielojalności niektórych polskich Żydów, a nawet sugestie zdrady ze strony syjonistycznej „piątej kolumny”. Zaraz po nich przyszła zachęta do emigracji: „Nie czyniliśmy przeszkód obywatelom polskim narodowości żydowskiej w przeniesieniu się do Izraela, jeśli tego pragnęli (...) każdy obywatel Polski powinien mieć tylko jedną ojczyznę – Polskę Ludową”.

Wystąpienie Gomułki uruchomiło skryte procesy, których skutki ujawniły się po kilku miesiącach. Już w 1967 r. przeprowadzono czystkę w wojsku, usuwając niemal wszystkich oficerów żydowskiego pochodzenia. Próba podobnej operacji w MSW, kierowanym przez gen. Mieczysława Moczara, nie powiodła się, ale powstrzymani przez partyjne kierownictwo

twz. „partyzanci” czekali na następną okazję. Na polecenie gen. Moczara oficerowie SB zaczęli też poszukiwania „syjonistów” w całym kraju, zwracając uwagę zwłaszcza na „syjonistów ukrytych”, czyli takich, którzy mieli w Izraelu rodzinę lub przyjaciół. Po kilku miesiącach zebrano już wiele nazwisk, i również czekano na okazję, by wykazać się gorliwością.

Kampania nienawiści

Okazja przyszła w marcu 1968 r. Gdy warszawscy studenci zainicjowali bunt młodzieży, który wkrótce rozlał się po kraju, raporty SB zaczęły wiązać go z Żydami, a zwłaszcza dziećmi żydowskich komunistów. Dziś te manipulacje widać wyraźnie, choć nie jest jasne, czy Gomułka i inni czytelnicy raportów im uwierzyli, czy tylko uznali, że dostają poręczne narzędzie do załatwienia kilku spraw naraz.

Po paru dniach w prasie zaczęły się ukazywać pierwsze artykuły inspirowane raportami. Partyjna propaganda przedstawiała bunt jako wynik rzekomego spisku wrogów wewnętrznych, z „syjonistami” na czele. Ich przebiegłe knowania miały jakoby na celu przywrócenie do władzy „bankrótów politycznych” – żydowskich stalinistów, a zarazem służyły interesom „określonych kół RFN”, szukających okazji, by odebrać Polsce Wrocław i Szczecin. Paranoiczna wizja spisku syjonistów, stalinistów i niemieckich rewanżystów nadawała kampanii charakter mrocznej groteski, ale jako narzędzie propagandy sprawdziła się nieźle (jej echa mogliśmy zresztą usłyszeć niedawno).

Powiązanie młodzieżowego buntu z Żydami miało dla przywódców partyjnych także ten plus, że ułatwiało rozgrywki w łonie PZPR, stawiając oponentów na z góry przegranej pozycji. W jakim celu

forsowali je ludzie Moczara, nie jest jasne. Jedni sądzą, że minister starał się wyeliminować swoich przeciwników, wśród których było wielu komunistów żydowskiego pochodzenia, inni twierdzą, że chciał zostać drugim po Gomułce, jeszcze inni, że jego ambicje sięgały wyżej, ale został za sprawą politycznej zręczności Gomułki powstrzymany. Szukając przyczyn nagonki, powinniśmy też pamiętać o reformatorskim ruchu ogarniającym Czechosłowację: masowe represje, konsolidacja partii i mobilizacja mas służyły jako prewencyjne uderzenie w załączki demokratycznej zarazy przypominającej Praską Wiosnę.

Kampania nienawiści, którą rozpętały władze, objęła wszystkie niemal media i organizacje masowe. Na setkach wieców i tysiącach zebrań lud pracujący miast i wsi (jak wówczas nazywano suwerena) potępiał wrogów i popierał politykę partii i rządu. Jednocześnie ruszyła fala szykan i represji: wyrzucania z pracy, z partii i ze studiów, aresztowań, powołań do wojska, zapisów cenzury itp. Oskarżeniami o syjonizm, rewizjonizm lub wątpliwą lojalność wobec socjalistycznej ojczyzny szafowano hojnie, a ciężar dowodu niewinności spoczywał na oskarżonych. Skutkiem były tak kuriozalne sytuacje jak okazywanie świadectwa chrztu przez towarzyszy partyjnych jako dowodu pochodzenia wolnego od „syjonizmu”.

Obcy wśród obcych

19 marca zabrał głos Gomułka, przyłączając się do kampanii: „tym, którzy uważają Izrael za swoją ojczyznę, gotowi jesteśmy wydać emigracyjne paszporty”. Wypełniający warszawską Salę Kongresową aktyw partyjny zareagował niepojętym entuzjazmem, krzycząc „Teraz! Już!” →

→ Wkrótce premier Cyrankiewicz wzywał „syjonistów” do wyjazdu w imieniu rządu: „Nie jest bowiem możliwa lojalność wobec socjalistycznej Polski i imperialistycznego Izraela jednocześnie – mówił z trybuny sejmowej. – Tu trzeba dokonać wyboru i wyciągnąć zeń właściwe konsekwencje”.

Idąc za tym przykładem urzędnicy niższych szczebli, oficerowie SB, dyrektorzy zakładów pracy zachęcali do wyjazdu „swoich Żydów” i tych, których za Żydów uważali. Robili to w sposób ogólny: „Macie obywatelu taki piękny kraj, po co wam tu w Polsce siedzieć”; za pomocą ukrytych gróźb: „porucznik [SB] przypomniał mi, że po tym, jak siedziałem jako syjonista, to mogę też jako syjonista wyjechać (...) że siostra jest przed maturą i pewnie będzie jej się baaardzo trudno dostać na studia”; lub bez ogródek, jak uczynił to pewien porucznik SB: „Jak wy tu kurwa Ławit nie wyjedziecie do 1 września, to wam obiecuję, że życia tu nie będziecie mieli, będziecie woleli się powiesić”.

„Poculiśmy się jak obcy wśród obcych (...) nie bito nas, nie łżono, ale czuliśmy się jak trędowaci wśród zdrowych, jak garbaci wśród prostych” – pisał jeden z emigrantów, zaś inny wspominał, że „[do naszego domu] przychodzili Żydzi wyrzuceni z pracy, a także ci, którzy utrzymali swoje stanowiska, ale nie mogli znieść dłuższej tego marcowego napięcia. Bo atmosfera była nie do wytrzymania. Nie tylko ze względu na nagonkę w telewizji i w prasie, ale i na presję środowiska. (...) Ojciec czuł, że są tacy, co się cieszą, że Żyda się wyrzuca. I inni Żydzi też to czuli”. Nie mniej dotkliwie było odmawianie polskości. „Z Polaków pochodzenia żydowskiego staliśmy się z dnia na dzień syjonistami” – wspominała poetka Anna Frajlich, która opuściła kraj w 1969 r.

Ważnym elementem towarzyszącej wyjazdom atmosfery było głębokie rozczarowanie realnym socjalizmem, poczucie braku perspektyw zmiany na lepsze. Wielu emigrantów pamiętało niespełnione nadzieje zrodzone w 1956 r. Olbrzymia większość wyjechała już po zgnieceniu Praskiej Wiosny, dokonany także przy pomocy polskich czołgów.

Ale wśród czynników popychających do wyjazdu było też, wpływające na wszystkie masowe migracje, pragnienie poprawy warunków życia. Jak wspomina jeden z emigrantów, „niektórzy z moich rówieśników nieżydowskich nie mogli zrozu-

mieć, dlaczego my się przejmujemy, ponieważ oni o niczym innym nie marzyli, tylko żeby prysnąć do Szwecji albo do Niemiec, albo do Włoch – byle tylko na Zachód”.

Wszelkie migracje mają społeczną dynamikę. Od Marca wyjazd stał się dla polskich Żydów głównym tematem rozmów. „W tym okresie, jeśli spotykało się kogoś żydowskiego znajomego, to właściwie nie można było o niczym innym rozmawiać. Wyjeżdżasz – nie wyjeżdżasz, da się przeżyć w tym kraju – nie da się przeżyć, to były stałe wątki w rozmowach” – opowiadał jeden z emigrantów. „Ludzie wyjeżdżali i ciągnęli jeden drugiego” – wspominał inny. Do wyjazdu namawiali zwłaszcza ci, którzy wyjechali wcześniej, a było ich wielu: w zasadzie każdy polski Żyd miał za granicą krewnych i znajomych. Jak to ujmował ówczesny dowcip: „Jak rozmawia mądry Żyd z głupim Żydem? – przez telefon z Wiednia”.



Katarzyna Stroczańska opuściła Polskę w 1968 roku, miała wtedy 16 lat i była po maturze. Jej rodzice wyjechali do Niemiec, ona pojechała do Anglii, gdzie studiowała malarstwo.

Dokument podróży

Decyzje o wyjeździe ułatwiała polityka krajów docelowych. Izrael przyjmował imigrantów żydowskiego pochodzenia, dając im od razu prawa obywatelskie. Kilka krajów Zachodu otworło im drzwi jako uchodźcom politycznym – Dania i Szwecja przyjęły kilka tysięcy osób w 1969 r.

A władze PRL nie robiły przeszkód. Biuro Paszportów MSW ustaliło nowe

wytyczne do wydawania zgód na wyjazd, przy czym termin „emigracja do Izraela” miał niewielki związek z krajem rzeczywistego osiedlenia: do Izraela udała się mniejszość emigrantów. Podobno MSW, w wiadomy tylko sobie sposób, wyławiało z masy podań osoby deklarujące narodowość żydowską bez pochodzeniowej podstawy. Niezbędnym warunkiem wyjazdu było złożenie wniosku o zezwolenie na zmianę obywatelstwa, czyli *de facto* zerwanie się obywatelstwa PRL. W rezultacie wyjeżdżającym nie wydawano paszportu, lecz tzw. dokument podróży, który otrzymują bezpaństwowcy lub uchodźcy. Był to dokument szczególnie, gdyż stwierdzał przede wszystkim, kim jego posiadacz *nie jest* – „posiadacz niniejszego dokumentu podróży nie jest obywatelem polskim”. Dodajmy, że pomarcowi emigranci faktycznie byli uchodźcami: wedle konwencji ONZ są to przecież osoby, które opuszczają swój kraj w wyniku prześladowań lub uzasadnionego lęku przed prześladowaniem ze względów rasowych, etnicznych lub religijnych.

W całym 1968 r. wyjechało z Polski, deklarując emigrację do Izraela, 3437 osób. Decyzje odmowne dostało zaledwie 26 osób, czyli mniej niż co setny składający wniosek, co na tle odrzucania znacznej większości podań o emigrację do RFN czy USA było przejawem niebywałego liberalizmu. Niektórzy Ślązacy, ubiegający się od lat o zgodę na wyjazd do RFN, powoływali się nawet na słowa Gomułki o możliwości wyjazdu do „swojej ojczyzny”, twierdząc, że oni za taką uważają Niemcy. Podobno byli tacy, którzy w tym selektywnym traktowaniu widzieli kolejny przejaw uprzywilejowania Żydów...

Apogeum pomarcowych wyjazdów nastąpiło w 1969 r., gdy Polskę opuściły 7674 osoby. Z powodu oficjalnego zakończenia akcji wyjazdów jesienią 1969 r., liczba emigrujących w następnym roku spadła do 698, po czym w 1971 r. ponownie wzrosła do 1118 osób, gdyż upłynął wtedy tzw. okres karencyjny dla tych, którym wcześniej odmówiono zgody z powodu dostępu do tajemnic państwowych, służby wojskowej itp. W następnych latach skala wyjazdów była niższa (do 1975 r. wyjechały łącznie tylko 853 osoby). Emigrację pomarcową możemy zatem zamknąć w latach 1968-71, kiedy to liczba „wyjeżdżających do Izraela” wyniosła 12 927. Dodatkowo część ofiar marcowej nagonki mogła wyemigrować deklarując wyjazd



Walizka z dykty. Obok ręczki naklejka z napisem „3 MERC”. Państwo Mercowie wyjechali z Polski 8 września 1969 r. Najpierw znaleźli się w Wiedniu, skąd dzięki pomocy organizacji żydowskich (głównie za sprawą pożyczki od UHS – United HIAS Service) udało im się wyjechać do Kopenhagi, a stamtąd do Szwecji.

do innych krajów, np. Wielkiej Brytanii, lecz były to przypadki względnie nieznaczne. Możemy zatem przyjąć, że pomarcowa fala objęła od 13 tysięcy do 15 tysięcy osób.

Inny globus

Znaczna część emigrantów opuściła Polskę słynnym pociągiem do Wiednia, i tam decydowała, gdzie podąży dalej. Jeden z wyjeżdżających wspominał: „siedzieliśmy z paroma przyjaciółmi i oglądaliśmy atlas świata. Niewiele wiedząc o różnych krajach decydowaliśmy: O, tu pojedą, tu będę żył”. W ówczesnym gorzkim żarcie Żyd poproszony o wskazanie na globusie miejsca, gdzie chce wyjechać, po dłuższym wahaniu mówi: „Poproszę o inny globus”.

W świetle danych Biura Paszportów MSW widać kilka charakterystycznych cech pomarcowej emigracji. Przede wszystkim rzuca się w oczy bardzo wysoki poziom wykształcenia: odsetek osób po studiach i studentów był wśród nich osiem razy większy niż wśród ogółu mieszkańców Polski. Najliczniejsi byli inżynierowie, lekarze, ekonomiści i humaniści. Do jesieni 1969 r. podania o zgodę na wyjazd złożyło blisko 500 wykładowców i naukowców badaczy, w tym postaci wybitne i znane. Wśród emigrantów było 200 dziennikarzy i redaktorów, ponad 60 pracowników radia i telewizji, blisko 100 muzyków, aktorów i artystów – w tym 23 aktorów i reżyserów Teatru Żydowskiego z jego dyrektorką, słynną Idą Kamińską na czele, oraz 26 filmowców. Tak wysoki udział inteligencji był skutkiem nie tylko wysokiego jej odsetka wśród polskich Żydów, ale i wybitnie antyinteligentnego tonu kampanii marcowej. Trudno przecenić straty, jakie Polska poniosła wskutek odpływu osób wysoko wykształconych lub utalentowanych.

Zaznaczmy, że to antyinteligentnie ostrze marcowej nagonki było organicznie związane z ostrzem antyżydowskim. W minionym ćwierćwieczu wiele napi-

sano – i słusznie – o buncie młodzieży oraz o antyżydowskim wymiarze kampanii, tymczasem jeśli spojrzymy np. na przemówienie Gomułki z 19 marca 1968 r., szybko zobaczymy, że znacznie więcej miejsca poświęcił atakowi na inteligencję, zwłaszcza na niepokornych pisarzy, niż na syjonistów. Dziś, gdy nie brakuje polityków szczujących „zwykłych ludzi” na elity za rzekome – jak się mówiło w PRL – „oderwanie od mas”, warto o tym przypomnieć.

Niewielką, ale chętnie wspomnianą przez MSW grupę emigrantów stanowiło ponad 520 byłych urzędników centralnej administracji państwowej. Wśród nich było 176 byłych pracowników MSW i MBP, z czego 12 zajmowało w przeszłości stanowiska dyrektorów departamentów lub Wojewódzkich Urzędów Bezpieczeństwa. 28 emigrantów zajmowało wcześniej odpowiedzialne stanowiska w MSZ. W żadnej fali emigracji z PRL nie było tak wielu byłych członków aparatu władzy i establishmentu.

Czwarta fala

Emigracja pomarcowa nie była pierwszą falą żydowskiej emigracji z powojennej Polski. Pierwsza ruszyła tuż po wyzwoleniu, gdy tysiące ocalałych z Zagłady – uwolnionych z obozów, wracających z ZSRR i wychodzących z ukrycia – chciało jak najszybciej opuścić miejsca cierpienia i okrutnej śmierci swych bliskich, kraj dotknięty wojną domową, bandytyzmem i niezliczonymi aktami wrogości i przemocy wobec Żydów. Fala ta wezbrała po pogromie kieleckim w 1946 r., zabierając łącznie, w latach 1944-47, około 130 tysięcy osób, to jest blisko połowę z 250-300 tysięcy Żydów, którzy znaleźli się po wojnie w Polsce.

Następna fala opuściła kraj dzięki tajnej polsko-izraelskiej umowie z 1949 r. Do nowo powstałego państwa żydowskiego komuniści wypuścili wtedy około 28 tysięcy ludzi. Dzięki postalinowskiej

odwilży wyjechała trzecia fala: w latach 1955-60 zgodę na emigrację do Izraela uzyskało ponad 50 tysięcy osób, w tym kilkanaście tysięcy niedawnych repatriantów z ZSRR.

Wyjazdy pomarcowe były zatem najmniejszą z czterech fal, gdy mierzymy ją w liczbach bezwzględnych, ale w proporcji do liczby Żydów w ówczesnej Polsce była porównywalna z wielką falą powojenną. Ludność żydowska, której liczebność w PRL szacowano w drugiej połowie lat 60. na 25-30 tysięcy, zmalała w jej wyniku blisko o połowę. Zniknęło wielu młodych ludzi, którzy zazwyczaj przeważają w migracjach. W następnych latach społeczność żydowska starzała się więc i wymierała, a jej organizacje zamierały. Wielu obserwatorów sądziło, że historia polskich Żydów zbliża się do końca. Dopiero dwie dekady później – dzięki wielkim zmianom 1989 r. – życie żydowskie zaczęło się odradzać. Rozwój tej niewielkiej, ale dynamicznej społeczności był jednym z cudów wolnej Polski.

Do niedawna jej przyszłość zapowiadała się bardzo dobrze. © DARIUSZ STOLA



Prof. **DARIUSZ STOLA** (ur. 1963) jest dyrektorem Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, pracownikiem naukowym Instytutu Studiów Politycznych PAN i wykładowcą Collegium Civitas. Opublikował m.in. „Kraj bez wyjścia? Migracje z Polski 1949-1989” oraz „Kampanię antysyjonistyczną w Polsce 1967-1968”, był także autorem szkolnych podręczników do historii.

Sublokator, który czuł się jak w domu

JUSTYNA KOSZARSKA-SZULC I NATALIA ROMIK:

**Wystawa „Obcy w domu. Wokół Marca '68”
pozwala myśleć o polskich Żydach wyjeżdżających
w Marcu w kategoriach bardzo współczesnych.**

BEATA CHOMĄTOWSKA:

**Nie „Marzec '68”, lecz „Wokół
Marca '68”. Dlaczego?**

JUSTYNA KOSZARSKA-SZULC: Zależało nam na przywróceniu pamięci o Marcu w całej jego złożoności. Bo wydarzenia polityczne, czyli zainicjowana przez ówczesne polskie władze antysemicka kampania, to tylko jeden aspekt, stąd dwie narracje w przestrzeni wystawy – liniowa, historyczna, oraz wyspowa, skupiająca się na relacjach pojedynczych osób, oparta na podejściu bliższym antropologicznemu. Centralna część wystawy, która wyglądem nawiązuje do Dworca Gdańskiego w Warszawie, skąd wyjeżdżała największa grupa emigrantów, zawiera historie osób, które opowiadają o doświadczeniach wyjazdów i pożegnań. To opowieść o żydowskim doświadczeniu Marca '68, o relacjach między mniejszością i większością, a także o nowym życiu poza granicami Polski. Tytuł „Obcy w domu” nawiązuje do poczucia zamowienia i jego utraty, a także utraty poczucia bezpieczeństwa.

NATALIA ROMIK: Historie 13 tysięcy osób zmuszonych do emigracji potoczyły się rozmaicie. Niektórzy odnieśli sukces, inni nie. Młodszym niekiedy było łatwiej niż starszym, borykającym się nierzadko

z myślami samobójczymi. Jednak uniwersalną emocją był lęk spowodowany tym, że nagle przestali czuć się bezpiecznie w domu, który uważali za własny.

Stali się sublokatorami, którym z dnia na dzień wymówiono mieszkanie – to pojęcie, do którego się odwołujecie.

NR: Kategorię sublokatorstwa traktujemy dosłownie. Na wystawie pokazujemy zdjęcia wyjeżdżających, sceny z celnikami, ludzi zgromadzonych wokół wozu firmy Węgiełek, transportującego meble. Przywołujemy również sceny z ujętej w formę opowieści graficznej, stworzonej przez Piotra Jakoweńkę historii wyjazdu Janiny Bauman, opisaną przez nią w książce „Nigdzie na ziemi”. Opisuje tam krok po kroku upokarzające procedury prowadzące do emigracji całej rodziny. Musiano spakować się w pośpiechu, sporządzano spisy rzeczy, które można wywieźć, decydowano, które zostawić. Konieczność pozbycia się przedmiotów nasuwa nie tylko skojarzenie ze scenami z gett, ale również z wcześniejszymi powojennymi falami emigracji Żydów z Polski. Takie same „lifty” – wielkie drewniane kontenery, do których pakowano dobytek, pojawiają się w opowieści Karola

Beckera i Mai Gordon, wyjeżdżających w 1957 r. z Warszawy jako dzieci. Dlatego wystawę o Marcu rozpoczynamy narracją z 1956 r.

JK-SZ: Najdotkliwsza była konieczność zrzeczenia się polskiego obywatelstwa. Żydzi opuszczający Polskę dostawali osobliwy dokument podróży, który stwierdzał, kim jego właściciel nie jest, a nie kim jest. Światowa prasa definiowała wyjeżdżających jako uchodźców.

NR: Ten fakt pozwala myśleć o polskich Żydach wyjeżdżających w Marcu w kategoriach bardzo współczesnych.

Teraz, w atmosferze wywołanej ustawą o Instytucie Pamięci Narodowej, wobec zalewu antysemickich wypowiedzi, odniesienia stały się jeszcze bardziej jednoznaczne. „Obchody Marca zaczęły się tym razem w lutym” – komentują gorzko polscy Żydzi. Zmieniłyście coś na wystawie w ostatnich tygodniach?

NR: Rok temu, gdy kończyłyśmy prace nad scenariuszami poszczególnych części wystawy, badałyśmy, jak niektóre polskie dzienniki i tygodniki przedstawiają figurę „Obcego”, chociażby w odniesieniu do uchodźców. Nie miałyśmy wątpliwości, że stosowana w odniesieniu do nich semantyka językowa jest częścią tego samego mechanizmu, który uruchomiono w Marcu '68 przeciw Żydom, ale zastanawialiśmy się, jak pokazać tę analogię, bo wątki antysemickie pojawiały się w prasie sprzed roku czy dwóch rzadko, przemycane w zawołowany sposób.

JK-SZ: Teraz wołał opadł. Ostatnia ściana na wystawie dotyczy nowomowy. Zmodyfikowałyśmy nieco tę część, dodając materiały z serwisu Hejt Stop, który udostępnił nam archiwum z ostatnich dwóch lat, dotyczące mowy nienawiści w przestrzeni publicznej, dokumenty od Żydowskiej Gminy Wyznaniowej oraz od Ambasady Izraela, która od trzech tygodni otrzymuje dużo nienawistnej korespondencji. Wą-



JUSTYNA KOSZARSKA-SZULC – w latach 2009–2013 kuratorka pracująca w zespole przygotowującym Galerię Powojnie wystawy stałej Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Specjalistka w Dziale Wystaw Muzeum POLIN, doktorantka w Instytucie Badań Literackich PAN.



NATALIA ROMIK – architektka praktyk, designerka, artystka. Jej główne pole działań artystycznych i naukowych to styk sztuki i architektury, (po)żydowska architektura pamięci. Członkini kolektywu architektonicznego SENNA, tworzącego m.in. design ekspozycji Muzeum Żydów Górnośląskich w Gliwicach.

tek uchodźców sam się pojawił w związku ze statusem nadawanym emigrantom z Marca '68. Pokazujemy ich doświadczenie na szerszym planie ówczesnej sytuacji geopolitycznej. Z punktu widzenia ONZ byli postrzegani jako część masy uciekinierów z wielu zakątków świata: Maroka, Tunezji, Libii czy Czechosłowacji, którzy trafiali do Austrii jako kraju tranzytowego.

NR: Ekran na ostatniej ścianie, odwołujący się do współczesności, pokazuje, jakie skutki społeczne ma stosowanie retoryki nienawiści w sferze publicznej. To, co pojawia się na górze, ośmiela wypływ z dołu.

Jakie są jeszcze podobieństwa między Marcem 1968 a lutym 2018?

JK-SZ: W przemówieniu, z którego zwykle pamięta się hasła o „piątej kolumnie”, Władysław Gomułka mówi też, że Polaków głęboko boli klęska wrześniowa, która przyniosła niemal całkowitą zagładę Żydów, obywateli polskich. „Uratowali się tylko ci, których Polacy z narażeniem życia przechowali”, co jest o tyle nieprawdą, że część Żydów ocalała w obozach koncentracyjnych, a największa liczba – w ZSRR. Potem jest minuta sążnistych braw.

NR: W związku z uruchomieniem antyżydowskiej retoryki nietrudno zauważyć, że dzisiejsze wypowiedzi internautów to kalki sformułowań wykrystalizowanych jeszcze w latach 30. XX wieku, a przypomniane w Marcu: „wiadome kręgi”, „obcy interes”, „ujawnijmy ich prawdziwe nazwiska”, „wina dziedziczna”. Na wystawie znajdzie się rękopis książki „Marcowe gadanie” prof. Michała Głowińskiego, złożonej z zapisków analizujących na bieżąco język Marca. Także gdy patrzy się na inną część wystawy, zatytułowaną „Manipulacje pamięcią w latach 60.”, gdzie pokazujemy, jak wykorzystywano upamiętnienia do celów politycznych – z wątkiem ZBOWiD-u, ale również Sprawiedliwych – trudno oprzeć się gorzkim refleksjom.

Czym Marzec '68 był i jest dla Polaków?

NR: Wielką inspiracją na pierwszym etapie tworzenia wystawy była dla nas „Przeźniona rewolucja” Andrzeja Ledera.

JK-SZ: Gdy skończyła się Zagłada, zaplanowała zgoda na instalowanie nowego porządku, niezależnie w jakim kształcie. Wszyscy chcieli zapomnieć o tym, co się stało, a były to również rzeczy bardzo nieprzyjemne, związane choćby z przejmowaniem

Pierwsza strona spisu mienia rodziny Borejdo. Emigranci zmuszeni byli do przygotowywania szczegółowych spisów rzeczy, które zabierają ze sobą. Celnicy sprawdzali je dokładnie, niekiedy kwestionując prawo do wywozu przedmiotów, które uznali za zbyt nowe.

SPIS

1.

rozrachunek przedmioty użytku domowego i osobistego stanowiące wyposażenie mieszkania rodziny BOREJDO mieszkającej w Warszawie przy Alei 1 Armii w.2.16 m. 39 sporządzony w związku z wyjazdem na pobyt stały do Izraela :

lp.	Nazwa przedmiotu	Jednostka miary	Ilość	U w a g i
1.	✓ Kuchnia	szt.	325	Wykaz szczegółowy w załączeniu
2.	✓ Dywan	szt.	1	poz. 2 do 4 w wykazie i s. 40 Urzędu Rezerwatorsk.
3.	✓ Ogrzewanie	szt.	10	
4.	✓ Stół stołowy (12 osób.) komplet		1	
5.	✓ Stolica i lustro toalet.	komplet	1	
6.	✓ Odkładnica srebrna	szt.	1	
7.	✓ Solniczka srebrna	szt.	1	
8.	✓ Kuchnia do jasek	szt.	2	
9.	✓ Kuchnia do serwetek	szt.	3	
10.	✓ Kuchnia	szt.	1	
11.	✓ Kuchnia z herbami miast	szt.	3	
12.	✓ Kuchnia srebrna	szt.	1	
13.	✓ Serwis stołowy (12 osób)	komplet	1	
14.	✓ Serwis do czarnej kawy (600 osobowy)	komplet	1	
15.	✓ Kuchnia do owoców	szt.	1	
16.	✓ Kuchnia do kwiatów	szt.	3	
17.	✓ Kuchnia do konfitur	szt.	10	
18.	✓ Kuchnia	szt.	1	
19.	✓ Kuchnia wazoniki	szt.	5	
20.	✓ Kuchnia	szt.	3	
21.	✓ Kuchnia porcelanowa	szt.	3	
22.	✓ Kuchnia stołowa	szt.	18	
23.	✓ Kuchnia marmurowa	szt.	2	
24.	✓ Stoliki różne	szt.	4	
25.	✓ Sekretaryszka orzechowy	szt.	1	
25 a.	✓ Kuchnia z ceramiką	szt.	1	

waniem mienia żydowskiego. To rewolucja, której efekty mogły być ustabilizowane dzięki temu, że o pewnych kwestiach nie mówiono – np. o tym, jak ubogi syn chłopca, który nie miał szans na dziedziczenie ziemi, został sklepikarzem. To milczenie zostało. Również dlatego Marzec pojawia się w polskiej historii głównie w kontekście studenckiego buntu przeciw systemowi.

NR: W centralnej części wystawy pokazujemy scenę tańca z filmu „Salto” Tadeusza Konwickiego. Absurdalny, mechaniczny, chocholi taniec w zamienionej na magazyn synagogi to uniwersalny symbol bierności wobec wykluczenia, do którego doszło także w wyniku Marca '68. Traktujemy tę metaforę szeroko, by pokazać, że Marzec rzutował zarówno na społeczność żydowską, jak i polską. Ci, którzy tutaj zostali, zarówno Żydzi, jak nie Żydzi, musieli sobie poradzić z tym, co się wydarzyło. Marzec nie został bez konsekwencji i odczuwamy je do dziś.

JK-SZ: W kontekście aktualności tematyki marcowej oraz misji, której podejmuje się nasza wystawa, by edukować o tych wydarzeniach, myślę o powojennym wierszu „Na zgłiszczach” Mieczysława

Jastruna, który kończy się słowami: „Bo pokolenia nie są jak ciąg liczb doskonałych / Gorzkie są dzieje / Na nowo uczą się nóg i rąk”. Mówi też o nas, o tym, na ile uczymy się z przeszłości. Mieliśmy spotkanie z Mikołajem Grynbbergiem, który również rozmawiał z emigrantami. Powiedział, że gdy część z nich przedstawia się jako entuzjaści współczesnej Polski i dzieli się pozytywnymi odczuciami, inni się z nich śmieją i mówią: „Jeszcze zobaczcie, bo co 10, 20 lat tutaj zaczyna wybić antysemityzm, tylko teraz pauza trwa dość długo”. Teraz brzmi to jak prorocтво.

Jak doświadczenie Marca '68 tkwi w pamięci polskich Żydów-uchodźców?

JK-SZ: Na wystawie pojawia się 18 wywiadów historii mówionej. Ostatnie przeprowadzaliśmy przed końcem stycznia. I choć często kończą się optymistycznymi stwierdzeniami w rodzaju: „teraz bardziej czuję się Szwedem, ale chętnie przyjeżdżam do Polski, cieszę się, że Polska jest w UE, jest otwartym krajem, można poczuć się tutaj dobrze” – to jednocześnie ma się wrażenie, że tamta sprawa nie jest wciąż zamknięta.

→ **NR:** Na pewno nie została zamknięta dla osób, które wyjeżdżały z Polski już w poprzednim wieku i których relacji nie jesteśmy dziś w stanie uchwycić. Dla nich musiała być to otwarta rana. Ich dzieci, które ułożyły sobie życie za granicą i chętnie przyjeżdżają do Polski, wspominają, że rachunki rodziców nie zostały wyrównane.

Rachunki z kim? Z Moczarem, Gomułą, Polską, Narodem Polskim, polskimi sąsiadami?

NR: Z Polską z pewnością nie. Zależało nam, aby pokazać relacje nie tylko Żydów z Warszawy, ze środowisk inteligenckich, ale też oddać szerszy głos – osób z mniejszych miejscowości, które miały inne doświadczenia życiowe. I tym, co uderza w większości z nich, jest spolegliwość względem tego, co się stało. Podejście w rodzaju: było strasznie, ale spotykamy się nadal, pamiętamy o Polsce.

JK-SZ: Wywieźli ją za granicę, choć tutaj, w domu, który musieli opuścić, napiętnowano ich jako osoby rzekomo niezwiązane z Polską. Jak babka Adama Sandauera, który w wywiadzie wspomina, że choć spędził w Izraelu resztę życia, nie nauczyła się hebrajskiego. Znała polską literaturę na pamięć. W co drugim wywiadzie ktoś wspomina, że pamięta piosenki Młynarskiego, może do dziś deklamować „Trylogię” albo wiersze Tuwima. Paradoksal-

nie, emigranci mogliby być ambasadorami rozślawiającymi polską kulturę za granicą.

NR: Dlatego pokazujemy biblioteczkę książek z epoki. Na wystawie chcemy zwrócić uwagę na kulturę intelektualną pokolenia lat 60. Świadomie wykorzystujemy też inne elementy sztuki współczesnej i designu, choćby neon z Dworca Warszawa Gdańska, liczne meble czy dzieła artystyczne autorów takich jak Witold Masznicz i Leszek Sobocki. Odwołujemy się do filmów Konwickiego. Struktura szklanej elewacji modernistycznego budynku Dworca Gdańskiego, który niebawem pewnie zostanie zburzony, posłuży za serce ekspozycji. To tu będziemy mogli odsłuchać historii osób wyjeżdżających. W przestrzeni „Dworzec – historia opowiedziana” zwiedzający będą mogli krok po kroku w systemie chronologicznym dowiedzieć się o całości wydarzeń polityczno-społecznych związanych z Marcem. Narracja będzie kontynuowana również na piętrze. „Archiwum Marca” to przestrzeń, w której zobaczymy pamiątki nadesłane nam w trakcie trwania wystawy przez osoby, które Marzec w szczególności dotknął. Bez podziału na wyjeżdżających czy pozostających w Polsce. Ta instalacja to przykład działania ekspozycji otwartej na wspomnienia, nieustannie się zmieniającej. W tej przestrzeni, na jednej ze ścian znajdzie się wiersz Stanisława Ba-

rańczaka „Jeżeli porcelana, to wyłącznie taka”, który zdaje się być ciągle aktualny.

*kto ci powiedział, że wolno ci się
przyzwyczajać?
kto ci powiedział, że cokolwiek jest
na zawsze?*

*czy nikt ci nie powiedział,
że nie będziesz nigdy
w świetle
czuł się jak u siebie w domu?*

NR: To właśnie na „Dworcu” chcieliśmy stworzyć przestrzeń wypełnioną światłem, gdzie nie ma multimedialności, tylko przeplatające się ze sobą duchy pamięci. Gdzie ludzie mogą się spotkać, usiąść na oryginalnych krzesłach z lat 60., nałożyć słuchawki i posłuchać historii w języku polskim i angielskim. Doświadczyć polifonicznego odczucia lęku, żalu, powracającej traumy.

© Rozmawiała BEATA CHOMĄTOWSKA

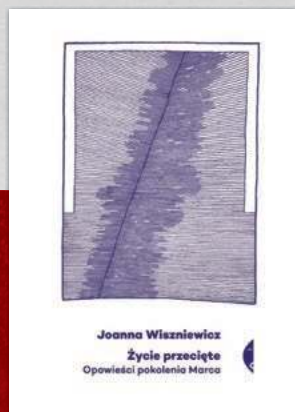
WYSTAWA „OBCY W DOMU. WOKÓŁ

MARCA '68 została opracowana przez kuratorki Justynę Koszarską-Szulc oraz Natalię Romik i zaprojektowana przez kolektyw SENNA. Będzie czynna w Muzeum POLIN w Warszawie od 9 marca do 24 września 2018 r. Mecenasem wystawy jest Europejski Komitet Wspierania Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Współorganizatorem jest Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny w Polsce.

REKLAMA

Dlaczego tak wielu wyjechało
i dlaczego tylu zostało?

POKŁOSIE MARCA '68



Książka wydana we współpracy
z Muzeum Historii Żydów Polskich Polin oraz Stowarzyszeniem
Żydowski Instytut Historyczny w Polsce w ramach programu
„Obcy w domu. Wokół Marca '68”.

CZARNE.COM.PL

POLIN

STOWARZYSZENIE
ŻYDOWSKI INSTYTUT
HISTORICZNY W POLSCE

CHIDUSZ.COM

Midraš

HIST
MAG

Jewish.pl
יודיש